

HISTORIA NA PODSTAWIE PRZEZYSZ
AUTORA

KOMORNIAK

*czyli smieszna opowieść o
emigracji*

written by **TOMEK CZE**

Tomasz Cze

KOMORNIK

czyli śmieszna opowieść o emigracji

KOMORNIK

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Przedmowa](#)

[Dedykacja](#)

[Dedykacja](#)

[Streszczenie](#)

[Rozdział 1](#)

[Mama, tata i majtki. A później ja. *](#)

[Rozdział 2](#)

[Jak jedzenie w puszcze smakuje właśnie w puszcze? Zamki na piasku.](#)

[Rozdział 3](#)

[Osiemnastka u Krecika. Ale się naebaem... więc jestem Polakiem? Pierwsza „opcja” na seks. Czy trzeba udawać mola, żeby stracić dziewictwo? Pierwszy seks.](#)

[Rozdział 4](#)

[Mamo, ładny garnitur? Ślubny. Będę ojcem. To straszne! Jestem ojcem. To cudowne...](#)

[Rozdział 5](#)

[Wakacje w wersji Italiano. Po włosku i na włosku.](#)

[Rozstanie. Ufff, co za ulga. Zaczynam gadać sam do siebie.](#)

[Rozdział 6](#)

[DUM-DUM. Hulaj dusza, piekła nie ma. Będzie dopiero jutro rano. LAW, czy LAF. Tomek, wybieraj. No i w końcu te motylki.](#)

[Rozdział 7](#)

[No, to ruszamy. Cel jest jeden. Rozebrać. Ale jak rozebrać](#)

diablicę w skórze anioła? Trzeba modlić się o grzech...

Rozdział 8

Siedzę w biurze i myślę. Sukces jest niczym babcia.

Uwielbia Mariusza, a mnie nie lubi.

Rozdział 9

Biznes, wiszący na sznurku. Uczciwy pracownik? Ha, ha,

ha, ale z Ciebie żartowniś. Umiesz liczyć? Licz na siebie.

Kto ma miękkie serce, a nie ma twardej d***, nie pozbiera się „do kupy”.

Rozdział 10

Hurra, czas na szaleństwo zakupów. Dwa lizaki i pączka

poproszę. Albo nie, bez pączka. Jak zwinąć coś, co się

wcale nie rozwinęło, czyli polski biznes.

Rozdział 11

Czy będę nowym słoikiem? Nie, bo nie mam nawet pustych

słoików. Co jest z tą Polską? Trzeba spie... spieszyć się,

jutro wylatuję. Alicjo, kiedy ponownie Cię zobaczę?

Rozdział 12

Pierwsza lekcja: trzeba mieć olej w głowie, a nie w walizce.

Turbulencje. Trzymam się fotela tak mocno, że aż samolot

zwalnia. Ledwo co przyleciałem i już całuję się z szefową.

Rozdział 13

Poznaję Jarka i resztę polskich emigrantów. No, to trzeba

się napić. Stawiam flaszkę, bo jestem nowy. Teraz on

stawia flaszkę, bo wcześniej to ja postawiłem. Teraz on

przyszedł z flaszką, bo żonę zostawił w Polsce. Pedancik

lubi trójkącik, zatem przyszedł z dwoma flaskami. Ale to

nie pomaga. Tęsknię.

Rozdział 14

Jak to się pod czaszką czasem pie***. Znalazłem pracę dla Alicji. I teraz myślę tylko o jednym. Co zrobię, jak przyjedzie. Ale czy, aby na pewno przyjedzie?

Rozdział 15

Ja i budka. Hurra, Alicja przyjeżdża.

Rozdział 16

Ale w koło jest wesoło. Czekam na Alicję, też z tej krainy.

Rozdział 17

Poznaj Judytę, bo Hormona nigdy nie zrozumiesz. Polak jest mądrzejszy od wszystkich. A więc i od siebie samego. Mój pierwszy raz „za kasę”. I drugi, grupowy. W dodatku za darmo.

Rozdział 18

No, to z górki. A w domu robi się ciasno. Na początku „odgrzane kotlety” i inni znajomi. Jak nie można wciskać kitu w ścianę? Czas na masową produkcję emigrantów.

Rozdział 19

Whiskey i moja żona (prawie). Emigracja emigranta. Jak przerzucałem łajno. Cieśla, co to nie wie, z której strony ciąć gałąź, na której siedzi. Po co Irlandczykom czołgista? A na koniec o pączkowaniu.

Rozdział 20

Życie na przystanku. A może otworzyć punkt skupu butelek? Czy w Polsce został jeszcze jakiś „czubek”? Zwiedzamy Irlandię. Co wołałby zwiedzać Łyski?

Rozdział 21

Wielki mały człowiek. Dla chcącego – nic trudnego. O kamieniarzach, co zbudowali mur między nami. Oj, panowie, za wysoki, nie przeskoczycie. Ale poduszkę

zabrali.

Rozdział 22

Nadciąga tajfun. Tomek, po co przywiozłeś ten koks? Maj
nejm is Bład. Artur Bład. A myślałem, że ściągnąłem tu
już wszystkich czubków. To pewnie ostatni. Jak przeżyć
sztorm na szczudłach? Z czego robią kanapki w Polsce?

Rozdział 23

Polscy fachowcy od „bycia fachowcem”. Trudno wyłowić
zgniłe jabłka w pełnym koszyku. Czy ja dałem ogłoszenie:
„do pracy-partaczy”? Czy jednojajowiec może być
mądrzejszy od kury?

Rozdział 24

Pati nożownik – reaktywacja. I na co nasze spory głupie.
I tak wszyscy skończymy w „mamrze”. Pierwsze
aresztowania. Co teraz?

Rozdział 25

Wojtek. A po Łysym nikt nie zapłacze.

Rozdział 26

Panowie, to nieporozumienie. Za narkotyki to sobie
posiedzisz. Ale gdzie te „dragi”, de hell? Śledztwo kuleje.
Co zrobić, kiedy czarne nie jest czarne? Panie
komendancie, a gdzie zwiął złodziej?

Rozdział 27

Ewakuacja. Zapasy w błocie. Czas otworzyć nową „metę”.
I znów baśnie tysiąca i jednej nocy. Nie da Ci żona, nie da
Ci matka tego, co opowie Ci sąsiadka. Prawda jest tak
„narąbana”, że nie ma siły wyjść na wierzch. No to ją
wyciągnijmy. Ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje
z emigranta.

Rozdział 28

No to dostałem po łbie. Kto jest tu czubkiem? A teraz happy end. Znalazłem Cię. Tak mi się wydawało...

Rozdział 29

Jak pić wódkę i na tym zarobić. TV Show by Artur. Paprykarz i trzy muszelki. O ogrodniku, co rozrzuca nawóz po okolicy.

Książka ta została wydana dzięki hojności osób, które wsparły mój projekt na stronie Polak Potrafi. Dziękuję Wam.

Strona redakcyjna

Przedmowa

UWAGA, czytasz na własną odpowiedzialność...

Książkę dedykuję mojej przyjaciółce, która nieraz wyciągała mnie z tarapatów.

Agnieszce.

Była jedną z pierwszych osób, które czytały moją książkę. Jej śmiech podczas lektury, który słyszę do tej pory, był dla mnie najlepszą motywacją.

Kiedy będziecie czytać tę książkę, wspomnijcie Agnieszkę. Ona odeszła. Za wcześnie...

Streszczenie

Opowieść zaczyna się od mocnej sceny. Od poczęcia. Ale nie jest to scena erotyczna. Chodzi o pierwszy moment poczęcia, czyli zapoznanie się rodziców głównej postaci.

Tak zaczyna się historia głównego bohatera X.

Mija 18 lat. X jest idealistą. Za trzy lata jest już tatą i mężem. Od tego momentu jest już tylko gorzej.

Wszystko powoli rozsypuje się, jak piaskowiec.

Małżeństwo, praca. Polska rzeczywistość. Traci nawet kontakt z synem. Bohater patrzy wokół i wydaje mu się, że wszyscy mają lepiej od niego. I faktycznie, tak jest.

Idealizm już dawno zniknął. Teraz jest żal do świata i pytanie; w czym jestem gorszy..? Nic się nie układa. Ale w końcu coś zmienia się w jego życiu.

Zakochuje się pierwszy raz. Tak, pierwszy raz. Teraz to wie.

Teraz razem spadają w nicość. Piękna miłość i brzydka bieda. Ale wzajemne wsparcie- bezcenne.

I w końcu coś zmienia się na lepsze. X wyjeżdża do pracy za granicę.

Ale czy on naprawdę wyjechał, czy to mu się tylko śni? Przecież to nie jest możliwe, żeby życie mogło być tak proste...

Przez całe życie nie był tak doceniony, jak tutaj w miesiąc! I ta kasa. Tylko ta tęsknota.

W końcu przyjeżdża Ona.

I opowieść mogłaby się zakończyć szczęśliwie. Ale..

Ale życie poddało bohaterowi nowy pomysł. Życie podało mu palec, więc postanowił zabrać rękę.

X znalazł komuś pracę. I wtedy okazało się, że można na tym nieźle zarobić. Główna postać jest bardziej wydajna od

pośredniaka. To wtedy powstaje pseudonim głównego bohatera. KOMORNIK. Kiedy w domu bohatera pojawia się za dużo Polaków, zaczynają się kłopoty.

Rodzi się polskie piekiełko. Każdy jest inny. A w takiej grupie można już znaleźć każdy typ Polaka. Najwięcej jest, oczywiście alkoholików. Ale są też dziwacy, erotomani, d...włazy, psychole i cwaniaczki. Przewinęło się też parę pozytywnych postaci. Znalazł się również kryminalista.

I to on rozkręca wątek kryminalny. Są zabawne nieporozumienia, niedostosowana do polskiej przebiegłości Garda. Ktoś łąduje w więzieniu, ktoś ucieka przed Gardą. Sytuacja staje się zagmatwana. W końcu i główny bohater zostaje zatrzymany. Jednak wszystko się wyjaśnia.

Główny bohater jest wolny.

Wydaje się, po raz kolejny, że w końcu sprawy się ustabilizowały.

Ale wtedy ktoś napada bohatera przed domem. Traci on przytomność. Kiedy się budzi, znów wiele rzeczy się zmieniło. A zakończenie będzie niespodzianką dla wszystkich, którzy zechcą przeczytać tę książkę.

Rozdział 1

Mama, tata i majtki. A później ja. *

W jaki sposób to wszystko się zaczęło?

Wszystkiego się dowiesz. Ale mam jedną prośbę. Przyrzeknij, że zanim odłożysz tę książkę, przeczytasz następne siedem linijek. Przyrzekasz? W porządku, to czytaj.

Większość ludzi twierdzi, że na początku był Wielki Wybuch... Trochę za wcześnie? Ok.

No, zatem pierwsze na lądzie były gady.

Nie, wcale nie mam na myśli teściowej i teścia...

Przepraszam. Spojrzałem na zły kalendarz.

No dobrze. Już mam.

Wszystko zaczęło się wówczas, kiedy mama zdjęła majtki.

Wtedy podszedł do niej tata. Mama jeszcze nie wiedziała, że będzie to właśnie ten jedyny.

Mama nawet jeszcze nie wiedziała, że po latach w ten sposób rozpocznie się moja historia.

Powiem więcej. Moja mama nawet jeszcze nie wiedziała, kim jest ten pan, który podszedł i zaproponował pomoc, kiedy mama zdjęła majtki.

Ale to nie tak, jak może się wydawać.

Po prostu nie wyjaśniłem jeszcze wszystkiego.

Bo mama była bardzo szczęśliwa, że ściągnęła te majtki przed tym obcym jeszcze Panem.

Jednak to wciąż nie tak, jak mogłoby się wydawać.

Ta sytuacja wygląda dwuznacznie tylko dlatego, że w Polsce panował wówczas kryzys i komunizm.

Były bowiem lata 70-te.

I to nie oznacza wcale, że z powodu kryzysu brała chłopca, jak leciał. Bo w tej sytuacji ten Pan wcale nie ucieszył się, że majtki zostały ściągnięte. I niech nie chodzą Ci po głowie różne dziwne myśli, odnoszące się do orientacji tego Pana. Jest w stu procentach hetero.

Bo te majtki były ostatnimi majtkami na półce w sklepie odzieżowym. Tata chciał dmuchnąć...

Cholera, znów wyrażam się niejasno.

Tata – mówiąc krótko – chciał je porwać (ale nie potargać) mamie (a nie na mamie) sprzed nosa.

Uff... Jakoś wybrnąłem. Ale wcale nie jestem szczęśliwszy. Bo mam jeszcze bardzo wiele do opowiedzenia. A jeśli będę dalej tak się plątał?

Najtrudniejszy pierwszy krok. Teraz już będzie znacznie łatwiej.

No, zatem kontynuujmy tę wielce skomplikowaną historię.

W ten sposób się poznali. Mama spodobała się tacie, zatem on rozpoczął rozmowę. Nie wiem, jak podrywało się w zamierzchłych czasach, ale mniej więcej mogło wyglądać to właśnie w ten sposób: —Hej, dzierlatko, fajną masz kieckę.

A mama:

—A Ty masz fajne dzwony...

Hmmm...

Nie podoba mi się to, o co podejrzewacie moją mamę.

Dzwony (jeśli nie pamiętacie) to taki krój spodni, modnych w średniowieczu. Wąskie u góry, baaardzo szerokie na dole. Faktem jest, że przez ich obcisły oraz specyficzny krój bardzo dobrze było widać, jakie kto ma te dzwony. Z Wólczanki, czy z Polontexu.

—Natomiast dla nieznających średniowiecznej terminologii, kiecka, to nic innego jak sukienka.

—Czy pójdziesz ze mną pohulać na dansingu? Dzisiaj podobno będą mieć gramofon w Casablance.

—A jaką będą mieć dzisiaj płytę? Bo ostatnio była świetna zabawa. Leciała non stop moja ulubiona piosenka.

—Jaka?

—Czerwone gitary.

—A tytuł? Bo ja znam ich wszystkie piosenki. — Chciał zabłysnąć wiedzą, lecz mama odpowiedziała:

—„Nie zadzieraj nosa”. — Tata zdębiał na moment, ale zaraz

powróciła mu bystrość umysłu.

—Z cudzysłowem, czy bez?

—W obu wersjach! – odrzekła mama, nie dając mu przejąć inicjatywy. – Jak ja sobie potańczyłam! – rozmarzyła się odrobinę.

Lecz tata zaczął być już zazdrosny i chciał się dowiedzieć, co za adorator zamawiał ten kawałek.

—Ktoś ją zamawiał ciągle?

—Nie. Mieli tylko jednego singla.

—To super. Ale mój kolega powiedział, że dziś będzie koncert Skaldów.

—Na żywo?

—Ha, ha... nagrany z radia. Gdyby jednak zerwała się taśma, to mają Fogga na płycie.

– Fajowo. Pewnie, że pójdę. Dawno nie hulałam. Przyjedziesz po mnie? - Uuu, cwana mama. Sprawdza jego stan majątkowy.

– Rowerem nie dam rady, bo mi się łańcuch zerwał. Ale podjadę do Ciebie PKS-em, tylko powiedz, na który przystanek.

—Kłodawka. 19/20 odjeżdża z dworca w Częstochowie.

—Dobra, będę. I co, bierzesz te majtki? Bo jeśli nie, to moja babcia prosiła, żeby jej wziąć, jak będą w sklepie.

Hmmm.

Dla wyjaśnienia. Moja mama nosiła majtki takie same, jak babcia. Głównym tego powodem było to, że w ówczesnych sklepach pod pojęciem „majtki” istniał tylko jeden produkt. No dobrze. Może trochę przesadziłem. Obowiązywał podział na majtki męskie, lub damskie.

– Popatrz no, moja babcia nosi ten sam model...

– Ha, ha, ha - roześmiali się obydwójce równocześnie.

– To nic. Kupię jej kalesony, obetnie nogawki i będzie idealnie.

Moja przyszła mama zrobiła na moim przyszłym tacie takie wrażenie, że w jego głowie powstała swego rodzaju pustka. Co prawda, wcześniej też ją miał, ale nie aż tak wielką. Nie wiedział, co ma powiedzieć, zatem stał i gapił się na mamę. Mamie on też się spodobał, no i to ona zagała:

– A słyszałeś może, co tam dzisiaj u Janka? – To go trochę odblokowało.

– Jutro ma dojechać do Berlina. Ale w Szczecinie ma postój, bo mu się lufa przegrzała.

Dla nieznających odległych czasów parę słów wyjaśnień. W tamtych czasach do Berlina mogli wyjechać jedynie komunistyczni agenci, albo kombinatorzy. Moja mama nie należała do żadnej z tych grup. Lufa, o której mowa, to nie lufa Janka. To lufa w czołgu.

A Janek, o którym mowa, to dowódca czołgu z „Czterech pancernych i psa”. Takie czasy były.

– No, to będą ją musieli nieźle przedmuchać- powiedziała, spoglądając zalotnie na tatę.

—Lidkę? – zapytał rozkojarzony tata, bo mama nawet mu trochę Lidkę przypominała.

—Nieeee, głupi. – Oj, już się na nim poznała. W takim razie, po co dalej brnie w rozmowę?

– Lufę. – Dokończyła po chwili.

Teraz tata spostrzegł się, że walnął farmazona i stara się wybrnąć:

– Wiem, to taki żart tylko.

– Żartowniś jesteś. Ale zapomniałeś się przedstawić.

– Oj, przepraszam. To przez Ciebie.

– Tak? A dlaczego? – Złapała się pod boki zaczepnie.

– Bo tak mi się spodobałaś. Mam na imię Grigorij i jestem mechanikiem. - Rozkręca się powoli, nawiązując do „Czterech pancernych”.

—Taak? To czołg Ci się zepsuł? – Ona też nie daje się wyprowadzić (póki co) w pole.

—No dobrze. Jestem Grześ, ale mechanikiem jestem naprawdę.

– To fajnie, tylko nie myśl, że mnie można tak łatwo rozmontować.

– Ale jakby co, to klucz już mam.

– Hiiii, hi, hi – roześmiali się oboje.

No dobrze. Ale nie będę opisywał tych wszystkich lat. Bo to by było jak „W pustyni i w puszczy”.

Jak w pustyni, bo w sklepach to jedynie piasek z butów.

Jak w puszczy, bo rządził niedźwiedź. Co gorsza, ruski.

Napiszę więc może w końcu coś o mnie?

Bo „JA” w tak wczesnym stadium, jak w tej historyjce przed chwilą przed-stawionej, to raczej jeszcze nie „JA”. Gdyż nawet, jeśli tata już o mnie pomyślał (pośrednio, oczywiście), a nawet, jeśli pomyślała o mnie już mama, to tak naprawdę, to nie pomyśleli o mnie.

Bo ja mam starszego brata. I chcąc– nie chcąc– on musiał urodzić się wcześniej.

Nie ma rady.

Ale skoro udało mi się już napisać coś o bracie, to znak, że zmierzamy chociaż w dobrym kierunku.

Bo ja jestem ich drugim groszkiem, czy rodzyńkiem. Czy jakoś tak.

W ogóle nie mam pojęcia, dlaczego tak się mówi. I wcale mnie to teraz nie obchodzi, bo znów się zaplączę, tracąc z oczu sens

opowieści.

A sensem opowieści jest to, że jak w końcu podrosłem, to zacząłem chodzić własnymi ścieżkami.

Choć przyznam, że wolałbym przemieszczać się autostradami. Lub choć drogą ekspresową. Ale nie...

Ścieżka.

A na niej, co chwilę pole z napisem: „A teraz, za karę cofnij się o trzy pola i rzuć jeszcze raz kostką”.

Od tego rzucania już mnie kostki bołą.

Często te własne ścieżki prowadziły mnie w miejsca, w które żaden człowiek przy zdrowych zmysłach by nie wszedł. Czy wynikało to z upartości, głupoty, czy niezmięzonej odwagi – będziecie musieli ocenić sami.

Głównie dlatego, że ja sam nie wiem, w jaki sposób to ocenić.

Szukając własnej ziemi obiecanej zwiedziłem ładny kawałek Europy. Szukając własnej ziemi obiecanej zwiedziłem również brzydki kawał Europy.

Po obejrzeniu tego brzydkiego kawałka Europy stwierdziłem, że nie ma, co dalej szukać. Wybrałem Irlandię.

I teraz zamierzam widzieć w niej tylko i wyłącznie ładne kawałki.

A jak do tego doszło? No właśnie. Od tego rozpocznę właściwą historię.

A następnie dowiedcie się, co działo się później...

Posłuchajcie.

Rozdział 2

**Jak jedzenie w puszcze smakuje właśnie w puszcze?
Zamki na piasku.**

*

Irlandia. Wczesne lato. Ale dla niektórych – ciężka zima. Śnieg tutaj sypie baaardzo rzadko. A latem to już zupełnie się nie zdarza. Ciężkość tej zimy polega na czymś zupełnie innym. On doskonale zdaje sobie sprawę, że za to, co „nawywijał” tu i tam, posiedzi sobie teraz parę latek. Z tamtej strony kratki.

Właśnie znajduje się w samochodzie do przewozu więźniów. Na rękach bransoletki, obok konwojent. Dojeżdżają do więzienia w Castlerea. Z posterunku do aresztu jest blisko. Ale on wygląda przez szybę i podziwia widoki na zewnątrz. Teraz długo nie zobaczy takich krajobrazów.

Dojechali.

Już pierwszy kontakt z aresztem był dla niego istnym dramatem. Podczas zameldowania pod nowym adresem zdarzyło się coś, co sprawiło, że przez długi czas nowoprzybyły więzień dygotał przy każdym wyjściu z celi.

—Zdejmij ubrania – powiedział w pewnym momencie strażnik, który przejmował go od konwojentów. „Dobra, muszą mnie przeszukać. Już i tak zabrali mi flotę i fanty. Jakoś to przeżyję”.

W związku z tym, że więzień był obcokrajowcem i nie wiedzieli, czego można się po nim spodziewać, do pokoju wszedł komendant więzienia. Chciał osobiście wszystkiego dopilnować.

—Usiądź na BOSS-a... – rozkazał ten pierwszy.

„Co?! Gdzie mam usiąść? – wystraszył się, bo powróciły demony z polskiej paki. – To tu nawet klawisze każą grać na hejnał? (Czyli robić laskę koledze)”.

Starał się bronić, ale przybiegło jeszcze paru do pomocy. Złapali go mocno, gadając coś niezrozumiale.

„Cholera, to w ilu oni mnie będą popychać?” I bronił się jeszcze

bardziej zacięcie. Ale na nic to się zdało...

Grupa policjantów poradziła sobie w końcu z agresywnym więźniem i... posadziła go na krześle. „I co teraz? – pomyślał wystraszony Polak. – Zrobią mi audiencję?” (Zbiorowy seks oralny).

—Nie ruszaj się – wysapał zziębnięty komendant.

„Ten już sapie, napalony. Pewnie chce być pierwszy... No dobra, nie wygram z nimi”. – Zamknął oczy oraz otworzył usta.

Nic.

Coś zaczęło brzęczeć. „To jeszcze wibrator włączyli? Może jeszcze frytki do tego, k***a!!!”.

Jeden z policjantów naciska coś przy krześle, pozostali stoją i patrzą na wariata, siedzącego z rozwartą paszczą. Co on robi? Co mu mamy do tych ust wcisnąć? Kostkę cukru, ha, ha?

– Ok, czysty. – Dał znać obsługujący krzesło. I klepnął więźnia w ramię. Ten otworzył oczy, zdziwiony.

– Nie sex? – Wciąż nie mógł uwierzyć, że nie chodziło właśnie o to.

– Sex? – Oczy komendanta zrobiły się coraz większe, ale nie przestał szukać jakiegoś logicznego wytłumaczenia dla całej sytuacji.

– To jest tylko skaner. – Układa w głowie kolejną część wypowiedzi dla obcokrajowca. Pokazuje teraz palcem krzesło. – To jest BOSS. – Teraz prze-literował skrót; – B.O.S.S. Body Objects Scanning System. (Skaner Jam Ciała). Zrozumiałeś?

Polak pokiwał głową, ale zrozumiał jedynie tyle, że nie będą go teraz wykorzystywać...

– Gdy konwojent powiedział, że będzie twój „escort”, to miał na myśli doprowadzenie Cię do więzienia. Irlandia nie jest krajem, gdzie w nagrodę za dokonane przestępstwa zaprasza się do „escort”

(czyli panienki lekkich obyczajów) – dokończył swoje wyjaśnienia, a wszyscy podwładni tłumili śmiech. Ale Komendant cały czas zastanawia się, w jaki sposób uspokoić więźnia.

– Czy jesteś hetero? – To zrozumiał bez problemów.

– Noooo! – potwierdził zdecydowanie, natomiast strażnicy odebrali to jako „noł”, czyli „nie”.

—Gay! – domyślił się w takim razie komendant.

—Nieeee! – odparł osadzony, ale funkcjonariusz odebrał to jako angielskie „jeeeah” (tak) i w notesie odhaczył odpowiednią rubrykę.

—OK, w takim razie przydzielimy Ci na początek pojedynczą celę. Jak wszystko będzie dobrze, przeniesiemy Cię do dwuosobowej. – I na tym komendant zakończył, wracając do swych codziennych zajęć. A polski wczasowicz odebrał klucze do apartamentu... Nie, przecież w tym kurorcie nie dają kluczy! Odebrał swój zestaw turystyczny, a następnie odprowadzony przez dwóch animatorów wycieczki rozgościł się w swoim apartamencie.

Moc atrakcji i odgłosy natury, dochodzące z zewnątrz (F***K off, You M***r f***r itp.) sprawiają, że powieki nie chcą opaść.

Osadzony już drugi dzień i noc, czyli odkąd się tu znalazł, niemal nie śpi. Nie, prycze są bardzo wygodne. Ziarnka grochu też nie ma pod materacem.

A zresztą, żadna z niego księżniczka. Książę też nie. To jego decyzje sprawiły, że przez jakiś czas będzie na wikcie państwowym. Czy żałuje? BARDZO. Ale nie tego, że siedzi. Tego, że pozwolił się złapać...

„Ale ze mnie idiota. Trzeba było spier***, a nie – wdawać się w dyskusję. Dalej robiłbym ich w balona. Już w kieszeni robiło się grubo, a tu wszystko mi skitrali. Tyle kasy!”

Wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Jak tylko posiedział

dwa dni w celi – wróciły stare zwyczaje.

„O tyle lepiej, że celki tu pojedyncze. Chociaż tu będę miał spokój. Ale co będzie w pozostałych miejscach? Wówczas w Polsce udało mi się podpiąć pod Siarę, ale tutaj nie dogram się z nikim. Polak ze słabym angielskim pomiędzy Irlandczykami. K***a, przecież sam, żeby się popisać przed Siarą, dopie***m temu ruskiemu na chodaku. Jak czegoś nie wymyślę, to mnie wezmą na fleki. A całkiem będzie siara, jak mi któryś każe „chapać dzidę”(robić laskę).

Przez pierwsze dni osadzony prawie nie wychodził z celi. Zdziwiony strażnik nie protestował zbyt mocno, rozumiejąc sytuację obcokrajowca, prawie nie mówiącego po angielsku. Ale z czasem ulgi skończyły się. Osadzony musiał zacząć robić wszystko to, co inni. W ten sposób zaczęło się normalne życie w „pace”.

Apel, podczas którego nie wiedział gdzie stanąć i przez moment stał obok komendanta. Nawet już za bardzo policjanta nie zaskoczył, ale szybko pokazano mu miejsce w szyku. Po zbiórce nastąpił czas na śniadanie.

No, no, no! Tak dobrze, to nasz rodak nie jadł przez ostatnie lata na wolności. Nawet mamusia mu tak nie gotowała. Może dlatego, że kiedy mamusia wkładała cokolwiek do lodówki, to to „cokolwiek” znikało, zanim zdążyła zamknąć jej drzwi. W związku z tym dom rodzinny kojarzy mu się z mrożonkami. Ale mamusia też ma raczej chłodne wspomnienia. Do tej pory pamięta zimne ostrze noża przy szyi, kiedy nie chciała oddać synkowi renty...

Synek również dobrze mamusi nie wspomina. Dlaczego? Bo nie chciała oddać renty...

Niedobra mamusia.

Teraz myśli o mamusi jedynie wtedy, jak zje coś zimnego. Siła

wspomnień.

Dlatego dziś nie pomyślał o niej.

Ale śniadanko minęło. W tym czasie miał okazję poobserwować współosadzonych. Zauważył grupę „koksów”, trzymających się wspólnie. Napiął wszystkie mięśnie, a najbardziej zwieracz i podszedł do nich.

– Ja ciężar dużo. Wy ćwiczyć gdzie? – zagaił, ustawiony tak, by w razie czego spie***ć w stronę strażników.

– My ćwiczyć siłownia – odpowiedział mu zaskoczony „koks”, starając się naśladować jego sposób mówienia. Paru jego kolegów prychnęło śmiechem, ale opanowali się, nie wiedząc z kim mają do czynienia.

– Ja ćwiczyć wy? – Nie zrozumieli, czy chce ćwiczyć ich, czy z nimi, ale pokiwali głową dla świętego spokoju.

Przez resztę czasu Polak powycierał wszystkie kąty, starając się nie rzucać w oczy i nie „dukać” z nikim.

„Dam czadu na siłowni. Jak zobaczą ile dźwigam i opowiem im parę bajek, to może jakoś się tu urzędzę”.

Strażnik wskazał mu siłownię i w odpowiednim czasie pokierował we właściwe miejsce.

Nie wiedział, jak się przywitać, żeby nie wyjść na cw***a, zatem machnął jedynie ręką. Oni odpowiedzieli tak samo, szeptając coś między sobą.

I zaczęli. Rozgrzewka, podczas której nowy sapał, niczym parowóz. Pozostali spoglądali jedynie na siebie, oceniając kolesia. Trochę zrzędała im mina, kiedy dźwignął połowę więcej od nich.

—Dobry jesteś – powiedział jeden z nich już innym tonem. – Za co siedzisz?

—Zabić mężczyzna. – Pokazał, jak „zenił kosę” w zebra. „Przecież

im nie powiem, że spie***m z Polski, bo chcieli mnie przymknąć za obrabianie kiosków ruchu i wyrywanie torebek emerytkom przed pocztą”.

—W Irlandii? – dopytywał najbardziej rozmowny z nich.

—Nie. Polska.

—To jak się tu dostałeś?

—Przylecieć.

—Z Polski? To by Cię złapali na lotnisku – szukał dziury w całym Irlandczyk.

—Nie, wylecieć z Schiphol. – A po angielsku zabrzmiało to jak: „Wyleciałem z owczej d**y”. Polak tego nie zauważył, ale atmosfera zrobiła się bardzo gęsta. Gdyby przed chwilą nie podniósł tyle na ławeczce, już dostałby sierpa...

– To lotnisko w Amsterdamie. Wiecie, dragi. – Pozostawił niedomówienie, żeby sami sobie dopisali historię.

Wykonał kolejną serię wyciśnień sztangi, czując się pewniej.

– Skąd jesteś w Polsce? – zapytał mniej pasujący do grupy, chudy i niski. Ale akurat on miał kiedyś styczność z polskimi gangsterami. Pozostały rachunki do wyrównania.

– Malbork – ściemnił, bo jak patrzy na nich, to do głowy przychodzi mu jedno: „Zakute łby. Nie jest źle. Wyroluję ich”. Mały-chudy nie był zadowolony z odpowiedzi.

– Na pewno? A może z Pruśków? – Po sposobie, w jaki to powiedział, wiadomo było, że potwierdzenie to zła odpowiedź. Polak musiał zatem coś wymyślić, żeby mu udowodnić pochodzenie. „Jak to będzie po angielsku; zamek w Malborku?”.

– Aj szoł ju zipper in Malbork. (Ja pokazać Ci zamek w spodniach w Malborku.) Sekundę po tym, jak mały zrozumiał, co mu nowy proponuje, Polak zobaczył wszystkie gwiazdy. Cios był szybki

i celny. Bo mały, chudy, ale byk! Minęło parę godzin.

„Ciemno. Gdzie ja jestem?”. Otworzył najpierw jedno oko, za chwilę drugie.

„Kto to? Czy dobrze widzę?”. Przy łóżku znajdował się komendant.

„O, NIEEEEEEEEE!!!”.

Rozdział 3

Osiemnastka u Krecika. Ale się naebaem... więc jestem Polakiem? Pierwsza „opcja” na seks. Czy trzeba udawać mola, żeby stracić dziewictwo? Pierwszy seks.

*

Dla uniknięcia drastycznych opisów, pominię moje początki. Czyli pierwszy wrzask, pierwsze „tetry” na d...

Umówmy się, że po urodzeniu, za pomocą jednego pstryknięcia, dorosłem do lat siedemnastu. I dodam również, że jestem już ubrany.

Blok na ulicy Spadzistej, siedzę przed telewizorem. Mam prawie 17 lat. Jestem przystojniaczkiem 1,8 (wzrost, a nie wersja). Mam długie włosy, ciemny blond. Uwielbiam U2 i nic jeszcze nie wiem o życiu. Wciąż jestem nieodkrytym terenem. Dla wiedzy i dla dziewczyn. Laski oglądają się za mną, ale jeszcze nie wiem, po jaką cholere. No... może już się domyślam, ale jeszcze nie mogę w to uwierzyć.

Już wiem, że w dobrym tonie jest „chodzić” z jakąś dziewczyną.

Ale gdzie, do licha ja mam z nią łązić? Chodzę zatem to z tą, to z tamtą, udając, że wiem o co chodzi i gdzie idziemy.

Ale tak naprawdę, to obserwuję, czego one ode mnie chcą i gdzie

mnie ciągną.

Niedawno skończyła się osiemnastka mojego kolegi z bloku i pracy, Stefka.

Ksywa Krecik...

Fakt, ma grzywkę przylizaną na lewą stronę, niezgrabne ruchy. Ale myślę, że to nie to jest podstawą tego przezwiska. On po prostu cały dzień śpi w norze... to znaczy, jak go poznałem, to prawie nie wychodził z domu.

Niedawno wprowadziliśmy się do nowego mieszkania w bloku. Mama załatwiła to mieszkanie w czasach, gdy czekało się na własne lokum 65 lat... i dostawało się je pośmiertnie, za cierpliwość. Moja mama nie miała zamiaru umierać, ani nawet kończyć 65 lat, przynajmniej nie teraz. Natomiast lokum załatwiła, bo to ona była u mnie w domu siłą sprawczą. A tata był testerem. Testerem niekoniecznie szlachetnych trunków. Jest czułym facetem, ale zbyt miękkim. Słaba wola – nie umiał odmówić kolegom.

Pamiętam, że kiedy jeździliśmy z rodzicami na wczasy – tak zwane „pracow-nicze”, było super. Wisła, gdzieś nad morzem, itp. Ale jak to w związkach często bywa, popsuło się. Z pewnością na początku była miłość (przynajmniej mam taką nadzieję), później natomiast same awantury. Coraz większe, coraz większe picie, praca w delegacjach, pewnie żeby uciec od kłótni. Widocznie mama była trochę mądrzejsza i pojechaliśmy do Gdańska, ściągnąć tatę z delegacji do domu. Ja, paruletni chłopiec, bo uwielbiałem jeździć autem, wujek Stefan, bo miał ciężarówkę i jeździł po Polsce. No i oczywiście mama, żeby tatę złapać za „chabety”...

Od tego czasu pił, ale już coraz mniej... i mniej. Przez lata nie rozmawiali ze sobą, jedynie warczeli. Niedawno tata miał udar. Ma

teraz problem z wymową niektórych wyrazów. Ale już nie pije, a mamie zrobiło się go nieco żal. I tak powoli zaczynają się do siebie normalnie odzywać i traktują się coraz lepiej. Zapominają o tym, co było złe. Ich życie jest jak bumerang. Rozpoczęli nawrót.

A przez długi czas jedynie dwie rzeczy ich łączyły ze sobą.

Ja i mój brat. Zawsze byli z nas dumni. I zawsze nas kochali, kochają nadal. Choć zmarnowali tyle swoich dni – nie zmarnowali swego życia!

Aha, ale przecież zacząłem od Krecika... Zatem wróćmy do Zoo.

Jedyne, co w nim nie pasowało do kreta, to temperament. Miał bardzo szybkie, nerwowe ruchy. Przy nim człowiek wciąż czuł się jak w zagrożeniu. Przy każdym wystrzelonym przez niego zdaniu musiał wykonać jakiś nerwowy ruch. A to ręką, a to nogą, a to czym popadło (ale nie wiem, czy tym też, bo to nie moja sfera zainteresowań). Jeżeli w zamierzeniu jego wypowiedzi był żart, to na koniec śmiał się, przy okazji wplatając w to nieświadomie chrząknięcia. Gdy widział dziewczynę, to chował się, za czym się dało. Nie wiedziałem, w jaki sposób on w końcu znalazł jakąś i się ożenił... dopóki jej nie poznałem. Po prostu: to ona go sobie wzięła, bo sama nie mogła liczyć na księcia z bajki, a Krecik ładnie chodził na jej sznureczku. Sznureczku... to nawet nitka by wystarczyła. Ale to już nie moje zmartwienie. Chciałbym móc zaśpiewać: „Brzydka Ona, brzydki On... A taka piękna miłość...”, ale zgodziłby się tylko pierwszy wers.

Po krótkim poznaniu, już wiedziałem, że ona nie jest z gatunku „maślanych oczu”, tylko „drewnianej pały”. A i jej figura oraz fryzura bardziej przypominała Zbója Madeja, niż rusałkę...

W czasie, kiedy poznaliśmy się, Stefanek marzył o znalezieniu swojej połówki, ale raczej myślał wtedy o takiej szklanej... ze

SMUKŁĄ szyjką, a nie z „karczychem”.

I trochę właśnie takich znalazł specjalnie na swą osiemnastkę. Cały kontener win J-23.

Już nie pamiętam, kto tam był, ale impreza była stosunkowo udana. Był to dzień, kiedy postanowiłem pierwszy raz w życiu opić się całkowicie oraz niepodważalnie.

Niewłócznie przystąpiłem do realizacji celu. Udało mi się nawet trochę potańczyć w antraktach. Ale jednak nieodrobiona praca domowa z fizyki dała o sobie znać. Konkretniej: prawo wyporności cieczy... Kiedy prawo to zaczęło ukazywać swą praktyczną stronę – jedyne, co mi pozostało, to kontynuować lekcję fizyki oraz przeanalizować aspekty przyspieszenia wprost proporcjonalnego w stronę łazienki. Eksperyment powiódłby się całkowicie, gdyby nie coś, z czym nie poradziłaby sobie nawet nasza wszechwiedząca nauczycielka fizyki.

Zamknięte drzwi do łazienki!!!

Nie mogłem zrobić już nic więcej, niż nadstawić dłonie... Teraz mogłem spokojnie zastanowić się, co takiego w sobie mam?

Nie, ja wiem, że to, co na dłoniach, to już nie we mnie, ale ja się zastanawiałem, co tam jeszcze mogło, do cholery, zostać!? Bo wydawało mi się, że większość organów, do tej pory wewnętrznych – stało się zewnętrznymi...

Moje rozmyślania przerwał jednak upragniony trzask zamka. Ktoś marynarskim krokiem opuścił królestwo. Sądząc po bladości lica (a mamy środek lata), w podobnej do mnie formie. Wszedłem do środka, wciągnąłem jelita i resztę z przedpokoju i zatrzasnąłem drzwi. Teraz czule przytuliłem się do Lejdi Sedes.

To wszystko, co pamiętam... Dobranoc.

Oczywiście, niewiele pamiętam również z następnego dnia. Wiem

jedynie tyle, że cały kolejny tydzień przysięgałem sobie, że nigdy więcej nie tknę alkoholu...

Ten bastion padł za dwa tygodnie, na urodzinach Tłuszcza. Bo to był ten wyjątkowy czas, kiedy co chwilę ktoś z paczki miał „osiemnastkę”.

– Niece, nie piję dzisiaj – powiedziałem do niego na początku. – To tylko „wkupna” na imprezkę.

– Taaaa, Czajnik, to się jeszcze zobaczy – powiedział solenizant pewnym głosem. Postawiłem reklamówkę z dziesięcioma piwkami na stole w kuchni.

– Z okazji Twoich osiemnastych urodzin życzę Ci... – zacząłem oficjalnie, choć oczywiście żartobliwym tonem. Ale Tłuszczu przerwał mi bezceremonialnie.

—Nie pier***, Czajnik. Krótko: gdzie jest prezent?

—Spokojnie, wszystko po kolei. Zaczniemy jeszcze raz. Z okazji Twoich 18-tych urodzin życzę Ci, żebyś nie zmądrzał. – Ponownie chciał mi przerwać, ale podniosłem rękę, żeby siedział cicho. – Żebyś nigdy nie zmądrzał, bo więcej wiedzy Ci Twoja pacyna nie przyjmie i będą doskwierać Ci migreny.

—Bujaj się, Czajnik, dawaj prezent! – Udawał zniecierpliwienie.

Wyjąłem zapakowane „coś”. Wręczyłem mu i wówczas, dla bezpieczeństwa odsunąłem się lekko, ustawiając się w pozycji ewakuacyjnej. Czyli blisko drzwi do salonu.

Tłuszczu zaczął szybko odpakowywać prezent. Po odpakowaniu połowy ukazała się część okładki.

– Ooo, książka. – Zauważył bystro. I odpakuje dalej. Wyjął już całą, obrócił okładką do przodu i przeczytał tytuł.

– Aniela Szczypior, „60 sposobów na odchudzanie bez

wyrzeczeń”. – Spojrzał na mnie z „piorunem w oczach”.

– Ha, ha, ha, fajna? – spytałem niewinnie. – Mam nadzieję, że Ci się przyda. Może jak schudniesz, to zrobi Ci się więcej miejsca w głowie. Na więcej szarych komórek – dodał.

Tłuszczu zrobił gest, jakby chciał mnie pacnąć tą książką. Nie bardzo wiedział jak się „odgryźć”. Ale ja kontynuowałem:

—Może łączna ilość Twoich komórek podwoi się?

—Czyli? – spytał, cofając rękę z książką w tył, aby łatwiej było mu wyprowadzić cios.

—Czyli będzie ich dwie, będą wtedy mieć szansę na duplikację!

—Bo jak ja Cię zaraz dupliknę, to Ci duplikator spuchnie. Czajnik, Ty jednak nie dożyjesz końca tej imprezy. – Zrobił krok w moim kierunku. – Powiem więcej, Ty nie dożyjesz początku imprezy.

I zaczął zbliżać się w moim kierunku, ale ja oddalałem się, okrążając stół kuchenny.

– ...Oooo lat, stooo lat – dobiegły do nas śpiewy z dużego pokoju. I to mnie uratowało.

– Tłuszczu, dajesz, k***! – krzyknął Siaru, zaglądając do kuchni.

– Później Cię zamorduję, Czajnik, idziemy. – Wygląda na to, że nie chciało mu się już więcej biegać za mną wokół stołu.

Poszliśmy do salonu. Ze względu na jego wagę (solenizanta) nie udało się wspólne podrzucanie do góry. Po krótkim oderwaniu się od ziemi, kiedy to postanowił nam zaufać, jego bryła poleciała w dół, razem z nami. A przecież nikt jeszcze nie wypił za dużo. Niestety, nie sposób oszukać grawitacji.

Cała żeńska obsada imprezy, czyli Sąsiadka, Magda – prawdziwa sąsiadka i jedna nieznana mi jeszcze laska, pokładały się ze śmiechu, obserwując sytuację z boku.

Sąsiadka, to jest sąsiadka o ksywie „Sąsiadka”. Magda to imię prawdziwej sąsiadki, choć nie mojej. Nieznana mi jeszcze laska to jest, jak przypuszczam, też sąsiadka. Bo nie sędzę, żeby mieszkała w lesie. Ale to nie jest sąsiadka nikogo z nas.

Po chwili, kiedy śmiech lekko ucichł, Tłuszczu wygramolił się spod nas wszystkich.

– No, nie! Tłuszczu, żeby Cię podrzucić parę razy, to musielibyśmy przyjechać koparką – powiedział Głębek.

– Koparkę, to ja Ci zaraz mogę sklepać, jak chcesz – odgryzł się upadły solenizant.

Ale on tak tylko mówił. Bo to była i mam nadzieję, że wciąż jest, bardzo przyjacielska postać.

– To teraz toast – zakrzyknąłem i dopiero wówczas zdałem sobie sprawę z mojej obietnicy. Nigdy więcej. No tak. Już ich słyszę;

„To co, za zdrowie Grubego się nie napijesz?”

– No tak, to wypijmy zdrowie tego grubego Tłuszcza. Nikt bardziej nie potrzebuje zdrowia, niż on – rzuciłem. – Zwłaszcza zdrowia psychicznego.

I uciekłem na drugą stronę stolika, bo tam z pewnością nie da rady się precyzyjnie. Tak się złożyło, że prawie przypadkiem usiadłem obok sąsiadki nikogo z nas.

– Cześć, jestem Marta. – Uściśnięcie dłoni i spojrzenie. Podrywa mnie. To dobrze, bo jest najładniejszą laską na tej imprezie. Pozostałe osoby już znam.

– A ja Tomek. Coś Cię łączy z tym brzydalem? Nie wierzę! – Uśmiechnęła się. Załapała żart.

– Tak, Marek jest ciot...

– Ciotą? No proszę ... – przerwałem jej w pół zdania, większość gości ryknęła śmiechem, znając ich koligacje.

– Czajnik, bo jak Cię dorwę, to masz pokrywkę pokrzywioną – pogroził mi Marek po raz kolejny, lekko unosząc się z siedzenia.

– Nie, Marek jest moim bratem ciotecznym. – Zmieniła szyk w zdaniu, nie dając mi drugiej szansy.

– No to zdrowie jubilata po raz pierwszy – rzucił Siaru, a kto miał kieliszek, ten go podniósł. Ja i dziewczyny złapaliśmy za puszki.

– Sto lat. Sto lat! – przekrzykiwaliśmy się.

– A Ty co, Czajnik, do kościoła przyszedłeś, czy płęć zmieniłeś? – krzyknął Tłuszczu.

—Dlaczego? – spytałem zdziwiony, bo przyglądałem się Marcie.

—Bo pijesz piwo, jak jakiś studencik, w ząbek czesany.

No tak, wiedziałem, że tak będzie. Twardziele. No i nie ma wyjścia. Trzeba pić. Przecież „twardym trzeba być, nie miętym...”.

I przyrzeczenia psu na BUDE...

—No to siup. – Dołączyłem do grona pijaków mocnych trunków.

Po paru kolejkach udało nam się w tym tumultie jakoś usłyszeć natarczywy dźwięk dzwonka do drzwi. Zjawił się ostatni z paczki, Brzdąk. Przywitał się z grubym, złożył szybkie życzenia, podał flaszkę i rozejrzał się wokół.

—A gdzie wszystkie zaproszone laski? – zapytał, choć dobrze wiedział, że to jest „bal samców” z małymi dodatkami.

– Nie przyszły, bo ktoś im powiedział, że będziesz.

– Ha, ha, ha ... – roześmiali się imprezowicze.

– Jakby wiedziały, że jestem, to przybiegłyby w samych stringach – powiedział buńczucznie.

—Laski widzą, że jestem gorący „towar”.

—Noooo... – Tłuszczu zrobił minę, objaśniającą wszystko.

—Udowodnić Ci? Patrz – zaciągnął się dymem z papierosa oraz

wpuścił sobie pod koszulkę. Lekko ją odchylił przy szyi i dym zaczął swobodnie wydostawać się do góry.

—No tak, tylko nie wygląda to, jak „gorący towar” – zakpił Siaru.

—A jak?

—Jak pojarany...?

—Hi, hi, hi. – roześmiało się zebrane towarzystwo.

– No dobra, jak jesteś taki gorący, to będziesz dzisiaj robił za laskę – powiedział Głęb.

—Będę robił laskę? – zapytał Brzdąk, bo właśnie szukał wolnego kieliszka.

—Nie, będziesz udawał dziewczynę – sprostował Głęb.

Od razu włączył się w to Tłuszczu.

—Te, lalunia, może chcesz mój numererek? – Brzdąk już wczuł się w rolę.

—Nie daję telefonów nieznajomym.

—A koledze? – Siaru też zrozumiał żart. – To ja wezmę jeden. Ale najlepiej, jakbyś miała Nokię.

—Ty, cwaniaczku z Pułtuska. Nie rozdaję ani telefonów, ani numerów tele-fonów.

– Dlaczego? – Udał oburzonego.

– Bo babcia mi mówiła, żeby nie dawać, bo mnie „zgwałcą, albo co”.

– A Ty gwałt to chętnie, ale pewnie boisz się tego „alboco”?

– Ha, ha, ha. – Wszyscy, jak na komendę ryknęli śmiechem.

W ten oto sposób poszła kolejka za kolejką, trochę rozmawialiśmy wspólnie, jak zawsze, dobrze czując się w swoim towarzystwie. Ja natomiast nieco poplirtowałem z Martą. Ale że mocny alkohol to było dla mnie coś nowego, nie potrafiłem dostrzec punktu, w którym świadomość przechodzi w bezwładność.

I przeszła.

Rano... Przepraszam, nie wiem kiedy. Wiem tylko, że było widno, kiedy się obudziłem.

Zatem kiedy w końcu się obudziłem, sprawdziłem, czy mam wszystko. Głowę mam na pewno. Bo boli, że ja pier***.

Sufit nie mój... to znaczy, nie w moim pokoju. No tak, urznąłem się u tego Tłuszcza i zostałem.

Zajrzałem pod kołdrę – jest wszystko. Nawet kompletne ubranie. Rozejrzałem się i... okazało się, że mam więcej nóg, niż przyniosłem. Raz, dwa... Trzy i cztery!

Obok mnie śpi Marta.

O cholera, czyżbym przeoczył taki ważny moment w moim życiu...?

Oczywiście, zajrzałem też pod jej część kołdry.

Ma wszystko...

To znaczy... chciałem powiedzieć, że ma wszystko na miejscu, ale również jest ubrana.

Hmmm...

—Wstawaj, Czajnik. – Drzwi do pokoju się otworzyły i stanął w nich Tłuszczu.

—Koniec amorów. – Słysząc po tonie głosu, że jest zazdrosny o siostrę.

—Nie krzycz... – poprosiłem, łapiąc się za głowę. Teraz obudziła się też Marta.

—Cześć, chłopaki – powiedziała, ziewając. – Marek, zrób mi herbatę.

Marek, czyli Tłuszczu, spojrzał „bykiem”, ale posłuchał siostrzyczki. Trzasnął drzwiami i wyszedł.

Spojrzałem na nią, ale minę musiałem mieć bardzo głupią, bo

roześmiała się w jednej chwili.

Po sekundzie drzwi znów się otwały;

—Ze mnie się śmiejecie? – Tłuszczu z groźną miną stanął w drzwiach.

—Nie, nie z Ciebie – powiedziała Marta. – Zrobisz mi tę herbatę, Maruś? – poprosiła, przymilając się.

I Maruś znów wyszedł, tym razem nie trzaskając drzwiami.

– Wiesz... ja...- Nie wiedziałem, jak zapytać. – Czy my...

A minę musiałem mieć jeszcze głupszą, bo ponownie się roześmiała. Marek tym razem nie wszedł, choć jestem pewien, że miał ochotę.

—Nie, głuptasku. Byłeś taki pijany, że nie wiedziałeś, gdzie jest góra, a gdzie dół.

—Czyj? – zapytałem wystraszony.

—Ha, ha. – Nie muszę sprawdzać, żeby wiedzieć. Tłuszczu znów nasłuchuje.

Założę się, że nawet dmucha, żeby woda szybciej się zagotowała.

—Czykolwiek – odpowiedziała. – Pewnie nawet nie pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

—Hmmm, nie bardzo – odpowiedziałem, żeby zyskać na czasie, bo coś zaczęło mi świtać, ale to tylko strzępy jakieś. Że już parę razy mnie widziała na osiedlu, jak była u brata. Że jej się bardzo podobam, że chciała mnie poznać...

No to mnie poznała... Witam, to ja, cienki Boluś ...

—To może nawet lepiej... Trochę Ci nasłodziłam po pijanemu.

—Tak? A co? Możesz mi przypomnieć? Bo chyba odczuwam niedobór cukru we krwi po imprezie.

—Ha, ha, nie... Bo jak sobie przypomnę, to mi wstyd. – Pocałowała mnie w czubek nosa. – Ale i tak było bardzo miło

i cieszę się, że Cię poznałam...- i spojrzała na mnie tak, że zrobiło mi się gorąco.

—Dobrze. Ale czy my... – to pytanie wciąż nie dawało mi spokoju.

—Nie, głuptasku – odpowiedziała z uśmiechem. – Byliśmy oboje pijani. Zaczęliśmy się całować i...

Moje oczy zrobiły się dużo większe.

—I... zasnęliśmy – dokończyła.

—O, cholera. Ale wstyd – powiedziałem.

—W żadnym wypadku. Ty nie wiedziałeś, gdzie jesteś. To bardziej ja chciałam Cię wykorzystać... – I znów zrobiło mi się gorąco...

Spojrzeliliśmy na siebie.

– To możesz mi pokazać, na czym skończyliśmy? Bo szwankuje mi pamięć... Przynąłem się do niej, objąłem i...

– Herbata! – Usłyszeliśmy podniesiony głos Tłuszcza w drzwiach. I zanim drugie „a” z wyrazu „herbata” do nas doleciało, on już był przy łóżku.

—Dziękuję. – Marta odebrała szklanekę.

Przez chwilę Marek stał w drzwiach, ale w końcu się przełamał i powiedział:

—Czajnik, a mama się o Ciebie nie martwi czasami? – Położył ręce na biodrach.

—Nie bardziej, niż Twoja o Ciebie. – Odgryzłem się, ale było oczywiste, że z tym cerberem na plecach do niczego więcej nie dojdzie.

—To co, odwiedzisz brata jeszcze kiedyś? – zapytałem, bo umawiać się na randkę z siostrą Tłuszcza z nim nad głową, to już prawdziwe samobójstwo.

—Dam Ci znać, jak będę. Za dwa tygodnie – dodała, spoglądając mi głęboko w oczy.

—Dostałem całusa na „do widzenia” i wyszedłem.

A Maruś już chyba więcej nie zaprosił siostrzyczki, bo historia rozmyła się samoistnie w czasie.

Z jakiego powodu o tym piszę? Bo teoretycznie mógł to być mój pierwszy raz... Jedynie w wyniku przeciążenia systemu sterowania tak się nie stało. No i zazdrosnego brata.

Ale – jak to mówią – co ma wisieć, nie utonie.

Kiedys się to musiało zdarzyć...

W telewizji emitują mało interesujący film przygodowy. „Pseudo Indiana 16”. Bohater ucieka przed złymi chłopczykami z pistolecikami, dobiega do rzeki. Już go mają! W dodatku prosto na niego płynie krokodyl. Biedak nie wie, co zrobić, patrzy na gada.

– Taxi!!! – krzyknąłem. Mama się roześmiała, a makaroniarz wskoczył na grzbiet krokodyla i przedostał się na drugi brzeg. Uratowany! Hurra!!!

Nie! Wystarczy tej sztuki wysokich lotów.

– Dobra, idę na trening - mówię do mamy. – Będę późno. Wybieramy się do znajomych.

– Tylko nie za późno, tak jak ostatnio. – Patrzy na mnie badającym wzrokiem. Ostatnio wróciłem rano.

Pojechaliśmy z Krzyśkiem do Kluczborka. Tam w internacie mieszka Aśka. Dziewczyna, którą poznałem na dyskotecę w Filutku. Któregoś dnia pojechaliśmy ze znajomym do niej w odwiedzinę i tak się zagadaliśmy, że uciekł nam ostatni pociąg.

Jak zwykle zacząłem opowieść od środka. Cofnijmy się lepiej w czasie do momentu, kiedy to jeszcze nie chodziłem po

dyskotekach.

W czasie obozu sportowego, z klubu piłkarskiego, zaprzyjaźniłem się z Klamą. Taką ma ksywkę. Polubiliśmy się stosunkowo szybko. Zacząłem z nim spędzać coraz więcej czasu. On, niestety, zawsze miał większe „branie” u dziewczyn, ale jakoś się z tym pogodziłem. Całkiem fajny z niego „kolo”. Graliśmy razem w piłkę w Rakowie Częstochowa, chodziliśmy na siłownię, później na Taek-wondo, Kick–boxing itd. Staliśmy się nierozłączni, niczym przyjaciele.

Któregoś wieczoru w czasie trwania jednej z dyskotek zwróciłem uwagę na kręcący się mi przed nosem damski tyłeczek w czerwonej mini...

Wiadomo: płachta na byka. Nie wysoka, ciemne, długie włosy. Silny makijaż, szczupła. No i ta spódniczka w tańcu... To jest to, na co najłatwiej mnie złapać. Tańczyła z jakimś kolesiem, ale go szybko spławiła. Podeszliśmy. Stała z koleżankami, rozmawiając o pogodzie lub cenach węgla.

– Cześć, dziewczyny. – A patrząc już na tą w czerwonej mini, dodałem:

– Czy to Ty zgubiłaś czerwony pantofelek?

– Nie – odparła lekko zdziwiona, oderwana od rozmowy. – Tym bardziej, że mam czarne szpilki.

—Co za szkoda... – Zaskoczyłem ją, czekała teraz na kontynuację wypowiedzi. – Bo jakbyś zgubiła jeden, to drugi z pewnością oddałabyś mi bez większego oporu... Teraz już osłupiały wszystkie i patrzyły jak na wariata. Zaniemówiły i nie wiedziały, co odpowiedzieć w tak żenującej sytuacji.

—A ja wówczas mógłbym je sprzedać, żeby zaprosić Cię do kina. – Wszystkie w końcu pojęły mój pokręcony dowcip i roześmiały się.

—No to w tej sytuacji nici z kina – powiedziała rozweselona. –

Pójdę sama. Tym bardziej, że nie chodzę do kina z nieznajomymi!

—Och, przepraszam, mój kolega ma na imię Krzysiek, a ja, niestety, od kiedy zobaczyłem pewną laskę w czerwonej mini, na parkiecie, to postanowiłem zmienić imię na Romeo...

—Aśka – powiedziała. Reszta towarzystwa też się przedstawiła:

—Marlena.

—Tomek.

—Olivia.

—Tomek.

—Kasia.

—A ja wciąż tak samo.

—To co, Romeo, szukasz swojej Julii?

—Wiesz, trochę mi ją przypominasz... Może spotkamy się jutro na balkonie i o tym porozmawiamy?

Patrzyła na mnie wzrokiem okazującym zainteresowanie i próbującym prze-świdrować na wylot.

—Proponujesz mi randkę?

—A czy na pierwszej randce mogę Cię pocałować?

—To kusząca propozycja, ale nie.

—To proponuję Ci jutro drugą randkę.

– Ha, haaa, ha! – Ponownie wszystkie się roześmiały. – Dobry jest – powiedziała Olivka, najstarsza z nich. – Wygląda jak Sławek. – Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– Wiesz, możemy się jutro razem spotkać. Będziemy o 19 w Kacu. Przyjdźcie, ale tylko jak znajdziecie drugiego pantofelka, bo stawać nie będziemy!

– Ha, ha!!! – Teraz już wszyscy się śmiali.

I w ten sposób to się zaczęło... Spotykaliśmy się coraz częściej. Polubiłem całą paczkę. W ich towarzystwie było zawsze wesoło.

Olivia to dziewczyna trochę starsza, ale z ciekawym podejściem do życia. Bardzo życzliwa, przyjacielska, choć przeciętna. Kasia, to jej siostra. Ta już jest całkiem ładna. Teraz muszę przyznać, że ładniejsza od Olivii i Aśki. Marlena to już lekki odlot. Nie dlatego, że piękna. Choć podobno faceci lecą do niej, niczym pszczołki do miodu, to jest ona zupełnie nie w moim typie. Okrągła buzia, jak sama mówiła o sobie – księżyc w pełni. Natomiast zawsze, gdy ktoś z nią flirtował, w jej głosie i wypowiedziach był podtekst erotyczny. Nie udawała zakonnicy i jeśli miała ochotę, robiła, co jej natura podpowiada. Oprócz tego, zawsze pociągało ją wszystko, co dziwne, zakręcone. Tak samo z facetami. Przyciągała do siebie wielu dziwaków, w tym niedojdy.

Za jednego z takich dziwaków udało jej się nawet wyjść za mąż! Syneček mamusi, który sprawia, lub chce sprawiać wrażenie bardzo inteligentnego. Bogata rodzina, arystokracja lokalna... Może dlatego synuś to wieczny student, który nigdy nie zajął się uczciwą pracą, jakkolwiek można to rozumieć.

Zacząłem umawiać się z Asią. Dowiedziałem się, że uczy się w szkole hotelarskiej w Kluczborku. Oczywiście razem z Marleną. Ma ciągotki artystyczne. Lubi projektować ciuchy dla siebie, malować, itd.

Tego wieczoru zamiast na trening, ruszyliśmy na dworzec kolejowy. Bach w pociąg i jesteśmy w Kluczborku. Krzychu startował wtedy do Marleny, więc też chętnie pojechał. Na początku zwiedziliśmy razem miasteczko i jego kawiarnie. Później cichaczem weszliśmy do internatu. Wiadomo. Tylko dla uczniów. W tym czasie nie piliśmy prawie alkoholu, natomiast bawiliśmy się świetnie... Jak to było możliwe? Teraz nie mogę sobie przypomnieć. Czy to hormony nas tak nakręcały? Czy nasze żarty były

śmieszniejsze? To pozostanie już, jak sądzę, dla całego mojego pokolenia tajemnicą...

W pewnym momencie, kiedy już siedzieliśmy w pokoju internatu; Puk, puk!

—Psst! – Marlena szeptem. Jest już po 22, a więc cisza nocna, plus zakaz wizyt.

– Cicho...To chyba nasz wychowawca. Schowajcie się w szafie! Siedzimy. Marlena otwiera drzwi.

—Ooo, Pan Karol. Co się dzieje...?

—Aaa, nic wielkiego....Ale wszędzie cisza, tylko u Was słyhać hałas.

—Już się uciszamy. Tak sobie z Asią rozrabiamy.

– Wiecie, ja też chętnie bym porozrabiał. – Słyszę, że drzwi otwierają się szerzej. Koleś chyba pakuje się do środka! – Przyszedłem wprosić się na herbatkę... Cisza.

Karolek klapnął na kanapę. Najwyraźniej jest lekko wstawiony i rozpoczął taniec godowy. Zarywa do Marleny. A że jest wstawiony, to robi to nieudolnie i powoli. Mariola odpędza się od jego lepkich łapek, natomiast my siedzimy w szafie. Czas mija...10 minut..., 20..., 30... Odnoszę wrażenie, że dziewczyny bardziej ta sytuacja bawi, niż złości. Bo my ukrywamy się wciąż w szafie. Zabawne!

W końcu powiedziały mu, że musi już iść, bo chcą spać. Wypchnęły go wspólnymi siłami. A my pomagaliśmy im w myślach. Tak im pomagaliśmy, że aż spadł ze schodów! Niestety, tylko w naszych myślach. Drzwi wejściowe zamknęły się i dziewczyny otwarły szafę, chichocząc, rozbawione zaistniałą sytuacją.

—Jak tam, mole?

—Super, gdyby nie ta lawenda – zażartowałem, choć byłem na nie zły.

—Hi, hi, hi. Sorry, nie dało się wcześniej – powiedziała rozbawiona Marlena.

– Ale teraz już musimy być cicho. Najlepiej będzie, jak ja pójdę już do swojego pokoju. I mimochodem, patrząc na Krzyśka, dodała;

—To może zostawimy ich samych?

—Jasne! – Ucieszył się Klama i już ich nie było...

No, to teraz zostaliśmy sami. Ja, Asia, ciemny pokój...

To był mój pierwszy raz. Dlatego zachowam tę historię jedynie dla siebie...

Rozdział 4

Mamo, ładny garnitur? Ślubny. Będę ojcem. To straszne! Jestem ojcem. To cudowne...

*

A więc ślub. Dziś już wiem na pewno, że Asia jest w ciąży, co robić?

Jest różnie, raz dobrze, raz źle. Często się kłócimy. Nasiliło się to jeszcze bardziej, od kiedy „ciocia” nie przyjeżdża.

Ale przecież będziemy mieć dziecko..., będzie wesele. Przecież chyba się kochamy? Trudno mi to stwierdzić, bo nigdy jeszcze nikogo nie kochałem.

Przynajmniej nie tak, jak w filmach. Nie wiem o tym za wiele. Może to tak ma być, jak mówią znajomi? Z czasem wam się wszystko ułoży...? Tak, w najgorszym przypadku wszystko „ułoży się” pod ziemią.

Tak, czy inaczej, chcę być najlepszym mężem i tatą, jakim można tylko być!!! I zrobię wszystko, żeby właśnie tak było.

Tylko teraz trzeba to powiedzieć mamie!

To jest dopiero wyzwanie.

Dobrze, że jest Viola... Z nią jakoś czuję się lepiej. Wróciliśmy właśnie z zakupów w mieście. Weszliśmy do mojego pokoju. Atmosfera napięta. Wyjąłem z torby garnitur, który właśnie kupiłem. Weselny, a patrzę na niego, jakby mieli mnie w nim pochować. Ściągnąłem jeansy. Teraz już wyglądam wręcz żałośnie.

Naciągnąłem wolno te od garnitur, aby jeszcze na chwilę odciągnąć ten moment. Dlaczego spodnie mają tylko dwie nogawki?

– Tomek! – pogoniła mnie Viola, spoglądając mi w oczy ze współczuciem. – Bo Asia urodzi, zanim się zdecydujesz.

– Mamo!? – wołam ją z pokoju, bo nie bardzo mam odwagę wyjść... A na moim terenie będę czuł się lepiej. – Możesz podejść na chwilę do pokoju?!

Idzie. Stanęła w drzwiach. Viola siedzi przy oknie. Ja natomiast wyciągam zakupioną dziś marynarkę.

– Fajny? – Do założonych już spodni dokładam górną część.

– No, fajny. – Mama podchodzi i dotyka materiału. – A co, na wesele idziesz? – rzuca pytanie kontrolne, ale już widać w jej oczach strach. Pewnie w myślach stara się przypomnieć sobie, kto z moich kolegów „zapylił kwiatuszek”.

– Tak, na moje...- Mama spogląda na mnie badawczo, próbując wyczytać z mojej twarzy, czy się śmieję.

– Poważnie mówisz? Neeee, żartujesz...? – Zerka jeszcze z nadzieją.

– Nie, serio! W czerwcu ślub z Asią. – Bidulka, aż sobie przysiadła na brzegu wersalki.

– No, to nawywijałeś! Musisz...? – Jeszcze tli się w jej oczach nadzieja, że to tylko głupawy, młodzieńczy pomysł.

– Powinienem. Tak, Asia jest w ciąży. Ale nie odpowiedziałas, jak Ci się garnitur podoba? – Zmieniam temat, bo już mi szkoda mamy

bardziej, niż mnie samego.

– Ty mi teraz nie zmieniaj tematu! Uprzedzałam Cię, że starsza dziewczyna, to Cię zaciągnie do łóżka i już...

– Wiesz, to nie ona mnie ciągnęła do tego łóżka – odparłem z ironią.

– To co Ty, nie mogłeś uważać bardziej? Przecież jak to teraz... gdzie będziecie mieszkać? – Włączyło się jej już racjonalne myślenie.

– Rozmawialiśmy już z jej rodzicami. Wyremontujemy sobie górę u nich na Śliskiej. Teraz na szybko, jeden pokój, a następnie pozostałą część.

W ten sposób wszystko się zaczęło. A najlepsze, że po paru dniach przyszedł do mnie Mariusz, brat, i zaczął wypytywać o szczegóły. Nieeee, nie o to, jak zrobiłem dziecko Asi. Tyle, jak się okazuje, też już wie. No właśnie! Mój brat, tydzień po mnie przyszedł do mamy, powiedzieć jej, że też musi się żenić... a przynajmniej powinien!

W związku z tym, ja miałem wesele 22 czerwca, a on – 29. Nieźle!

Po ośmiu miesiącach przyszedł na świat. Daliśmy mu na imię Konrad. Kiedy był takim malutkim bobo, nie czułem takiej miłości, jak pokazują w filmach. Miałem ledwie 20 lat. A „ojcostwo”, to cały czas było dla mnie słowo kojarzące się z kupą i podcieraniem. Ale czas mijał, a to małe „coś” coraz częściej rozśmieszało mnie i ogólnie, budziło radość.

Wszystko się zmieniło w momencie, kiedy zaczął mówić. Z każdym dniem spędzałem z nim więcej czasu. Jasne, momentami byłem zmęczony po pracy, ale to i tak był znaczny postęp. Od kiedy zaczął rozumieć, co do niego mówię, zmieniło się też moje spojrzenie na rodzicielstwo. Niepostrzeżenie zacząłem spędzać

z nim jeszcze więcej czasu i czerpać z tego przyjemność. Uwielbiałem go rozśmieszać, a on chyba lubił rozśmieszać mnie. Nie był już dla mnie tym „bobo”, do którego przychodzą wszystkie ciocie i łapią za nosek, szczypią policzki.

„A Ti ti”, „A tu tu”. „Oj, Ty mój ciukielecku...”, „Konlatku, ciocia psiniośla czekolatkę Cacakowi”.

Nie miałem zwyczaju mówić do dziecka zdrobnieniami. Może dlatego, że widziałem w nim kompana, a nie małe dzieciątko z kapiącym noskiem. Nawet, jak mu kapało.

Coś nowego zaczęło rodzić się we mnie. Jeszcze nie wiedziałem, że to miłość do syna. Nie rosła aż tak szybko jak chwasty, ale to nawet lepiej. To, co wówczas urosło, jest nie „do wyplewienia”. Nawet, jeśli urwie się kwiat – korzeń pozostaje. I nawet, jeśli nie wzejdzie na „fejsbuku”, ma milion lajków w mojej głowie.

Natomiast Asia, według mnie, nie była dobrą matką. Nie było w niej takiej, typowej dla kobiety, czułości. Nie przytulała Konrada zbyt często, była chłodna. Bardziej interesowały ją koleżanki i weneckie maski. Czy to też się zmieniło? Nie wiem. Może po moim odejściu?

Ale wróćmy do Konrada. Z czasem zrodziła się między nami prawdziwa, silna więź. Czas spędzony wspólnie był czasem śmiechu i rozrabiania. Może byliśmy wtedy w podobnym stadium rozwoju emocjonalnego?

—Tataaaa... – Tak do mnie zawsze mówił. A brzmiało to bardziej, jak „trata tata”. – Zagrrrraaaamy w pokemony...? Chooodź!!!

—I co? – odpowiadam buńczucznie – znów mam Cię ograć?

—Taaa, a już zapomniałeś, jak Cię załatwiłem Digletem?

—Oj, Konrad... Nic takiego nie pamiętam. Kiedy to było,

w zeszłym roku?

—No, tata, żarty sobie robisz? A kiedy miało być, jak dzisiaj jest pierwszy stycznia?

— Taaak? — Udaję zdziwionego. — No, popatrz, jak ten rok śmignął! Przegraliśmy cały w karty...

— No, już nie przesadzaj — odpowiada, zabawnie zde gustowany. A co śmieszniejsze, on dobrze wie, co to znaczy. — Więcej czasu Ci się śniło na kanapie przed telewizorem, że grasz. Bo przychodzisz z pracy i zaraz zasypiasz...

— Wiesz co, Ty złośliwa bestio bez serca, co to chciałybyś ojca wykończyć, mam lepszy pomysł. Pożyczyłem od Mariusza kamerę wideo. Powygłupiamy się. Miał smutną minę, chociaż oczy już mu się śmiały na myśl o nowych pomysłach.

— Taaa, jak się ostatnio powygłupialiśmy trochę, to do tej pory nie mogę się śmiać..

—Taaa? To zaraz sprawdzimy! — I rzuciłem się w jego stronę, a on wskoczył czym prędzej, oczywiście już śmiejąc się głośno, w najdalszy zakątek łóżka. Przez chwilę bronił się, odpychając me dłonie i śmiejąc się nieustannie, ale, po minucie droczenia, złapałem go pod pachy i wymęczyłem, wydając odgłosy ryczącego zwierza...

—Taaa-taaa, ratuuuunku... hiii, hi, hi!

—Ja Cię mam ratować? Ale jak, skoro to ja Cię atakuję...?- A że Asii nie było w domu, to:

—Baaaa-bciaaaa, ratuj...!!!

Oczywiście, z dołu odezwała się wystraszona babcia, moja teściowa:

—Co się tam dzieje?

—Babcia, he, he, ratuuuuuj. Ha, ha, tata mnie napadł...

—A, to dobrze, bo już się wystraszyłam, że coś się stało. Trochę ciszej, bo dziadek śpi. – Odeszła uspokojona. Na dole wszystko słyhać, jeśli nie zamknie się drzwi do pokoju, bo mieszkamy na piętrze ze wspólnym wejściem. A pogłos bardzo lubi schody. Na pewno bardziej, niż ja!

—Dobrze, doktor „tata” stwierdza, że zostałeś wyleczony z chronicznego niedośmieszenia...

—A co to znaczy, że coś jest „chroniczne”?

—Powtarzające się ciągle. – Bardzo mi się podoba, że jak czegoś nie rozumie, to nie ma oporów, żeby zapytać i robi to tak naturalnie. Jestem dumny i coraz bardziej szczęśliwy, że jest moim synem. I każde jego słowo potwierdza, że nim jest! Niewiele pamiętam z dzieciństwa. Widzę jednak, że jest podobny. Nie tylko fizycznie, ale i ta pustka w głowie jest identyczna z moją. „Pustka” jest oczywiście przenośnią...

Widzę, że myślał przez chwilę, aby móc w pełni to zrozumieć.

—Aha! To tak jak Ty: „Konrad, odrobiłeś lekcje? Konrad, do łóżka!”- Teraz z dezaprobatą pokiwał głową na boki. – Ale Ty jesteś chroniczny, jak katar z nosa!

Nie, jest mądrzejszy ode mnie! I te druzgocące, dziecięce skojarzenia. Jak tu nie kochać takiego bąbla?

—Ty, mądraliński! Jak sugerujesz, że jestem smarkiem, to bardzo dużym. A chciałbyś, żeby Cię taki glut oblepił? – I ponownie zacząłem zbliżać się w jego stronę z dłońmi wyciągniętymi, jakby coś z nich spływało.

—Nieeee! – zapiszczał.

—Cśśśś, dobra! Przestańmy, bo znów się babcia wkurzy. A rozzłoszczona babcia to potrafi nawet deseru nie dać!

—Ha, ha, ha... eeee, co Ty, tata... to nie ta babcia! – Machnął

teatralnie ręką.

—To co teraz będziemy robić chronicznie?

—Co nagrywamy? Masz jakieś przemyślane propozycje?

—Nagramy dziadka, jak śpi, a Ty go wystraszysz!

—No, to byśmy sobie narobili! – powiedziałem. – Jakby dziadek przeżył, to by nas babcia zamordowała. A jakby nie przeżył, to by nas babcia tym bardziej zamordowała. Tylko bardziej bezboleśnie, bo szybciej!

—Nooo, masz rację. To co? Powiemy mamie, jak wróci, żeby coś zaśpiewała?

—No, co Ty?! To już wolę ten pierwszy pomysł!!!

—H,i hi, hi. Tata, czy ty kiedyś zmądrzejesz? – zapytał pobłażliwym tonem.

—Już wiem, to my zaśpiewamy!

—Taaa, a co?

—Poczekaj chwilę, tylko się przygotujemy. Dawaj mazaki, kartkę i długopis. Konrad ruszył „z kopyta”, powyciągać potrzebne przedmioty z szuflady. Narysowaliśmy sobie trochę szram na twarzach, podbite oko, Konrad – zarost, ja natomiast napisałem tekst na kartce.

Ustawiliśmy kamerę na półce, aby „łapała” nas w całości. Włączyłem kamerę, szybko doskoczyłem do Konrada, objęliśmy się, jak kumple i lecimy:

My jesteśmy tanie dranie,

Dranie tanie niesłuchanie.

Nie potrzeba mnożyć zdań,

By powiedzieć, czym dla pań

I dla panów tani drań.

Za świństewka drobne, proszę pani,

*Pani płaci grosze,
I za świństwo większej skali
Budżet panu nie nawali.
Stosujemy zniżek system
Za abonamencie świństw.
Kto rąk nie chce kalać, zań
Je pokala tanio drań.
My jesteśmy tanie dranie...
Zakopanie trupa w porcie,
Zakładanie myszy w torcie,
Uwiedzenie córki w poście,
Uczynienie dziurki w moście,
Zanurzenie wuja w stawie,
Osaczenie pary w trawie,
Usuwanie zbędnych pań
Wykonuje tani drań.
My jesteśmy tanie dranie...
Dokuczanie radiem z góry,
Wymuszanie przez tortury,
Usypianie extra proszkiem,
Uduszenie przez pończoszkę,
Obrzydzanie cynaderką,
Usuwanie śladów ścierką.
Całą listę takich dań
Oferuje tani drań.
My jesteśmy tanie dranie...*

Trudno nam było powstrzymać się od śmiechu, ale jakoś się udało. Oglądaliśmy nagranie parę razy, wciąż się śmiejąc. Konrad z niecierpliwością czekał na mamę, żeby się pochwalić.

Kiedy przyszła, pobiegł do niej, łapiąc ją jeszcze w drzwiach i opowiadając, co to nam wpadło do głowy...

Asia powiedziała, że zaraz przyjdzie na górę, po czym zasiedziała się, rozmawiając ze swoją mamą. Bąbel, zniecierpliwiony czekaniem, powiedział:

—Ah, ta mama, co ona! – Ale w jego głosie i zachowaniu był wyczuwalny żal...

Później, kiedy już przyszła i przypomniała sobie o tym, próbowała trochę załagodzić nietakt, ale było już za późno. Konrad pokazał film, ale już bez ekscytacji.

– No, ładny – powiedziała... i właściwie tyle. A Konrad jest taki kochany, jak się do czegoś zapali, może przenosić góry! Może, na razie – górki. Ale jak podrośnie...?

Ale niestety, nie było mi dane obserwować, jak dorasta. Tak mało pamiętam z naszych wspólnych chwil...

Czy z mojej winy? Oczywiście. Bo byłem młody i niedojrzały.

Albo raczej źle rozumiałem i definiowałem dojrzałość. Zamiast cieszyć się każdą chwilą, myślałem jak zrobić interes życia. Później myślałem, jak na tym interesie życia nie stracić. A następnie już tylko myślałem, jak stracić na tym interesie życia jak najmniej.

A przecież właśnie te chwile z Konradem były chwilami mojego szczęścia w tym domu. Razem śmialiśmy się, wspólnie wymyślaliśmy różne głupoty. Konrad czekał, aż wrócę z pracy. Nawet jak byłem zmęczony, znalazł zawsze argumenty, żebym przyszedł do niego przed snem. Ja, nie Asia.

– Tata, a jak samoloty latają? – zapytał, kiedy oglądaliśmy jakiś film.

– Przyjrzyj się dokładnie. – Pokazałem palcem monitor. – Widzisz tam taki sznurek nad samolotem?

—Nie... – odpowiedział, przyglądając się ekranowi.

—On wisi na sznurku takim i ktoś go huśta. – Wpuszczam go w maliny.

—Eeee. – Zaczyna już powątpiewać, ale przecież tata wie wszystko najlepiej, to nie możliwe, żeby tego nie wiedział.

—Ha, ha, ha! – roześmiałem się. Widzę, że nie da się „robić w konia”. Trochę już mnie zna, więc wytłumaczyłem:

—Pamiętasz, jak robiliśmy samoloty z papieru?

—Noo, te bombowce, co babci do zupy wpadły? – Przypomniał sobie niedawną zabawę, aż mu się oczy „roześmiały”.

—Ale babcia miała minę! – powiedział rozanielony.

—No właśnie. To prawdziwe samoloty też tak latają, bo powietrze pod skrzydłami je utrzymuje.

– Aha.

– Ale żeby leciał, to musi mieć silnik. Ty pchałeś te papierowe ręką i leciały, a samolot musi mieć silnik, żeby się rozpędzić.

—Bo by spadł? – zapytał, przypominając sobie papierowe modele.

—No właśnie. Dlatego, podczas lotu samolotem nie można zatrzymać się w lesie na sikanie.

—Hii, hi, hi, taa-aaaa, przestań takie rzeczy mówić. – Rozłożył rękę. – Przecież samoloty nie latają po lesie.

—No tak! – Staralem się cały czas mieć poważną „minę”. – To inaczej; nie można zatrzymać samolotu w powietrzu, żeby nasikać na kogoś z góry.

—Hi, hi, hi, ale Ty tata jesteś! – Już mieliśmy zmienić temat, ale coś mu zaświtało. —Tataaaa..., a jakby samoloty się zatrzymywały, to na kogo byś nasikał?

—Ale mnie wrabiasz! To ja bym do butelki nasikał, bo sikanie

z samolotu jest zabronione – Wybrnąłem.

—Ha, ha, haa – teraz roześmialiśmy się razem.

—Dobra, bąbel, czas spać. Już późno.

—Taaa-taaa! Jeszcze trochę. – Patrzył na mnie błagalnym wzrokiem.

—Dobra, to chowamy się pod kołdrę, a jak przyjdzie mama, to ją wystraszymy po ciemku.

—Dobra! – Jeszcze zanim skończył to słowo, był już ukryty głęboko.

Usnęliśmy oboje, czekając na Asię pod kołdrą.

To był czas, kiedy między mną i żoną było już bardzo źle. Wkrótce potem wyprowadziłem się, lub – będąc bardziej precyzyjnym – nie wróciłem do domu z trasy.

Rozdział 5

**Wakacje w wersji Italiano. Po włosku i na włosku.
Rozstanie. Ufff, co za ulga. Zaczynam gadać sam do
siebie.**

*

Jak to się stało? Może powinienem zacząć szlochać, rozdzierać szaty. Może powinienem prosić o przebaczenie. Przepraszam, to moja wina. Kocham Cię, chcę być zawsze z Tobą. Dla mnie. Dla Konrada...

Nie.

Teraz już wiem, że nigdy jej nie kochałem. Pewnie ona mnie też nie kochała. Ja byłem za młody. Może nie fizycznie. W kwestii fizycznej nadawałem się na męża. Psychiczenie – zupełnie odwrotnie. Byłem dwudziestoletnim idealistą. W swoim pierwszym, głupiutkim pamiętniczku pisałem:

„Chcę być dobrym człowiekiem. Dla wszystkich”.

Przeżyliśmy razem 10 lat. Rzadko było kolorowo. Ale myślałem, że właśnie takie jest życie. A miłość, to jest jedynie kreacja brazylijskich filmów.

Że ona mówi:

—Kocham Cię! – Patrząc mu głęboko w oczy, a on, patrząc jej głęboko w dekolt..., przepraszam, też w oczy, mówi:

—Ja też Ciebie to samo, co przed chwilą powiedziałaś. – Po czym następuje pocałunek, kończący się połamaniem nosa lub zwichnięciem języka.

Te sceny miłosne były tak śmieszne, że nie potrafiłem myśleć serio o miłości. Bo nie znałem tego z własnego doświadczenia. Ale powinienem domyślić się, że życie, to złośliwa bestia, która lubi nas prowadzić swoją własną, pokręconą ścieżką.

Teraz jednak wracałem ze Szczecina. Z kolejnej trasy handlowej. Pracuję w firmie, produkującej dzianinę. To firma mojego brata. Ale w tej chwili nie ma to znaczenia. Jest późny wieczór, ja natomiast jestem wykończony. Przede mną jeszcze tyle kilometrów.

Aśka zadzwoniła do mnie i zaczęła wydzierać się do słuchawki.

—Ty sk***u, znów się spotykasz z tą lafiryndą! Gdzie byłeś wczoraj przed wyjazdem? Co Ty myślisz, że będziesz się szlajał po knajpach z tą szczeniara?! Ja Ci k***a zrobię, jak wrócisz. A może ona jest z Tobą teraz? Daj mi ją, to ją opierdolę, jak burą sukę!!! Do Mariusza zaraz zadzwonię, to Ci takiego obciachu narobię, że popamiętasz!!!

—Aśka, nie ma tu nikogo, przestań się wydzierać. – A w mojej głowie ten kamyczek po ostatnim zdaniu wturlał się na górę i kiwał się to w jedną, to w drugą stronę.

—Ja dopiero zacznę, jak wrócisz. A jak Ci, chu***u, nie pasuje,

to wcale nie wracaj. – No to przepchnęła ten pie***y kamol!

—Masz rację, nie wracam. Mam już dosyć.

Rozłączyłem się. Ta awantura była kluczowym momentem, który przechylił szalę i wszystko zmienił. Wiem, że nie będzie to łatwe dla Konrada, ale czy coraz częstsze awantury, stanowią lepszy przykład? Czy też ma się przyzwyczajać, że miłość, to jest takie coś, jak mama mówi; „Ty sku***”, a tata odpowiada: „odpie*** się”?

Bardzo źle było już od dawna, zatem już od jakiegoś czasu walczyłem z myślą o wyprowadzce. Tak, miałem już na oku mieszkanie. Zadzwoiłem jedynie do właścicielki, by odebrać klucze. Mieszkanie było w fatalnym stanie. Wcześniej mieszkała w nim jakaś babcia. Z pewnością tam też umarła. Ale pierwszą noc musiałem przespać na tym łóżku. Po prostu nie rozbierałem się do snu, a w głowie miałem taki mętlik, że stado wampirów na diecie nie zwróciłoby mojej uwagi.

Na drugi dzień zadzwoniłem, by odebrać moje rzeczy. Umówiłem się o takiej porze, by Konrad był w przedszkolu, a teściowie w pracy. Żona podała mi walizki bez słowa, z nienawiścią w oczach. A przecież nie o to nam chodziło. Przecież nie po to braliśmy ślub. Oboje mieliśmy nadzieję, że będzie dobrze.

To był kolejny wieczór bez historii. Napalony młodzieniec i dziewczyna w pokoju. Cięża. Ślub.

Później proza życia. Ciągłe wzloty i upadki. Teraz już wiem, że życie jest jak fala. Na przemian: to Cię unosi, to rzuca w dół i przygniata. Kiedy jesteś na fali – wydaje Ci się, że wszyscy są na dole. Gdy Ty jesteś na dole – masz wrażenie, że reszta swobodnie, na złość tobie serfuje sobie po Twoim grzbiecie.

Oczywiście, wychodzi na to, że to ja jestem ten zły. I musiałem z tym żyć dosyć długo. Dopiero po czasie dowiedziałem się więcej.

Kiedy robiłem, co umiałem, bo nasza firma, dystrybucja kosmetyków do sklepów, po obiecującym początku trzeszczała w szwach, Asia romansowała w słonecznej Italii. Tak, zgodziłem się na jej wyjazd, bo nie chciałem jej martwić.

– To mamy tę firmę, czy nie? – pytała. – Chyba są jakieś dochody? Tak, czy nie? Zamiast mówić prawdę, ściemniałem, że nie jest źle. Wciąż miałem nadzieję,

że będzie lepiej, że uda się przełamać, podnieść z ziemi.

Kiedy wróciła po wakacjach z Konradem i jej mamą, reszta świata dla niej nie istniała. Marzyła jedynie o kolejnym wyjeździe. Ja byłem coraz bardziej w odstawce. Zdaje się, że przez chwilę jedynie odczuwałem jej miłość, kiedy, mimo okropnych problemów w firmie, zgodziłem się na jej kolejny wyjazd, tym razem ze mną i jej znajomą. W to samo miejsce, oczywiście. Dla niego. Kiedy już zajechaliśmy do Italii, ona wciąż znikiała z koleżanką.

– To idę na zakupy z Aliną. – I znikają.

– Pewnie, idźcie sobie pograć w siatkówkę. – Kiedy Konrad wyciągał mnie na plażę.

—Tomuś, to ja pójdę do miasta, bo widziałam coś fajnego dla Ciebie... Spędzałem wtedy dużo czasu z Konradem. Ona – co najmniej dwie godziny dziennie pod prysznicem.

Jaka to „czysta” kobieta była.

Aż nie chcę sobie wyobrazać, co to za „prysznic”!

Ale naiwny Tomuś jeszcze niewiele się domyślał. Dopiero po czasie wszystko ułożyło się w logiczną całość. Asiunia, zakochana w Italii. Może nie w całej. Jedynie w części Italii. A jeszcze dokładniej – w części tej części Italii.

Dziwne spotkania z włoskimi znajomymi, płci wiadomo jakiej, podczas wspólnego spaceru po miasteczku. Wymiany spojrzeń

z tambylcami przy stoliku. To wszystko zapisało się w mojej pamięci, niczym zagadka odłożona na później. Teraz rozwiązało się. Poszło efektem domina. Wyczyściło masę miejsca na mym dysku. Przerabianie mnie na Italiano po pierwszym powrocie Asi z Włoch. Włoski styl ubierania, pewnie te same perfumy. List od Italiano, który w końcu przetłumaczyłem.

A później już poszło jej z górki. Przesiadki do późna u sąsiada, którego nawet nie poznałem. Nagłe wyjazdy wieczorem do Marleny. Bo Marlena ma depresję. A depresja jest leczona imprezą (kiedyś podjechałem zobaczyć, co się dzieje).

Bielizna, jakiej nigdy sama by nie kupiła. Permanentna nieobecność oraz totalna oziębłość.

Kiedyś, po pierwszym wyjeździe do Włoch, spotkaliśmy się z koleżankami, które poznała w autokarze. Patrycja taka sobie. Ale Ula – całkiem-całkiem. Jak się później okazało, wpadłem im w oko już w czasie wyjazdu do Włoch. Widziały mnie z autokaru. Ula zakochała się we mnie. Patrzyła na mnie bez przerwy. Zbliżyliśmy się do siebie. Na razie tylko rozmową. Aśka była tak zajęta swoimi sprawami, że wyganiała nas nawet razem na dyskotekę. Pewnie dawało to jej więcej swobody.

Mnie natomiast Ula też zauroczyła. Nie wiem, czy to nie dlatego, że okazała mi podczas jednego wieczoru zdecydowanie więcej czułości, niż Aśka przez połowę związku.

Oczywiście, że dlatego. To była ironia.

Spotykałem się z Ulą coraz częściej. Ale ona miała swoje zasady, zatem nigdy nie doszło do niczego więcej, niż do pieszczot. Ale to takie cudowne uczucie; czuć czyjąś miłość. Chyba też coś zmieniła w mojej głowie. Uświadomiła mi, że istnieje coś takiego, jak uczucia. Inne niż nienawiść, obojętność, złość.

Oczywiście, w końcu Aśka dowiedziała się jakoś o naszych spotkaniach. Nie, o spotkaniach wiedziała, ale może dopiero teraz zastanowiła się nad ich charakterem? To dobrze. Teraz już wie, że ktoś z nią mieszka...

Była trudna rozmowa. Sześć godzin magla. W kółko to samo. Po tych seansach byłem w stanie z przekonaniem powiedzieć, że czarne jest białe, a biel zszarzała.

Po chwili znowu to samo. Oskarżenia bez poczucia winy. Mieszkamy w jednym domu, ale w innym wymiarze.

Spotkałem się jeszcze parę razy z Ulą. Tylko to już z mojej strony nie było to samo. Czułem się źle z tą sytuacją. Cały czas „mieszkał” we mnie ten idealista.

Zauroczyłem się Ulą. Nie zauważyłem, kiedy to się stało. To tak, jakbym spał po ciężkim dniu, a ktoś przez sen zaczął robić mi delikatny masaż. I to było tak błogie uczucie, że nawet nie próbujesz się obudzić. Wtedy przyszła Aśka i potrząsnęła mną za ramię. I co, teraz znów mam się położyć i delektować masażem?

W tym momencie jednak ten idealista we mnie nie pozwolił mi na to.

Powiedział:

—Tomek, co Ty, do cholery, wyprawiasz?

—Jak to, co? – spytałem oburzony. – Szukam czegoś. Czegoś, czego nigdy nie miałem. Czułości.

—Tak, garba też nigdy nie miałeś. A chcesz?

—Nie – dopowiadam – ale rogi też mam, a chciałem?

—Nie odwracaj kota ogonem. Tak nie można.

—A jak można? Przecież mam jedno życie. Tak się składa, że Ty masz to samo.

—I właśnie dlatego tak nie będziemy żyć! Już wiemy, że Aśka

nie da nam szczęścia. Ale, żebyśmy mogli spojrzeć sobie w oczy...

– Jak chcesz spojrzeć mi w oczy?

– W lustrze, ćwoku. Nie przerywaj. Żebyśmy mogli sobie spojrzeć w oczy, zrobmy coś z tą sytuacją.

– Przeżyliśmy z Aśką parę lat razem. Może ona nie jest w porządku, ale czy Ty chcesz to zrobić tak samo? A jak się czujesz z tym, co ona zrobiła? Znam Cię od urodzenia i wiem, że to nie nasz styl.

– Wiem, masz rację. Ale mam teraz taki mętlik w głowie. Chciałbym być w porządku wobec niej. Ale tak bardzo chciałbym się zakochać. Tak, żeby aż łzy leciały.

– I za to Cię kocham, głąbie.

Zacząłem szukać mieszkania. Parę razy spotkałem się z Ulą w mieście. Wiedziałem, że wobec niej też muszę być szczery. Była dla mnie taką dobrą dziewczyną. Czułą, zakochaną. W dodatku bardzo ładną. Wiem, że byłaby świetną żoną. Ale nie potrafiłem cieszyć się jej bliskością, bo jak? Jestem mężem Joasi, ojcem Konrada. Dodatkowo – zauroczony Ulą. I co z tym wszystkim zrobić?

Jak żyć?!

Jakoś starałem się wyjaśnić jej całą sytuację. Zresztą pewnie знаła ją nawet lepiej ode mnie. Wyglądało na to, że sama już się domyśla, że nie powinniśmy się spotykać.

Tak zakończyła się ta z pozoru drobna, standardowa historyjka. Ale w moim życiu zmieniła ona bardzo wiele. Nie wiedziałem jeszcze którędy iść, wiedziałem natomiast, gdzie są krzaki, kolce i pokrzywy.

Po tym telefonie żony i rozstaniu, uciąłem kontakty ze wszystkimi. Z Aśką – to oczywiste. Z moim kolegą, Krzyśkiem oraz

jego żoną. Z Żabickimi. Bo Aśka nagle zapalała miłością do nich. Odwiedzała ich na przemian, żeby się zemścić na mnie, podejrzewam.

Bo mściwość, to jej ulubiona cecha. Jeśli ktoś ją uraził, krew się lała. Wyszedłem z domu ze szczoteczka do zębów i podkoszulkiem. Fakt, niczego nie dorobiliśmy się razem. Wiecznie coś. Szafa przesuwana, wakacje w Italii, kolejne wakacje. A ja nie miałem na tyle siły, żeby przebić się przez jej oczekiwania. Nasze pomysły na biznes poległy. Zarówno moje, jak i jej. Ona żyła jakby w równoległym świecie. Nic, co starałem się jej powiedzieć, do niej nie docierało.

Najgorsze (nie wiem, czy dla niej, czy dla nas) jest to, że kiedy patrzę z dystansem na całą sytuację, widzę, że ona tak naprawdę nigdy nie starała się mnie wysłuchać, zrozumieć. Nigdy nie było z nią prawdziwej bliskości. Tomku, jak się czujesz? Czy mogę Ci jakoś pomóc? Nie martw się, jakoś sobie poradzimy.

Jak związek człowieka z robotem.

I ten związek nie sprawdził się. Wiem, że również Konrad przeżywał nasze rozstanie. Myślałem jednak, że uda się jakoś to pogodzić. Przecież nie jestem pierwszym ojcem, opuszczającym dom. Będziemy się spotykać tak często, jak tylko będzie chciał i na przestrzeni czasu będzie to dla niego lepsze. Będzie wiedział, że nie sposób zbudować na siłę szczęście.

Kolejna naiwna wiara.

Po rozstaniu parę razy spotkałem się z Konradem. Za każdym razem było to rozpoczęte lub zwieńczone awanturą. Wszystko to rozpętało się ze zwiększoną siłą, kiedy to pewnego wieczoru wymusiła wrzaskiem do słuchawki, że ona potrzebuje pieniędzy dla dziecka.

Przywoziłem jej wtedy więcej, niż było mnie stać. Bo początek. Bo trudno. Bo Asia jeszcze nie ma pracy. A to dla Konrada. Bo starałem się uciszyć wrzaski. Nie wiem, skąd w niej tyle nienawiści. Kiedy odebrałem po czasie walizki z moimi pozostałymi rzeczami, parę z nich było pocięte nożyczkami...

Od rozstania minęło parę tygodni, lub miesięcy. Podjechałem wtedy z Alicją, moją nową dziewczyną.

Bo byliśmy razem, kiedy Asia zadzwoniła. Podałem kasę przez furtkę. Osiemset złotych. Przez chwilę zobaczyłem zadowolenie na jej twarzy, kiedy zobaczyła ile. Ale wtedy spojrzała na auto. Zobaczyła Alę. Zaczęła znów krzyczeć. Że czemu tak mało? Miało być dawno temu. A w ogóle to się dzieckiem nie interesuję i k... h...

Wsiadłem bez słowa do auta. Przeprosiłem Alicję, którą ledwie poznałem i odjechaliśmy.

Z Konradem spotykałem się, jak tylko byłem w Częstochowie. Ale to też nie było tak, jak planowałem. Czułem się cały czas, jak na cenzurowanym. Konrad też nie czuł się dobrze.

—Mama Cię już nie lubi – oznajmił kiedyś.

—A co, mówiła coś na mój temat? – zapytałem machinalnie.

—Wieeesz – spojrzał na mnie wymownie – lepiej, jak Ci nie będę mówił.

Zmieniłem zaraz temat, nie chciałem, by on był w to jakkolwiek uwikłany, choć odrobinę więcej, niż musi. Między mnie i Joannę. Nigdy nie powiedziałbym do niego złego słowa na jej temat. Aż do teraz...

Kiedyś dałem ciała. Zabrałem Konrada na festyn do Lublińca, ale była z nami Alicja, moja nowa dziewczyna. Konrad trzymał się bardzo blisko mnie, w aucie starał się nie przerywać naszej rozmowy. Chciał pokazać Ali, że ja należę do niego.

A ja wtedy tego nie widziałem.

Odwiozłem go do domu. Następnego dnia miałem kolejną awanturę. Może w gruncie rzeczy pierwszą zasłużoną? Konrad podobno nie mógł spać w nocy, budził się i płakał.

Tak żałuję, że byłem zbyt głupi, by to dostrzec.

Asia zabroniła mi kontaktów. Oczywiście, nie sądownie, ale ja nie potrafię pchać się tam, gdzie mnie nie chcą. A co lepsze dla Konrada? Wrzaski przy każdej wizycie?

Nic nie jest proste w te dni...

—Widzisz, co narobiłeś? – Chciałem zwrócić się do idealisty we mnie.

Cisza.

—Co, ogłuchłeś, czy pogrywasz sobie ze mną?

Cisza.

Ale to już nie taka cisza, jak zwykle. Już nie odczuwałem jego „obecności”.

Gdzieś zniknął.

Aśka zabiła idealistę we mnie. Zepsuła to, co było między mną i Konradem.

Z powodu głupiej, kobiecej zawiści.

Tego nigdy jej nie wybaczę.

Rozdział 6

DUM-DUM. Hulaj dusza, piekła nie ma. Będzie dopiero jutro rano. LAW, czy LAF. Tomek, wybieraj. No i w końcu te motylki.

*

Don Kichot.

Najlepsza dyskoteka w Częstochowie. Na topie od lat. Nie

przemija razem z modą. Wszystkie inne lokale w Częstochowie zmieniają nazwę, właściciela, wystrój, rodzaj muzyki lub zostają zamknięte. Don Kichot jest wieczny. Może dlatego, że prowadzi go ktoś z wizją? Bywałem tam z Asią, jak było jeszcze między nami dobrze. Bywaliśmy, jak było również źle. Bywaliśmy tam osobno. Związek rozpadł się, a Donka (tak potocznie wszyscy ją nazywają) wciąż jest.

Dziś jestem tam z Jackiem. Też poznaliśmy się w Donce. Ale to nie tak, że jest moją nową partnerką. To kolega jedynie.

Aż zaczyna to wszystko być śmieszne. Z pewnością poznam tu też grabarza, który będzie mnie niósł. I krąg się zamknie...

Póki co, staram się cieszyć chwilą. Po rozstaniu z żoną, stosunkowo szybko doszedłem do siebie. To nie była miłość. To był związek. Dokładnie. Związek, pochodzący od słowa „związać”. A związać ze sobą można wszystko. Nawet czarne z białym, wystarczy jedynie kawałek sznurka! A że sznurek był kiepski – to wszystko się rozpadło.

Mimo wszystko nie czuję się dobrze w roli kawalera z odzysku. Pewnie, że ta sytuacja ma dobre strony... Właśnie dostrzegłem ładną dziewczynę! Ona też zwróciła na mnie uwagę. Flirt wzrokowy. Może warto do niej „zagaić”?

Przyjrzałem się chwilę, żeby w błysku światła lepiej dostrzec szczegóły. A światła, jak to na dyskotecie, mrugały w rytm basów;

DUM-DUM DUM-DUM

Obserwowana przeszła wstępną selekcję wzrokową, szturcham więc Jacka.

—Zobacz, ta laska zerka. Uderzamy? – kątem oka zerka w tamtą stronę. Lalunia zaczęła obejmować się z koleżanką i szeptać, a raczej krzyczyć coś w tajemnicy do ucha koleżanki.

DUM-DUM DUM- DUM

—Ale koleżanka brzydka! „Pasztecik”. Co Ty, chcesz, żebym się usmarował tłuszczem, bo Ty masz ochotę coś przelecieć?

—Nie bądź taki niemiły dla tej pączkowej miss... – rzekłem, ironizując. – Ona ma to, czego Ty nie masz...

—Czyli co? Przepuklinę? – Jacek zawsze potrafi się odgryźć.

—Nie, fajną laskę w objęciach...

DUM-DUM, DUM-DUM

—Ha, ha, haaa, za to jedyna fajna laska, jaką Ty miałeś w objęciach, to Twoja własna!

—Oooo, dziękuję za komplement, nie wiedziałem, że masz gejowskie ciągotki! Będę teraz bardziej uważał pod prysznicem.

Już miał coś odpowiedzieć, ale ktoś z tyłu zakrył mu oczy dłońmi.

DUM-DUM, DUM-DUM

Pewnie domyślił się, że to dziewczyna, bo zamiast złapać za dłonie, rozpoczął badanie obiektu od dołu. Kiedy jego ręce sięgnęły jej pośladków, odsunęła się, jedną ręką obciągając spódniczkę w dół.

—Monika...? – udał, że zgaduje.

—Tak się jakoś składa – odpowiedziała. – Jak imprezka? Poderwaliście coś?

DUM-DUM

—Tak, Jacek poderwał. – Mrugnąłem porozumiewawczo okiem. – Większość swoich hemoroidów...

—Ha, ha, ha. – zaśmiała się, Jacek natomiast spojrzał na mnie znacząco. Żeby mu jeszcze bardziej dogryźć, kontynuowałem ten wątek.

—Niestety, nie wszystkie. Część została na krześle, stwierdziły, że z byle kim nie tańczą – dokończyłem, kładąc jednocześnie dłoń,

pojednawczo, na jego ramieniu.

—Ueeee, jesteś obrzydliwy... – odpowiedziała, krzywiąc się z niesmakiem. – A zatem spędzacie wieczór, rozmawiając na temat geriatry?

—Tak, – Jacek włączył się do rozmowy – skończyliśmy właśnie na temacie niekontrolowanego sztywnienia członków. – Zbliżył się do niej, szczególnie dolną partią ciała.

—Czy masz jakąś radę, co robić w takiej sytuacji?

—Przede wszystkim – złapała go i objęła w pasie – należy rozruszać członki. Zatańczymy?

No i popląsali na parkiet. Myślę, że znów będę wracał sam do domu. Zerknąłem na tamtą laskę. Do niej też już ktoś wystartował. Ha, ha, hi, hi, ledwie się słyszą, lub wcale, ale po każdym słowie druga strona wybucha śmiechem. Wiadomo, w takim miejscu słowa są tylko dodatkiem. Więcej czyta się z oczu, lub po prostu poddaje się sile alkoholu.

DUM-DUM, DUM-DUM.

Mam jeszcze trochę piwka do dopicia. Co mi zatem pozostało? Może trochę potańczę, może tylko popatrzę na dziewczyny? Oparłem się o bar, część sali mając przed sobą, część za sobą.

Przede mną był parkiet, pełen tańczących. Po parkiecie pląsały króliczki, czyli dziewczyny. A wokół krążyły orły i sępy. Czym różni się „orzeł” od „sępa”?

„Orzeł”, to pewny siebie samiec, krążący nad pastwiskiem (parkiet) z rozpostartymi skrzydłami. Wygląda, jakby tylko sobie latał, nie zwracając na nic uwagi. Ale tak naprawdę, doskonale wie, co dzieje się tam „na dole”. Kątem oka widzi co smakowitsze kąski i tylko zerka, który króliczek nadaje się na kolację.

„Sępów”, z kolei, są dwa rodzaje. Ten mniej wybredny, nazwijmy

go nieładnie „padlinożercą”, stoi z boku ze szklanką i obserwuje, który króliczek osłabł. Pod koniec wypasania dopija ostatni łyk z pierwszej szklanki piwa i rzuca się na zdobycz. Wtedy nie ma już znaczenia, jaką sęp ma szyję, pióra, akcent z Wichury Małej, czy Dużej. Chwyta to, co już się nie rusza i zaciąga w ustronne miejsce, żeby inne ptaszyska mu nie przeszkadzały.

Drugi rodzaj sępa upatruje sobie ofiarę. Wtedy, jak to sęp, podlatuje tak, żeby ofiara go zobaczyła i zaczyna się wpatrywać tymi swoimi ogromnymi ślepiami w króliczka. I czeka. Co króliczek „przekica” na inną salę, sęp przelatuje za nim i znów się gapi. W ten sposób odstrasza inne sępy, a czasem nawet małego orzełka. Króliczek zrezygnowany, że żaden orzeł nie przyleciał, daje się schrupać cierpliwemu sępowi, lub otrzepuje futerko i wraca do domu.

Czasami orzełek przegoni sępy, czasem dwa orzełki potarמושą się i jakoś leci zabawa na łące.

Natomiast króliczków są dwa rodzaje;

—PLAYBOYA

—I na pasztet.

—A... mam Cię! – Ktoś zasłonił mi oczy z tyłu, kiedy tak sobie rozmyślałem, patrząc na króliczki PLAYBOYA. – Zgadnij, kto?

Usłyszałem to, mimo głośnej muzyki. Doskonale wiedziałem, kto to jest. Beata. Mówiła, że może zajrzy, ale nie widziałem jej wcześniej, zatem myślałem, że nie przyszła.

Beata, to jedna z niewielu osób z grona wspólnych znajomych moich i mojej byłej żony, która nie bała się stać po mojej stronie. Jest trochę starsza, ale jako koleżanka jest świetna. Lubi się śmiać, patrzy na świat z przymrużeniem oka, choć jej życie też nie jest pasmem samych sukcesów.

—Niech zgadnę: Angelina Jolie? – krzyknąłem, odwracając się.

—Skąd wiedziałeś? – zapytała zdziwiona, kiedy się odwróciłem.

—Po amerykańskim akcencie – powiedziałem, a raczej krzyknąłem z poważną miną.

– No tak! Nawet jak przebiorę się za „Babę Jagę”, jak dziś, wszyscy poznają mnie po tym cholernym akcencie. – Machnęła ręką. – Trudno. A Ty, co tak się rozglądasz, Bradzie Picie?

– Chciałaś raczej zapytać: Co tak patrzysz Bracie na „Picie”. Pewnie, że na picie! W mojej sytuacji trudno spoglądać w innym kierunku. Na szczęście nie jestem jeszcze aż tak głodny, żeby zjeść suchara. – Wskazałem wzrokiem na nie pierwszej urody dziewczynę, umizgującą się z pewnej odległości.

– Ha, ha, ha, nie martw się, jak wrócisz do domu, to sobie coś własnoręcznie „upichcisz” – Beata zawsze lubiła podtekst erotyczny. A w moim wieku i sytuacji chętnie rozmawiałbym tylko o tym!

– Ha, ha, ale śmieszne. Może jednak uda mi się dziś znaleźć jakąś pomoc domową, która lubi i umie podgrzać coś na szybko...

DUM-DUM, DUM-DUM.

—Może, ale dam Ci dobrą radę. Zanim umówisz się z nią na gotowanie „póki śmierć Was nie rozłączy”, sprawdź, czy gotuje na naturalnych składnikach, – chwyciła swój biust pod spodem i delikatnie potrząsnęła – czy też leci na konserwantach.

– Ha, ha, ha – roześmialiśmy się wspólnie.

– Bo jak konserwanty rano się zmyją, to będziesz wolał chodzić głodny – dodała.

– Nie...- odpowiedziałem. – Zacznę się „stołować na mieście”.

– Iha, ha, ha - znów parsknęliśmy śmiechem.

– Choć do baru, zamówimy sobie coś.

Beata spojrzała na mnie zdziwiona, choć wiedziałem, że to jedynie kontynuacja gry.

– Co Ty, Tomek! Jeszcze nie jest tak źle, żebym musiała za to płacić. – Udała oburzoną.

—Ha, ha, tym razem mówię o prawdziwym drinku. Bez podtekstów.

—Wiesz co, jak wypielesz piwo, to chodź lepiej zmienimy lokal. Wolę w Porterze sobie potańczyć.

—Eee, ja wiem? – Poddałem pomysł w wątpliwość. – Tam same małolaty chodzą.

—A co, myślisz, że jak małolata nie skończyła „gastronomika”, to nie umie „ugotować”? Nie bój się! Poradzi sobie. A już z pewnością masz gwarancję świeżych składników.

– No, co Ty! – udałem oburzonego.

– Zresztą, pewnie koledzy z ławki pomagali im już robić pierwsze „wypieki”.

– Ha ha, ha. Masz na myśli ugniatanie ciasta?

– Uuu, hu, hu, dobre – rzuciła.

DUM-DUM, DUM-DUM.

– Myślisz, że te małolaty lubią „pierniki”?

– Nie myśl tak, myśl o sobie jak o ciastku.

– Tak, ciastko z nadmiarem kremu...

– O, Ty świntuchu – udała zawstydzoną – a co, wycieka?

– No, no, Beata, ostro grasz. Co by powiedziała na to Twoja mama?

– Że jak krem wycieka, to zawsze można oblizać!

– Aaaaa ha ha Uaaahła ha – teraz już płakaliśmy ze śmiechu, idąc mimowolnie w stronę wyjścia.

Beata przyjechała samochodem, a że nic jeszcze nie piła,

wsiedliśmy wspólnie i podjechaliśmy na parking przed Porterem. W związku z tym, że Częstochowa nie jest większa od Londynu, dotarliśmy na miejsce w dziesięć minut.

Jak zwykle, stojąca przed lokalem buda na kółkach z „szybkim żarciem” cieszy się dużym wzięciem. Z jej strony dobiega hałas. To lokalna młodzież bawi się, jak umie.

—Co, k***? Ja k***? To chyba Ty, k***!

—Nie, k*** to nie tak, k*** ja tylko Paulinkę odprowadzałem, k***! Przecież ja Cię kocham, k***! – krzyczy ktoś zrozpaczonym głosem.

—Padlinę z psa, k***, dwa razy poproszę! – Teraz głos dobiega od strony budki.

—Nie mamy – odpowiada dziewczyna z obsługi.

—Co, k*** przecież widzę, k*** że macie! – Po niewyraźnej wymowie słychać, że już jest „zwichnięty”.

—Aaaa, to są hot-dogi – odpowiada sprzedawczyni, choć wolałaby sprzedać mu padlinę z psa.

—No, przecież mówię, Ty, k*** – odpowiada oburzony.

—Na „ty”, to nie jesteśmy. – Broni się operatorka mikrofali.

—Ty ...ty..., – wyciąga rękę, jak do przywitania, do sprzedawczyni – Tymoteusz jestem.

Paru kolegów, którzy stali obok już ryczy ze śmiechu, ale pozostali klienci też nie mogą się powstrzymać.

Ale my idziemy do środka. Nie będziemy zaczynać „impry” od burgera. A szczególnie od Karola Burgera. Bo to mogłoby rozłożyć najlepszą imprezę. A dodatkowo istnieje duże prawdopodobieństwo rozwolnienia, co szczególnie przed zabawą na parkiecie nie jest wskazane.

Kupiliśmy bilety, wchodzimy.

Tu to dopiero jest DUM-DUM dum-dum DUM-DUM dum-dum DUM-DUM! A czasami jeszcze Trrrrrrr.

Ale cóż, Beata lubi techno. Na początek rozpędzacz w barze. Po secie i piwko.

—Co tam u Marleny? – zapytałem, bo to przecież w miarę neutralne pytanie.

—Dalej się męczy z tym „hrabią”. – Ostatnie słowo wypowiedziane z takim sarkazmem, że wszystko wiadomo. Zresztą, wiem to już od dawna.

—Dobra, przejdźmy do konkretów. I co, widzisz coś ciekawego? – zaczęliśmy się rozglądać po „domowym przedszkolu”. Okazało się, że nie tylko wczesna młodzież tu się bawi.

—Jest parę rokujących towarków, ale na wstępie chcę trochę potaćńczyć. Nie samym seksem człowiek żyje.

—Ha, ha – roześmiałem się, bo Beata lubi flirtować, ale wiem, że nie jest taka łatwa. Znamy się od lat.

DUM-DUM, DUM-DUM.

—A Ty coś widzisz? – zapytała, mając na myśli jakieś gorące dziewczyny dla mnie. To znaczy dziewczynę. Jedną. Stado, to może za dużo.

—Coś się kręci, może po przejściu przez sito zostanie jakaś wartościowa dziewczyna, z dobrego domu.

—Hi, hi, hi, to Ty tu szukasz absolwentki Harvardu? —A kto tak powiedział? – drocę się znów. —No, „z dobrego domu” – zacytowała mnie.

—Wiesz, mówiąc „z dobrego domu”, miałem raczej na myśli coś murowanego, a nie lepionego i krytego strzechą. Może willę z basenem? Popływałbym po śniadaniu.

—Aha, to Twoje plany sięgają tylko do śniadania, czy głębiej?

—W jakim sensie „głębiej”? – zapytałem niewinnie.

—Nie w takim, jaki właśnie chcesz mi zasugerować.

DUM-DUM, DUM-DUM.

—No właśnie. Moje plany sięgają głębiej, czyli chciałbym widzieć fundamenty. I dodam od razu, że chodzi mi o fundament tej willi. Bo jak już się mam żenić, to chciałbym znać jej stan posiadania.

—A jak by miała na koncie odłożone na bilet miesięczny? – zapytała, wiedząc doskonale, że do materialisty na razie mi bardzo daleko.

—Ale bilet dla niej, czy dla mnie?

—Dla Ciebie, oczywiście. Ona powinna mieć rower.

—To by mi wystarczyło. – Zakończyłem z powagą i oboje roześmialiśmy się, kończąc piwko.

—To co, startujemy pokazać tym dzieciom, jak dziadek z babcią tańczą? – rzuciłem.

—A co, już grają Miecicia Fogga? Bo z tym aparatem to niedosłyszę – odparła.

DUM-DUM, DUM-DUM.

—Hmmm, – udałem zamyślonego – nie pamiętam. O co Ty pytałaś? —Hmmm... – teraz Beata udała zamyśloną – a pytałam o coś? —Ha, ha.

I ruszyliśmy na parkiet. Punkt pierwszy – zająć dobrą pozycję do obserwacji.

Punkt drugi – wstępna lustracja terenu.

DUM-DUM, DUM-DUM.

Co jednak zabawniejsze, nie szukałem laski na jedną noc.

No dobra, jakby się trafiła, to nie płakałbym. Ale ja po prostu czułem się samotny.

—Wiesz, Beata – wykrzyczałem jej do ucha, choć to z pewnością

nie jest najlepsze miejsce na takie krzyki – ja to chciałbym się tak zakochać, żeby aż łzy leciały.

—Czy dobrze Cię zrozumiałam, chciałbyś zakochać się w cebuli?

—Przestań! – Oburzyłem się. – Ja Ci takie zwierzenia, a Ty we mnie zimną wodą – powiedziałem jej do ucha, równocześnie poruszając się w rytm muzyki resztą ciała.

—Ale przecież oboje doskonale wiemy, że to nie jest najlepsze miejsce. —To gdzie mam szukać? Przed kościołem, po mszy?

—Oooo, na pewno nie tam. To jest o wiele gorsze miejsce. To już lepiej byś trafił w noclegowni.

—Ha, ha, ha i mówisz to do byłego ministranta.

—Dlatego powinienesz wiedzieć, o czym mówię.

—Wieeeeem – powiedziałem, równocześnie tańcząc i rozglądając się.

DUM-DUM, DUM-DUM.

—Ale ja naprawdę chciałbym znaleźć kogoś takiego, z kim będę mógł się zestarzeć.

—To już za późno. Starość już Cię dopadła – rzuciła między wygibasami.

—Beata! Nie widzisz, że brakuje mi drugiej połówki? Może ona gdzieś tu jest.

—Tak, mogę cię do niej zaprowadzić. Jest za barem. Setka kosztuje 5 zł. Ale najpierw wypij pierwszą połówkę.

—Już dzisiaj prawie wypilem. Z Jackiem.

—Aaa, to dlatego tak Ci się zbiera na miłość.

—Nie. Związek przyczynowo-skutkowy jest odwrotny. Nie piję, żeby kogoś poznać. Nie mogę znaleźć mojej drugiej połówki, dlatego piję tą pierwszą – powiedziałem, a nawet wykrzyczałem Beacie do ucha z łatwo zauważalnym żalem w głosie.

DUM-DUM, DUM-DUM.

—No to chodź do baru, zrobimy przerwę. Same małolaty, nic godnego uwagi. Przecież nie będę takiemu – pokazała jakiegoś nastolatka z twarzą dziesięciolatka – nosić kredek do szkoły.

—Ha, ha. A dlaczego? Jak będzie niegrzeczny, to zawsze możesz mu zagrozić, że mu je połamiesz. Albo, że nawrzucasz mu śniegu do tornistra.

—Ha, ha, ha – zaśmiała się. A po chwili dodała, rozrzewniona wspomnieniami.

—Wiesz, tęsknię za czasami, kiedy to ktoś mi wrzucał śnieg do tornistra.

—Nooo! – odparłem i też szukałem w pamięci takich wspomnień, ale ich nie było. Na szczęście. Dla chłopaka w podstawówce to byłby straszny obciach.

—Setkę i dwa piwa – powiedziałem do obsługi, kiedy dopchaliśmy się w końcu do baru.

—Wiesz, muszę Ci się przyznać, że czasami, jak nikt nie patrzy, to zakładam tornister i podkolanówki.

Nie, to nie ja to powiedziałem, zboczeńcy. To Beata.

—I rysujesz wtedy szlaczki w zeszytach? – zapytałem złośliwie.

—Nie. Wołam Rafała – Rafał, to mąż Beaty – żeby mnie postawił za karę do kąta.

—Uuuu – wydusiłem z siebie – nieźle. A Rafał co? Przebiera się za woźnego?

—Hi, hi, hi, – roześmiała się, ucieszona – muszę mu podpowiedzieć. Ale jak przypomnę sobie naszego woźnego, to czar pryska.

—Ha, ha, to tak jak u nas.

—Co Ty, Tomek? Woźnego sobie wspominasz?

—Nie. Szatniarkę. Ale podobny skutek. Napięcie opada.

DUM-DUM, DUM-DUM.

—O, już druga. Dopijemy, parę tańców i do domu – oznajmiła Beata.

—Poczekaj, bo właśnie mam jakieś zwidy – rzuciłem, wpatrując się w tłum tańczących.

—Co, ducha zobaczyłeś?

—Jeśli już, to anioła. Zaczekaj, daj się przyjrzeć. – I usilnie starałem się dostrzec w tłumie tańczących przezroczystego anioła. Bo chyba anioły są przezroczyste?

Odstawiłem piwo i podszedłem bliżej, żeby się przyjrzeć, ale równocześnie nie rzucać się w oczy. Beata też ruszyła ze mną.

—Widzisz tam po lewej te dwie laski, tańczące razem?

—Blondynka i brunetka?

—Tak. Uuuups, ta brunetka rzuca się w oczy. – Spojrzałem na Beatę.

—Obie ładne lale. I co teraz? Nie wiesz, która bardziej Ci się podoba? Rzucić dla Ciebie monetą?

—Nie. Ja mówię o brunetce. Z odległości wygląda, jakbym ją sobie narysował.

—Jakbyś Ty ją sobie narysował? – zakpiła, ale zrozumiałem żart.

—No dobrze, jakby genialny malarz namalował ją z moich erotycznych snów...

—Uuuu, ostro!

—Nooo, bardzo ostro!!!

—Taka piękna? To o czym myślisz, jak na nią patrzysz?

—Myślę o ...

DUM-DUM, DUM-DUM.

—Myślę, że ... ale lufa. Jak nie jest sama, to będę musiał go

zamordować!

—Jak go zamordujesz, to ona i tak będzie sama, a na widzenia do Ciebie przychodzić raczej nie będzie.

—No dobrze, przekonałaś mnie. To jakie mam możliwości?

Beata, jak zwykle, postanowiła mi podkuczać.

—Bramka numer jeden: spojrzy na Ciebie i zakocha się od pierwszego wejrzenia – przyjrzała mi się od góry do dołu – ale ta opcja raczej odpada. Bramka numer dwa: zaimponujesz jej, szastając pieniędzmi.

Ciekawe, co teraz powie.

—Ale myślę, że twój popisowy numer, czyli hamburger z wszystkimi dodatkami, to trochę za mało.

—Ty jesteś niezła małpa. A ja myślałem, że Ty moja przyjaciółka jesteś.- Udałem rozczarowanie, bo myślałem gdzie indziej. A wzrokiem, to już zupełnie gdzie indziej...

—Jest jeszcze bramka numer trzy! – Oczywiście, zrobiła pauzę, czekając na moją reakcję.

—To wybieram bramkę numer trzy – odparłem, żeby nie przedłużać.

—A w bramce numer trzy mamy zonka!!! Ha, ha, ha. – Aż zaklaskała z radości.

—Czyli uważasz, że jestem bez szans?

—No, nie. Podejź i powiedz, że jesteś z telekomunikacji, sprawdzasz działanie sieci i poproś o numer telefonu.

—Genialny pomysł – potwierdziłem. – To lecę. Trzymaj kciuki!

—Jak dostaniesz kosza, to poproś o niebieski. Postawisz sobie w kuchni. Będzie Ci pasował do kafelków.

—Beata, ja Ciebie zaraz zamorduję. Albo powiem jej, że moja babcia bardzo chciała ją poznać.

—Ja Ci dam babcię, zaraz dostaniesz takiego kopa, że... – puknęła mnie kolanem w pośladek i popchnęła we właściwym kierunku. – To na szczęście!

Wystartowałem.

Już nie słyszałem DUM-DUM, DUM-DUM.

To znaczy, słyszałem, ale to dum-dum, to wydobywało się ze mnie. Serce mi łomotało tak bardzo, że wydawało mi się, że wszyscy tańczą w jego rytm.

Czas zaczął rozciągać się w nieskończoność. Przeszedłem te parę dzielących nas kroków, a zmęczony byłem, jak po przejściu połowy pustyni.

—Cześć! – Na początek walnąłem z grubej rury. Ale z bliska była jeszcze piękniejsza. I mnie na chwilę zamurowało.

—Cześć – odparła, dopiero teraz spoglądając na mnie, i zastanawiając się, czy mnie zna.

—Nie, nie znamy się. – Trochę się odblokowałem. – Ale będziesz mieć dużo czasu, żeby mnie poznać, jak wyjdiesz za mnie!

Teraz ją nieco zamurowało, ale zaraz odzyskała głos.

—To taki nowy krok taneczny? Ja wychodzę za Ciebie, a później Ty za mnie? – uśmiechnęła się, wiedząc, że kontra była bardzo dobra. – A co następnie? Będziemy się obracać w lewo, czy w prawo?

—Ha, ha, ha. – Rozbroiła mnie, ale jak dotarł do mnie podtekst tej wypowiedzi, to zrobiło mi się gorąco na samą myśl.

—Tak, ale zaraz po ślubie. Ja nie jestem z tych, co uwiodą dziewczynę, a później porzucą.

—Powieм więcej: Ty nie jesteś pewnie nawet z tych, co uwiodą dziewczynę!

—Ha, ha, – roześmialiśmy się oboje, choć trochę mi dokuczyła.

Ale takiej lasce wybaczę prawie wszystko.

—Zaryzykujesz? – nie dawałem za wygraną.

W tym momencie podeszła do nas jej koleżanka. Podobna, tylko w wersji „blond”. Mógłbym nawet zaryzykować stwierdzenie, że są siostrami.

—Poznaj moją siostrę. Agnieszka. A to jest ...

—Mąż! – walnąłem, nie myśląc. Moja przyszła żona roześmiała się, a siostra zdębiała. – To znaczy ... Tomek! – Wyciągnąłem dłoń na powitanie. Ale atmosfera już lekko się rozluźniła.

—Agnieszka – przedstawiła się siostra.

—Alicja – przedstawił się mój anioł. Choć jej wygląd kusi jak diabeł.

—Dominika dzwoniła, pytała, kiedy wracamy – powiedziała Agnieszka do siostry.

—Ooo – Alicja trochę się zasmuciła.- Musimy już iść.

—Dobrze, ale kiedy omówimy szczegóły naszego ślubu? – zapytałem, bo grunt wysuwał mi się spod stóp.

—Jakiego ślubu? – zapytała siostra.

—Tomek chciałby mi ślubować „mdłość, bierność i uszczypliwość małżeńską” – roześmialiśmy się wszyscy głośno, pomimo: DUM-DUM, DUM-DUM.

– To spotkajmy się jutro, żeby chociaż ustalić, jakie kwiaty mam Ci kupić. - Ratuję sytuację, jak tylko się da.

– No dobrze, to zadzwoń jutro. Wybierzemy też dla Ciebie garnitur, bo nie wyglądasz na takiego, który wie, gdzie go można zakupić.

– Ha, ha, ha. – Nie dość, że piękna, to jeszcze dowcipna.

Nie... to brzmi fatalnie. Inaczej: nie dość, że piękna, to jeszcze z poczuciem humoru.

Teraz lepiej.

—Ja mam jeszcze ten z komunii, nie pamiętasz? – odgryzłem się delikatnie.

—No tak, faktycznie, zapomniałam, że nic od tego czasu nie urosłeś... – Teraz to ona mnie zastrzeliła.

—Bo jak byłem mały, to tuż przed komunią wystrzeliłem w górę. To podasz mi Twój numer telefonu? – wyjąłem komórkę, żeby zapisać.

—Nie pamiętam swojego, ale podam Ci numer siostry, to jakoś się ustawimy.

—Czyli jaki? – zapytałem, bo było mi obojętne czyj numer mi poda, byle był prawdziwy.

—Bip – Bip bip pip pip pib bib pip.

—To kiedy mogę zadzwonić?

—Zadzwoń jutro o 18:00 – odparła po chwili zastanowienia.

—Ok, dzięki. Przyniosę próbki kwiatów – dodałem na koniec, żeby nie wypuścić nitki, którą złapałem.

Pomachałem im na dobranoc. Stałem i patrzyłem, jak odchodzą. Zobaczę Cię jeszcze? Przecież mnie nie wystawi teraz, jak już garnitur zamówiony ...

Wróciłem do baru, gdzie stała Beata i rozmawiała z jakimś kolesiem, ale zaraz go spławiła. Pamiętacie rozmowę o szkole? Zdradziła go linijka, wypychająca mu spodnie. Przynajmniej tak mi się wydawało.

—No i Romeo, jak tam? – spytała zaciekawiona.

Zamówiłem dwie wódki i piwko oraz soczek dla Beaty. Wypiłem jednym ciągiem oba kieliszki, poprawiłem piwkiem.

—Mam!!!

—Co masz? Platfusa?

—Nie, telefon. Teraz tylko nie wiem, czy prawdziwy, czy tak jak ona, nie z tej ziemi.

—Tomek, dawno Cię takiego nakręconego nie widziałam. Co Ty?

—Czy motyle lubią alkohol? – zapytałem bez związku z jej pytaniem.

—A dlaczego pytasz?

—Bo wypilem dwie setki i boję się żeby nie zaszkodzić tym wszystkim motylkom, które mam teraz w brzuchu...

—No nie, Tomek, co Ty, już się zakochałeś?

—Noooo!!!

Rozdział 7

No, to ruszamy. Cel jest jeden. Rozebrać. Ale jak rozebrać diabolicę w skórze anioła? Trzeba modlić się o grzech...

*

Idą. Alicja przodem z torbą podróżną, za nią Dominika z mniejszą torbą na ramię. Torby wrzuciliśmy do bagażnika.

Alicja wygląda rewelacyjnie! Ma idealną figurę i ta jej buzia! W końcu poznałem dziewczynę, która idealnie wpasowuje się w mój typ. Już nie mogę się doczekać, żeby ją rozebrać... Albo chociaż, na początek zobaczyć w stroju kąpielowym. Przyznam, że skoro zgodziła się na wyjazd ze mną, to istnieje duża szansa, że ją rozbiorę!

– Wzięłaś strój kąpielowy?

– A po co mi? – spojrzała na mnie wymownie i ruchem gałek ocznych wskazała Dominikę. – Przecież u mamy nie ma wody. – O co jej chodzi? Zastanawiam się, ale zanim zrozumiałem, dodałem:

– U mamy nie, ale nad morzem jak najbardziej. – Teraz już

patrzyła na mnie wściekła. W końcu zajarzyłem! Nie powiedziała córce, że ją zostawi u mamy na weekend, a sama jedzie z nami.

– Myślałem, że tam jest jakaś rzeka, czy coś... – staram się wybrnąć. Zerkam na oszukiwaną, ona czegoś się domyśla, bo o coś podpytuje Alicję szeptem, zasłaniając przy okazji usta dłonią.

– Neeee, no coś Ty! Jedziemy do mamy. To Tomek ze znajomymi jedzie nad morze, zatem przy okazji nas zawiezie. – Teraz spogląda na mnie. – A gdzie są Jacek z Moniką?

– Teraz jedziemy po nich, bo to jest po drodze. Nie wiedziałem, czy jesteście już gotowe do drogi.

Ruszyliśmy spod klatki, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie nacisnąć mocniej na gaz... Silnik zawył. 2,3 benzyna. Tak, testosteron! Ale jakbyście mieli obok siebie taką laskę i wybierali się w podróż i wiedzieli, że jak dojedziecie, to może „dojdziecie”, to jak ciężką mielibyście stopę?! Ryk silnika zabrzmiał jak ryk tygrysa, szykującego się do ataku. A taka seksowna lufa, to coś, co tygrysy lubią najbardziej...

Przejechaliśmy szybko przez miasto, zabraliśmy znajomych z ul. Botanicznej oraz wyskoczyliśmy na trasę w kierunku Gdańska. Po 25 kilometrach skręciliśmy na Radomsko, wyjechaliśmy z miasteczka, Alicja pokazywała drogę. Minęliśmy parę miasteczek i wiosek, w końcu skręciliśmy z głównej w lokalną drogę. Zatrzymaliśmy się na drodze, znajdującej się przy lesie.

– To tutaj. – I mrugając do mnie, powiedziała: – No to udanego wyjazdu. – Wyszła z córką, przypadkowo zapominając swojego bagażu. Dominika spoglądała nieufnie, jak patrzy się na „prawie” obcych. Po chwili zniknęły za ogrodzeniem, coś sobie szepczą.

Rozejrzałem się, by czymś się zająć. Las wyglądał, jakby wysypywał się na drogę. Świergot ptaków. Uroczo. To może już nie

jedziemy nad morze? W radio leciała Tanita Tikaram. Jacek stuka palcami po oparciu.

—Przestań stukać. Drgawki masz?

—To dlatego, że widziałem, jak prowadzisz. Przejdzie mi po powrocie. Wraca Alicja. Szybki krok. I widzę, że coś nie tak. Jacek z Moniką rozmawiali, ale nawet nie wiem, o czym. Teraz jednak przerwali rozmowę i również słuchają, co powie Alicja.

—Wiesz co, Dominika nie chce mnie puścić... Próbowałam położyć ją spać, ale nic z tego. Jedźcie sami.

—No, co Ty! Jak to nie chce spać? Przecież Jacek jeszcze nic nie śpiewał? – włosy mi się zjeżyły, ale próbowałam jakoś rozładować wstępnie sytuację.

—Ha, ha, ha – roześmiała się Alicja i Monika. Jacek natomiast nie.

—To powiedz, że jeśli nie zaśnie zaraz, to Jacek pójdzie jej jednak zaśpiewać! – dodałam.

– Ładnie! – odezwał się Jacuś. – Dziecko szantażem? To teraz już wiemy, czym Ciebie mamusia straszyla. – Teraz śmieją się Jacek i Monia, ja oczywiście nie. I... no tak, Alicja oczywiście też się nie śmieje.

– Alicjo, poczekamy jeszcze. Może zaraz zaśnie. – Ciśnienie mi wzrasta. Czyżby nici z rozbierania?

– Przecież nigdzie się nie spieszymy aż tak bardzo. Jest wieczór, więc i tak zajdziemy tam w nocy.

– No pewnie, że poczekamy – mówi Monika.

– Bez Ciebie nie ma sensu jechać – dodał Jacek. – Tomek to straszny nudziarz, jedynie przy Tobie wspina się na swe wyżyny dowcipu. – Alicja uśmiechnęła się w końcu. Chwilę pomyślała. Ta cisza trwała dla mnie wieczność.

– Dobrze – powiedziała niejako zrezygnowana. – Jeszcze raz spróbuję, ale to może chwilę potrwać. Jak nie będzie Wam się chciało dłużej czekać, to śmiało jedźcie.

– No, już... – zbulwersowałem się. – I pojedę z tym kiepskim urzędnikiem bankowym, żeby cały weekend opowiadał, jak się podlicza słupki. – Zerknąłem na niego. – A sam jest największy słupek.

– Co?! – teatralnie podniósł głos. – Ja jestem głupek? Trzymajta mnie ludzie, bo nie wytrzymam! – wierci się nerwowo na tylnym siedzeniu, jakby szukał czegoś twardego. – Kargul, podejdź no do płota...

– No, widzisz Alicjo? Nie dość, że przygłuchawy, to jeszcze ze sklerozą. Nawet mnie nie poznaje! – I teraz w jego stronę, krzyżąc mu do ucha – Dziadku! Słyszycie mnie teraz? To ja, Wasz wnuczuś. Mieliście mi rentę dzisiaj oddać.

Dziadek Jacek wyprostował się szybko.

– No widzisz, Monika, nie będziesz mieć z nim łatwo. Jak mowa o rencie, to nagle głuchnie – dokończyłem.

– Dobrze – Alicja trochę nie w sosie. – To ja idę, a jak się uda, to wrócę.

– Jasne. Czekamy – mówi Jacek już normalnie. – Nie ma pośpiechu. Ty idź uśpić Dominikę, a ja – zaczyna zaglądać pod siedzenie – gdzieś tu schowałem ostatnią rentę...

– Ha, ha, ha. - Włączyła się Monika. – Lepiej ją znajdź, bo w twoim wieku woda i suchary to norma, ale ja pragnę od życia czegoś więcej.

– Dobra – wtrącił Jacek – masz u mnie jeszcze do tego suchara plasterek sera Edamera. – Nie miała innego wyjścia, jak pacnąć go w ten głupi łeb. Alicja w międzyczasie, ubrana w zwiewną

sukienkę, udała się do domu, by uśpić Dominikę.

W aucie powstała napięta atmosfera, radość odeszła szybciej niż wody przy porodzie. Siedzieliśmy w lekkim napięciu, bo Jacek domyśla się, że jeśli Alicja nie będzie mogła jechać, ja nie będę nalegał na wyjazd. A ja zły wielokrotnie bardziej, bo może mi uciec sex z najpiękniejszą dziewczyną, jaką poznałem. Oczywiście, jeśli sex umie uciekać...

Czekamy! Tik-tak, tik-tak.

—To co, rozbijamy namiot w tym lasku? – dopytuje Jacek.

—Tak, tylko nie możesz kłaść się koło grzybów, bo Cię ktoś pomyli – powiedziałem.

—Masz rację, muszę uważać. A Ty nie kładź się koło kupy. Bo będzie tak samo! – to małpiszon, odgryzł się, jak zwykle. Ale teraz jestem zbyt skupiony na obserwowaniu drogi, żeby się tym przejąć lub tym bardziej – coś na to odpowiedzieć. Usłyszałem tylko krótkie:

—Ha, ha. – Moniki, bo właśnie zobaczyliśmy wszyscy, że Alicja wraca. Chciałem coś wyczytać z oczu, ale po zmroku...

Klap! Zamknęła drzwi auta. Spojrzała na mnie pytająco.

—Na co czekasz? – Zmieniłem wyraz twarzy z pytającego na lekko niedowierzający, rzuciłem okiem w stronę tylnego siedzenia. Oni też, jeszcze niepewnie patrzą na mnie. Udało się! Teraz z pełnym uśmiechem, patrząc Alicji w oczy odpalam maszynę i przegazowuję. Czuję się, jakbym już miał ją rozebraną na łóżku...

—Cicho – mówi – bo jeszcze się obudzi...

Byłem gotów wysiąść z auta i pchać je z wyłączonym silnikiem, ale po prostu, najciszej jak się dało, wycofałem i następnie ruszyliśmy w stronę przygody!

Teraz jechałem, jak szalony! To było fatalne połączenie. Młodość,

podniecenie, adrenalina, szybka fura, znajomi. I idealna laseczka obok! Toruń minęliśmy, przeskakując nad nim na jakimś wyboju. Z pozostałych miasteczek pamiętam tylko pierwsze litery z mijanych tablic. Być może jakiś patrol zarejestrował przekroczenie prędkości, ale z pewnością pomyśleli, że to jakiś samolot przeleciał nisko. A Gdańsk, Sopot, Gdynia zlał się w Trójmiasto. To był ten żółty pasek światła po prawej stronie.

Jesteśmy ...

Podjeżdżam pod pensjonat w Swarzewie, „FALTOM”. Hotelik nad zatoką Pucką. Ładny, nowoczesny budynek w stylu amerykańskim. Duży, przeszklony hall w kształcie półkola, wielobryłowy dach. Na środku stół bilardowy, po lewej stronie znajduje się kominek. Z hallu wychodzi się na patio z basenem, po prawej stronie sauna. Dalej kort tenisowy, skutery i zatoka.

Zawsze, jak przemierzałem trasę do Gdańska, zatrzymywałem się w tym miejscu na noc. Teraz dla mnie i Alicji wynająłem apartament. Kierowniczką pensjonatu zna mnie już od dawna, zatem przywitała mnie z radością, mimo późnej pory. Jacuś z Moniką zajęli inny pokój i umówiliśmy się na śniadanie rano.

Atmosfera gęstnieje... Łapę za nasze bagaże i – udając zmęczenie – czym prędzej zabieram mój obiekt pożądania na pięterko.

—Jak Ci się podoba apartament?

—Ładnie. – Podeszła do drzwi i wyszła na taras. Jest jeszcze ciemno, więc widać jedynie światła. – Co to za miasteczko?

—Jurata. A tam dalej Hel. – I patrząc na nią. – A tutaj będzie raj... – Objąłem ją w pasie i przyciągnąłem delikatnie do siebie. Zbliżyłem moje wargi do jej kuszących ust. Czekałem, czy odpowie na mój gest pocałunkiem. To miała być dla mnie zgoda na coś więcej. Byłem napalony jak cholera, ale... oczywiście chciałem się

upewnić, czy aby na pewno myślimy o tym samym.

Pocałowała mnie namiętnie, a ja, choć już wcześniej byłem gotowy, poczułem, jak robię się twardszy i twardszy... Teraz odsunęła mnie delikatnie, a ja jeszcze przez moment stałem z przymkniętymi oczami, rozpamiętując to, co się zdarzyło.

—Nie chce Ci się spać, przypadkiem? – Droczyła się ze mną. – Po takiej podróży musisz być zmęczony! – Udusić ją, to przecież zbyt mało w takiej chwili...

—Wiesz, na co dzień tyle jeżdżę po Polsce, że taki wyjazd, to niczym spacer do kiosku. Zresztą, zasnąć przy Tobie, to grzech! – Delikatnie ukierunkowałem jej myśli. Jak tu ją zagonić szybko do łóżka...?

—To mogę umyć Ci plecy?

—Ooo – oznajmiła oburzona – czyżbyś uważał, że są brudne?!

—Ależ nie, ale widzę na skrzydłach jakieś paproszki...

—To nic – mówi. – Wydaje mi się, że skrzydła i tak będę musiała zostawić w łazience...

W jednej chwili zrobiło mi się gorąco! Stałem z opadłą szczęką, gdy obróciła się, wzięła kosmetyczkę i udała się w kierunku łazienki. Skorzystałem z okazji i schowałem pod łóżkiem. No, wiadomo co, nie to, żebym..., ale tak na wszelki wypadek, mam nadzieję, zresztą coraz większą. Spojrzałem w dół... Naprawdę coraz większą!

Wyszła. Zgasła światło i szybko wskoczyła pod kołdrę. Niewiele udało mi się zobaczyć. Teraz moja kolej.

—To teraz ja! – Ruszyłem do łazienki, bo nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Przecież w moim planie miała wejść do sypialni powoli, jak w filmie, w zwolnionym tempie. Jej włosy miał rozwiewać wiatr... Nie wiem skąd miał się wziąć, ale miał być!!!

Każdy jej zwolniony krok miał pozwalać mi dostrzec idealne zarysy jej figury... Wzrokiem miałem powoli zbiegać z góry do dołu, zachwycać się linią bioder, prześwitem między udami...

A ona po prostu szybko wskoczyła do łóżka!!! Co za nietakt! Takie ciało powinno się oglądać jak rzeźbę w galerii sztuki! Ale to nie zmieniło faktu, że nadal jestem napalony jak cholera!!! No dobrze, może to i lepiej, że nie postąpiła idealnie według mych marzeń... Bo mógłbym wybuchnąć, przedwcześnie!

Tak, czy inaczej – teraz moja kolej.

—To teraz ja – powtórzyłem bezwiednie. – Zrobię dwie długości wanny i wracam.

—Ha, ha, ha. Tylko uważaj na mielizny!

Chwyciłem kosmetyczkę i pobiegłem do łazienki. Pobiłem szybko rekord świata w pływaniu i już wychodzę.

Alicja leży pod kołdrą...

Do tej pory nie widziałem jej jeszcze w białiznie, ani tym bardziej – nago! Zapalona jest tylko lampka nocna. Podchodzę z mojej strony łóżka. Odchylam kołdrę. Trochę więcej, niż trzeba, żeby zobaczyć trochę więcej, niż powinienem... Piękne ciało... idealne i proporcje. Biała białizna, jakby dla podkreślenia jej anielskości. Nie, bardziej dla ukrycia, że jest diabelsko seksowna! Do tej pory nie wiem, jak się powstrzymałem, żeby nie rzucić się od razu.

—I jak, bardzo zmęczona po podróży?

—Troszeczkę – odpowiedziała, patrząc na mnie uwodzicielsko.

—To może masaż relaksujący? – A dla mnie kubeł zimnej wody... Ty idioto, a jak zaśnie w trakcie masażu?! Co wtedy zrobisz? 10 pompek? Ale trudno, rzekło się. Jedyne szansa, że powie nie...

—Dobrze. Ale taki krótki... – odwróciła się na brzuch oraz

odsłoniła kołdrę do pasa...

Hmmm... To wcale nie był taki zły pomysł. Usiadłem na jej udach, pozwalając sobie odsłonić jeszcze kawałek pleców. I muszę stwierdzić, że jej plecy wcale niżej nie tracą „swej szlachetnej nazwy...” wręcz przeciwnie! Zyskują nowy, jeszcze piękniejszy wymiar! Niestety, Alicja szybko z powrotem naciągnęła kołdrę. Na szczęście moje uda nadal miały pośredni kontakt z odkrytym właśnie ósmym i dziewiątym cudem świata...

Położyłem dłonie na jej plecach. Na początku delikatnie rozmasowywałem szyję. Mój kotek zaczął cichutko mrużyć. No nie, ja chyba zwariuję! Za dużo wrażeń, jak na tak krótką chwilę! Na czym się skupić?! Moje dłonie są w jednym miejscu, wzrok biega od włosów, przez piękny kształt pleców w dół, do dwóch wypukłości ukrytych pod kołdrą. Zmysły bez przerwy wypełniają własnymi obrazami to, co ukryte... Usta znów chciałyby dotknąć jej ust. Kiedy tak leży, z twarzą opartą lewą stroną na poduszce, co chwilę wracam wzrokiem, podziwiając jej profil. Ciemne, długie włosy, tak lekko zakręcone na końcach... A tak mocno zakręcające mnie. Idealnie smukła buzia, mały nosek i te usta... Duże, zmysłowe, jakby chciały oderwać się od ciała, ...ale w żadnym wypadku nie wulgarne. Po prostu, stworzone do czułego całowania... Patrzę na nie i uświadamiam sobie, że się ruszają.

Sam ich ruch tak mnie fascynuje, że zapominam o świecie. Ale... staram się na chwilę skoncentrować.

—Co mówisz? Coś mówisz?

—Taak... faaajne.

—Co fajne? Usta?

—Usta? – lekko zdziwiona, ale też trochę w innym świecie. – Nieee, masaż! Powiedz, jak będziesz zmęczony.

—Nieeee, mogę Cię jeszcze pocałować, to znaczy pomasować...

—Ha, ha, ha – roześmiała się leniwie. – No dobrze, możesz mnie pocałować... BIIIp, biiip, biiip, syrena zawyła w mojej głowie...

Ona zaczęła leniwie obracać się na plecy, spoglądając mi równocześnie w oczy. Ja już skradałem się w stronę jej ust... Taaak... To właśnie na ten moment czekałem...

Rozdział 8

Siedzę w biurze i myślę. Sukces jest niczym babcia. Uwielbia Mariusza, a mnie nie lubi.

*

Znajduję się właśnie w biurze, w firmie mojego brata. Za moment ruszam w kolejną trasę. Jeżdżę po Polsce, jako dostawca-handlowiec. On, razem z żoną Ewą, buduje firmę. Świetnie sobie radzą...Potrafią to, czego nie potrafię ja. Trzymać kasę. On jest szefem, ja natomiast pracownikiem.

Mario wypisuje adresy nowych sklepów, które mam odwiedzić. Od czasów wystawy na targach w Poznaniu wszystko ruszyło mocno do przodu. Towar schodzi bardzo dobrze. Wyjeżdżam zwykle z zapelnionym autem, a wracam z resztkami. Praca też ciekawa. Znam wszystkie miasta i miasteczka w Polsce. Raz w miesiącu jestem nad morzem. Raz w miesiącu pojawiaam się w górach.

Po roku od pierwszej wystawy towar sam się sprzedawał. Klienci rozdrapywali większość produkcji, zanim udało mi się zapakować auto w trasę. Jeśli jednak udało mi się coś zapakować, jechałem przez Polskę. Kiedy zatrzymywałem się w jakimś mieście, parkowałem na zapleczu sklepu, otwierałem drzwi ładowni i zapisywałem, co znikło. Fakturka, kasa i następny sklep. Kiedy dzień – lub jeszcze częściej – towar się skończył, przychodził czas

na rozrywkę. Kolacja, zwiedzanie miasta lub krajobrazów w okolicy. Czasami też dyskoteka gdzieś w Polsce. Taka idylla trwała przez jakiś czas.

A teraz? Coś się zmienia.

Nie wiem czemu, patrząc tak na niego, siedzącego przy biurku, zacząłem wspominać nasze dzieciństwo...

Trzy lata różnicy między nami. Najbardziej widoczna była, kiedy on miał lat trzynaście, a ja dziesięć. On lubił sporo zjeść. Kiedy dostawaliśmy od mamy czekoladę lub słodycze, wszystko pochłaniał w pięć minut.

– Tomek, daj jeszcze cukierka... – mówił do mnie, próbując coś „wycyganić”.

- Przecież miałeś tyle samo. Kto kazał Ci wszystko wtrąbić? Zrobiłeś to tak szybko, że nawet nie wiesz, jak to smakowało.

—Nie bądź żyła. Jestem większy, to powinienem więcej dostać.

Czasami coś mu dałem, bo nie szalałem tak za michą, jak on. Często jednak zostawiałem sobie coś na później. Niestety, musiałem to chować przed nim. Zwykle, jeśli tylko wyczuwał, że w jego żołądku nie ma dwóch kompletnych tabliczek czekolady, (czyli jego i mojej) zmieniał się w tropiciela. Tak długo przeglądał wszystkie kąty w domu, że w końcu udawało mu się trafić na tajną kryjówkę. Mam wrażenie, że był w stanie wywęszyć tabliczkę czekolady, zakopaną nawet metr pod ziemią...

Ale tak jak napisałem, ja nie byłem pasibrzuchem, zatem nie płakałem zbyt mocno po takiej stracie.

Pamiętam taką historię w późniejszym czasie, kiedy miał osiemnaście lat, tata popijał, mama utrzymywała dom.

Nie było przepychu w lodówce. Była wręcz pustka. Gdyby pustka była jadalna, to też by jej nie było. Mama krzyknęła z kuchni:

—Tomek, Mariusz, obiad.- Mariusz pogalopował przodem. Ja natomiast dotarłem po chwili. Zobaczyłem, jak siedzi nad talerzem i jest zły. Oczy rozciągnął dłońmi „na chińczyka”, patrzył w talerz i mówił;

– Co z Ciebie za mama? – zapytał zirytowany.

– Co masz na myśli? Jaka ze mnie mama? - spytała zdziwiona.

– Że na obiad mięsa nie ma...

Pewnie ryknąłbym śmiechem, gdyby nie ta trudna wówczas sytuacja. Natomiast jego zamiłowaniem do wypychania bębenka wszelkim jadalnym przedmiotem zachwycona była babcia. Mariusz był jej oczkiem w głowie. Zawsze wtykała mu te tłustsze kawałki. Dosłownie i w przenośni. Oczywiście babcię wiele tłumaczyło. Kiedy była wojna, przebywała w obozie pracy w Fordonie. Tamte czasy musiały się mocno odcisnąć na jej psychice, bo nieraz miała napady zbierania suchego chleba, lub cukru.

—Będzie wojna! – mówiła z przekonaniem.

Oczywiście, wojny nie było. Przynajmniej w Polsce. Ale nawyki zostały. My natomiast żyliśmy obok, nie interesując się przeszłością. Bardziej pochłaniało nas „dziś”.

Często mieliśmy dziwaczne pomysły. W dużym pokoju (jeszcze wtedy nikt nie wiedział, że to salon) na środku stał stół. Taki niski, kawowy (tego też większość z nas jeszcze nie wiedziała).

Kiedy nikogo nie było w domu, braliśmy z szafy dwa porządne, drewniane wieszaki. Łapaliśmy je niczym kierownicę roweru, haczykiem do przodu i urzą-dzaliśmy zawody żużlowe.

Cztery rundki wokół stołu. Oczywiście zwykle wygrywał okrągłaczek. Był większy i zajmował większość toru. Czasami udało mi się go jakoś wyrolować sprytem. Przykładowo; kiedy chciał mnie ciałem zepchnąć na bandę, (czyli segment) ja

markowałem opór, po czym hamowałem manetką w kierownicy i puszczałem go przodem. On rozpędzony wpadał na bandę, a ja wygrywałem, robiąc ostatnie okrążenie na jednym kole (nodze).

Innym razem podkradaliśmy z szafy ręczniki, owijaliśmy nimi dłonie i uprawialiśmy boks w wadze mieszanej. Czyli słońiowokoguciej. Wiadomo kto jest kim.

Choć tu miałem jeszcze mniejszą szansę na wygraną, walczyłem dzielnie. Momentami nawet z bezsilności dostawałem furii. Rzuciałem się wówczas na niego i waliłem, nie patrząc, co na to sędzia i nie słuchając gongu. Aaaaa, to nie gong. To ponownie poleciał kryształ z segmentu. Czyli chyba będzie nokaut. Od taty (taki żart, tata nigdy nas nie bił).

Kiedyś w takim szale dostał ode mnie w nos. Poleciała krew. Czy możemy się umówić, że to był nokaut? Tak po prostu, trochę satysfakcji za wytrwałość po latach...

Innym razem miał podbite oko. Ale to już nie moja sprawa. Byliśmy w Chorzowie u rodziny. Wspólnie z Mariuszem wybraliśmy się do pobliskiego salonu gier. Cieszyły się popularnością, bo nie było jeszcze laptopów, x-boxów, a nawet Atari. Trudno w to uwierzyć, prawda?

No, zatem poszliśmy razem, bo chcieliśmy trochę pograć na automatach. Zainteresowali się nami tambylcy. Podeszło do nas paru chłopców w wieku Mariusza, około dwunastu lat.

—Ceść, skąd wy sum?— Bo Ślązacy.

—Z Częstochowy. Przyjechaliśmy do cioci.

—Mata co zajarać? — Mariusz poczęstował ich fajką, a jeden z nich zaczął grzebać mi po kieszeniach. Wyrwałem mu się zdecydowanie. Wtedy jeden z nich walnął Mariusza piąstką. Tak rozpoznawczo.

– No co Ty - powiedział zdziwiony brat – przecież dałem Ci fajkę.

Jak zobaczyli, że nie stawia wielkiego oporu, zaczęli łapać go za kieszenie. Wyrwał się im i zaczął zwiewać. Pobiegli za nim. Ja wówczas wróciłem do domu okreśną drogą, mając nadzieję, że zastanę go już w domu cioci.

Wrócił trochę później, niż ja, ale za to z podbitym okiem. Poprosił, że bym go krył. Jakby co, to ja go walnąłem, jak się szarpaliśmy dla zabawy. Nie ma sprawy. Parę razy to nawet wykorzystałem. Jak się ze mną kłócił przy kimś, to mówiłem;

—Nie fikaj, bo Ci znów plombę założę, jak w Chorzowie.

Później, kiedy sprawa zeszła z forum, powiedział, co się stało. Jego wersja; „Zwiąłem im, ale jeden jeszcze mnie gonił. To się zatrzymałem i on mnie trafił, ale ja mu zrobiłem taki łomot, że ho, ho”.

Moja wersja:

„Dogonili go po minucie, oddał im kasę, fajki, a na <<do widzenia>> dostał plombę. Przeprosił kolegów, że musieli się nasapać, żeby za nim pobiec i wrócił do domu”.

A prawda z pewnością jak zwykle, leży po środku.

Ale to tyle wspomnień. Tak jak już pisałem, znajduję się teraz u niego w biurze. Czy te wspomnienia pomagają mi znieść sytuację, że on ma wszystko, a ja mam długi? Długi rejestr potrzeb.

Z pewnością trochę. Ale to nie jest zazdrość, że brat ma lepiej. Dobrze, że chociaż on.

To żal do losu.

Przecież nie jestem gorszy. Jestem inny.

Ok, być może ja wolę „żyć”, zamiast „mieć”, ale nie pomyślałem o tym, że żeby „żyć”, to trzeba „mieć”...

Mariusz i Ewa zaczęli od „mieć”. I teraz mogą wybierać. Czy

„mieć więcej”, czy „mieć za co żyć”?

Ja też mogę wybierać.

Czy od stołu wstanę lewą, czy prawą nogą.

—W Puławach nie dawaj im żadnego towaru, jak nie zapłaci Ci całej kasy - powiedział. Czyli znów odpada kasa z prowizji. Facet kupuje dużo towaru, natomiast trochę ślizga się z płatnościami. To taka polska tradycja. Ale jakoś to się toczy. Tylko że Mariusz i Ewa potrafią być stanowczy. Dla nich to ułamek obrotu, jeśli nic nie sprzedadzą w tym sklepie. Dla mnie to już 10 procent mniej zarobku miesięcznego. Takich miejsc jest kilka.

W ten sposób z bardzo dobrej pracy zrobiła się praca.

Przestałem zarabiać dobrą kasę. Teraz dostaję mniej towaru, bo większość jest rozdrapana w firmie. Ich firma rozwija się świetnie. Wygląda na to, że choć są różni, uzupełniają się idealnie.

Jestem coraz bardziej rozżalony. To widać w mojej pracy. Coraz mniej chęci. Nigdy nie byłem mistrzem sprzedaży. Teraz dostrzegalne jest to jeszcze bardziej. Brat ma do mnie żal, że nie potrafię być wystarczająco stanowczy przy odbieraniu należności. Ja mam żal, że nie dostaję więcej najbardziej „chodliwej” dzianiny. Produkcja nie nadążała za popytem. Potrzebowałem trochę czasu i innej perspektywy, żeby zrozumieć jego punkt widzenia. Miał z pewnością rację w jednym; nie nadaję się na sprzedawcę...

Wkrótce rozstaliśmy się.

Kolejny rozdział zamknięty.

Znów bez sukcesów.

Gdzie jest to moje miejsce w życiu? Gdzie w końcu poczuję się dobrze? Czy jest gdzieś takie miejsce, gdzie można normalnie żyć, pracując? Czy wszędzie jest tylko dżungla?

Dobrze chociaż, że poznałem Alicję. To są te chwile, kiedy mogę

zapomnieć o wszystkim, co złe.

Przy niej znikają wszystkie zmartwienia. Czas zatrzymuje się w miejscu.

Rozdział 9

**Biznes, wiszący na sznurku. Uczciwy pracownik?
Ha, ha, ha, ale z Ciebie żartowniś. Umiesz liczyć?
Liczy na siebie. Kto ma miękkie serce, a nie ma
twardej d***, nie pozbiera się „do kupy”.**

*

Siedzę właśnie w samochodzie przed sklepem w Dąbrowie Górniczej. Polonez Truck. Rocznik? Około 1900. Cyfry w dowodzie rejestracyjnym już dawno się zatarły. Jest to pojazd ciężarowy, służący do przewozu bardzo lekkich towarów. Jego budowa ulega zmianom, np. w skutek zgubienia rury wydechowej, itp. Na dzień opisywania go, składa się z instalacji gazowej ... i usterek. Taki czerwony, a jeździ jedynie dlatego, że jest dobrze związany drutem...

Nawet policja nie bardzo takie chce zatrzymywać. Wiadomo, kierowca w takim aucie na łapówkę kasy raczej nie ma, a jak któryś gliniarz ma trochę serca, to i z litości nie zatrzyma. Już nie raz słyszał ckliwą historię „jak to ciężko”. Na pace trochę bakalii, osobiście zgrzewanych w małe paczki, małą maszynką do zgrzewania torebek foliowych.

Małe torebki – mała maszynka – mały biznes. Nie napiszę: „mały interes”, bo nie o to chodzi. Co, mało mam zmartwień?

I ja również czuję się coraz mniejszy. Coraz bardziej czuję się jak ta torebka... Jak mała torebka z małymi groszkami. A nawet bardziej jak mała torebka, którą wystarczy jedynie przydepnąć,

a zrobi „Pffff”. No dobrze, napiszę jeszcze inaczej; jak mała torebka, którą wystarczy przydepnąć, a ujdzie z niej całe powietrze. To nie moja wina, że wciąż macie takie skojarzenia i szukacie elementów komedii w dramacie...

Coraz ich mniej...

Bakalii.

Ale to nie jest dobra wiadomość.

Bo towar znika, a pieniędzy brak. Polski „byznes”. Każdy weźmie towar, ale „właśnie przed chwilą wypłaciłam całą kasę dostawcy...”. Muszę stwierdzić, że ktoś złośliwie jeździ przede mną i zbiera całą kasę! Inaczej tego nie mogę wytłumaczyć, nie posądzając sklepowych o kłamstwo. No chyba, że rzeczywiście kłamią?

Na paliwo wygrzebałem ostatnie pieniądze! Gliwice. Jak ja wrócę do Częstochowy?

Co robić? Rozpłakać się? A może zastosować manewr Maryli: „Wsiąść do pociągu byle jakiego...”? To miał być świetny początek. Krok po kroku, mieliśmy przebić Bakalland. A jedyne, co udało mi się przebić, to opona w Trucku... oraz wysokość niespłaconego czynszu!

A początek był przecież taki optymistyczny!

Dzięki nam.

Zamówiliśmy opakowania, kupiliśmy bakalie, zgrzewaliśmy je z zapalem. Nasze rączki pakowały te orzeszki w te sreberka. Czyli woreczki. Przy okazji trochę podjadły.

Mniam, mniam.

Ale przecież nie aż tyle, żeby przejeść zyski! Na papierze zyski były.

W związku z tym, że zdobywanie klientów od nowa trwałoby

długo, postanowiliśmy zatrudnić do sprzedaży kogoś z doświadczeniem. Ja zająłbym się z Alicją pakowaniem, dowoziłbym towar na drugi dzień, a po powrocie załatwiałbym wszystkie papierkowe sprawy. Zamieściliśmy ogłoszenie w gazecie. Było trochę chętnych. Z różnym doświadczeniem. Pierwszy był koleś, który pracował w paru firmach spożywczych, jako przedstawiciel. Pan Stanisław. 37 Lat, wygląd średni krajowy, raczej budzący zaufanie. Ma bazę klientów od Częstochowy do Będzina. Przy okazji chciałby też sprzedać trochę soków. Bo zna ten towar, a przecież to nie konkurencja. Dobrze, powiedziałem. Może to i lepiej? Podzielimy się trochę kosztami i będzie dobrze. Jak zna ludzi, to sprzeda i to, i to. Ja też tak kiedyś sprzedawałem. Brałem towar z kilku firm i starałem się sprzedać jak najwięcej wszystkiego.

Spisaliśmy w poniedziałek umowę, pobrał trochę towaru do pokazywania i na ewentualną szybką sprzedaż. Zna ludzi, zatem dałem mu „przekrój” naszej produkcji bakalii.

Do wieczora czekałem na telefon, ale była cisza. Zadzwoiłem zatem sam do niego.

—Witam, Tomek z tej strony – nic nie odpowiedział. – Co słychać? Jak sprzedaż? — Na razie robię rozeznanie. Zadzwonię do Pana jutro.

—Dobrze, powodzenia. – Rozłączyliśmy się. Pierwszy dzień. Może ustala sobie trasy.

Na drugi dzień miałem względny luz, więc spędziłem go z Alicją. Przespacerowaliśmy się po mieście, zjedliśmy obiad i cieszyliśmy się oddechem przed oczekiwanymi pracowitymi miesiącami. Po powrocie do domu zajęliśmy się sobą. Wiadomo, młodość...

A później włączyliśmy telewizor, wzięliśmy gazety, książki

i zniknęliśmy w świecie fikcji i faktu. To nasz ulubiony sposób na relaks. Leżeć obok siebie i czytać wciągającą książkę lub gazetę. Obudziliśmy się rano.

I to było przebudzenie z gatunku tych stresujących. Budzisz się i wiesz, że coś jest nie tak. Ale jeszcze jesteś tak zaspany, że nie kojarzysz, co. Tylko serce zaczyna kołatać szybciej... No taaak! Przypominasz sobie. Stanisław nie dzwonił!

A może dzwonił? Sprawdzam szybko, czy w telefonie są jakieś nieodebrane połączenia... Nie ma! To dobrze. Ale nie, to nie dobrze!!!

Dlaczego nie dzwonił? Pierwsza myśl – wykręcić jego numer, ale może jeszcze śpi? Jest ósma dziesiąta. Teoretycznie powinien już pracować, nie wypada jednak chyba tak naciskać? Dobrze, zadzwonię po dziewiątej.

Postanowiłem, że wstanę i zrobię nam kawę. Albo nie, Alicja jeszcze śpi, to nie będę jej budził. Tylko trochę się jej przyjrzę. Odsunąłem kołderkę... hmm. Trudno się powstrzymać. Taaaakie ciało!

Ale cóż, są ważniejsze sprawy. Przygotowałem nam śniadanie, bo z pewnością będzie dziś dużo pakowania towaru.

Usiadłem przy stole w kuchni. Dominika też jeszcze śpi. Jest przeziębiona, więc nie chodzi do szkoły. Dominika, a co u Konrada? Nie mam żadnych nowych wieści... Po festynie w Lublińcu, na który pojechałem z nim i Alicją, Asia stwierdziła, że jestem niepoważny i zabroniła mi przychodzić w odwiedziny do Konrada. Z punktu widzenia czterdziestolatka zaczynam dostrzegać w moim zachowaniu błędy, ale wówczas tak to dla mnie nie wyglądało.

A zresztą, z punktu widzenia czterdziestolatka widzę, że był to, tak naprawdę tylko pretekst dla niej, żebym się z Konradem nie

spotykał.

Wygląda na to, że była zazdrosna, o co tylko się dało. Ale to nie była zazdrość z miłości. Ona wynikała z poczucia posiadania. Był ślub, to może ze mną zrobić, co chce. Nawet po rozstaniu powinienem się zachowywać tak, jak ona życzyłaby sobie, żebym się zachowywał.

A ja i Konrad byliśmy bardzo zżyci... Musiało ją to bardzo drażnić, że Bąbel (tak często mówiłem do niego) tak wiele mówi na mój temat: „A my z tatą to...”, że chce się spotykać. Więc z zemsty, za każdym razem, kiedy się widzieliśmy, robiła mi awantury. A może nie? Może chodziło o urażoną kobiecą dumę? Tak naprawdę regularne awantury rozpoczęły się od dnia, kiedy podjechałem do Aśki podać pieniądze, a w samochodzie była ze mną Alicja...

A ja byłem natomiast na tyle młody i głupi, że nie potrafiłem dostrzec tego, co w tej grze jest ważne. Ona wciąż mnie atakowała, więc zgodnie z mą naturą starałem się jej unikać. Tłumaczyłem sobie, że lepiej również dla Konrada, jeśli nie będzie wciąż świadkiem naszych kłótni. Jakie to było wygodne dla mnie tłumaczenie... Oczywiście, chciałem się z synem spotykać, ale kosztem awantury na wejściu– wyjściu? To było za trudne. Opuściłem...

Okazało się, że nie jestem dobrym ojcem.

Zamyśliłem się, miałem zrobić coś ważnego... Aha! Zadzwoń! Dlaczego on się nie odzywa?

Wykręciłem jego numer.

– Halo. Tutaj Tomek, z jakiego powodu Pan nie dzwoni?

– Aaa, jeżdżę dużo teraz, staram się sprzedawać.

– No i jak idzie? Mam jutro rozwozić towar? Musi mi Pan przesłać zamówienia.

—To wieczorem zadzwonię i podam wszystkie – odparł bez szczególnego entuzjazmu.

—Ale nie tak, jak wczoraj, mam nadzieję. Ja też muszę mieć czas, żeby to spakować i wypisać faktury.

—Tak, oczywiście. Zadzwonię około siódmej.

—Dobrze. Do usłyszenia.

Dziwne, tak długo będą czekać na towar? No, ale przecież ja nie mam doświadczenia w spożywce. Tylko kosmetyki i ciuchy.

Dobrze, zobaczymy wieczorem, co wymyśli. Ale towarzyszy mi jakieś dziwne przeczucie, że coś nie idzie właściwie. Dzień minął na myśleniu, co u sprzedawcy słyhać. Czekałem, jak na szpilkach, żeby w końcu ruszyć z kopyta do przodu.

19.15...

—Drrrrń, drrrrń.- Odbieram.

—Tomek? – Dzwoni Agnieszka. – To co, przyjdziecie dzisiaj do mnie?

—Wiesz, nie bardzo. Właśnie ma dzwonić kierowca i będziemy pewnie pakować bakalie na jutro, pisać faktury. Jutro może?

– A przekażesz Alicji słuchawkę na chwilkę?

– Dobrze, tylko krótko rozmawiajcie, bo czekam na telefon.

– Alicja! Chodź, Aga dzwoni! – Podałem słuchawkę. Ala wyszła do drugiego pokoju. Wiadomo, gdzie dwie kobiety, tam trzy tajemnice.

Kiedy skończyła rozmowę i wróciła, zapytałem:

—I co, nie dzwonił kierowca?

—Nie. Zadzwon do niego. Coś kombinuje. Albo sprzedać nie potrafi.

Wykręcę jego numer.

Drrrrń. Drrrrrrń. Nie odbiera. Jeszcze raz. Drrrrń, drrrrrrń,

drrrrrrrrrrrń.

Nic. Jeszcze bardziej natarczywie, jakbym chciał przebić się przez jakiś mur. Drrrrń...

—Halo? – Słyszę głos z drugiej strony.

—Witam. Znów nie można się do Pana dodzwonić. Co się dzieje?

—Byłem w toalecie. Nie mogłem odebrać.

—Przecież ja nie pytam, co dzieje się w toalecie! – powiedziałem zdenerwowany.

Wzięłem jednak głęboki oddech, żeby się uspokoić.

– Jak tam zamówienia? Jest już późno. Całą noc będziemy szykować towar.

– No... nie. Nie będzie tak źle. Na razie mam jedynie parę zamówień. Poczekajmy jeszcze do końca tygodnia.

– Parę zamówień? Przez tyle dni? Pan chyba sobie żartuje!?

– Wie Pan, najpierw warto zrobić rozeznanie, pokazać ludziom towar. Rozpoczął przemowę o technikach handlu. A we mnie już krew zaczyna się gotować!

– Proszę Pana – przerwałem mu – Pan nie sprzedaje domów, tylko bakalie. Mówił Pan, że zna ludzi decyzyjnych w sklepach. Sprzedaż nie powinna być kłopotem. Wie Pan, spotkajmy się jutro o 10 rano w tym samym miejscu. – Pomyślałem, że może do 10 zrobi sprzedaż, jeśli ma bazę klientów. – Rozliczymy się, bo raczej chodzi mi o sprzedaż, a nie wypożyczalnię samochodów.

—Jak Pan chce, ale nie będzie Panu łatwo to sprzedać na Śląsku bez grupy znanych odbiorców.

—Wie Pan, z mojej perspektywy wygląda to tak, że albo Pan nie ma żadnej bazy klientów, albo, co gorsza, robi mnie w konia. A chętnych do pracy trochę jest, tylko że Pan wydawał się uczciwy i z bazą klientów. A co najmniej jedna z tych cech odpada... Do

jutra.

—To kombinator! – powiedziałem do Alicji.

—Co się stało? – zapytała. Streściłem jej sytuację. – To dzwonił od razu do następnego, niech się jutro spotka z Tobą i zaczyna.

Drugi „fachowiec”. 30 lat, a co ważne, pracował w Coli. Przynajmniej tak wynikało ze świadectwa pracy. Miał swoje auto, odpada więc ryzyko błędu, jak z poprzednikiem. Pochodził z Rybnika, dostał zatem trochę towaru na pakę. Zapowiedziałem, że oczekuję szybkich efektów sprzedaży.

Efekty sprzedaży były błyskawiczne! Towar zniknął tego samego dnia. On też...

Jego telefon przestał odpowiadać. Wszystkie dane kontaktowe nieprawdziwe. Boże, jaki człowiek jest naiwny. Znów parę dni straconych, stracony towar, nasz czas, marzenia o normalnym życiu znów się oddalają.

Kolejny był sprzedawca z Częstochowy. Postanowiliśmy mieć pełną kontrolę nad sytuacją. Po pierwsze– towar rozwożę ja. Po drugie– rozliczenia każdego dnia.

Zaczęło się trochę normalności. Pierwsze zamówienia, pakowanie, rozwożenie. Powolutku, ale do przodu. On znał co najmniej paru odbiorców. Ucieszyłem się, gdy widziałem coraz większe faktury. Niestety, nie zwracałem zbyt uwagi na fakt, że mało było sprzedaży za gotówkę, a większość z nich to faktury z odroczonej terminem.

Z czasem coraz więcej było tych terminowych. Jak kierowca potrzebował kasy na weekend – sprzedawał towar na termin do sklepów, które wzięłyby wszystko, bo na półkach mają tylko ocet. Jak w komunizmie... A faktury do Tych właśnie klientów były coraz większe. Tylko, oczywiście ja tego jeszcze nie wiedziałem.

Głównie chodziło o sieć czterech sklepów w Myszkowie. Jego gra polegała na tym, iż w ciągu tygodnia sprzedawał towar za gotówkę i na termin, ale w rozsądnych proporcjach. A jak przychodził piątek, dostawałem dużą fakturę z miesięcznym terminem płatności i drobną kwotę wpłaty z sieci sklepów w Myszkowie. Dostawali dużo towaru, a płacili przez cienki kranik. Towar wrzucało się do worka, a gotówka kapała, jak bimber w oczach alkoholika. Jak ktoś siedziałby tam cały dzień, to by mu nakapało. Ale ja nie miałem czasu.

Jestem pewien, że doskonale o tym wiedział. Po prostu chciał wyciągnąć jak najwięcej kasy, zanim się sprawa rypnie.

Pewnego dnia zajechałem tam po pieniądze, a tu sklepów nie ma... Informacja o likwidacji! Towar znikał, pracownicy również.

Zadzzwoniłem do sprzedawcy. Zapytałem, co jest grane. Obraził się, zgodnie ze swoim planem i „rzucił tą cholerną robotę”.

Zamiast szturm na szczyt bakaliowego biznesu, zaczynamy borykać się z pierwszymi rozterkami finansowymi, od kiedy poznaliśmy się z Alicją. Nie mieliśmy wielkich oszczędności, ale coś tam w woreczku było. Alicja ciężko pracowała w Niemczech, ja też coś tam jeszcze miałem. A teraz zawartość portfela znika, jak Europejczyk w wiosce kanibali! Czynyś, życie. Również drobne rozrywki. Pieniądze znikają szybko. Za szybko. Skala sprzedaży jest jeszcze za mała, żeby nadgonić straty.

Jest za mała nawet na zyski.

Znów pozostaje tylko po raz kolejny wyciągnąć wnioski z porażek. Jak dobrze pójdzie - za 20 lat poznamy wszystkie triki polskich "sprzedawców".

Zatrudniam kierowcę na Śląsk do zbierania zamówień, z prowizją od zebranych pieniędzy. Sam zaczynam zbierać

zamówienia w Częstochowie i rozwozić towar.

A że nie mieliśmy już wystarczająco dużo towaru, poprosiłem o pożyczkę Agnieszkę i jej przyjaciela.

Aga... prawie tak piękna, jak Alicja i o równie dużym sercu. Ile razy ratowała nas z kłopotów? Drobnych i większych...

Oczywiście, nie odmówili nam pomocy.

Pożyczyli nam pieniądze na „przepchnięcie zadyszki”.

I znów zaświtała nadzieja.

I znów zgasła.

Ponownie pakujemy bakalie do tych małych torebek, torebki do samochodu, z samochodu do sklepów. A sklepy płacą gotówką, na termin, albo wcale. Potem znów kupujemy bakalie, pakujemy do tych małych torebek, torebki do samochodu, z auta do sklepów, a sklepy płacą gotówką, na termin, albo wcale. A my znów. Pakujemy te bakalie... Ooo, chwileczkę, już nie ma co pakować! Super! Towar sprzedany. A pieniądze gdzie?!

W sprawdzam kieszenie – są.

Drobne.

Idę do samochodu. Sprawdzam pod siedzeniem. Znalazłem! Razem jedenaście złotych i pięćdziesiąt pięć groszy. Dzwonię do banku.

—Halo, witam. Z tej strony Tomasz Cze. Proszę o podanie salda.

—Hasło?

—Kapusta kiszona.

—Dziękuję, zgadza się. Saldo w chwili obecnej, to 2217,45 ... debetu.

Pstryk, odłożyłem słuchawkę.

Po zebraniu wszystkich płatności ze sklepów wystarczy nam na samolot.

Oczywiście nie na cały. Tylko na bilet w kierunku europejskim.

Przecież ludzie wciąż nie płacą w terminie, sklepy znikają. A codzienne wydatki, zamiast spadać, wciąż się zwiększają. Bo auto się popsuło, bo trzeba parę dni czekać na towar, bo...

Bo widocznie jestem cienkim biznesmenem. A nawet cienkim biznesmenkiem. Siedzę w samochodzie przed tym sklepem...

Teraz, zamiast sprzedawać, staram się odebrać pieniądze za faktury „terminowe”. Jeśli sprzedaż, to tylko za gotówkę. To samo poleciłem kierowcy.

Po paru dniach zrezygnował. Powiedział, że znalazł inną pracę, ale podejrzewam, że trudno mu było osiągnąć wystarczający dochód ze sprzedaży za gotówkę. Wiedziałem to dobrze, krążąc po Częstochowie. Przejąłem i jego teren.

I tak się tułałem, tracąc kasę na paliwo, naprawy, itp. Umawiałem się na odbiór kasy za parę dni, ale rachunki nie chciały zaczekać.

Ten mój bezgraniczny optymizm... Niby fajna cecha, ale jak przygniecie, to nie ma co zbierać! Wiara, że to, co widzę przed sobą, to nie jest rozpędzony Tir, ale jakaś dziecięca zabaweczka, oglądana przez szkło powiększające.

Kto jest odpowiedzialny za to wszystko? Ona!

Brutalna R.

Rozdział 10

Hurra, czas na szaleństwo zakupów. Dwa lizaki i pączka poproszę. Albo nie, bez pączka. Jak zwinąć coś, co się wcale nie rozwinęło, czyli polski biznes.

*

Siedzimy w kuchni. Dopijam poranną kawę. Alicja pali kolejnego

papierosa. Atmosfera zaczyna być nerwowa. Ale mogłem się tego spodziewać...

Życie pokazało, że można znaleźć wielu sprzedawców z doświadczeniem, ale w oszukiwaniu. A za cholereę nie znajdziesz tych z doświadczeniem w sprzedaży!

Wczoraj ponownie kiepsko mi poszło. Przywiozłem mało kasy. Trochę tego, co miałem sprzedawać, ale oczywiście większość „na termin”, ...czyli kasa może pojawić się za tydzień.

A na zakupy trzeba wybrać się już dziś. I tego, co kupię musi wystarczyć na parę dni. Bo znów nie wiem, kiedy będą pieniądze.

Tutaj nikt nie sprzedaje „na zeszyt”. Szczególnie biznesmenom, ha, ha. Pozostaje mi zrobić zakupy „na niby”. Jak w starej piosence zespołu Pod Budą.

Chwytam „niby” pieniądze (bo inaczej tej kwoty nie można nazwać, a szkoda niszczyć portfel, gdy wszystko mieści się w dłoni) i wybieram się zrobić „niby” zakupy.

Wyszukałem cztery mocniejsze reklamówki. Takie, żeby można wszystko do nich zapakować i przenieść ze sklepu do domu. Dwa kilometry. I żeby nie było na nich obciachowych napisów: Lider Price, Tesco, Biedronka, itp. Wystarczy, że muszę się wstydzić przez całą drogę, drałując z wypchanymi siatami. A kompletny dół będzie, jak spotka mnie ktoś ze znajomych, a ja będę „ciał przestrzeń” z rękami rozstawionymi na boki, jakbym niósł wodę ze studni...

Wstydę się tego... wstydę się tej biedy, w którą sam się wpuściłem. Robię, co mogę, żeby się z niej wydźwignąć, ale w Polsce to niczym walka z wiatrakami. Pracując dla kogoś – nie dorobisz się. Żeby pracować dla siebie – musisz posiadać kupon totka z gwarantowaną wygraną...

Zaczynanie od zera w polskich warunkach to istny dramat. Jeśli musisz opłacić czynsz, żyjesz na własny rachunek – musisz mieć dochód każdego miesiąca. Żeby mieć dochód każdego miesiąca – powinieneś mieć pracę. Jak masz pracę, to i tak zarabiasz za mało, by coś odłożyć. Jak pracujesz, to jesteś tak wyciśnięty przez pracodawcę tak, że nie masz siły na nic więcej. W którym miejscu przerwać ten krąg?

Zastanowię się nad tym, idąc do sklepu. Wcześniej jednak rzut oka do lodówki, tak dla sprawdzenia, czy nie nastąpiło cudowne rozmnożenie. Ale, ale, żeby nastąpiło rozmnożenie, to coś by tam musiało być!

Teraz nawet pustka nie ma się już jak rozmnażać, bo w lodówce jest jej pełno! No, zatem mogę już zrobić listę; kupić – wszystko.

Nie dokupować – pustki. Oj, przepraszam, oszukałbym... Mamy jeszcze ocet, mąkę i bułkę tartą!

—Alicjo, co chcesz ze sklepu? – zapytałem głupio.

—Co chcę... – zapomniała się na chwilę, bo już zaczęła układać sobie listę potrzeb. Przykro mi było patrzeć, jak Ala wraca do rzeczywistości.

—Proszek się kończy. – Koniec listy.

—Dobra, już idę – powiedziałem, bo przeprosiny tylko podkreśliłyby dramatyczność sytuacji. A ja ponownie zazdroszczę tym, którym w życiu wszystko przychodzi łatwo. Bo mamusia sponsoruje, bo tatuś wkręci do pracy.

Jest zatem jak to w polskiej rodzinie – znikąd nie otrzymamy pomocy. Ci, co mają, mają, bo nie rozdają kasy i nie przepuszczają jej na balangi. Ci, co nie mają, nie mają jak pomóc. Pcham więc ten nienaoliwiony wózek sam. Choć w tej chwili sprowadza się to do dźwigania reklamówek. Do LIDER PRICE pustych, a z powrotem

pełnych, jeśli się uda je zapełnić.

Żeby dotrzeć do sklepu, muszę przedrałować przez centrum miasta. Wchodzę do sklepu. Najważniejsze na koniec – ziemniaki, bo są przecież ciężkie. A teraz drobiazgi: olej do pieczenia, cukier, pseudo kawa, teraz pseudo nutella (krem orzechowy bez zawartości orzechów, dla Dominiki), pasztet o smaku niby-mięsny (ze świeżo mielonej łąki z żyjątkami), dwufunkcyjne pomidory, jako pseudo pomidory lub jako narzędzie zaczepne do wybijania okien. 15 lizaków po 10 groszy. One również spełniają wiele funkcji; na liście są zapisane, jako słodyczne, więc punkt odfajkowany. Oprócz tego trzeba się zdrowo nalizać, by coś z nich zlizać, zatem dają dziecku zajęcie, a nam więcej spokoju! I cały czas istnieje szansa, że na jakiś czas zalepią buzię, więc przez chwilę nie będzie narzekań. Że też Alicja nie lubi lizaków!

Dalej, zerkam na listę: chlebek... Nie, dobrze napisane. Chlebek, bo jest niewiele większy od kajzerki. A wagowo wręcz taki sam. Teraz mleko. Przepraszam, pseudo mleko. A dokładniej: woda do płukania krowich cycków, zapakowana w kolorowy kartonik. Jajka. Chciałbym napisać, że to dopiero są jaja, ale żeby nie skłamać, muszę napisać, że to dopiero miały być jaja... Wyglądają, jakby ktoś łapał tą biedną kurę za szyję i wyciskał z niej te jajka, jak wodę z ręcznika.

Co dalej? Warzywa... No tak, wydaje mi się czasami, że mniej chemii mają w sobie te plastikowe, ozdobne, a z pewnością łatwiej je odróżnić smakowo.

I tak sobie wesoło robię zakupy, co jakiś czas śmiejąc się z tego, co widzę. Ten nieuzasadniony sytuacją śmiech powoduje, iż ludzie zaczynają mnie dyskretnie omijać.

Okazuje się bowiem, że już przekroczyłem budżet na inwestycje

w tej delegacji. Pozostaje mi odłożyć pączka, którego sam przed sobą ukryłem w koszyku, by choć troszeczkę ucieszyć Alicję...

Aby nie było tak oczywistego obciachu w drodze do domu, wyciągam zza pazuchy cztery reklamówki ze starych dobrych czasów; New Yorker, choć już lekko poklejona taśmą. Ale tak profesjonalnie, że nic nie widać. Dwa razy Aldik, bo to wtedy był atrybut polskiego turysty. I Real, na której flamastrem dopisałem MADRYT...

Teraz tak: Aldiki do środka, prawa zakrywająca – Real, a od zawietrznej, czyli od strony przechodniów New Yorker... Jak będę „zasuwał” do domu, prawą „burta” będę trzymał się blisko ścian, dzięki czemu widoczna będzie głównie ta pokazowa reklamówka.

No to w drogę!

Ta podróż z tobołami przez miasto, to jak wiezienie straceńca wozem na miejsce ścięcia. Taktyka jest taka, że jak zauważę kogoś znajomego, to staram się skręcić i ukryć. Brama, boczna uliczka, cokolwiek. Mimo tego, że waży to ze dwadzieścia kilo, staram się iść lekko, jakbym niósł pierze. A i tak zdaję sobie sprawę, że wyglądam jak początkujący kulturysta, ćwiczący „motylki”.

Zazwyczaj udaje mi się prześlizgnąć.

Ale zazwyczaj, to nie znaczy „dziś”. Kiedy właśnie, ucieszony, dochodziłem do końca ryneczku, prawie wpadłem na Marka Brykacza... Wysiadał właśnie z auta.

—O, Cześć Tomek! A co ty, wyprowadzasz się gdzieś? – Zlustrował moje tobołki, na pewno zauważył, że jestem czerwony na twarzy od ciężaru.

—Nieeee, babci niosę zakupy. Przecież nie zanieś tego sama.

—To może Cię podwiozę? Gdzie ona mieszka? – Niby uczynny, ale widzę, że proponuje to bardziej z ciekawości, niż z dobroci serca.

—Nie trzeba, ale dziękuję za chęci. To tu, niedaleko... Zaraz za mostkiem. Więcej byłoby kołowania, niż to warte. Przy okazji odwalę poranną gimnastykę. A co tam w firmie?

—A, tak sobie. Lutek już odszedł, Grzesiek pojechał do Niemiec, do pracy. Waldek jeszcze czasami pomaga. — Machnął ręką. — Ale dużo mniej już robimy. Nie ma takiej produkcji, jak wtedy... Coraz trudniej coś sprzedać. — „Faktycznie, nie tylko Tobie”, pomyślałem.

—To niech Pan pozdrowi Waldka. Idę, bo jeszcze chwila i będę miał ręce jak szympansi!

—A Ty, co robisz teraz?

—A... — nie wiedziałem jak nakłamać, żeby nie skłamać... — Biznes z dziewczyną otworzyłem. Sprzedajemy bakalie. — A powinienem powiedzieć, że rozdajemy. Bo połowa nie płaci! — Ciężko, ale to początek, zobaczymy. Może firma się rozkręci...

— To nie kłamstwo, to tylko przejęzyczenie. Powinienem powiedzieć, że: „może niedługo firma się przekręci...”, ale po co?

—To do zobaczenia.

—Cześć, Tomek, powodzenia! — „Taaak, my już nawet popłynęliśmy”, pomyślałem.

Przypomniałem sobie, jak to było bezstresowo, kiedy parę lat temu pracowałem w jego zakładzie stolarskim. Na początku było dobrze, co miesiąc podwyżka, z czasem dorobiłem się stanowiska brygadzysty (może trochę na wyrost, bo moja ekipa była trzyosobowa). Ale po paru latach praca ta była coraz bardziej męcząca. Teoretycznie powinienem się cieszyć, bo kierowałem obsługą piły formatowej, do cięższych prac wyganiałem młodszych. Cięliśmy elementy mebli na odpowiedni wymiar. Ale my nazywaliśmy tą pracę pornobiznesem, bo cały dzień rżnęliśmy osiemnastki, czyli płyty meblowe o grubości 18 milimetrów.

Szybko doczłapałem do domu. Pochowałem zakupy. Alicja w łazience. Kąpie się. A ja mam czas na wspomnienia.

Kiedy pracowałem w firmie Marka, kupiłem sobie pierwszą furę – czyli malucha. Oczywiście okazało się, że równowartość tego cuda muszę zainwestować w naprawy.

—W jakim stanie ten maluch? – zapytałem sprzedającego.

—Dobry jest. Lata ma, jak Pan widzi, ale nie miałem z nim problemów.

Nie skłamał. Bo przecież to ja będę je miał. Ale jeszcze o tym nie wiedziałem. Później drugi maluch, polonez, audi 80. Z tym audi też same problemy. Sprzedali mi świadomie auto z niesprawnymi hamulcami.

A tu wiadomo: młody kierowca przesiada się z poloneza do samochodu. Hamulce nie zadziałały. Na tylnym siedzeniu Aśka z Konradem na kolanach. Uderzyli w oparcie. Ktoś życzliwy zawiózł ich do domu. Okazało się po godzinie, że Konrad ma złamaną nogę.

Szpital. Jak zobaczyłem go na łóżku, takiego zmęczonego bólem i wystraszonego, popłakałem się przy oparciu... Nie mogłem przestać.

To było moje pierwsze tak drastyczne zetknięcie z brutalną rzeczywistością. A jak ona, czyli ta rzeczywistość już mnie poznała, to zaczęła coraz częściej odwiedzać. Nie wiem, czemu wybrała właśnie mnie, ale najwyraźniej polubiła moje towarzystwo. Tylko, niestety, nauczenie się tego, jak nie odbierać jej telefonów i uciekać przed nią, zajęło mi sporo czasu. I cierpień.

Na początku widywaliśmy się rzadko.

Drugi raz przylazła, kiedy Asia z Konradem byli na wakacjach we Włoszech. Po powrocie żona naciskała na ponowny wyjazd w to

samo miejsce. Musi tam być nieziemsko...

Pojechaliśmy. Wiedziałem, że to jest głupie. Ale byłem tak wielkim optymistą.

A ona tak bardzo była zachwycona tym krajem.

Coś nie pasowało mi w tej układance. Romans z Italiano...

To był trzeci raz, kiedy Brutalna R. przyszła do mnie. No, tak! To, dlatego tak naciskała na drugi wyjazd. Jaki ja byłem wówczas naiwny!

Niestety, dzisiaj była ze mną na zakupach. Chodziła od pewnego czasu krok w krok za mną. Nie, nie Aśka. Brutalna rzeczywistość.

Próbowałem przez jej ramię wypatrywać szczęścia, ale ono bało się pokazać, gdy rzeczywistość była obok. Szczęście przychodziło tylko czasami, gdy byliśmy z Alicją sami. Zwykle wieczorem, gdy nikt już nie puka do drzwi. To były chwile, dzięki którym chciałem walczyć.

Tego dnia podjęliśmy decyzję, żeby zakończyć działalność. Jutro kupię „Gazetę Wyborczą” i poszukam pracy w zawodzie wyuczonym. Stolarz. Majątku nie zarobię, ale może powoli przepchniemy tą górę zadłużenia i przegonimy Brutalną R. z domu. Tak, świadomie piszę o niej, jak o kryminalistce. Bo to, co robi ludziom, to zbrodnia.

W ten sposób dalej żyć się nie da.

Rozdział 11

Czy będę nowym słoikiem? Nie, bo nie mam nawet pustych słoików. Co jest z tą Polską? Trzeba spieszyć się, jutro wylatuję. Alicjo, kiedy ponownie Cię zobaczę?

*

Po katastrofie z bakaliami musiałem coś zrobić...

Kaczorkowska wydzwaniała, biadoląc o czynszu. Alicja stawała się coraz bardziej nerwowa, było ciężko. Byznys nie wypalił...

Pora wrócić do wyuczonego zawodu. Przecież w tym jestem dobry. Technik meblarstwa.

No to złapałem za hebeleki. Nie! Po pierwsze; nie za ten! Po drugie; to taka przenośnia, że powróciłem do zawodu.

Chwyciłem za telefon. Wykręcam numer z ogłoszenia. Paru stolarzy w Częstochowie proponowało głodowe stawki.

—Ile? Pięć złotych? Pan szuka stolarza, czy stolca?

—Wie Pan, miliard chińczyków tyle zarabia...

—To niech Pan robi szafki w Chinach. Z bambusa! – podziękowałem i odłożyłem słuchawkę.

W końcu znalazłem ogłoszenie dotyczące pracy w Warszawie.

Cyfra, cyfra, cyfra, cyfra-cyfra, cyfra. Dryń-dryń...

—Jutro tam pojedziemy – usłyszałem w słuchawce. – Halo! Firma Dąbek, słucham?

—Witam, właśnie przeczytałem Wasze ogłoszenie...

—A, tak... o stolarza. A Pan kto...?

„Ciastkarcz–betoniarz!”- pomyślałem.

—Technik meblarstwa...

—Czyli nie stolarz! To co mi Pan...

—Nie no, stolarz! Pracowałem i w meblarstwie i w drewnie.

—A długo? – zapytał, wciąż wątpiąc w moje umiejętności.

—Pięć lat.

—Cudów nie ma, a umie Pan co? – wygląda na to, że to nie jest rodowity warszawiak.

—Nie robiłem jeszcze schodów, ale reszta to nie problem. – W słuchawce chwila ciszy. Nawet nie wie, że zastanawia się nad

moją przyszłością!

—Ale wiesz Pan, że to Milanówek, koło Warszawy?

—Tak, tak jest w ogłoszeniu napisane.

—To dobrze, bo niektórzy stolarze po szkole, a takie ćwoki... Jeden to nas w Milówce jakiejś szukał! Wydzwaniał i wydzwaniał. „Jestem już i szukam – mówi, – ale nikt nie wie gdzie wasza firma”. No to ja mówię: od dworca prosto 3 kilometry i w lewo w Morską ulicę.

Nabrał powietrza i znów maluje sytuację.

—To mi znów, ćwok za chwilę dzwoni; „Panie, nie wiem gdzie to... Tu nie ma żadnej Morskiej ulicy. Taryfiarza pytałem...” No to ja pytam: A gdzieś Pan jest? W Honolulu? „Nie... – mówi – w Milówce, koło Wisły...”.

—No to tak, jakbyś Pan w tym Honolulu był... He, he, he, he, bo my w Milanówku koło Warszawy i za cholerę Panu tej firmy do Milówki nie zaciągnę. Bo za ciężka. – Spozregł się w końcu, że nikt się nie śmieje po drugiej stronie słuchawki i wrócił do tematu.

—Dobra, a ile byś Pan chciał zarobić? – Pytanie zostało rzucone w eter bez odpowiedzi, bo ledwie otworzyłem usta, a on już chyba usłyszał odpowiedź – Bo my tu płacimy do 15 złotych za godzinę. Ale to jak kto jest dobry i wszystko umie!

—Tak jestem dobry i dam sobie radę. Tylko co z mieszkaniem? Mam gdzieś szukać w okolicy? Jaki to adres będzie? – Ucieszyłem się, słysząc stawkę. Niech sobie mówi nawet z honduraskim akcentem. Za 15 na godzinę postaram się nie śmiać i zrozumieć, o czym on mówi.

—Mamy tu taki domek koło zakładu. Jest tam teraz dwóch pracowników, ale miejsce jest. To co, pasuje?

—Pewnie, czyli jeśli przyjadę w poniedziałek, to będzie praca dla

mnie?

—Jak Pan będziesz dobry, to i robota będzie.

Ktoś włączył piłę z tamtej strony słuchawki, prawie go nie słychać.

—TO BĘDĘ W PONIEDZIAŁEK. DO WIDZENIA – wykrzyczałem, żeby mnie usłyszał.

—Co!!? Nic nie słyszę, bo mi piłę włączyli. Jak Pan chcesz, to w poniedziałek Pan przyjedź. No...

Klik. Piiip Piiip Piiip.

No to jedziem.

Wysiadłem na dworcu Warszawa Wschodnia. Znam dobrze całą Polskę. Przejeździłem ją wzdłuż i wszerz. Zawsze lubiłem podróże. Ale teraz jest zdecydowanie inaczej. Już od dawna nie mam, tak ważnego, poczucia bezpieczeństwa. Każdy mój kolejny krok, to skok przez rzekę. Może Wisła, to nie Amazonka, ale zawsze coś. Teraz to miasto wydaje mi się obce. Choć, gdy byłem w nim ostatnio, tak podobało mi się tempo życia i wielkość. Teraz widzę jedynie pędzących ludzi, w co drugim widzę oszukanego, lub chcącego oszukać. Pomimo lata – jest mi zimno.

Ale jak powiedziało się A, to trzeba dotrwać do Z, ...a nawet Ż!

Może innym razem wyszedłbym z dworca przyjrzeć się miastu, ale teraz, z tą wielką torbą, wypakowaną „czym chata bogata”? Wsiadłem w osobówkę do Milanówka. Okazało się, że ul. Morska zlokalizowana jest na samym końcu miasteczka, jeszcze za stadniną.

Do biura wszedłem czerwony, niczym Indianin.

—Dzień dobry, dzwoniłem w sprawie pracy. Miałem dzisiaj przyjechać...

Za biurkiem siedzi około 60-cio letni mężczyzna, którzy zmierzył mnie wzrokiem. Pewnie zdziwił się, skąd tu Indianie. W dodatku mówiący po polsku.

—Ale już dzisiaj kogoś przyjęliśmy... – Nogi mi się ugięły.

—No, ale rozmawialiśmy i mówił Pan, żeby przyjechać... – powiedziałem w desperacji. Jako że ja już byłem przepecony po podróży, jedyne, co mogło się jeszcze spocić, to artykuły spożywcze w mojej torbie. I przysięgłbym, że właśnie tak się stało!

Facet jeszcze raz mnie zlustrował.

—A umie Pan coś, chociaż?

—Tak, już wspominałem. Nie robiłem tylko schodów, ale meble i reszta to nie jest problem. Posiadam pięć lat doświadczenia, plus szkoła. Mogę też projektować, robić rysunki, pomiary, wszystko! – Chciałem go zagadać, bo widziałem, że się waha. Gdyby to pomogło, powiedziałbym nawet, że latam na miotle!

– A skąd Pan jesteś? – zapytał, żeby mieć więcej czasu na decyzję.

– Z Częstochowy.– Uniósł brwi, jakby się ucieszył. Pewnie wierzący.

– Noo, świętego to tu jeszcze nie mieliśmy – zabłysnął.

– Dobra, poczekaj Pan. – Wyszedł przed biuro.

– Wojtek! – Wrócił.

– Pójdzie Pan z Wojtkiem, przebierze się. Ma Pan ubranie robocze jakieś?

– Tak.

– No to przyjdzie Pan za chwilę i zobaczymy, coś się Pan naumiał przez te lata. Bo ściemniaczy to tu mamy co chwilę.

—Dobrze, dziękuję. – Przyszedł pracownik i zaprowadził mnie do domku obok zakładu.

Wojtek nie okazał się szczytem wylewności i szczęścia. Pokazał mi wolne łóżko, zapytał skąd jestem, ale mam wrażenie, że nawet nie usłyszał odpowiedzi... Zamknął za mną chatkę i ruszyliśmy z powrotem.

Tam bez zbędnych „ceregeli”, jak powiedziałyby pewnie nowy szef, poprosił kolejnego pracownika, żeby dał mi jakąś robotę i sprawdził efekt.

Poprawiłem parę szaf po poprzednim super-stolarzu i na koniec dniówki wróciłem do biura.

Oczywiście, biznesmen był cwany i widząc, jak zależy mi na pracy, zaproponował 8 złotych.

—Jak Pan pokażesz, że wszystko umiesz, to podniesiemy...

—Ale mówił Pan o 15 złotych? – Przypomniałem, choć bez przekonania. Dobrze wiedział, że jak ktoś przyjeżdża z dalekiego miasta, to albo nie ma do czego wracać, albo wstyd mu będzie wrócić bez kasy. Teraz już wiem, dlaczego pytał właśnie o miasto. Im dalej, tym lepiej. Dobrze, że nie przyjechał nikt z Przemyśla! Dostałby z pewnością 2 zł na godzinę i miskę zupy z buraków.

Całe to miejsce pracy nie byłoby warte jednej wzmianki. Ludzie jakby stojący za murem. Okopani w swoich małych grupach, po dwie, góra trzy osoby. Przecież nie będzie pseudo warszawiak rozmawiał z byle kim. Praca – też nic nowego. Meble ładne i drogie, ale zyski u szefa.

Jest jednak jedna ważna rzecz, która miała miejsce, gdy tam pracowałem. Wieczorami, gdy jako ostatni kończyłem pracę, nadrabiając niską stawkę, wsiadałem na pożyczony rower i pędziłem do centrum miasteczka, gdzie była kawiarnia internetowa.

Rozsyłałem CV pod każdy adres, który znalazłem w Internecie.

Widziałem, że to też nie jest miejsce dające stabilizację, zacząłem więc bardzo intensywnie szukać innej pracy.

W zależności od potrzeb, byłem wybitnym stolarzem, lub sprzedawcą, od którego rybacy kupowali szprotki w puszcze... Z rozpędu prawie wysłałem CV do proboszcza, starając się o pozycję kościelnego, ale w porę przypomniałem sobie, że taca idzie jednak do kieszeni księdza, a nie mojej.

Zdobywanie adresów firm w Warszawie ułatwiał mi też fakt, że w zakładzie stolarskim, w którym obecnie pracowałem, w toalecie zamiast właściwego papieru – była książka telefoniczna Warszawy!

I muszę przyznać, że książka była tak gruba, że w ciągu mojej stołecznej kariery nie udało mi się dojść do litery „Be”.

Ale dotarłem do A...vanti. To była nazwa kolejnej firmy meblarskiej w Warszawie. Krótka rozmowa, ale bez efektów. Nie oddzwonił. Całe szczęście! Bo o czym teraz napisałbym książkę? O warszawskim metrze?!

Dni mijały, a ja pracowałem u Dąbka. Do soboty w warsztacie, a po południu pociąg do Częstochowy, bo tam Alicja...

W sprawie CV przez długi czas też była cisza.

Ale wcale mnie to nie zrażało. Teraz wysyłałem CV jedynie do oferentów pracy za granicą. Ale nadal nic.

W pewnym momencie zaczęli wydzwaniać.

Zbiory do Niemiec.

Kolejny stolarz z Warszawy.

Tłumacz na budowę w Londynie.

Kierowca Taxi w Londynie.

Kilka ofert pracy w zawodzie stolarz w Anglii lub Irlandii.

Na tłumacza umiem jeszcze raczej za mało. Jeśli chciałbym zostać kierowcą, musiałbym przejść miesięczny kurs, nic nie

zarabiając. Odpada.

Zbiory do Niemiec odpadają. Zarobiłbym niewiele więcej.

Zostały dwie oferty. Na początku sprawdzili, czy onderstent. Tak, of kors!

Pierwszy pośrednik poczuł się rozczarowany, że nie znam wszystkich nazw narzędzi i urządzeń w inglisz. Chłopie, pomyślałem, ciesz się, jak znajdziesz kogoś, kto będzie wiedział, co to jest hamer. I módl się, żeby go nie użył przeciwko Tobie!

W drugiej firmie pośredniczącej osoba prowadząca była wręcz przeciwnie. Wykonywała swoją pracę bardzo solidnie. Przeprowadziła ze mną wiele rozmów telefonicznych i za każdym razem, gdy dowiadywała się czegoś nowego, mówiła, że oddzwoni. Oddzwaniała i jak się okazało – w tym czasie wyszukiwała lepszych ofert pracy, bardziej adekwatnych do kwalifikacji.

Uff. Nie pomyliłem się. Dwa trudne słowa w jednym zdaniu...

W końcu wybrała coś dla mnie. Zaprosiła mnie do ich biura w Warszawie i podpisaliśmy umowę.

Pozostało mi spakować się i wrócić do Częstochowy. Wyjazd do Irlandii za trzy dni!!

No to w końcu przyszedł czas. Pożyczyłem Mercedesa Vito od brata i jedziemy do Katowic.

Ja kieruję. Kolega będzie wracał. Jest z nami Agnieszka. Ona jest z nami we wszystkich ważnych momentach.

Niby wesoło, ale nie bardzo mogę się śmiać...

Wyjazd do Warszawy, to był pikuś. Ale teraz jadę do Irlandii, aż 2200 kilometrów!

W plecaku mam pełno jedzenia. Makaron LIDER PRICE, kiełbasa LIDER PRICE, olej LIDER PRICE, chleb, cukier, kawa,

konserwy – wszystko tej samej jakości. Papier toaletowy, też LP, zupki w proszku. Ręcznik, mydło.

Zdjęcia Alicji, to przecież najważniejsze!

Jak tylko sobie przypomnę, że nie mam pojęcia, kiedy ponownie się zobaczymy! Za pół roku...? Jest 25 czerwca 2005...

Może w najbliższe święta?

Przecież ja nie wiem nawet, do kogo jadę. Nie znam tych ludzi. Tu, w Polsce nie było problemu. Wsiadam w pociąg i nawet bez biletu wrócę. Najwyżej z nowym mandatem na koncie... Nic nowego! Jak za którymś razem wracałem z Milanówka, złapali mnie w pociągu podmiejskim. Co miałem zrobić? Dużo ludzi. Nawet wstyd powiedzieć mu prawdę, bo wszyscy słuchają... Bez słowa podałem im dowód osobisty! Ponaglenia do zapłaty „już listonosz niesie”. Zwykły, ale wkrótce polecony.

A ja od tego uciekam, staram się jak mogę, uciec od tej CHOLERNEJ BIEDY i BEZSILNOŚCI w Polsce...

W Polsce, gdzie nic nie da się zrobić bez kombinowania i kradzieży. W Polsce, gdzie żyje się ciągle w biegu. Ale nie w zwykłym biegu. To nie jest bieg do celu, jakikolwiek ktoś sobie zamarzy...

To jest pogoń, będąca równocześnie ucieczką...

Pogoń za dłużnikiem oraz ucieczka przed wierzycielem!

A teraz wiem, że nawet jak schwycę tego, co ucieka, to ten z tyłu pożre nas obu... W moim przypadku nie jest to głównie ucieczka przed długami... Jest to w dużej mierze ucieczka przed tą niemocą! Cóż z tego, że człowiek chce tylko uczciwie pracować i zarabiać? Cieszyć się życiem. Żeby mieć dobrą pracę, trzeba komuś lizać tyłek, albo wbić nóż w plecy. W obu opcjach to robienie czegoś „od dupy strony”. Choć to przenośnia, to najtrafniejsza.

Te myśli dopadają mnie w drodze na dworzec autobusowy, jakbym robił podsumowanie mojego życia. Mijamy Siewierz. A ja jestem zupełnie nieobecny.

—Zapakowałam Ci tam czekoladkę. To sobie później zjesz... – mówi Alicja.

—A jak się nazywa to miasto? – pyta Damian, to on będzie wracał autem. – W Dublinie będziesz, czy gdzie indziej?

—Nie wiem... – odpowiadam mechanicznie, nieobecny duchem. – Ktoś ma na mnie czekać na lotnisku.

—A jak się nie spotkacie? – Zmartwiona Alicja.

—Spotkamy się, już nie panikuj. – I nie wiem, czy bardziej powiedziałem to do Alicji, czy do mnie samego. Przecież w kieszeni mam tylko 45 euro... Na więcej nas obecnie nie stać! Pewnie, że mam cykora! Jak coś nie wyjdzie, to jesteśmy załatwieni! Przecież wciąż mamy zaległy czynsz u Kaczorkowskiej.

Życie jest takie wredne, że ja jej zniknę z celownika, ale Alicja z Dominiką zostają. I znów będą musiały nerwowo wyglądać przez okno...

Idzie... Pstryk!... Telewizor wyłączony... Pstryk!... Pralka zatrzymana w połowie cyklu... Cisza...

Ding-dong, cisza. Ding-dong, cisza. Ding-dong...

—Pani Aluuuu...

Ding-dong...

Alicja zdenerwowana, ale nawet papierosa nie można zapalić, bo gumowe ucho usłyszy.

Właściwie, to ten wredny babsztyl nie bardzo ma powody do zrzędzenia i dobijania się, bo większość kasy dostała po moim powrocie z Warszawy. Ale to właśnie taki typ wrednej małpy, który mimo 70 lat, radzi sobie znacznie lepiej, niż my. Bo potrafi być tak

natarczywa, że zawsze postawi na swoim.

A nam najzwyczajniej w świecie wstyd stanąć twarzą w twarz, bo wiemy, że powinniśmy zapłacić w terminie...

Ding-dong

—Wiem, że Pani jest w domu! Proszę otworzyć. – Taki bezczelny blef, ale jak widać, czasami uzasadniony. Jeszcze trochę postoi i pójdzie. Słysząc jedynie jej człapanie po schodach oraz głośne westchnięcia. Czasami jeszcze trochę postoi, szpiegując. W końcu jednak widać ją, jak buja się w kierunku domu z taką boleścią na twarzy, jakby ktoś z rodziny jej zachorował.

Dworzec.

Zaparkowałem w pobliżu i doszliśmy do holu. Następnie udałem się w kierunku informacji.

—Dzień dobry. Skąd odjeżdżają autobusy do Belgii?

—Tam na dół Pan zejdzie – pokazuje palcem – i po prawej stronie. Wszystkie te stoiska jeżdżą za granicę. Musi Pan po tablicach popatrzeć.

– Dziękuję. Do widzenia.

Wróciłem do holu, gdzie Aga i Damian stali, pilnując bagażu. Jakby było czego.

– A gdzie Alicja?

– Już idzie. – Aga kiwnęła głową w jej kierunku. – Kupiłam Ci zapiekaneczkę. Poza tym, tam w torbce masz jeszcze taki prezencik na drogę. To sobie później otworzysz. – Objęła mnie za szyję i pocałowała.

– Będzie dooobrze. Wrócisz szybko i pójdziemy sobie razem na spacer do miasta, zjemy pizzę... – I znów to samo uczucie; mówi do mnie, czy do siebie? Znaleźliśmy odpowiedni bus. 9-cio osobowy. Zostało jedno miejsce z przodu.

Obok kierowcy. Włożyłem torbę do bagażnika.

Zostało 15 minut... Objąłem Alę. A może nawet bardziej wtuliłem się w nią tak, jakbym chciał ukryć się przed światem... Ona całowała mnie czule po szyi, włosach.

Zacząłem płakać. Nie jakoś głośno, ale ciało mi drgało... Alicja wtuliła się mocniej, chcąc mnie uspokoić, choć wiem, że jej samej też jest trudno...

5 minut...

—Proszę wsiadać! – Głos kierowcy jakby mnie ukłuł... Jeszcze jeden pocałunek. Kiedy następny...?

Otarłem łzy, zebrałem się w sobie, na ile mogłem. Nie chciałem, by Ci z busa to widzieli...

—Kocham Cię! – powiedziałem, patrząc w te piękne, choć dziś bardzo smutne oczy. Tyle w nich było czułości...

—Koootkuuu... – powiedziała cichutko. Puściliśmy swoje dłonie... Wsiadłem. Tak długo, jak tylko mogłem, wyglądałem przez szybę. Stoją razem.

Machają, ale ja widzę tylko Alicję...

Po wszystkim! Zamknąłem oczy, udawałem, że śpię. Nie byłem w stanie z nikim rozmawiać...

Przecież tak niebywale trudno jest rozstać się z kimś, kogo tak bardzo się pokochało. Kogo nie chciałoby się wypuszczać z objęć.

A teraz przez parę miesięcy będę miał tylko wspomnienia. Nie poczuję jej dotyku, jej oddechu na mej szyi...

Alineeeek...

Rozdział 12

Pierwsza lekcja: trzeba mieć olej w głowie, a nie w walizce. Turbulencje. Trzymam się fotela tak

mocno, że aż samolot zwalnia. Ledwo co przyleciałem i już całuję się z szefową.

*

Już wyjechaliśmy z Polski. Kierowca, młody chłopak, tnie tym busem, niczym szalony. Teraz jedziemy do Belgii. Tam mamy opłacony lot z Brukseli do Dublina, a później ktoś ma nas odebrać oraz rozwieźć do punktów docelowych.

Trochę mi przeszło. Już nie jestem taki przybity. Może dlatego, że lubię podróżować? Spoglądam przez okno i widzę, jak tu wszędzie ładnie...Porozmawiałem trochę z Arturem. Też jedzie do Irlandii. Były spadochroniarz z jednostki w Lublińcu. To wyszło w trakcie rozmowy, najpierw poczułem do niego coś na kształt sympatii. Duży wpływ na to mógł mieć fakt, że mnie rozweselał. Nie wiem, czy widział, że jestem przybity, czy po prostu nie obawiał się wyjazdu. Ale obie te możliwości były dla mnie dobre.

Oczywiście, rozmowa w pewnym momencie zeszła na starty i lądowania.

– Nie ma czego się bać – mówi. – Nie pamiętam zbyt wielu lądowań, ale starty bardzo lubię. Wiesz, kiedy słyszysz te silniki, gdy samolot się odrywa od ziemi i leci ostro w górę, to jest jak na karuzeli.

– Nie pamiętasz wielu lądowań? – zdziwiłem się na niby. – To co, mdlejesz przed?

– Ha, ha – roześmiał się. – Nie dla tego, że zawsze mdleję, tylko zazwyczaj wyskakiwaliśmy przed lądowaniem.

– To nie jest, mam nadzieję, zwykła procedura.

– Jest, ale jedynie w samolotach wojskowych, ze spadochroniarzami...Na szczęście dla samolotu, pilot zawsze zostaje.

—A miałeś kiedyś twarde lądowanie?

—Tak – zawiesił głos. – Ale to z żoną. Ja na poligonie, a ona na manewrach w łóżku, małpa!

—Lepiej nie opowiadaj dalej, bo ja właśnie zostawiłem dziewczynę w Polsce...

—No doobra, są lepsze tematy.

W tym momencie chyba nas oboje dopadły wspomnienia, bo rozmowa na chwilę zamarła. Artur zaczął sobie nucić piosenkę Jackowskiego „*Nie wierz nigdy kobiecie...*”.

—No – odezwał się kierowca busa. – Dojeżdżamy do lotniska. Podjadę tylko na chwilę, bo tam nie można za długo stać, a wy szybko wypakujecie bagaże. Wiecie jak dojść do punktu odpraw?

—Taaak – odezwał się ktoś z tyłu.

– No to dzięki za podróż i do zobaczenia. Przywieźcie dużo kasy do Polski. Powodzenia.

Wszyscy zaczęli zbierać swe tobołki, zawijać niedokończone kanapki. Wypakowaliśmy rzeczy i poszliśmy w stronę odprawy bagażowej. Było nas pięcioro. Do odlotu jeszcze zostało trochę czasu. Pierwsza dwójka oddała bagaż.

Teraz moja kolej.

Okazało się, że mam 5 kg nadwagi. To znaczy nie ja, walizka. Mam dopłacić 6 euro za każdy kilogram! 30 euro! Zostanie mi piętnaście...Cholera.

– Weź się nie piernicz...- Artur podszedł do mnie. – Przełóż dwa kilo do podręcznego, bo masz poniżej limitu, a trochę wywal do kosza.

Wyszedłem przed lotnisko i zacząłem przerzucać majątek z dużej torby do małej. Dobra, ale i tak muszę wywalić 3 kilogramy. Cholera, tyle czasu się zastanawiałem, czy mi wystarczy kasy, żeby

kupić sobie cukier, kielbasę, konserwy, a teraz muszę to wszystko wyrzucić.

Ale co robić. Kilo cukru –bach do kosza, olej –bach do kosza, makaron też. Zważyłem jeszcze raz walizkę. Jeszcze troszkę. No to paprykarz szczeciński, również aut. Przepraszam wszystkich mieszkańców Szczecina. To nic osobistego.

Pomyślałem, że zaraz za mną przybiegnie grupa antyterrorystów i będą grzebać w koszu. Ale zapewne nie jestem pierwszym polskim emigrantem, który wyrzuca pół walizki do kosza. Podejrzewam, że przestali przybiegać po pierwszej kontroli. Już to widzę, jak grupa pirotechniczna obstawia kosz, podchodzi do niego osobnik ubrany w skafander i wyciąga... pęto kaszanki!

– To musi być jakiś nowy typ bomby. Po zapachu podejrzewam, że jest to bomba biologiczna.

– Nie, szefie, przepraszam, to ja miałem fasolkę na obiad – wtrącił kolega anty-terrorysta.

To jednak nie moje zmartwienie. Wracam do kolejki i ponownie oddaję bagaż do sprawdzenia.

Ok. Przeszło. Pozostali emigranci poczekali na nas obok odprawy bagażowej. Teraz kontrola osobista, i siedzimy w samolocie. Trochę się boję. Nie wiem, czego się spodziewać. Zapinam pasy zaraz po zajęciu miejsca. Artur siada obok, rozluźniony. Wpuścił mnie na siedzenie przy oknie.

– Ja już się napatrzyłem. A jak będę siedział przy oknie, to przez pomyłkę mogę wyskoczyć.

– Ha, ha... – To był taki udawany śmiech, teraz niekoniecznie chce mi się śmiać. Ale jestem też ciekaw, jak to będzie. Ja po prostu nie lubię karuzeli. A jak powiedział Artur, to może być coś podobnego. Stewardesa nie jest na tyle piękna, żeby się skupić na

niej, zamiast na locie. Teraz mówią, co robić, jak będzie źle...Hmmm.

A jak będzie? Do tej pory miałem wiele pechowych chwil w życiu... Z drugiej strony, jak przeżyłem jazdę z tym rajdowcem do Brukseli, lot to już będzie pestka!

Pilot odpalił maszynę, kołujemy na pas... Start!

Silniki nabierają obrotów, jest coraz głośniej. Ale stoimy w miejscu! Coś nie tak? Może zapomniał wyłączyć hamulców? Cholera, no bo przecież nie zahaczyliśmy o coś skrzydłem? Silniki wyją coraz głośniej. Co jest? Zerkam ukradkiem na Artura... Nie widać po nim żadnego zdenerwowania. Co robić...? Czy to okno się otwiera? Zdążę jeszcze wyskoczyć? Ale co będzie z konserwami w walizce?

Bach!

Ruszył. Moc wciska w fotel. Dobra, dobra, wciska w fotel, ale czuję się, jakbyśmy jechali taczka... Powoli i trzęsie. Damy radę wystartować? Przyspieszenie robi jednak swoje. Pędzimy coraz szybciej, niczym wystrzeleni z procy. Jedynie samolot skacze, jak rower po kostce brukowej... Uuuuu. Trzęsienie ustało. Samolot podrywa się do góry. Bardzo stromo. Teraz dopiero wciska plecy w oparcie... Ziemia oddala się bardzo szybko. Uoooo, niezła jazda. Podoba mi się! Uśmiecham się szeroko do sąsiada.

—Podoba Ci się?

—Odlooot. Dosłownie oraz w przenośni!

—To dobrze, bo myślałem, że tak się zaprzesz nogami, że samolot nie wystartuje...

— Ha, ha. Cwaniaczek! Jakby mnie tyle razy z samolotu wyrzucili, to też bym się przyzwyczaił. Pokaż dłonie.

Artur wyciąga dłonie.

– Co sprawdzasz, czy mi się łapki trzęsą? Ha, ha. - Dumny, z wyższością patrzy na mnie.

– Nie... Sprawdzam, czy nie masz palców poobijanych. Pewnie pierwszy raz, jak skakałeś ze spadochronem, to Cię musieli młotkiem po paluchach walić, żeby Cię od framugi oderwać. – Roześmiał się sąsiad, Polacy za nami również, nawet ktoś z pasażerów. Artur także.

– Widzę, że dochodzisz do siebie. To dobrze, tylko Ty jakoś mówisz po angielsku. To Ty na lotnisku będziesz gadał z kołesiem, który nas ma odebrać.

Skubany, też jest dobry. Znowu mnie trochę zagiął. Po angielsku trochę mówię, dogadam się, ale nie przesadzajmy, z połowę może zrozumiem. A jak zrozumiem tą nieważną połowę?

Nic to, jak mówił Wołodyjowski, będę się martwił, jak się z nim spotkamy. W ostateczności im naopowiadam, że mają iść za nim, a nowy szef obiecał im podwyżkę.

Łądowanie już nie było takie przyjemne. Podobno w Dublinie często wieje, dlatego podczas podchodzenia do pasa rzucało samolotem. Zastanawiałem się, co ten pilot wyprawia? Może to jego pierwsze samodzielne lądowanie? Samolotem trzęsło, a on skręcał to trochę w lewo, to trochę w prawo... Pewnie się zgubił i szukał lotniska.

Nagle samolot zaczął spadać, jakby wpadł w dziurę... No to po nas! Żołądek już miałem w przelyku, dlatego nawet nie potrafiłem krzyknąć! I bardzo dobrze, bo przeraziłbym pasażerów bardziej, niż turbulencje! Ale po 3 sekundach znowu leciał normalnie. To znaczy, nadal nim trzęsło, ale już nie opadał tak gwałtownie, jak wcześniej. Oj! I znowu dziura... Cholera, jak na drodze do Włocławka...Widzę pas, podchodzimy... Samolotem wciąż trzęsie! Mam wrażenie, że

zaraz się to dziadostwo rozsypie.

Łuuuup. Co to, bomba na pokładzie? Nie. Przyziemienie... Bach! Zahamował, aż walnąłem nosem w oparcie przede mną.

Istotne, że już na ziemi.

Zabraliśmy bagaże i drałujemy do kontroli celnej. Duże lotnisko. Ten korytarz szczególnie. Pewnie dlatego po drodze jest z pięć toalet. Człowiek zdąży zjeść, oddać i znów zgłodnieć.

W końcu dotarliśmy. Paszporcik – helloł, następny, paszporcik – helloł, następny... Fabryka emigrantów.

Teraz idziemy po bagaż główny. Idę po swoje, a czuję się, jakbym miał wziąć cudze. Pewność siebie chyba gdzieś po drodze wypadła mi z kieszeni. Ale już po nią nie wracam. Mam drugą. Sięgam po nią i wyciągam. To niespodzianka od Alicji na drogę. Mała, plastikowa figurka misia.

Nawet nie miałem zbyt wiele czasu, żeby o niej pomyśleć. Tyle wrażeń. Co ona teraz robi? Na pewno już wrócili do Częstochowy. Pewnie siedzi w domu i tęskni... O! Poznaję moją torbę. Czekamy na resztę. Już wszyscy odebraliśmy. Idziemy teraz w kierunku wyjścia, a tam mamy czekać koło sklepu z czerwonym napisem Vodafone.

Ile ludzi tu czeka...Jak my go znajdziemy? Jest czerwony sklep. Ktoś stoi obok z kartką „JOBS.PL”.

To ten. Pierwszy Irlandczyk, z jakim rozmawiam. Albo przynajmniej będę się starał. Wygląda na sympatycznego. Przyszedł bez owczarka niemieckiego i nie mówi „Raus, polisze szwaine”, ale:

—Hello, how are things? (Jak tam rzeczy się mają?).

„Tynks? Przecież my nie murarze, może to pomyłka?” Ale odpowiadam:

—Hello. – Trochę się płątam. – We are polish cabinet makers (Jesteśmy polskimi stolarzami).

– Yes. Mr. Palacz...? - Rozgląda się po grupie. Cisza. Nie ma takiego...

– Mr. Kutas...? – Znow cisza... Konsternacja. Przyje***ć mu, czy co?

– Kto jest ku*** - wyrwało się Arturowi i już miał złapać go za kołnierz, ale to ja złapałem Artura w locie i przerwałem mu wypowiedź. Zastygliśmy w patowej sytuacji.

W końcu facet wpada na lepszy pomysł i pokazuje nam listę nazwisk.

- Ou, Yes! Nie Palacz, tylko Paluch, nie Kutas, tylko Kotas. – I tak dalej. Ulżyło nam. Wszystkie nazwiska się zgadzają. On to tylko źle przeczytał.

– All right. My name is Tom. (Wszystko dobrze. Mam na imię Tom).

Dalej poszło znacznie łatwiej. Jeden z nas został zapakowany przed lotniskiem do auta nowego pracodawcy. Pozostała grupa ruszyła z naszym przewodnikiem. Resztę emigrantów wysadził na dworcu kolejowym i tam się rozstaliśmy. Nawet nie mogliśmy wymienić numerów z Arturem, bo ja miałem tylko Polski, a przecież i tak miałem za mało kasy na koncie.

Razem z Irlandczykiem wsiadłem do jego auta i znow tournée po stolicy. Dublin. Pierwsze wrażenia?

Nie bardzo... To jest stolica? Środkiem płynie coś na podobieństwo rzeki.

W wybetonowanym 500 lat temu kanale. Po obu stronach kanału drogi jednokierunkowe, co chwilę przecinane przez skrzyżowania z prostopadłymi ulicami. Po bokach kamienice, budynki publiczne,

sklepy i mnóstwo pubów. Ale to wszystko takie jakieś brzydkie, obdrapane, szyldy wciąż sprzed 50 lat, ręcznie poprawiane farbą. Widać szesnaście warstw pod każdym kolorem. To już nawet na polskim ŚLĄSKU w centrum jest czysto, kolorowo, nowocześnie. A tu Tygrys Europy. Może i tygrys... Tylko czemu taki rozczochrany i brudny?

Ale to za wcześnie na ocenę. Wysiedliśmy przy dworcu autobusowym. Mój przewodnik widział, że jestem zagubiony w nowym miejscu. Sam kupił mi zatem bilet i wsadził od właściwego busa. Powiedział, na którym przystanku mam wysiąść. Nie wiem jak, ale jakoś udało mi się to zrozumieć.

Kolejne pożegnanie. Kiedy zaczną się powitania? Kiedy ponowie obejmę Alicję? Siedzę przy oknie i trochę tępo spoglądam na zewnątrz. Krajobrazy są ładne. Ale te mijane miasteczka coraz mniejsze oraz ciasniejsze. Tak samo brudne i zaniedbane domki z małymi okienkami, jakby miniaturowe. A na obrzeżach miasteczek ładne, nowiutkie domy. Całe osiedla. Co drugie w budowie. To dlatego nas ściągają.

Trzeba im pomóc zbudować nową Irlandię...

No to dojechałem do Castlerea. Kierowca powiedział, że to mój przystanek. Wstałem z fotela i rozglądam się po miasteczku. Wszędzie kręcą się identyczni, rudowłosi Irlandczycy. Kolejny raz żołądek podchodzi mi do gardła. Jak ja kogoś tu znajdę? Wsiadam. Kiedy wyciągałem bagaż z luku, usłyszałem za sobą głos.

—Hello, are You Tom? (Witam, to ty jesteś Tom?).

Obróciłem się. Przede mną stał uśmiechnięty mężczyzna, około 50-ki. Marynarski zarost, lekko rudawy blond. Nie za gruby, nie za chudy. Trochę niższy ode mnie. Podobno pierwsze wrażenie jest bardzo ważne. No to on zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie...

—Yes, Tom. Hello. How are You? (Tak, Tom. Jak się masz?) – zapytałem, bo nie wiedziałem, co innego mógłbym powiedzieć.

—I am fine, and Yourself? (Mam się świetnie. A ty?)– Nie czekał na odpowiedź.

– My name is PAT (Mam na imię Pat). – I uścisnęliśmy sobie dłonie.

Z miejsca poczułem się lepiej. Nie dość, że ktoś na mnie czeka, uśmiecha się z nieudawaną życzliwością, to jeszcze pomaga mi nieść bagaż aż do auta. Pewnie jakby wiedział wcześniej, ile to waży, to by sobie odpuścił.

No tak. I to będzie pewnie mój nowy szef. Przyjechał Toyotą Land Cruiserem.

Srebrnym.

Bagaż buch do tyłu i wsiadamy. Ten bałagan to musi być irlandzka cecha narodowa, bo w aucie trzy centymetry kurzu i metr rupieci. W Polsce takie auto więcej stałoby w myjni, niż na drodze.

—How was the trip? (Jak podróż?) – Starał się rozpocząć rozmowę, widząc, że jestem stremowany.

—Ok. My first flight. (Mój pierwszy lot).

—Yeee? Guele bla ble blalauale (coś mówił, ale nie rozumiałem) ha, ha, ha.

—Jeee –przytaknąłem i też zrobiłem delikatne – he, he...

Facet jest bardzo sympatyczny, widać, że stara się, żebym poczuł się dobrze.

Tylko bariera językowa nie pozwala nam na swobodę.

Mówię po angielsku, ale on chyba nie... No dobrze, mówi, tylko ma taki akcent, że za cholerę go nie rozumiem!

– Do You like to work in a workshop, or fishing...?

Fishing?! O co on się pyta? Czy wolę pracować w zakładzie, czy

wędkować? To chyba nie jest podchwytliwe pytanie...?

– Workshop – odpowiedziałem na wszelki wypadek. Dopiero po tygodniu dowiedziałem się, że nie chodziło mu o wędkowanie, tylko pracę na wyjazdach, przy montowaniu mebli u klienta...A przez ten irlandzki akcent zamiast „Fitting”, usłyszałem „Fishing”...

– Any family left in Poland? Wife, kids? (Jakaś rodzina zostawiona w Polsce? Żona, dzieci?) – Pokazuje na obrączkę, dla uproszczenia.

– Yes. Son. And girlfriend (Tak, syn i dziewczyna).

– How old? (W jakim wieku?).

– 14.

– Girlfriend or son? (Dziewczyna czy syn?) – zapytał, śmiejąc się ze swojego żartu.

– Forteen?! - Zerknął na mnie zdziwiony i rozbawiony. Jeszcze raz ocenił mój wiek. - Hou, hou, hou, good man!!! - roześmiał się z sympatią, a dla mnie zabrzmiał totalnie jak święty Mikołaj z reklamy coca-coli... Zapomniał tylko dodać: Merry CHristmas!

Przejechaliśmy parę kilometrów od przystanku autobusowego. Co drugi mijający nas kierowca kiwał na powitanie. Znają go tu. Minęliśmy tablicę z napisem Williamstown. To tu. Wjechaliśmy do miasteczka. No dobrze, nawet „miasteczko”, to przesada. Skrzyżowanie w kształcie litery „T”. Przy nim mały placyk, trochę domków i jak się później okazało, niemal tyle samo pubów. Kościół, sklep, stacja paliw.

Skreśliśmy w lewo, w nóżkę litery T. Po paruset metrach zwolnił. Zobaczyłem dom wybudowany wzdłuż drogi, parterowy z poddaszem. Stare budownictwo, ale zadbane. Po lewej stronie mały parking i trochę samochodów, natomiast za nim stoją dwie hale równoległe do siebie, z dróżką pomiędzy nimi. Zapewne to

właśnie jest warsztat. Auto zatrzymał z tyłu domu. Kazał zostawić bagaż w środku. Mam się tylko przywitać z jego żoną...Weszliśmy do środka, znaleźliśmy się w kuchni.

– Hello, My name is Eithne, How are you? (Witaj, mam na imię Eithne, jak się masz?).

W moją stronę ruszyła niska, też około pięćdziesięcioletnia kobieta, mająca krótkie, blond włosy i równie przyjacielski uśmiech... Taki, jak u męża. Wyciągnęła daleko przed siebie rękę na powitanie w sposób, który mówi: „Cieszymy się, że jesteś”. Nie spodziewałem się tak ciepłego powitania... Tak mnie oboje rozkleili, że nie myśląc wiele, objąłem i uściskałem szefową, jak ulubioną ciocię, której dawno nie widziałem.

—UUU, ha, ha, ha – roześmiała się zaskoczona. – Tea or coffie? (Herbaty, kawy?).

—No, thanks. (Nie, dziękuję).

—I'll take him to the house. He is tired, I think. (Zawiozę go do domu. Myślę, że jest zmęczony).

Wsiedliśmy ponownie do auta. Zawróciliśmy do miasteczka, ale tuż przed skrzyżowaniem skręciliśmy w lewo, na nowobudowane osiedle. Zatrzymaliśmy się przy pierwszym domu. Było to osiedle „bliźniaków”. Przed każdym mały podjazd dla samochodu. Z tyłu małe podwórko. Wszystko ogrodzone. Cały domek obsypany drobnym kamieniem, przyklejonym do tynku. Białe okna, ciemny dach, coś podobnego do dachówki. Pat – w ten sposób kazał do siebie mówić - otworzył drzwi.

Weszliśmy do przedpokoju. Z prawej strony znajdowały się schody na piętro. Drewniane, z drewnianą balustradą. Po lewej wejście do saloniku. Wszystko umeblowane, włącznie z bibelotami. Kominek, skóropodobny, czarny zestaw 3+1+1. Telewizor. Na

końcu podwójne drzwi, prowadzące do kuchni. Ściany wszędzie w kolorze magnolia. Całe wyposażenie nowiutkie... A kuchnia... odlot! Meble z drewnianymi frontami, półwyspem. Wbudowane AGD, zmywarka...

To ja w domu w Polsce tak nie miałem... Pięknie. Pat otwiera lodówkę, pokazuje mi, co jest w szafkach. A tam wszystko! Pieczywo, masło, mleko, szynka, pomidory, ser. W szafkach kawa, herbata, ciastka, ...wszystko!!! A przy tym zachowuje się, jakby to było oczywiste. Gdzie ja trafiłem? Może ten samolot jednak się rozbił, a ja, nie wiedzieć czemu, trafiłem do raju?

– Do You have any money? At the beginning? (Masz jakieś pieniądze, na początek?) – Zrobiłem głupią minę, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie zastanawiając się wiele, wyciągnął sto euro i mi podał...

– Thank You - powiedziałem, a miałem ochotę rzucić mu się na szyję...

– I'll collect You at 8 o'clock. See You tomorrow. (Podjadę jutro o 8, do zobaczenia).

– See you, thank You Very much. (Do zobaczenia, dziękuję bardzo).– I zostałem sam...

Walizka znajduje się w przedpokoju. Ja stoję koło niej i... co dalej?

Stres, zaaferowanie podróżą, wszystko właśnie mija. Teraz dopiero zaczynam myśleć.

Nie boję się tego, co jutro. Przynajmniej, jeśli chodzi o meblarstwo. Tutaj z pewnością większych kłopotów nie będzie. Drewno mogę w rękach porozbierać wzdłuż sło i złożyć z powrotem, jak kostkę Rubika.

Ale jak będzie w pracy? Czy wszyscy przyjmą mnie tak samo

serdecznie, jak szef? A co w Polsce? Jak Alicja radzi sobie z tą zgagą? Może będzie mieć chwilę spokoju. Kaczorkowska wie, że właśnie wyjechałem do pracy. Chciałbym jakoś dać znać, zadzwonić do Polski, że dojechałem na miejsce, ale jest już późno... Nie wiem nawet gdzie szukać budki, lub czegoś podobnego. Pozostaje mi poczekać do jutra. Jedyne, co mogę zrobić, to wyspać się przed rankiem. To na pewno będzie trudny dzień.

Póki co, wszedłem do kuchni, zrobiłem sobie kawę i zjadłem parę herbatników. Kolacja z polskich zapasów, coś do pracy na jutro. Włączyłem TV, żeby móc czymś zapełnić ciszę, zapaliłem torf w kominku. Usiadłem w wygodnej, skóropodobnej kanapie. Rozejrzałem się dokładniej po salonie. Wszystko nowe, nieużywane. Skoro lokują mnie w takiej chatce, to wydaje się, że nie jest źle.

Najedzony i wstępnie odstresowany, wiedziony ciekawością, rozpocząłem dokładniejsze zwiedzanie posiadłości. Na zewnątrz już ciemno.

Za kuchnią znajduje się pralnia, drzwi na małe podwórko oraz drugie drzwi do toalety. Wszedłem na górę. Tutaj są trzy sypialne i łazienka. Mój pokój ulokowany jest po prawej stronie. Niezbyt wielki, ale mieści się tam łóżko, pościel, szafa, biurko. Druga sypialnia na wprost schodów podobna, tylko większa. Zaraz obok drzwi do łazienki. Kafelki, wanna. Wszystko jak trzeba. Po lewej największa sypialnia, z oknem na podjazd. Ale to łóżko! Olbrzymie, King Size. Metalowy stelaż ozdobny. Nowiutka, piękna pościel, upięte zasłony w oknie i prywatna toaleta z prysznicem. Na takim dziadu z Polski zrobiło to ogromne wrażenie. Westchnąłem sobie smutno. Może jutro dowiem się, co oni robią dużo lepiej od nas, że żyją tak, jak u nas klasa więcej niż średnia...?

Teraz pozostało mi wziąć prysznic. Nie, nie, nie chcę brać

prysznic i zwiewać, tylko zmyć brud z podróży. Albo nie, lepiej popływam w wannie. I do łóżka. Dobranoc, Alicjo...

Jutro rozpoczynam pierwszy dzień pracy w nowym miejscu.

Rozdział 13

Poznaję Jarka i resztę polskich emigrantów. No, to trzeba się napić. Stawiam flaszkę, bo jestem nowy.

Teraz on stawia flaszkę, bo wcześniej to ja postawiłem. Teraz on przyszedł z flaszką, bo żonę zostawił w Polsce. Pedancik lubi trójkącik, zatem przyszedł z dwoma flaskami. Ale to nie pomaga. Tęsknię.

*

Pierwszym Polakiem, którego poznałem w Irlandii był Jarek. Niski, szczupłej budowy, wygolony na łyso. Ubiera się w stylu „lekki Hip-Hop”. Słucha polskiego hopu. Kiedy przyjechałem, on już pracował w tej firmie. Typ impulsywny, a może bardziej ekspresyjny, ale zawsze chętny do pomocy. Bardzo miło mnie tu przyjął. Mieszkał parę domów dalej. Na początku pracowaliśmy razem na wyjazdach, montując meble w szpitalach, szkołach i na osiedlach. Spotykaliśmy się również po pracy.

Po pewnym czasie zacząłem pracować w warsztacie. Nadal jednak wyskakiwaliśmy czasem do pubu, lub spotykaliśmy się na domówkach. Polubiliśmy się z Jareckim.

Wtedy poznałem większość lokalnej społeczności polskiej w Williamstown. Rychu, z którym mieszkał Jarecki. Pedancik, Wojtek i Ola, jego żona. Oni mieszkali w domu obok mojego. Do tego domu przeprowadziłem się po tygodniu. W kolejnym budynku mieszkał Janusz wraz z żoną i dzieckiem. Nie bez powodu piszę

oficjalnie, jak w „koncercie życzeń”. To była para tak wycofana ze społeczeństwa, że dalej może być już jedynie przepaść...

Oboje młodzi, mający dwadzieścia parę lat, jednak udzielali się w towarzystwie, niczym para nieboszczyków. Pochowanych rok temu. Tylko raz, zaraz po jej przyjeździe, wybrali się na spotkanie z nami. Pewnie tylko po to, by ona mogła zbadać, gdzie jej mąż szlajał się, jak jej nie było. Mogę śmiało przytoczyć całą rozmowę, w której uczestniczyli.

—Cześć, a ja – Aldona. Nie. Tylko sok pomarańczowy. Cześć.

Od tej pory słuch o nich zaginął, choć chodzą plotki, że „oni wciąż tam płyną” – jak śpiewał Panasewicz w „Titanicu”. Później, ale to już po latach, ona powróciła na pierwsze strony polonijnego magazynu plotkarskiego „Z ust do ust”, ale to już inna, odległa w przyszłości historia.

Kiedy już sobie poszli, spotkanie toczyło się dalej, nie posiadając już tak oficjalnego charakteru.

Co robią polscy emigranci na wygnaniu, kiedy żona daleko, lub nigdy jej nie było?

Piją wódkę. Powody są dwa; nuda lub tęsknota.

Aha, jest jeszcze trzeci powód: potrzeba! Ten wariant dotyczy dosyć dużej grupy polskich emigrantów alkoholowych, którzy uciekają za granicę, żeby nikt nie zabraniał im pić na umór. Żona, kochanka, czy mamusia...

Jeśli chodzi o mnie, to było to połączenie tęsknoty i nudy. Alkohol był tu drogi, ale większość z nas zachłysnęła się „bardzo znośną lekkością bytu”. Wszystko tutaj przychodzi łatwo. Objechanie całej Irlandii w celach turystycznych, to 50 euro za paliwo. Paliwo jest tańsze, niż w Polsce. Biurokracja, to słowo tutaj nieznane. Tak jak w Polsce słowo „niepijący”. Za naszą tygodniową pensję możemy

lecieć na tydzień wakacji na Teneryfę. I dla nas wódka ma być „za droga”?

I jak już przychodził weekend, dziewięćdziesiąt procent machinalnie sięga po kieliszek.

Tak było i tego wieczoru.

—No to zdrowie! – Bo nie ma tu Alicji, pomyślałem.

—Na zdrowie! – Bo nie ma tu ani Alicji, ani żadnej innej Helenki. To pomyślał zapewne Jarek.

—Jak tam, Rychu pobalował na Teneryfie? – spytałem o wrażenia.

—Zaje***ście, mówi, że fajki i wódka tańsze, niż w Polsce! Paczkę fajek kupili za dwa-pięćdziesiąt, a litrową flaszkę możesz kupić za cztery euro. – Jarecki już się nakręca, jak zawsze, kiedy coś opowiada.

—To dobrze, że w Polsce zasiłek trzeba odbierać osobiście, bo wszystkie „pijaki” znad Wisły wyemigrowałyby na „Kanary” – zauważyłem.

—Nie tak łatwo, musieliby najpierw sprzedać butelki, żeby uskładać na bilet – powiedział, natomiast ja polałem następną kolejkę.

—Podejrzewam, że nawet na nogach by zadreptali. Ruscy na kacu do Berlina doszli! – Rozłożyłem dłonie, pokazując, że można.

—Ha, ha! Pewnie im Stalin powiedział, że w Berlinie w kranach jest spirytus.

– Wychyliliśmy kolejną dawkę „uśmieżacza”. Jak to u samotnych emigrantów, przekąska nie jest obowiązkowa. Przekąsiliśmy solonymi orzeszkami.

—A co, czytałeś książkę Piaseckiego, „Pamiętnik Czerwonoarmisty”? – Skojarzyłem jeszcze jakoś fakty.

—Tak, najlepsze było to, jak jedli banany w skórkach.

—Aaa, tak. I nie wiedzieli jak, to je maczali w musztardzie. Niezłe. Dwa razy ją czytałem – ciągnę dyskusję.

—A wiesz, że znam jeszcze lepszą historię? Prababcia mojej koleżanki miała przejścia z czerwonoarmistami.

—Tak? Nie wiem, czy chcę słuchać. – Podniósł rękę do góry, jakby witał się z kimś stojącym daleko.

—To akurat jest śmieszne. Jeden z nich zobaczył babkę, siedzącą przed domem.

—I chciał babcię... – nie zdążył dokończyć, bo przerwałem mu szybko.

—Nie, choć może taki był zamysł, kiedy podchodził do niej. Ale Prababcia już wtedy była babcią.

—Pewnie nie był w potrzebie – zasugerował Jarek, znając trochę historię.

—Tak, prababcia miała już z 60-tkę. Ale rusek przez chwilę stał i nie wiedział, co powiedzieć. Użył podstępny, żeby sprawdzić, czy w chacie nie ma młodszych kobiet...

—Ha, ha, ha.

—Poprosił o szklanę wody. – Mrugnąłem okiem. – Kobieta powiedziała, że zaraz przyniesie, ale on poczłapał za nią. Żadnej innej dziewczynki nie uwiódł, ale doznał szoku, kiedy prababcia nalewała wodę do szklanki.

—Co, w życiu szklanki nie widział?

—Blisko. Kranu. Zobaczył, że woda leci ze ściany. Podeszedł do niej, odsunął wystraszoną babkę i wyrwał kran ze ściany.

—Co?! Po co mu wyrwany kran?

—Myślał, że zamontuje sobie w domu w ścianie i woda polec...

—Ha, ha, ha, to czubek. – Na chwilę zapadła cisza, bo nie

wiedzieliśmy, czy śmiać się z ludzkiej głupoty, czy płakać nad ludzkim losem.

– Ty, a będziesz miał dzisiaj jakąś kanapkę? Bo zaraz się „zwichnę” tu bez przekąski.

– To polej jeszcze po jednym, a ja Ci coś przyniosę. – No to polałem.

– Ciach! – Ale zanim Jarecki poszedł do kuchni, zdążyliśmy przewrócić trzy kolejki.

– No to, zdrowie! – Ale to będzie mi potrzebne jutro. Dzisiaj jest dobrze. Tęsknota się zaciera. Co za ulga.

– To jeszcze mi zrób kawę! – zawołałem, jak już był przy lodówce. Kiedy Jarek robił wielki hałas, starając się opanować „sztorm”, który niespodziewanie go dopadł, usłyszałem chrobotanie klucza w zamku. Zapewne wraca z pracy Rysiek, jego współlokator.

– Cześć, Rychu! Ktoś musi pracować, żeby pić mógł ktoś... – krzyknąłem rozweselony alkoholem, zanim jeszcze go zobaczyłem.

– Cześć, a zostało coś dla spragnionego wędrowca? – zapytał, rozbierając się w przedpokoju. Nastąpiła chwila ciszy, przerywana jedynie hałasami, dobiegającymi z kuchni.

– Ty, co Ty tak długo robisz w tym przedpokoju? Do naga się rozbierasz? – zapytałem.

– A co, są jakieś dziewczyny? – rzucił, wchodząc do pokoju. Za nim weszli jeszcze Wojtek i Pedancik. Pewnie wyczuli alkohol swymi wyćwiczonymi, fioletowymi nosami.

– Siema! – przywitał się Wojtek.

– Cześć, hebelek! – Teraz wszedł Pedancik. Już po głosie orientuję się, że też jest już mocno „procentowy”.

– Ty, to musisz mieć przyssawki na odnóżach. – Postanowiłem nie pozostać mu dłużny.

– Przyssawki? – Dał się podejść. Pedancik pracuje, jako cieśla. Większość dnia spędza na dachu.

– Bo normalnego człowieka to by przy takim wietrze zrzuciło z dachu, a Ty się go trzymasz, jak mucha kupy.

Właśnie szykował się, żeby coś mi odpowiedzieć, ale zabrakło mu czasu. Uwagę wszystkich odwrócił Jarek, wracający z chwilowego niebytu.

Kiedy szedł z kuchni do salonu, potknął się o coś w drzwiach.

– Co to, k*** jest! – Starał się tym trzeźwiejszym okiem dostrzec przeszkodę, spoglądając w dół.

– Piłka – krzyknął ucieszony. Spojrzał na nas, coś nie pasowało mu w tym, co widzi. Kiedy szedł do kuchni, była tylko jedna osoba, oprócz niego. On był w kuchni, więc w salonie powinna zostać tylko jedna sztuka. Starał się więc policzyć stan. Wyszło mu 12 osób. Podzielił to na dwie części i było wiadomo ilu nas jest. Mniej-więcej.

– Sześciu. Jest drużyna. Idziemy pograć w piłkę? – zapytał, wnosząc kawę i kanapki.

– Co Ty, taki narąbany? Przecież nawet końca boiska nie zauważysz. Ledwie na nogach stoisz. Jak chcesz z kimkolwiek wygrać? – zauważył trzeźwy i nudny Wojtek.

—Wygramy – powiedział z przekonaniem Jarek.

—Skąd te wnioski?

—Bo jest „spirit” w drużynie... – nawiązał do gry słów, przy okazji polewając. Polewając do kieliszków i resztę po stole.

– Ha, ha, aż za dużo – powiedziałem. - W drużynie jest taki „spirit”, że zaraz go wyzioniesz...

– A propos „wyzioniesz” – zagaił Jarek – możesz odsunąć się na dystans? – Powiedział do Pedancika, bo chciał przejść wokół stołu i napełnić kolejne kieliszki, przyniesione bez słowa przez Ryśka. -

Bo ja już jestem pijany. Ale jak jeszcze tak chwilę postoję w twoich wyziewach, to będę „dętka”.

I starał się go trochę odsunąć od siebie ręką, ale w wyniku pogorszonej wyziewami koordynacji, sam przewrócił się na kanapę, nie przesuwając Pedancika nawet o milimetr.

—Wygląda na to, że muszę już iść. — Starał się podnieść, ale Pedant lekkim dotknięciem palca usadził go ponownie.

—Nie no, muszę iść. — Nie dawał za wygraną. — Mam kupę do zrobienia.

—To wal tutaj.— Wojtek pokazał palcem toaletę.

—Nieeeee, potrzebuję trochę prywatności.

—No to toaleta jest świetnym miejscem na prywatność. Zapewniam, że nikt nie będzie Ci tam przeszkadzał. A co Ci jest? Depresja, czy sraczka?

Kto zrozumiał, lub dosłyszał, zaczął się śmiać.

—Wiesz — powiedział Jarek filozoficznie — Ty nie rozumiesz polskiej duszy. Polak — podniósł wzniośle palec wskazujący — to musi być nieszczęśliwy, żeby być szczęśliwy. — Z jego głębi wydobyło się czknięcie pijackie. Ale nie poddał się;

— Bo jak Polak jest szczęśliwy, to jest naprawdę nieszczęśliwy...

I ponownie okazało się, że upojenie pomaga jedynie na chwilę, bo po paru kieliszkach więcej i tak znikamy w odmętę melancholii.

Podobno tego wieczoru poznaliśmy też Kazika i Józefa, zwanego Dżozefem. Albo raczej to oni poznali nas. My niewiele z tego spotkania nie pamiętamy. Przyszli, kiedy ja już zmierzałem chwiejnym krokiem w stronę domu, natomiast Jarek spał w najlepsze na fotelu. Poznaliśmy się, oczywiście następnym razem, w cywilizowanych okolicznościach.

Dwoje starszych gości z klasą. Już nie pamiętam skąd pochodzili,

ale to były osoby – szczególnie Kazik – z którymi przyjemnie było spędzać czas i to nawet bez alkoholu! Jak większość Polaków, pracowali na budowie. Ze względu na wiek, po pewnym czasie wrócili na stałe do Polski i nasz kontakt urwał się nieoczekiwanie, jak ostatni listek z rolki. Wiadomo, czego. Szkoda.

Tak było na początku. Chwilowe znajomości, ludzie przewijający się przez naszą historię i znikający, co najmniej jak zawartość flaszki u emigranta...

Rozdział 14

Jak to się pod czaszką czasem pie*. Znalazłem pracę dla Alicji. I teraz myślę tylko o jednym. Co zrobię, jak przyjedzie. Ale czy, aby na pewno przyjedzie?**

*

Bzzzz, bzzzz,

Cicho.

Bzzzz, bzzzzz,

To chyba do mnie. Zwlekam się łóżka. Ktoś nie może spać!

Otwieram drzwi, a tam stoi profesor Lew-Starowicz z notesem w ręku.

—Dzień dobry. Nazywam się Zenon Obnośny, choć zaznaczam, że prowadzę handel obwoźny. Ale przyjaciele mówią do mnie „Obleśny”.

—To świetnie – odpowiedziałem. – Aż boję się zapytać, co chce mi Pan sprzedać, bądź raczej... „wcisnąć”! – dodałem, bo byłem zbyt zaspany, żeby być miłym.

Bzzzzz, bzzzzz – nacisnął ponownie dzwonek.

—Co Pan robi? Przecież drzwi są już otwarte? – zapytałem.

—Och, nie zauważyłem. Przepraszam. – Teraz podniósł palec wskazujący.

—Czy chciałby Pan zasmakować, choćby odrobinę seksu? – I znów nacisnął dzwonek, ale tak jakby jeszcze mocniej.

BZZZZZZ, BZZZZZZ.

– Panie, a czy ja wyglądam na takiego, co by chciał? – zadałem pytanie retoryczne, ale odpowiedź była dla mnie oczywista, zatem jej nawet nie oczekiwałem.

– No właśnie – ucieszył się. – Więc to już uzgodniliśmy. Następne pytanie: woli Pan być „na górze”, „czy na dole”?

– Chłopie, o czym Ty w ogóle mówisz!? – Teraz już zdenerwowałem się. – Ani tak, ani siak, ani nawet po środku!

Podniósł rękę, dając tym samym znak, że rozumie.

– Dobrze, woli Pan obserwować... – Coś zanotował w swoim zeszytcie. Teraz podniósł ołówek do góry, jakby układał w głowie następne pytanie.

– Czy woli Pan uprawiać seks w święta kościelne, czy państwowe? – powiedział, spoglądając ponownie w swój notatnik.

—Problem w tym, że wcale nie uprawiam seksu! – krzyknąłem. BZZZZZZ, BZZZZZZ!!!

—Ty, dziewica, wyłączysz w końcu ten budzik? – usłyszałem jakiś głos w oddali. To Wojtek?

Jeszcze raz otworzyłem oczy. Jestem znów w sypialni. Na piętrze. Wygląda na to, że ostatnie zdanie wykrzyczałem przez sen. Ale kicha!

BZZZZZZ, BZZZZZZZZ!!!

Budzik. To tylko budzik. Co za ulga. Wyłączyłem go szybkim ruchem.

Teraz przez chwilę leżałem bez ruchu, wracając do siebie.

Spojrzałem na zegarek.

No, siódma.

Rytm serca wraca do normalności. Ufff. Wszystko jest dobrze. To jedynie sen.

Jeszcze chwilę delektuję się wygodnym łóżkiem, pachnącą nowością pościelą. Mimo, że ja nie jestem w świetnej formie po wczorajszej imprezie, to czuję się niczym nowo narodzony. Nawet ból głowy nie przeszkadza. Po chwili zaczynam delektować się sytuacją. Nikt nie zadzwoni w sprawie czynszu. A co jeszcze miłsze – nikt nie zadzwoni do Alicji w Polsce w sprawie kasy. Przesłałem już zaległy czynsz. Możemy spać spokojnie. I wstaję chętniej, mając przed sobą dzień w Firmie. Dzień bez problemów, gdzie już jestem doceniony bardziej, niż przez całe moje życie w Polsce. Finansowo, jak i werbalnie.

Wstaję. Toaleta poranna, śniadanko. Przy śniadaniu irlandzka TV. Fatalna. Dwa programy, w których właściwie nic nie ma. Tym bardziej, że nie mówię jeszcze tak płynnie po angielsku, żeby „kumać czaczę”. Może kiedyś, tak już szarżując w rozpieszczaniu się, przywiozę polską satelitę. A w drugim pudełku Alicję.

A jak już dowiozłbym ją w całości do domu w Williamstown, rozpakowałbym ją do granic możliwości.

Minęły już dwa tygodnie od rozpoczęcia pracy w nowym miejscu. Powoli przechodzę z diety makaronowej, (bo najtańsza, razem z sosem lub jajkiem wychodzi 1 euro za obiad) na coraz bardziej zaawansowane dania.

Dziś będę jadł ziemniaki z udkiem z kurczaka. Na surówkę muszę jeszcze poczekać. W tej chwili są ważniejsze wydatki. Nie wiem, w jaki sposób robi się sos. Dlatego opiekłem udka trochę mocniej na patelni. Ziemniaki obficie okrasilem olejem. To, co

przywarło do patelni podczas opiekania kurczaka delikatnie zdra pałem i wrzuciłem na ziemniaki. Teraz to trochę bardziej przypomina obiad. Do tego dzbanek herbaty z cukrem.

Mniaaaam.

Staram się wyobrazić sobie, że to kotlet schabowy w panierce, ziemniaki i mizeria.

No, faktycznie mizeria. Prawie sobie zęby połamałem na tym schabowym, bo zapomniałem, że jest z udka robiony. Mogłem sobie wyobrazić precyzyjniej, że to schab z kością był. Teraz by mnie zęby nie bolały.

Nic to. Jutro kupię sobie puszkę fasolki. I wyobrażę sobie, że jest po bretońsku. Ubrałem się. Czas na zakupy. I najważniejsze – telefon do Alicji. Dziś do pracy przyszedł nowy. Harry. Uczeń chyba, bo młody łebas. I taki wiecznie śpiący. Jak ma wkręcić gdzieś wkręta, to najpierw pięć razy wyznaczy miejsce całówką a potem jeszcze obejrzy każdy wkręt wzdłuż gwintu dwa razy.

Gdyby to tacy ludzie jak on budowali Irlandię, to myślę, że właśnie kończyliby zastanawiać się, gdzie wykopać dół pod kamień węgielny.

Ale również i tacy ludzie mają jakąś misję w życiu. Jakiś sens istnienia. Jego właśnie się objawił. Harry powstał po to, żeby powiedzieć do mnie:

– Hełoł, Tom. – Kiedy spotkałem go, pracującego w lokalnym sklepie. Oczywiście to byłoby za mało, ale zaraz objawiła się reszta jego wielkiej misji.

– To Ty tu pracujesz? – zapytałem zdziwiony. Przecież widzę go każdego dnia w zakładzie, jak stara się naśladować ruchy stolarzy. Czyli według niego samego– tyra ponad ludzkie pojęcie.

—Tak, trochę nadgodzin.

—W jaki sposób otrzymałeś tę pracę? – zapytałem, zastanawiając się, jak taka ciapa może być tak obrotna.

– Spytałem Charliego. A co, też chcesz pracę?

– Tak, ale dla mojej dziewczyny.

– Idź i spytaj, on jest z tyłu sklepu. – „Uuups”, pomyślałem, ale czad!

– Harry, jak Alicja dostanie tę robotę, to masz u mnie kufelek. – A w myślach dodałem: mogę ten kufelek wypełnić nawet złotem. Bo jak załatwię Ali pracę, to przyjedzie nawet jutro. A wtedy będzie wszystko. I seks będzie, ... i seks. A nawet SEKS!!! A prócz tego, będę miał Alicję obok, do przytulania i całowania. Do rozśmieszania i rozbierania.

I zrobię z nią parę rundek po mieście, żeby się pochwalić. I wszystko z nią zrobię.

Tak właśnie Harry wypełnił swą misję życiową. Teraz już może odejść na emeryturę. A jak już zacznie iść, to przy jego prędkości zdąży przed 60-tką. Dziękuję Ci i życzę gumowych słupów na drodze do renty.

Wziąłem głęboki oddech i zasuwałem w głąb sklepu.

– Witam, mam na imię Tom, czy mogę rozmawiać z Charliem? – zapytałem jakąś kobietę na stoisku mięsnym.

—Tak, sekunda, zawołałam go.

Napięcie rośnie. Krew pulsuje mi w rytm melodii z filmu „Szczęki”;

TU, tu, TU, tu, Tu, tu. Łiiiiii, Łiiii, Łiiiiiii!!!

Słyszę skrzypienie drzwi. Wyłania się zza nich coś wielkiego. Najpierw czubek nosa. Rekin? Później wysuwa się brzuch i reszta w logicznej kolejności. Wydaje mi się, że ma ponad dwa metry wzrostu, zęby jak wampir, albo kapitalista. Poczuję się nagle taki

malutki, niczym mrówka przy nim.

– Hello! – krzyknąłem nienaturalnie głośno, ale tak by właśnie krzyknęła mrówka, która boi się być rozdeptana.

– Hello – odpowiedział lekko zaskoczony tonem mojego głosu.

– Mam na imię Tom, pracuję w Furniture LTD. – Nabrałem powietrza, bo wydawało mi się, że powietrze schodzi ze mnie, niczym z balonika i wiedziałem, że muszę je szybko uzupełnić, by zamiast przemowy nie wyszło balonikowe pierdnięcie...

– Moja dziewczyna szuka pracy. Harry powiedział mi, że możecie potrzebować kogoś. – Zrobiłem najmiły wyraz twarzy, jak tylko potrafiłem. Myślę, że ten wyraz twarzy powinno się wysyłać do kosmitów, jako powitanie. Widząc go, nie byliby w stanie zareagować agresją. Podejrzewam, że zamiast mnie, Charlie widział przez moment kota z maślanym wzrokiem z filmu „Shrek”. Pewnie nawet dostrzegł w mych dłoniach wymięty kapelusz.

Bo zadziałało!!!

– Tak, może zacząć w poniedziałek. – Ale nagle zobaczyłem, że po jego twarzy przebiegł grymas. – Czy ona mówi po angielsku? – Poczułem, jak jeżą mi się włosy. Nawet na plecach, choć ich tam nie mam. Ale wrażenie jest tak realistyczne, że pewnie właśnie mi wyrosły.

Znów zastosowałem spojrzenie kota z filmu „Shrek”. Nawet sam już widziałem pomięty kapelusz w moich dłoniach.

– Tak, podstawowy. Bardzo podstawowy. – Dodałem ciszej, tak, żeby nie usłyszał. Charlie popatrzył na mnie chwilę.

– Dobrze, poradzimy sobie. Przyślij ją w poniedziałek.

– O której? – wypiszczałem, bo nie potrafiłem już wydobyć z siebie normalnego głosu. Patrzyłem na Charliego, ale przed oczami miałem już nagą Alicję. Przytuliła się do mnie i pytała:

„Może piwko, kotku?”

Oczywiście, żartuję. Pomyślałem najpierw o Ali, a następnie o ugotowanym obiedzie z buraczkami i schabowym...

– Druga po południu.

– Bardzo dziękuję. – wypiszczalem ponownie i już nieistotne, co sobie wyobrazałem. Ważne, że te sny staną się niebawem jawą!

Zapomniałem o zakupach, które miałem zrobić. Kolejnego dnia w pracy przyglądałem się kolegom, jak jedli śniadanie i obiad. Nie miałem nic w lodówce, co mógłbym przeznaczyć na przekąskę w pracy.

– Co jest Tom, nie jesteś głodny? – zapytał Gruby Derek.

– Nie, źle się czuję. – Wyglądało to komicznie, bo miałem przy tym wyraz twarzy, niczym uśmiechnięty głupek, który cieszy z dropsów. Ale to nic.

Bo wczoraj prosto od Charliego pobiegłem do Jarka.

—Jarecki, odpalaj kompa! – rzuciłem zaraz po „DING – dong”, jak tylko uchylily się drzwi. Prawie staranowałem go w przejściu.

—A co, k***, pali się gdzieś? – zapytał z normalną dawką przekleństw w zdaniu. Jedno zdanie – jedno przekleństwo. Dwa zdania – reszta przekleństw.

—Wejdz na „Brejanera”. Szukam biletów z Polski do Irlandii. Na wczoraj.

—To już, k***, trochę za późno. Chyba, że k***, używane. Jak w „Misiu”. He, kur***, he.

—Ty nie marnuj czasu, tylko szukaj. Chcesz kawy? – zapytałem, bo ja już byłem w jego kuchni i wstawiłem wodę.

—Nie, dopiero skończyłem. Czwartą, k***- dodał, bo prawie zapomniał o przekleństwie.

—A mnie się nie zapytasz? – zapytałem zadziornie.

—Przech**j jesteś! – Jego ulubione powiedzenie. – Kawę trzymasz w ręce i mam Cię pytać, czy chcesz kawę?

—A może chciałbym jedną na wynos? Jako gospodarz, powinieneś zadbać o to, żeby gość wyszedł od Ciebie zadowolony!

—Jesteś pewien? – Złapał za pasek spodni, jakby chciał je opuścić. Wiadomo, po co.

—No fakt – skomentowałem szybko, odsuwając się od niego. – Jak opuścisz spodnie i zobaczę, co tam ukrywasz, to się popłaczę ze śmiechu, a to będzie tak, jakbym wyszedł zadowolony. Tylko nie o to mi chodziło. – Przypomniałem sobie jednak, po co przyszedłem.

—To po coś przyszedł? – Zaskoczył mnie.

—Na pewno nie na kawę. Szukaj mi biletów. – Usiadłem obok i już szperaliśmy w sieci.

—Dzisiaj jest wtorek. Zobaczmy sobotę lub niedzielę z Polski do Irlandii. Sprawdź najpierw Katowice. Ja muszę do toalety. – Pobiegłem szybko, ale wcale nie po to, po co nawet król tam chodzi piechotą. Poszedłem zobaczyć, czy mi się wydawało, czy rzeczywiście włosy wyrosły mi na plecach.

Podniosłem koszulkę. Ufff. Nie ma. Otarłem spocone czoło ręcznikiem i biegiem do Arka.

—I co?

—Sto pięćdziesiąt w niedzielę. Szukam dalej. Jest. Tu jest, k***, tańszy. Sto dwadzieścia, sobota rano z Wrocławia. A kto przyjeżdża?

—Załatwiłem pracę Alicji. Mojej dziewczynie. Jutro muszę z Derekiem porozmawiać, czy ona może zamieszkać ze mną. Pewnie nie będzie kłopotu, bo Wojtek jest z Olą. Ale zapytać trzeba. Przy okazji zapytam Pata, czy nie kupiłby mi biletu kartą, a ja mu oddam kasę.

—Myślę, że nie będzie kłopotu. Jak byłem ostatnio w Polsce, to też mi Pat kupował.

Kawę wypilem, jak szklanekę wody. Nawet się nie poparzyłem

– Dzięki, Jaruś. Lecę dalej. Poinformować centralę, że w sobotę leci. Dzięki.

- Nie ma za co, k***. Niech przywiezie flaszkę. Powitalną.

– Nawet dwie. Tylko niech przyleci.- Wystartowałem do budki, podzielić się dobrą nowiną.

Nie miałem jeszcze irlandzkiej komóry, pozostał mi więc automat. Drobne miałem już przygotowane w ilości pozwalającej przeczytać książkę telefoniczną. Ale tylko na „A”.

Nie pamiętam drogi od Jarka do budki. Wiem tylko, że już wykręciłem jakiś numer.

Nie, zwykły, telefoniczny. Tylko jeszcze nie wiem do kogo. Do Alicji, czy na komendę.

„DRRRRRŃ”. „DRRRRRŃ”.

—Halo! – usłyszałem Alę.

—Cześć, kochanie!

—Coś się stało? Tak „po nocy” dzwonisz? – usłyszałem zmartwiony głos.

—Nieeee, wręcz przeciwnie! – powiedziałem, żeby się nie stresowała. – Pakuj się!

—Jak to, „pakuj”? Przecież dopiero się przeprowadziłam od Alfredy. – To imię wypowiedziała z akcentem wskazującym wyraźnie, że przyjaciółkami nie zostaną. Sam zresztą zamordowałbym tego babsztyla.

—Tak, ale ja mówię o przyjeździe do mnie – wyśpiewałem radośnie do słuchawki.

—Wiesz, bardzo chętnie, ale nie zostawię Dominiki samej, żeby

sobie z Tobą posiedzieć. – Sprowadziła mnie na ziemię, jak to Alicja. – Pewnie, że byłoby super, ale nie mogę sobie na to pozwolić. – Fakt, przecież tyle rzeczy ma do załatwienia przed wylotem. Ale będąc tutaj już jakiś czas, zaczynam wierzyć, że wszystko jest możliwe!

—Wiem, masz rację, ale już o tym rozmawialiśmy wcześniej. Przyjedziesz do mnie, jak...? – Czekałem, aż dokończy.

—Jak znajdziesz mi... – Zaskoczyłem ją. Na chwilę zaniemówiła, żeby przetrwać informację. – Znalazłeś mi pracę? Tak szybko?! – Teraz usłyszałem radość. – A gdzie?

—W sklepie, w tym miasteczku, gdzie mieszkam.

—A czym będę się zajmować?

—Pewnie będziesz układać towar na półkach, no i sprzątać. Nie wiem, co tam jeszcze można robić w sklepie. Na pewno nie będziesz siedzieć za kasą, bo nie znasz języka – powiedziałem.

—Dobrze, ale ja przecież – już wietrzę, o czym będzie to pytanie – nie mówię po angielsku. Mówiłeś im? – No tak. Dlaczego nic nie może być prostsze, pomyślałem? Znów huśtawka.

—Mówiłem, że podstawowy. Bardzo podstawowy! – Łagodziłem, jak mogłem.

—Jaki podstawowy?! Jes i okej, to są podstawy? – Kocham to jej trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość.

—Ja wiem, Alu, ale masz prawie tydzień, to jeszcze zdą...

—Co?! Prawie tydzień? To ja mam w sobotę już tam być? Oszalałeś?!

—Nieee, kotku. Ale tutaj ludzie bez języka jakoś sobie radzą. Poduczysz się parę zwrotów przydatnych w sklepie i jakoś sobie poradzisz. Jak sobie „u Helmuta” poradziłaś, to tu tym bardziej dasz sobie radę. Tutaj ludzie są bardzo przyjaźni.

—A co z biletami?

—Sprawdziłem już. Mogę Ci jutro kupić. Trochę drogo, ale...

—Ile?

—Od 120 z Wrocławia, albo 150 z Katowic.

—Złoty? – znów mi skóra ścierpła.

—Euro, ale ja Ci kupię ten bilet.

—Już. Sześćset złotych na sam bilet. A co z resztą? – Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. – Nie ma nic tańszego? Autobus jakiś, czy coś.

—Autobus 340 złotych. W jedną stronę. – Pot płynie mi po plecach, bo jak Alicja nie zechce przyjechać, to będę zdruzgotany.

—Dobrze, to przedziej autobusem. Ale co ja w takim razie zrobię z Dominiką? Przecież ona tu do szkoły chodzi. Nie przerwie przecież. Bo mamusia chce sobie jechać do „jednego pana”. – Złośliwa, to potrafi być.

—Przecież Dominika wie, do kogo pojedziesz, już nie przesadzaj. Wiem, że to bardzo trudna sytuacja. Ale pomyśl, kochanie, co możemy zrobić, żebyś przyjechała. Przecież tego chcieliśmy. Żeby wydostać się z tego polskiego marazmu. A oprócz tego, tęsknię za tobą! Kiiiciuś! – Postanowiłem uderzyć w mocniejszą strunę. – Jak ty nie przyjedziesz, to ja wracam!

—No, już! Przestań. I będziemy się użerać z nową Alfredą i nowymi problemami. Przemyślę dzisiaj, porozmawiam z Beatą, może coś mi doradzi. Zadzwoń jutro rano. O której zaczynasz pracę?

—O ósmej trzydzieści. Czyli w Polsce jest dziewięta trzydzieści.

—No to dobrze. Zadzwoń przed pracą, to jeszcze raz porozmawiamy. Kotkuuuu – zamruczała do słuchawki. – Ja też tęsknię. Ale nie wiem, czy tak szybko uda mi się wszystko załatwić.

A gdzie będziemy mieszkać?

– Czeka już na Ciebie pokój. A w nim ja! Przywitam Cię olbrzymim bukietem róż. A za bukietem będę ja, nagusieńki... – Próbowałem zbudować miłą atmosferę.

– Nagusieńki, to ma milion na koncie, a Ty to możesz być „goły”. Na dwa sposoby; goły, bo bez ubrania, albo goły, bo bez kasy.

– Ha, ha, ha. Bardzo śmieszne. Ty też możesz być na dwa sposoby. Ale nie powiem, „co”.

—Lepiej mi powiedz...

—Przytulona! A o czym pomyślałaś?

—Pomyślałam, że ten mój przyjazd to może być rozwiązany „na dwa sposoby”; przyjadę, albo nie.

—Alu, nie denerwuj mnie! – Jak ja nie lubię, kiedy się ze mną tak droczy. – Bo zaraz wsiadam w pociąg!

—Dobrze, Tomuś. Dziś postaram się to jakoś wszystko ułożyć – usłyszałem westchnięcie. – Ale mi teraz namieszałeś w głowie! Pewnie dzisiaj nie usnę.

—Ja tym bardziej! Mam nadzieję, że uda się wszystko i przyjedziesz do swojego misia.

—Ja też, a teraz misio niech idzie do norki i wyśpi się przed pracą.

—Wypraszam to sobie! Jakiej norki? Ja mam w pokoju posprzątane i poukładane!

—Ha, ha, ha... kotku... Pa – wyszeptała.

—Pa, kochanie. Zadzwoń rano.

I co teraz? Czy w moim życiu nigdy nie pozbędę się „huśtawki”? Człowiek zaczyna myśleć, że wraz z problemami finansowymi wszystkie zmartwienia odchodzą w ch***. Hmmmm, w dal!

A tu nic z tego. Jak jedne zmartwienia odchodzą w dal, to

przyplątują się kolejne. Jakbyś zawsze w życiu musiał mieć jakiś kłopot na plecach. Postaram się wygrać tą nierówną walkę! Zniszczę każdą przeszkodę na drodze do mojego, a mam nadzieję, że i Alicji szczęścia!!!

I z tą myślą podążam w kierunku domu.

Cholera, znowu zapomniałem kupić cokolwiek do jedzenia. Bida. Może coś wyczaruję z kromki chleba tostowego i drugiej kromki chleba tostowego?

Hurra, już wiem.

Tosty!!!

Po krótkiej kolacji zagotowałem wodę w czajniku. Miałem jeszcze masę torebek z herbatą, ale bez szaleństw. Zrobiłem jedną. Posłodziłem cukrem sąsiada. Nie wiem, Wojtka, czy Pedancika. A więc nie ukradłem. Po prostu nie wiem, komu mam oddać.

Teraz razem z moją herbatą i cukrem, który smakował jak mój, poszedłem do salonu i usiadłem przed telewizorem. Wojtek z Olą siedzą zabarykadowani w swoim pokoju. Pedancik jeszcze nie wrócił z pracy.

A tak właściwie, to czemu nie mam nic w lodówce? Przecież to już nie z braku pieniędzy. Może z przyzwyczajenia? Taka wypełniona lodówka wyglądałaby jakoś dziwnie. Mogłoby mnie zemdląć. A dodatkowo, straciłbym pół dnia na wybieranie czegoś do jedzenia.

—Co teraz? Kanapkę z serem, czy pomidorem? A może z tym i tym? Ja chyba zaraz oszaleję!

I dzień diabli wzięli. A tak – wiadomo. Mogę sobie zrobić tosty. Dwa.

Ale to wszystko drobiazgi, które pozwalają mi przez chwilę przestać myśleć o dniu jutrzejszym.

Co robić? Co robić?! Pytanie raczej; co robi Alicja.

Włączyłem RTE. W studio z fototapetą z tyłu siedzi jakichś dwóch gości. Nie, raczej gość idziennikarz. I rozmawiają o czymś. Nawet nie staram się ich zrozumieć. Jeszcze nie przyzwyczałem się do irlandzkiego angielskiego. Patrzą tylko na ich mimikę, mowę ciała.

To po co to oglądać, jak już wiadomo, że to jakiś polityk składa obietnice wyborcze. Czego to on by nie zrobił, żeby go wybrać.

Boże, co ja pier... Wygląda na to, że sufit mi się dzisiaj już przegrzał.

Udało mi się odbiec myślami od tego, co najważniejsze w tej chwili. Ale przecież jakoś będę musiał zasnąć. Może gorąca kąpiel i szybko do łóżka?

To raczej jedyne rozsądne rozwiązanie.

Jest jeszcze jedno, ale zbyt drastyczne. Mógłbym zawołać Wojtka na dół, na pogawędkę. Tylko za duże jest ryzyko śmierci z nudów.

Wojtek jest tak wyzbyty poczucia humoru, że doprowadziłby do samobójstwa całe Ani Mru Mru.

Równocześnie.

Dlatego wyłączyłem telewizor i poszedłem na górę. Pysznic, łóżko. W głowie mi huczy. Co wydarzy się jutro?

Rozdział 15

Ja i budka. Hurra, Alicja przyjeżdża.

*

Drrrrń

Dzisiaj pobudka obyła się bez problemów. Po ostatnim śnie... Uuuups.

Już jestem na nogach. Mam wrażenie, że to nie budzik mnie obudził, tylko ja tak zirytowałem budzik wyczekiwaniem na jego

dzwonek, że już dłużej nie wytrzymał.

Zadzwoił. Jednak zanim skończył, ja już stałem na baczność.

Szósta trzydzieści. Czyli w Polsce siódma trzydzieści. Za pół godziny. Za pół godziny będzie wiadomo znacznie więcej.

Nie będę w stanie teraz nic przegryźć. To dobrze, bo jak pamiętam, nawet nie mam co. Kawa.

Z cukrem, który znów smakuje, jak mój.

Może to po prostu mój cukier? Jeszcze raz pociągnąłem łyka. Raczej tak. Nie czuję posmaku pleśni(czyli Wojtka), ani grzyba (czyli Pedancika).

Założyłem na siebie ciuchy robocze. Nie wiem, jak długo będę rozmawiał, może zatem pójdę prosto do pracy. A może udam się prosto na pociąg?

Wychodzę.

Każdy krok wyznaczało uderzenie serca. A że biło coraz szybciej – po chwili biegłem. Przy budce byłem mokry, jak po basenie. Wrzuciłem monety. Co druga wypadła mi na podłogę. Gdyby nie to, że po rozmowie pozbierałem drobne z podłogi, koszt rozmowy wyniósłby mnie 10 euro za minutę.

Wciskam numer.

Zero – zero – cztery – osiem, i tak dalej ... Słyszę sygnał.

Biip. Biiiip. Biiiiip. Nie wiem, czemu każde kolejne „bip” wydaje mi się dwa razy dłuższe. Przy ostatnim „bipie” z litery „i” można by zrobić stonogę!

—Halo? – usłyszałem głos Alicji tak niespodziewanie, że reszta drobnych wypadła mi z ręki.

—Iiii? – Tylko tyle zdołałem z siebie wydusić.

—Co za „i”? Czy my się znamy? – zapytała zaczepnie.

—To ja, Tomek. Nie drocz się ze mną. Cały jestem przesiąknięty

stresem.

—Rozmawiałam z Beatą. – Pauza. Nie wiem czy jest dobrze, czy źle.

—I co? – poganiałem.

—I co? Nic! Sama nie wiem.

—Ala, ja zaraz idę się pakować i jadę po Ciebie. Nie drocz się ze mną. Czego nie wiesz?!

—Nie wiem, co na siebie włożyć na wyjazd!!! Ha, ha, ha! – roześmiała się do słuchawki.

—Czyli... – Bałem się wypowiedzieć to słowo, żeby nie zapeszyć.
– Przyjedziesz?!

—Tak!!!

—Jahuuuu! – krzyknąłem do słuchawki. Obok budki przechodził właśnie jakiś Irlandczyk. Spojrzał na mnie i przyspieszył kroku.

—Tylko przyjadę autokarem – kontynuowała Alicja. – Będzie taniej. I w niedzielę będę w Dublinie o 16: 30. Na Dworcu Głównym.

—Naprawdę? Nie żartujesz sobie ze mnie?!

—Nie. Ale jest jeszcze parę rzeczy do załatwienia przed wyjazdem.

—Jasne! Trzeba kogoś zamordować? Podaj adres – zakrzyczałem ją w uniesieniu.

—Spokojnie. Na razie nie, ale jak coś pójdzie nie tak z Dominiką, to ja Ciebie zamorduję bez chwili wahania! I przerobię Cię na konserwę, turystyczną!

– Wszystko będzie dobrze. A jak to załatwiłaś? – zapytałem, bo wcześniej nie pomyślałem o tym. Jest problem, z którego nie zdawałem sobie sprawy.

Alicja wyjaśniła mi wszystko po kolei, a na koniec dodała;

– Ale oczywiście wszystko zależy od tego, jak Dominika będzie się czuć beze mnie. Jak tylko coś będzie źle, to wracam.

– To ja mogę już dzisiaj Ci powiedzieć! Zostajesz tutaj. Jak już Cię złapię w moje śliskie łapki, już Cię nie wypuszczę! – Tęsknota...

– Zobaczymy – powiedziała cieplejszym tonem. – A teraz druga sprawa. Co mam zabrać? Jakieś jedzenie? Jakąś polską szynkę, albo...

– Ważne, żebyś Ty przyleciała. Reszta nie ma znaczenia.

– A ja co będę potrzebować? Jakieś dokumenty, świadectwa pracy? Nie wiem, co oni mogą wymagać.

– Do pracy nic. Może tylko jakieś wygodne ubranie. I buty. W sensie, że wygodne.

—A dla Ciebie?

—Może jakąś książkę? Ewentualnie gazety. Trochę kiełbasy, przypraw polskich.

– O najważniejszym zapomniałem – Aha, no i flaszkę!!! Obiecałem koledze. – A jak flaszką, to...

—Jakieś lekarstwa? – zapytała trzeźwo, jakby inaczej.

—Na razie nie choruję, ale coś tam możesz zabrać.

—Ciągle nie mogę uwierzyć! – Pokiwałem w zamyśleniu głową – A pamiętasz tę figurkę, co mi dałaś?

—Tak.

—Cały czas stoi na stoliku nocnym. Kładzie mnie spać i budzi – wymruczałem.

– Ale już najwyższy czas, żebyś to ty mnie usypiała i budziła.

—Ja też już tęsknię. Chciałabym się przytulić do Ciebie. – Na chwilę zapadła cisza. – Ale na razie mam dużo zmartwień. Gdybym nie miała Agnieszki i Beaty tutaj, to nie byłoby mowy o wyjeździe.

—Alu, ja doskonale wiem, że nie jest Ci teraz łatwo. Tylko że ja już mam pewność, co do tego, że właśnie skończyły się nasze kłopoty finansowe. Teraz może być tylko lepiej.

—Dobrze, myślę, że to jeszcze za daleko w przyszłość wybiegasz. Na początek postaram się spakować. Jak to mi się uda, będziemy myśleć o tym, co dalej. – Westchnęła. – Ale już chciałabym być tam obok Ciebie...

—Noooo, wróciłaś do mnie, widzę. Teraz Panią poznaję.

—Ha, ha, ha. Daj już spokój. Mam parę dni. Zadzwoń w piątek, czy nic się nie zmieniło. Ja już zacznę zbierać się do pakowania.

—OK, to całuski, kiciu. I czekam na Ciebie na dworcu. Zadzwoń w piątek, to powiesz, z jaką firmą jedziesz. Pa!

—Pa!

Odłożyłem słuchawkę. Pozbierałem kasę z podłogi w budce i podskoczyłem sobie z radości. Przy okazji uderzyłem się głową o sufit. Ta budka jest taka niska, że pewnie pochodzi z Chin.

Pomasowałem sobie bolące miejsce i spojrzałem na zegarek.

Już czas. Nie zdążę wrócić do domu. Wyszedłem jakoś z budki i radosnym krokiem ruszyłem w stronę firmy. W połowie drogi zauważył mnie Alan i zatrzymał się wówczas, żeby mnie podwieźć.

Co za dzień...

Rozdział 16

Ale w koło jest wesoło. Czekam na Alicję, też z tej krainy.

*

To już jutro. Alicja przylatuje. Obecnie jednak jestem w pracy. Czas mija powoli, muszę zatem jakoś go oszukać. Staram się zająć wszystkim bardziej, niż myśleniem.

Stoję przy okleiniarce. A ona sobie brzęczy monotennie. Z jednej strony podaję parę elementów, przechodzę na koniec i odbieram elementy z oklejonymi krawędziami. I robię tak aż do skutku. Ale nuda przy tym, jak cholera! Nic, co zajmowałyby myśli. Z tego wszystkiego zaczepiam Micka. Dokuczam mu, żeby zabić! Nie, nie jego – czas!

On pracuje przy obsłudze piły formatowej. Więcej czasu stoi i pisze coś w notesie, niż tnie.

Właśnie przed chwilą był w biurze z rysunkami, by o coś zapytać szefa. Wraca.

– Mick, zamiast iść do biura, mogłeś mnie zapytać. – Wyrywam go z zamyślenia. Spogląda zdziwiony na mnie.

– O co? – Zerka, myśląc, że mówię o rysunkach.

– Dwa plus dwa jest zawsze cztery. Muszę Ci to zapisać gdzieś na kartce. Przyczepisz sobie do piły...

—Ha, ha, bardzo śmieszne. A skąd Ty się o tym dowiedziałeś? – Próbuje się odegrać.

—W Polsce mamy takie budynki, które nazywamy SZKOŁĄ. Tam uczą nas różnych rzeczy... – Chciał coś powiedzieć, ale przerwałem mu. – Wiem, wiem, Wy też macie budynki, w których się uczycie...Tylko w Polsce takie miejsca nazywamy STODOŁĄ, bo widzę, że jedyne czego Was tam uczą, to instrukcje: jak cesać owcę, żeby nie kopnęła.

—Tak, a jedyne, czego Was uczą, to jak wypić flaszkę wódki, bez odkręcania...

—Ha, ha, dobre. Ale tego nas uczą na studiach. To jest takie miejsce, gdzie jeszcze żaden Irlandczyk się nie dostał...

—To fakt! Bo my ten poziom nauczania mamy w podstawówce. – Twarda łajza, broni się, jak lew.

—Wiem, że nie powinienem, ale powiem Ci prawdę. – Zniżyłem trochę głos. – Oni wam mówią, że to studia, żeby Was jeszcze bardziej nie wpędzać w kompleksy...

– Ha, ha. Wszyscy Polacy są aż tak przemyślani?

– Nie. Jest parę procent Polaków, którzy urodzili się w Irlandii.

Pewnie byśmy sobie dalej tak rozmawiali, ale właśnie wszedł Derek.

– Mike, utnij to z wiórówki, ma być tanio. I cienka okleina na krawędzie, 1 milimetr.

Ważne, że dzięki rozmowie, przez chwilę nie musiałem myśleć o przyjeździe Alicji. A że zadziałało, jak tylko miałem okazję, ponownie zacząłem droczyć się z Mikiem.

Mike sprzedał wczoraj krowę za 650 euro. Dzisiaj w pracy Derek śmiał się z niego, bo jego sąsiad za ten sam rocznik dostał 1300. Mike stoi przy pile z kalkulatorem i przelicza jakieś elementy. Podeszedłem do niego i szepnąłem mu na ucho.

– 650.

Spojrzał zdziwiony na mnie. O co mi chodzi?

– 650 różnicy.

– O, tak. Wal się. – Załapał, o co chodzi. Ale nie odpuszczałem.

– Może dostałeś taką cenę, bo to był targ krów, a nie królików?

– Yeee?

– A jak dzisiaj jechałem do pracy, to w Williamstown zaczął mnie jakiś farmer. Pytał, gdzie mieszkasz.

—A co chciał?

—Mówił, że chce od Ciebie kupić parę krów.

—Tak? Z pewnością widział je na polu i mu się spodobały – odpowiedział, nie spodziewając się, że znów chcę mu dokuczyć.

– Nie, powiedział, że nie ma więcej zdrowia do roboty. Kupi od

Ciebie krowy po 650, a w Roscommon „chodzą” po 1300. To zamiast robić, pojedzie sobie na wczasy.

Tak minął mi czas do śniadania. A przede mną jeszcze cały dzień. Podczas śniadania nie potrafiłem myśleć o niczym innym, niż o Niej. I tak się zamyśliłem, że nie usłyszałem dzwonka, kończącego przerwę. Nie pamiętam nawet, co jadłem. Może tylko wydawało mi się, że coś jem? Dopiero po chwili, kiedy usłyszałem hałas pracującej okleiniarki, wróciłem do rzeczywistości.

Kiedy wyszedłem, zobaczyłem, że przy okleiniarzu pracuje już Seamus. Podeszedłem, żeby go zmienić, ale powiedział, że on już dokończy. Wobec tego zająłem się najnudniejszą możliwą pracą. Czyściłem elementy, które on okleił i odłożył na bok. Jedyne, co mogłem robić z mózgiem, żeby zapewnić mu choć namiastkę rozrywki, to obserwować pracującego Seamusa.

A on podaje elementy z jednej strony, taśma przesuwająca i równocześnie okleja krawędź, po czym element wysuwa się z drugiej strony. Trzeba pamiętać, żeby odebrać go z drugiej strony w odpowiednim czasie, bo następny podany element zrzuci go na podłogę.

No właśnie. Upadł. Mike zobaczył to, podeszedł do Seamusa.

– Wsadzasz z jednej strony, wyciągasz z drugiej. Wsadzasz, wyciągasz. Wsadzasz, wyciągasz. Przypomina Ci to coś?

Seamus patrzy z ukosa na niego. A Mike dalej się znęca, tym razem mówi, patrząc na mnie.

– A zapomniałem, on jeszcze nie wie, o czym mówię. Wiesz, Tomek, ta młodzież...

– Właśnie, młodzież – mówię. – Jak są młodzi, to nie wiedzą, jak tego użyć. Jak już dojrzeją, to wiedzą jak, ale jest już za późno.

– Ha, ha – roześmialiśmy się. Ale to wiele nie pomogło, bo

ponownie wróciliśmy do zajęć.

I nastąpiła cisza. Hałas maszyn utrudnia komunikację. Dlatego przez większość czasu byłem sam na sam ze sobą. Moje myśli przestały się już bić. Teraz szukały jedynie zaczepki wokół.

I właśnie wówczas nawinął się Derek. Przyszedł do mojego biurka i mówi:

—Tom, te szafki trzeba zrobić niezwłocznie.

—Ok, kiedy to idzie?

—Wczoraj – błysnął.

—Zatem już za późno.

—Ha, ha, ha – roześmiał się i wrócił do biura. Zacząłem składać parę szafek, będących wzorami dla nowego klienta. Chodzi o to, żeby zobaczyć, jak to będzie wyglądać w całości. Nie chodzi w żadnym wypadku o sprawdzenie jakości, bo to nie jest obecnie najważniejsze. Pamiętam, jak w Polsce pracowałem w zakładzie stolarskim na peryferiach Częstochowy. Lata 90-te. Też robiliśmy meble na kilo-metry, czyli szybko i tanio. Takiej tandety to nigdy wcześniej nie widziałem. Ale wtedy cena była w Polsce najważniejsza.

Tutaj najważniejszy jest czas. Dlatego też „ładujemy” tandetę, żeby jedynie zmieścić się w czasie.

Całe osiedle nowych domów, które meblujemy, jest przez nas zrobione w miesiąc. A składa się na to 110 zestawów mebli kuchennych i tyle samo wyposażenia sypialni.

Pracy jest dużo. Póki nie ma jeszcze Ali, pracuję dłużej, niż wszyscy Irlandczycy. Po trudnych latach w Polsce, chcę jak najszybciej odbić się od... wiadomo, czego.

Oczywiście, jestem zachwycony, kiedy otrzymuję wypłatę. Wciąż nie mogę uwierzyć, że płacą mi aż tyle pieniędzy. Za co? Czy to

przypadkiem nie jest jakiś piękny sen? Mam takie chwile, że włosy jeżą mi się na głowie ze strachu, że zaraz się obudzę. Albo, co gorsza, obudzi mnie Kaczorkowska, uparcie naciskająca dzwonek u drzwi.

Wtedy mocno się szczypię i zamiast syczeć z bólu, to skaczę ze szczęścia. Kiedyś nie zauważyłem, że Pat jest w pomieszczeniu. Popatrzył na mnie, nie wiedząc, czy się śmiać, czy dzwonić po pogotowie.

– Wszystko dobrze, Tom? – zapytał.

– Nie może być lepiej – odparłem, zgodnie z prawdą, równocześnie powstrzymując się przed podbiegnięciem i wycałowaniem go...

Uśmiechnął się i wrócił do biura. Następnym razem, jak chciałem się uszczypnąć, biegłem do toalety i ryglowałem drzwi.

Rozdział 17

Poznaj Judytę, bo Hormona nigdy nie zrozumiesz.

Polak jest mądrzejszy od wszystkich. A więc i od siebie samego. Mój pierwszy raz „za kasę”. I drugi, grupowy. W dodatku za darmo.

*

Minął już miesiąc od przyjazdu Alicji.

Alicja radzi sobie w pracy coraz lepiej. Najgorszy był pierwszy dzień bez znajomości języka, lecz moje „słonko” z niejednej takiej opresji już wychodziło, poradziła sobie i tym razem. A słowa angielskie przyswajała sobie tak szybko, jakby przyciągała je magnesem.

Dodatkowo, parę dni temu, do pracy Charlie przyjął nową pracownicę z Polski.

Judytę.

Żeby było jeszcze ciekawiej – nauczycielkę angielskiego. To już ułatwiło Alicji pracę w bardzo dużym stopniu. Z czasem polubiły się z Judzią i zaczęły, lub raczej zaczęliśmy się spotykać również po pracy.

Zwykle były to spotkania przy kawie, winku. Nie były to typowo polskie, zakrapiane imprezy.

Było miło.

Niestety, Dytka (tak ją nazywaliśmy, a po pijanemu przekręcałem Dytkę na Dyktę... Dobrze, że o tym nie wie) miała zły gust w kwestii doboru swych partnerów. Zawsze wybierała pijaka, dewianta lub narkomana. Do Irlandii przyjechała po traumatycznym związku z jej ideałem, czyli trzy w jednym.

Pijący dewiant–narkoman!

Uciekła, żeby zapomnieć.

No to zapomniała.

Zapomniała, że już przerabiała ten typ i znów zaczęła umawiać się z kolejnym kolesiem „trzy w jednym”.

Ten był nawet cztery w jednym. Bo do wspomnianych już cech doszła jeszcze kolejna wada. Nie, nie chodzi o to, że nie składa równo prześcieradła.

On po prostu jest pier***ty! Zdrowo.

Któregoś dnia Alicja wróciła z pracy i powiedziała, że wieczorem odwiedzi nas Dykt... eeee, Dytka.

—To fajnie – odpowiedziałem. Dytka jest OK.

—I przyprowadzi swojego nowego chłopaka – dodała, uśmiechając się delikatnie.

—Z pewnością będzie lepszy od tych, o których opowiadała – wywnioskowałem, przypominając sobie jej opowieści

o dramatycznej treści.

—Dlaczego tak sądzisz? – zapytała, niby neutralnie, ale wiedziałem, co się pod tym kryje.

—Sugerujesz, że może być jeszcze gorzej? – poszedłem tym tokiem myślenia.

—Tak, może być na przykład filatelista...

—Ha, ha, ha – rozśmieszyła mnie – albo były ministrant...

—Uuuups! Zobaczymy. To co szykujemy na wizytę? Skręta, znaczki, czy biblię?

—Wszystko!!!

Dodatkowo, przygotowaliśmy trochę kanapek oraz sałatkę warzywną. Alicja poszła się przygotować, natomiast ja zmieniłem skarpetki.

Nie, nie dla tego. Po prostu, wylałem wodę na podłogę podczas nalewania, a później beztrąsko sobie w to wdepnąłem.

A z mokrą skarpetką konwersacja traci swój urok.

Z braku lepszych zajęć, do salonu zeszli też nasi współlokatorzy; Pedant, Wojtek i Ola. A może po prostu wywąchali alkohol?

DING-DONG.

Przyszła Dytka.

Dytka jest nauczycielką w Polsce. Tutaj dumnie układa towar na półkach sklepu spożywczego. Czyli standardowa historia polskiej emigrantki.

Boyfriend podjechał po pół godziny.

Romuald, ale bardzo szybko dostał ksywkę Hormon i tak będę go tytułował. Metr osiemdziesiąt, chudy. Później wyjaśniło się, że maniak seksualny, choć wciąż mam nadzieję, że nie zboczeniec. Ale za to narkoman we wczesnym stadium. Jak każdy Polak w okolicy – ma alkoholizm przed sobą, jest trakcie, lub ma go za sobą.

Niepijących tutaj nie ma. Chyba, że żona ma mocniejszy sierpowy.

Teraz przywitaliśmy się i usiedliśmy przy stole. Wiadomo, zagrycha i wódka schłodzona już ruszyły do boju. Po kolejce na wstępie, dla rozprężenia atmosfery.

—Dzięki za zaproszenie – powiedział. – Nie wiedziałem, że Was tu, aż tylu mieszka, Polaków...

—Kto chce kawę, a kto herbatę? - zapytała Alicja z kuchni. Wyszły trzy kawy i herbatka...

—Sypaną, czy rozpuszczalną?

—Rozpuszczalną, sypana będzie później...- dodał Hormon, patrząc na swą wybrankę. Ona spojrzała na niego i choć trochę wstydziła się przed nami, widać było, że spodobało jej się bycie drugą kawą Romualda...

—To jak długo tu siedzisz? – Rozpocząłem zestaw pytań z podręcznika młodego emigranta.

—Cztery miesiące. Robię jako cieśla, ale Irol jest ch***wy, to trzeba zmienić. Już mam coś na oku.

A oczy rzeczywiście ma duże. Twarz po zderzeniu z trądzikiem i widać, że walka trwa nadal.

Alicja weszła w tym momencie do pokoju.

—Co masz na oku? Chcesz chusteczkę?

—Tak, ale tylko, jeśli ma haftowane wszystkie cztery rogi... – To był jego najśmieszniejszy dowcip, ever! Ale postanowiłem go przebić.

—Jak pokój u Pedancika.

—Może nie wszystkie. – Wpadł w dialog poszkodowany Pedancik. Kolejny pseudo playboy, który zostawił żonę w Polsce i czegoś mu brakuje. Ale wciąż nie wie, czy seksu, czy podziwu...

– A myślałem, że takim hafciarstwem zajmujesz się regularnie,

co sobotę – dogryzłem mu.

– Tak, bo w sobotę Cię widzę najdłużej – rozśmieszył wszystkich.

– Chłopie – postanowiłem nie dać za wygraną – ktoś Ci to w końcu musi uświadomić. Ta osoba, którą widzisz w każdą sobotę, to Ty w lustrze.

– Haaa, aha, haaa – goście roześmiali się ponownie. Część, bo ich rozśmieszyłem, a Wojtek z Olą, żeby zrobić Pedantowi na złość. A ja dodałem:

– Bo sobota to jedyny dzień, kiedy idziesz do łazienki wziąć kąpiel. – Śmiech zdwoił swą siłę, ale większość z nas wie, że to akurat tylko złośliwy żart. Trzeba powiedzieć, że nasz cieśla jest strasznym pedantem. Jakby dwa razy dziennie musiał biegać do wanny, namaczać i wyciągać drzazgi, co to powchodziły mu tu i tam w pracy...

A że misio nie wiedział, co odpowiedzieć na tak niesłuszny żart, też się zaśmiał.

—To zdrowie! – Poszła następna kolejka, przekąska, kolejka. I następna...i następna...

W związku z tym, że mamy tylko dwa irlandzkie kanały TV, wszyscy są zaangażowani w rozmowę.

Większość imprezowiczów dyskutuje, przechwalając się, jak to wszystko robi lepiej od Irlandczyków i w ogóle, że są niezastąpieni.

Większość z nich przyjechała, uciekając przed komornikiem, żoną, konkurencją, dzielnicowym, itd. A może to lekarz przepisał im kurację leczenia z kompleksów tutaj... Taniej dla NFZ-u.

– Dzisiaj pokazałem Nailowi, jak się używa pistoletu pneumatycznego. – Pedant przyjął pozycję eksperta, czyli rozwalił się na fotelu, z szeroko rozstawionymi nogami. - Ten stał na tym dachu i słyhać: puk, ...minuta przerwy, puk, ...znów minuta.

Podszedłem do niego i mówię, żeby mi dał ten pistolet. – Wczuwał się coraz bardziej. – Popatrzył na mnie i powiedział, żebym uważał. Zaśmiałem się i puściłem taką serię, jak maszyna do szycia. A on coś tam zaczął się drzeeeeć, że nie taaaak, za szyyyyyybko, bo coś tam... Zabrał mi pistolet. To tłuki takie są. Sam nie umie, to wstyd mu się przyznać i nie wie jak się zachować.

– Zamiast się cieszyć, że mu robotę gonisz, to się czepia. Znam to! – odezwał się drugi ekspert, Hormon. - To po bani! – Wzniósł kolejny toast. – Zdrowie Irlandczyków, żeby zmądrzeli trochę, ha, ha, ha.

W tym samym czasie Nail siedział w pubie i śmiał się z głupoty Polaków. Bo on przybijał legary tylko jednym gwoździem, żeby je później łatwo odciąć w miejscach, gdzie będą przeróbki. A ten osioł, Pedancik, przybił to pięćdziesięcioma gwoździami!!!

I resztę dnia Nail spędził, rozmontowując ten węzeł...

A tymczasem polskie party idzie dalej. Tonacja parę oktaw w górę.

—Cooo? Wódka się skończyła?! No nieeee, tak k*** nie może być – krzyczy Pedant. - Eee, Hormon, leć po flaszkę, masz tu pięć dych. – Rzuca szlacheckim gestem na stół.

– Co Ty, teraz to kupi wódę tylko w pubie, a tam trzy dychy trzeba dać! – mówi najtrzeźwiejszy Wojtek.

– A co – pyta jeszcze bardziej bojowy Pedant – nie stać mnie?!! Za swoje piję. Stać mnie!!! – Ja też jestem już zdrowo walnięty, ale przebija mi się w mózgu, że to musi być prawdziwy szlachcic. Rozśmieszyła mnie ta myśl, więc krzyknąłem w jego tonacji;

– Weź dwie flaszkę. Później pomyślą, że Polak to nawet wypić nie potrafi.

– Co Ty, Tomek, daj spokój – wtrąciła się Alicja. – Jeszcze wam

mało? Przecież już jesteście pijani.

– Kto?! – włączył się Hormon – My?! My to dopiero zaczynamy. No nie, Pedant? Bierzemy dwie i jak wrócę, to będą tańce! Idziesz Pedant ze mną? Pokarzemy im w pubie, jak się pije po polsku!!!

– Idziemy!!! – I objęci, rozpoczynając pierwsze pieśni patriotyczne, ruszyli w stronę baru.

Impreza po wyjściu duetu egzotycznego przycichła, pogadaliśmy o tym i owym, nie czekając wcale na ich powrót.

Ale oni tak bardzo chcieli pokazać lokalnym, jak się pije po polsku, że wrócili po trzech godzinach. Na początku myśleliśmy, że to para niewidomych tańczy tango argentyńskie w przedpokoju, ale po paru k*** i ch*** już wiedzieliśmy, że to wrócił nasz bohaterski desant! Musieli przyjąć masę strażaków, bo bezzwłocznie wdrapali się po schodach do sypialni, leczyć rany. Pedancik do swojej, a Hormon do przygotowanej przez Alicję.

Kiedy wchodziliśmy na górę do swoich łóżek, zostawiłem im przy drzwiach po chmielowej kroplówce na rano. Jeszcze pospadają ze schodów, szukając ratunku po ciężkich, nocnych walkach i nalotach na muszlę.

To było pierwsze spotkanie. Później spotykaliśmy się dosyć często. Głównie dlatego, że Alicja lubiła Dytkę. Mimo tego, że pracowały razem w markecie spożywczym. To już samo w sobie jest niecodzienne, prawda?

Któregoś dnia nawiązała się rozmowa, która zmieniła losy Irlandii. A jeśli nawet nie całej, to okolicznych miasteczek. Dodatkowo– pomogła Tuskowi wygrać wybory. Bo w Polsce bezrobocie zmniejszyło się o 5 %...

No dobrze, może trochę przesadzam, ale ta rozmowa dzięki tak

niewielu zmieniła tak wiele w życiu tak wielu, że moja przesada jest uzasadniona.

– Cześć! – Wszedł Hormon, dołączając do Dyty, Ali i mnie.

To jeszcze oczywiście nie ta rozmowa. Ale jakoś musiał zacząć. Dajcie mu się rozkręcić. Trochę cierpliwości.

– Co tam? Wszystko dobrze? – Pytanie było z rodzaju tych, na które nie oczekuje się odpowiedzi. – Bo właśnie zmieniłem robotę.

– Tak? – udałem zainteresowanie. – Zaproponowali Ci stanowisko barmana? Bo słyszałem, że na ostatniej imprezie sam sobie już polewałeś.

– Nieee. Robię u cieśli. Ale jesteśmy na takiej dużej budowie. Z pięćdziesiąt domów. – I z gestykulacją. – Wyjebiiiiiste to osiedle.

– To trochę tam popracujesz.

– No, roboty jest w ch***. Rozmawiałem tam z murarzami. Ludzi potrzebują od jutra. Mówił gościu, że trzech na wczoraj chce Polaków. Potem przyszedł malarz, też pytał, czy nie mam kogoś.

– Teraz zastanawiasz się, czy nie można by się sklonować? Powiem Ci, że sześć klonów je sześć razy więcej. A co gorsza, piję sześć razy tyle.

—Nie piernicz – przerwał mi.

—Ale chociaż miałbyś z kim pić.

—Dobra, Ty pierniczysz farmazony, a ja myślę, że można na tym zarobić. Ja już paru osobom załatwiłem tu robotę. Za kasę.

– Aaa, za kasę. To nie takie proste. Załatwisz komuś robotę, nie sprawdzi się w pracy i będziesz gościa miał na karku.

– To mu się załatwi drugą. Za ciecia. Tam nic nie musi umieć. Jest robota, ale nie mam kogo posłać.

– To dlaczego sam kogoś nie znajdziesz?

– Bo nie bardzo mam komu zaproponować robotę. A i czasu

niewiele. Długo robimy. A po co robić, jak kasa leży na polu. Załatwisz robotę jednemu lejberowi (pomocnikowi) i sześć stówek w kieszeni. Tydzień możesz leżeć – mówił, gestykując. – Daj mi człowieka, a ja dam mu pracę. Kasą się podzielimy.

– Chętnych do pracy znaleźć, to najmniejszy problem – powiedziałem. – Ale biorąc kasę, bierzesz odpowiedzialność. Dam Ci ludzi, ale zagwarantujesz im pracę, nawet, jeśli tą stracą?

– Spoko! – ponownie zaczął machać rękoma. – Mówię Ci, Tomek, zarobimy i pojedziemy do Polski mercedesem! Dwoma nawet, bo ja jednym a ty drugim.

– To sześć stówek bierzesz? A jak chcesz się podzielić? – zapytałem, bo jeżeli ja mam tylko załatwić kogoś do pracy, to nie jest to wygórowane żądanie. Ryzyko niewielkie. Kto wie, może wpadłoby dodatkowo parę euro? A nawet, jeśli nie na całego Merca, to może chociaż na kabrio.

– Po połowie. Ale razem załatwiamy wszystko. Chatę już mam na oku dla nich. Zapakujemy ich i tyle. Po tygodniu kasa w kieszeń i następni. I następni.

– Ty widzę, jeszcze z detalem nie zacząłeś, a już myślisz o hurcie...- Tego się właśnie obawiam. Hormon jest zbyt roztrzepany i niepewny. Chce trzymać sześć srok za ogon. W jego przypadku to raczej za coś innego.

– Bo życie jest zbyt krótkie, Tomek. – Gestykulacja. – Ja chcę teraz żyć. Zarobić kasę i na Bahama...

– Dobra, załatwię jedną osobę na początek, to zobaczymy czy to będzie Bahama, czy Sianożęty. Albo, co gorsza Castlerea Prison (Więzienie w Castlerea).

I na tym zakończyliśmy najważniejszą część rozmowy. Później jeszcze pogadaliśmy przez chwilę o ciężkim losie emigranta. Tak

skończył się dzień.

W domu przemyślałem wszystko ponownie. Załatwianie pracy za kasę nie jest chyba do końca legalne. Ale czy ktoś we współczesnym świecie spodziewa się, że wezmę los obcych osób na swoje plecy za darmo? Że będę załatwiał im mieszkanie, sprawy urzędowe, robił za tłumacza, dowoził, odwoził, itd...? Przecież od tego jest urząd pracy.

A przecież, jeśli załatwię komuś pracę, to i on będzie zadowolony i ja... W ten sposób naiwnie myślałem.

Czy chciałbym cofnąć czas, aby móc zmienić decyzję?

Nie.

Zbyt wiele dowiedziałem się o ludziach. To była lekcja warta kosztów. Warto było przesiać ziarno od plew.

Póki co, znalazłem pierwszą osobę, szukającą pracy. W telefonicznej rozmowie okazał się wiarygodny. Gienek. Przedstawiłem mu warunki, na jakich załatwię pracę.

W zamian za 600 euro, zapłacone z pierwszej tygodniówki, gwarantuję mu, że będzie miał pracę w Irlandii przez co najmniej pół roku. Zarobi u Irlandczyka od 400 do 600 euro tygodniowo. Załatwiam mu pokój w mieszkaniu, za który płaci zwykłą stawkę. Umawiam go na kurs BHP, zwany SAFE PASS– niezbędny do pracy na budowach. Pomagam w rejestracji w urzędzie i uzyskaniu numeru PPS (coś jak polski pesel). Jak również można liczyć na mnie w sprawach takich, jak tłumaczenie, czasami odwiezienie na lotnisko, rozmowy z szefem. Właściwie w każdej, z wyjątkiem telefonów do żony.

Po rozmowie z Andrzejem, jeszcze raz zadzwoniłem do Hormona.

—Cześć, Hormon, Tomek z tej strony.

—Co tam słyyyyyhać, Toooomek? – A ja słysząc go, widzę jego

gestykulację.

—Mam dla Ciebie kolesia do pracy. Co z nim robimy?

—Dawaj go! – Już się podniecił, ręce zamachały bezwiednie, jakby odganiał muchy. – Kiedy będzie, jutro?

—Nie. Może przylecieć w sobotę.

—To dawaj go. W poniedziałek do roboty.

Przyleciał, tak jak się umówiłem, w sobotę wieczorem. Stałem w holu lotniska w Dublinie. Znak rozpoznawczy, to czapka we wzór wojskowy i „Polityka” w ręce. Wsiadliśmy do auta. Widać było, że jest trochę wystraszony. Przypuszczam, że i ja wyglądałem tak samo, gdy przyjechałem. Postanowiłem trochę go odstresować.

—Proszę się nie obawiać. Wiem, że często można trafić na oszustów, proponujących nieistniejącą pracę, ale to nie ten przypadek. Najlepszy dowód, że zapłaci Pan dopiero po tygodniu. Już się Pan zorientuje, że to żaden kit.

Pokiwał głową, ale czy się uspokoił, nie wiem. A może też dlatego, że wąską, irlandzką dróżką zasuwałem 140 na godzinę?

A może boi się, że zepsuje mu się pięć kilo kiełbasy, które wiezie w walizce? Pewnie sobie pomyślał, że wiozę go na koniec świata, bo jechaliśmy aż dwie godziny. Miasteczka coraz mniejsze, jedynie pola i krowy. No i owce. Dostarczyłem go do Hormona. Teraz dopiero pewnie zaczął się bać. Jak ja widziałbym Romualda po raz pierwszy w tych okolicznościach, to pewnie już szukałbym okazji do ewakuacji.

Hormon, z tymi jego oczami większymi od reszty twarzy i z jego chudością, oraz ekspresyjną gestykulacją, wygląda niczym maniackalny morderca. A w najlepszym wypadku psychopata.

Ubezpieczając ewentualną drogę ucieczki Gienka, przedstawiłem ich sobie. Po chwili standardowej rozmowy powiedziałem, że muszę

już lecieć i zostawiam go w dobrych rękach. Gienkowa twarz zrobiła się blada, przypominała papier. To chyba aklimatyzacja, bo już upodabnia się do Irlandczyka. Oczy zrobiły mu się równie wielkie, jak u Hormona.

Chyba się dogadają...

Zadzwońnięm do Hormona na drugi dzień. Gieniu, chyba mogę go tak już nazywać, wrócił z pracy po pierwszym dniu. Nie wykorkował i nie zwiął w nocy, czyli siła pieniądza okazała się większa, niż strach. Po tygodniu dostałem moją działkę za usługi pośrednictwa pracy. 300 Euro. Fajnie. Poszło o wiele łatwiej niż się spodziewałem. „Nowy” zadowolony z pracy. Już myśli, żeby ściągnąć córkę.

Co gorsza, pokazał zdjęcia córki szaleńcowi i ten już się napalił i szepta jej imię przez sen. No dobrze. Nikt nie wie, czy to jej imię, bo szepta również pięćdziesiąt kolejnych imion każdej nocy. Łącznie z męskimi, oraz innymi, typu: Pączuś, Krasula, Azorek, Mućka!

Natomiast nie o tym chciałem mówić... Dostałem trzy stówki w kieszeń i choć zarabiałem w firmie całkiem fajnie, to bardzo mnie ucieszył ten dodatkowy bonus. Ja się cieszę, bo mam trzy stówki. Hormon się cieszy, bo ma też trzy stówki. Gieniu się cieszy, bo ma pracę, Irlandczyk się cieszy, bo nie musi sam robić. Pani w pośredniaku się cieszy, bo nie musi wypełniać tych głupich papierków.

To mnie przekonało, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. I na Hormona zacząłem spoglądać trochę bardziej życzliwie.

—To co, Hormonek? – nawet nazywałem go pieszczotliwie. – Kontynuujemy tę zwycięską passę?

– Jaką passę? To dopiero pierwsza osoba.

– A, tak mówię, trochę na wyrost, żeby wykrakać.

– Pewnie, Tomek. Ilu ich masz? Jakie zawody, bo najlepiej plaster (tynkarz).

– Jest taka grupa, pięć osób. Z jednego miasteczka. Mówią, że mogą robić nawet dom pod klucz. Czyli pewnie mix profesji.

—To daaawaj ich.

No to ich dałem. Przy okazji daliśmy dupy. Na szczęście, nie fizycznie!

O ile Gienek był spokojnym gościem, wdzięcznym za pracę, to Ci byli grupą cwaniaczków, którym odwidziało się płacenie za pracę po paru dniach. Mieszkali w domu, wynajętym dla nich przez Hormona. Gdzieś na wsi, w okolicach Clonbern. Paru z nich pracowało, paru nie sprawdziło się i straciło pracę. Podobno Hormon załatwił im robotę w nowych miejscach, ale oni zaczęli już kręcić nosem. Trzymali się razem i jak któryś z nich nie miał pracy, to stali za nim. Podejrzewam też, że Hormon nie miał czystego sumienia i coś tam namieszał. Kolesie poszli swoją drogą, nie zasilając naszego budżetu.

A ja stwierdziłem, że mój wspólnik jednak nie jest osobą zbyt poważną.

To też postanowiłem odpowiadać tylko za swoje czyny. Jakbyśmy wpadli razem, to nie wyobrażam sobie wspólnej celi. Wolałbym kamieniołomy o suchym pysku.

W międzyczasie słyszałem o Irlandczykach poszukujących pracowników z Polski. To nie tylko stało się modą – mieć obcokrajowca w firmie. Po prostu, w tym małym liczebnie narodzie zaczęło brakować Irlandczyków. A jeszcze mniej było chętnych do pracy. A już totalny deficyt panował wśród fachowców. 80% lokalnych fachowców na Zielonej Wyspie otwarło własny biznes

i było szefami. Pracownikiem zostawało się w ostateczności lub z lenistwa. Lub jeśli nigdy się nie trzeźwieje.

Zacząłem rozglądać się po okolicy. Zajrzałem tu i tam, porozmawiałem z paroma Irlandczykami. Czasem sami mnie zaczepiali, szukając pracownika. Sprawdziłem, czy nie mam czasami na czole napisu; „Pośredniak”.

Jeszcze nie.

Rozdział 18

No, to z górki. A w domu robi się ciasno. Na początku „odgrzane kotlety” i inni znajomi. Jak nie można wciskać kitu w ścianę? Czas na masową produkcję emigrantów.

*

W ten oto sposób rozpocząłem gangsterkę „na własną rękę”. Na pierwszy ogień poszli znajomi. Damian trafił do pracy u Martina. Firma naprawia oraz wypożycza sprzęt budowlany. Od niego, po znajomości, wzięłem jedynie stówkę. Zwrot kosztów. Mieszkał z nami. Następnie przeszedł do pracy u malarza, Johna Heata.

Praca była lekka, łatwa oraz przyjemna. Coś w tym jest, że jak ktoś nie nadaje się do niczego, to zostaje malarzem. Ale to akurat go nie dotyczy, bo Damian, ksywa Gała, zawsze był dobrym pracownikiem.

Pracował, zarabiał. Ale wiecznie tęsknił za swoją dziewczyną w Polsce. Wesóły był tylko wtedy, jak popił whisky. Najpopularniejszy model, to „Queen Margot”. Bo najtańsza... Zastanawia mnie tylko, dlaczego „Królowa”. Pozostaje nam mieć nadzieję, że to ze względu na wiek. Bo whisky im starsza, tym lepsza, niczym brytyjska królowa.

Damian pracował jedynie po to, żeby jak najszybciej lecieć do Polski na spotkanie ze swoją dziewczyną. Dlatego nie było nawet żadnego ważnego powodu, by kupić sobie skarbonkę. Do końca życia nie miałby powodu, żeby ją rozbić. Chyba, że w pomieszczeniu brakłoby tlenu. Jego oszczędności polegały na oszczędzaniu się w pracy.

Natomiast jak już wypadła imprezka i popił, to siedział przy stole uśmiechnięty, co pięć minut powtarzał, że kocha swoją Angelę i wówczas nic więcej do niego nie docierało z otaczającej go rzeczywistości. Pod koniec drugiej „Królowej M” włączał mu się syndrom koncertowy. Odlatywał i gdziekolwiek się znajdował, ściągał koszulkę, machając nią, jak fflagą. Z pewnością nie był to koncert muzyki poważnej, a raczej ZZ TOP.

Niejednokrotnie musieliśmy tłumaczyć ochroniarzom na dyskotecę, że ściąganie koszulki, to taki polski, ludowy zwyczaj lub wciskać podobne kity. Raz z rozpędu powiedziałem, że właśnie wyszedł z wojska, ale oni nie wiedzą, co to jest karabin. A armia irlandzka, to generał, dwóch oficerów i szeregowy do sprzątania latryny. Na „dochodne” jest pielęgniarka, dla zaspokojenia różnych potrzeb armii.

Po pewnym czasie do Damianka dołączył jego ziomal, Marek. Od niego wzięłem kasę zgodnie z cennikiem. Zamieszkał z nami i rozpoczął pracę w Black Bros.

Z Markiem spotkaliśmy się w Don Kichocie. Tam trochę popiliśmy, pogadaliśmy. Damian bardzo dobrze wypowiadał się na jego temat. Na mnie również zrobił dobre wrażenie. Powiedziałem mu, na jakich zasadach mogę załatwić pracę.

—Rewelacja – stwierdził.

—Ale jest jeszcze jeden warunek – oznajmiłem tajemniczo.

—Jaki? – przeraził się Marek. Pewnie pomyślał, że będzie mnie musiał dopisać do testamentu, lub coś podobnego.

—Będziesz musiał pracować dodatkowo, jako niania.

—A co, macie małe dziecko?

—Nie, dla Damiana. On ma takie napady melancholii, że włosy na klacie wycierają mi się od przytulania.

Więc przyjechał, żeby Gała nie czuł się, aż tak osamotniony. Razem pili, razem jedli, spali w tym samym pokoju. Marek zachowywał się, co najmniej, jak dobry starszy brat. Może trochę przesadzam. Dobry brat nie przepijałby kasy brata.

Marek pracował, zarabiał, ja natomiast dostałem swoją działkę. Ponownie wszyscy zadowoleni. Łącznie z jego szefem, też Patem. Poznałem go, czyli tego Pata, kiedy zmienialiśmy adres zamieszkania. Aha, zapomniałem o tym wcześniej napisać. Ale przecież Wy nie jesteście ze skarbówki, to nie muszę Was o tym informować w nieprzekraczalnym terminie 5 minut.

Przeprowadziliśmy się z Williamstown do pobliskiego, większego miasteczka. Tutaj są trzy banki, dwa markety spożywcze, sześćset pubów, kościół.

Szkoła podstawowa i Garda naprzeciwko. Z pewnością jedynie po to, by mieć blisko do źródła największej przestępczości. I w sumie, to można ją nazwać nawet zorganizowaną. Przecież rząd zorganizował ich w klasy, roczniki i temu podobne tałatajstwa.

Miasteczko nazywa się Castlerea. Zamku tu nie ma, ale nazwa dumna. Przeprowadzka nie nastęrczyła nam wielu kłopotów, bo dostawczaka wzięłem z pracy, a nasz majątek sprowadzał się wówczas do żelazka, sterty ciuchów i forda mondeo, który przejechał na własnych kołach i nie był związany sznurkiem.

Nowe mieszkanie znaleźliśmy u pośrednika nieruchomości.

Zapoznał nas z Patem, współwłaścicielem firmy budowlanej Black Brothers. Na początku miałem problem z ich rozpoznaniem. Black Bros to trzech braci–bliźniaków. Pat, Michael i John. Chyba cała Irlandia składa się z tych trzech imion.

Podczas jednej z rozmów zapytałem go, czy potrzebuje kogoś do pracy. Oczywiście, że tak. Nawet dwóch. No, to poleciał do niego Marek, a na dokładkę Rysiek. Nowy nabytek z Polski. Młody, przystojny. Teoretycznie nie powinienem wpuszczać do chaty, w której mieszka moja Alicja, nikogo ładniejszego ode mnie, ale to zrodziłoby pewien problem. Bo musiałbym mieszkać sam. Nie to, że jestem jakiś pasztet, ale akurat wszyscy wymienieni są przystojniejsi ode mnie.

Postanowiłem jednak zlekceważyć to zagrożenie. Przyznam, że odwagi nigdy mi nie brakowało. W ten sposób mieszkaliśmy sobie razem pod 12 numerem. Dom, to piętrowy bliźniak z własnym podwórkiem, trzema sypialniami, dwoma łazienkami i toaletą, oczywiście kuchnią i salonem.

Irlandzkim zwyczajem kuchnia jest największym pomieszczeniem w budynku. Natomiast salon wygląda, jakby jego pierwotnym przeznaczeniem był schowek na buty. Powierzchnią jest mniejszy od przedpokoju. Podejrzewam, że chodzi o to, by w razie niespodziewanej wizyty, goście nie mieli gdzie usiąść i jak najszybciej opuścili gospodarzy.

Pasuje mi tu jak ułał ten żart o teściowej, która dzwoni do drzwi swoich dzieciątek. Otwiera zięć i już w progu pyta;

—A długo mamusia zostanie?

—Ile będziecie chcieli – mówi rozanielona. Na to pseudo-synek stanowczo:

—Oj, to się mamusia nawet herbaty nie napije.

Nasz bliźniak stoi na osiedlu domków zbudowanych w tym samym stylu. Dodatkowo, w tym samym stylu zbudowano resztę nowej Irlandii. Podejrzewam, że musieli odkupić kiedyś jakiś rysunek techniczny od angielskiego architekta. A drobne różnice w wielkości i wyglądzie wynikają jedynie z pomyłek budow-lańców. Niepowtarzalne rozstawienie ścianek działowych wewnątrz dwóch identycznych budynków, to żadna pomyłka. Po prostu w czasie boomu Irlandczycy zupełnie inaczej rozumieją pojęcie dokładności. Im wystarczy, że zgadza się liczba pokoi w budynku. A czy pokój ma trzy, cztery, czy pięć ścian, to już coś, czym raczej nie zaprzatają sobie głowy.

Oczywiście, istnieje taka możliwość, że dostrzegą swój błąd. Jeśli – na przykład – mieliby w planie cztery obrazki do powieszenia, a pięć ścian. Ale w tym wypadku spostrzegliby się w trakcie wieszania czwartego. Prawdziwy problem byłby wówczas, gdyby mieli trzy zamiast czterech ścian, bo w ręce zostałyby im czwarty obrazek i zero wolnych miejsc. Resztę dniówki zajęłoby im zastanawianie się, co zrobić z ostatnim. Wahaliby się między powieszeniem kolejnego obrazka na pierwszej, drugiej lub trzeciej ścianie. A że nie mogliby się zdecydować na której, wyrzuciliby go do kosza.

W życiu nie wpadliby na pomysł, że skoro tu są trzy ściany, to w pokoju obok będzie ich pięć...

Ale cóż. Tak to jest, kiedy ludziom płaci się za obecność, a nie za myślenie. Czas boomu w Irlandii to złoty okres dla imigrantów i miejscowych. Niestety, to już nie ma prawa się powtórzyć. Czasy, gdy to pracodawca prosi ludzi, żeby przyszli do pracy. Mogą opieprzać się cały dzień, natomiast pracodawca przychodzi na koniec dnia i mówi:

—Good job! Thanks.

Szaleństwo. I gdy Polak przyjeżdża z kraju, gdzie pracodawca równa się terrorysta, do kraju, gdzie pracownik jest jak indyjska krowa, to czuje się niczym w raju. Zaczyna się szczypać w udo, rozglądać, gdzie są kamery lub modlić, bo takie cuda zdarzają się tylko w niebie.

W tym dobrobycie mija dzień za dniem, emigrant za emigrantem.

Podczas jednego z pobytów w Polsce spotkaliśmy w mieście Oliviera. Wysoki, przystojny skubaniec. Ciemne włosy, szczupły, podobny do pewnej sławnej postaci. Zawsze miał branie. Ale wybrał sobie taką przeciętną laskę. Pewnie była dobra laska.

W końcu doszedł... do naszej ekipy w Irlandii. Razem ze swoją Mariolą. Olivier to mój bardzo dobry kolega. Ale jeszcze nie przyjaciel. Fakt, zawsze go lubiłem. Nawet wtedy, gdy rok temu wpadł do nas do mieszkania w Częstochowie. Akurat była drobna imprezka, bo przyjechał nasz znajomy zza granicy. A on stanął w drzwiach i;

– Tomek, gdzie są moje pieniądze? Kasę mi oddaj.

– Oli, przecież wiesz, że teraz nie mam. Pogadamy jutro. Teraz mam gości. – Ale ja **TERAZ** potrzebuję tych pieniędzy, oddaj mi je, bo tak się umawialiśmy. Chodziło o 600 złotych. Wtedy to było dla mnie dużo.

Z drugiej strony, kiedyś pomógł mi, gdy potrzebowałem jego pomocy. Dowiedziałem się, że sklep, do którego sprzedawałem towar z odroczoną płatnością likwiduje się. Olivier pomagał mi zebrać z półek cokolwiek, warte jakichś pieniędzy. Udało mi się odzyskać część nieodebranych pieniędzy w artykułach spożywczych. Handel wymienny. Jak blade twarze z Indianami. Ja im świecidełka, oni mi garbowane skóry. Ale tak naprawdę, to ja chętnie te skóry im

wygarbowałbym. To jeden z moich genialnych handlowców w Polsce sprzedał im... nie, raczej rozdał im towar. Doskonale wiedział, że nie zapłacą całości, lub nie zapłacą wcale. Z Olivierem graliśmy razem w piłkę, imprezowaliśmy, czasami sobie trochę pomagaliśmy. Do tej pory to ja musiałem liczyć na jego pomoc. Teraz to on liczy, że ja pomogę jemu. Był tylko jeden problem. Olivier nie nadaje się do pracy fizycznej. Okazało się to dosyć szybko.

Na pierwszy rzut poszedł pracować do Seana, hydraulika.

– Olivier, jest robota u hydraulika. Umiesz kłaść rury?

– No, mogę położyć.

– No, to jutro zaczynasz. Facet dobrze płaci. Jak się sprawdzisz, to nawet 15 na godzinę.

Rano wstałem trochę wcześniej, przygotowałem śniadanie. Olivier ładnie się uczesał, ubrał się w ładne adidaski, założył wyprasowaną koszulkę, wziął ręczniczek, mydélko i śniadanko, plus termos. Ruszyliśmy. Na odchodne w Williamstown powiedziałem:

—No to powodzenia.

—Dzięki – odparł blady. Czego on się boi? Język, jako-tako zna. Koszula, spodnie w kancik. Co go jeszcze stresuje?

Kiedy odbierałem go z pracy, był cały umorusany. Aż podkładałem gazety, żeby nie pobrudził mi siedzenia.

Ja już wiedziałem, że facet go nie chce więcej widzieć. Kontakt spalony.

—No co Ty, Oli? Mówiłeś, że umiesz kraść kury...yyy..., kłaść rury.

– Tak, ale myślałem, że chodzi tylko o kładzenie na ziemi, po zdjęciu z auta, czy coś.

– Olivier, co Ty, z księżycy jesteś, czy z budżetówki? Jakby chciał zdjąć rury z auta, to wystarczyłoby odpiąć klamrę...

– No taaak, a dodatkowo, to w tych dołach wody po kostki czasami. Przemokłem, jak ogolona kura w deszczu.

– Ha, ha, ha. – Nie mogłem powstrzymać śmiechu. Z kury, jak i specjalisty do zrzucania rur z paki. OK. Może nie zrozumiał mnie dobrze.

Drugą robotę dostał zdecydowanie łatwiejszą. Wysłałem go do Emmona, budowlańca z Williamstown. Powiedziałem, że może pracować, jako pomocnik budowlany. Ale, jak się okazało, on może pracować, jako pomocnik budowlany... pomocnika budowlanego. Może parzyć herbatę, zamiatać, trzymać łopatę, jak pomocnik dzwoni do kolegi. U niego popracował tydzień. Dokończyli sprzątanie budynku i Emmon powiedział, że zadzwoni, jak będzie miał następną robotę. Wygląda na to, że poszedł na zasilek, bo nawet na telefon nie miał, żeby zadzwonić. Ale prawda jest bardziej oczywista. Nie zadzwonił, bo to był zwrot grzecznościowy, jak na spotkaniu w sprawie pracy.

Trzecie podejście. Znalazłem pracę dla tynkarza z pomocnikiem. No, chyba zaprawę rozrobić to może się nauczyć. A kurs jazdy taczka zrobi mu dobrze. Ale co z tynkarzem?

– Oli, jest praca dla pomocnika, ale musisz mieć tynkarza. Nie znasz kogoś w Polsce?

– Poczekaj. – Odwrócił się w stronę kuchni. – Mariola! Możesz przyjść na chwilę do salonu?

—Tak? – zapytała.

—Janek, to jaki ma zawód?

—Mój tata? Różne, ale najdłużej to jako tynkarz pracował. A co?

—A chciałby przyjechać do Irlandii, do pracy? Trochę by od Zośki

odpoczął.

—No wiesz – oburzyła się. – Uważasz, że tak ma z nią źle?

—Nie, ale jak on by popracował jako tynkarz, to ja mógłbym być za pomocnika.

—Zadzwoń i zapytaj. Nie wiem, czy będzie mu się chciało ruszać.

Olivier zadzwonił, porozmawiali i na drugi dzień Janek zdecydował, że przyjeżdża. Poinformowałem go zatem na wszelki wypadek, że nie przyjeżdża, a przylatuje, oraz zapoznałem go z warunkami z mojej strony. I że nie wystawiam faktur na usługi pośrednictwa pracy.

Miałem wrażenie, że usłyszałem przez słuchawkę, jak pokiwał ze zrozumieniem głową. Jeszcze nie rozumiałem jak można usłyszeć przez słuchawkę kiwanie głową, ale po jego przylocie wszystko wyjaśniło się. Na lotnisku podszedł do nas posiwiwały, starszy Pan. Przywitał się z Mariolą, a następnie z Olivierem. Teraz ja:

—Witam. – Podaliśmy sobie dłonie. – Tomek.

– Janek- skłonił głowę na powitanie, a ja znów usłyszałem to samo skrzypienie, co przez telefon. Wszystko jasne. On już teraz skrzypi. A co będzie później? Mamma Mia! Ale wtopa. Przecież on sobie nie da rady. W dodatku jeszcze nie wiedziałem, że tynkarz tutaj to dopiero musi mieć krzepę!

Janek okazał się bardzo sympatyczną, wesołą osobą. Jak na swój wiek żywotny i rozgadany. W lekko staroświeckim stylu. Do pracy mieli ruszyć jutro, nic już innego dziś nie wymyślę.

I ponownie to samo, tylko teraz podwójnie. Rano wstałem trochę wcześniej, przygotowałem śniadanie, Olivier i Janek ładnie się uczesali, ubrali się w ładne adidaski, założyli wyprasowane koszulki, wzięli ręczniczki, mydełka i śniadanko plus termos. Ruszyliśmy. Tym razem mieli pracować w Castlerea, więc mieliby

bliziutko.

Wprowadziłem ich do budynku, w którym czekał na nich pracodawca. Przedstawiłem jego nowych, importowanych pracowników i pojechałem do pracy. Matthew – czyli szef, pokazał im ścianę, którą mają otynkować i poszedł do innych zajęć. Kiedy wrócił po godzinie, zobaczyć jak im idzie, przeraził się. Tynkarze w Irlandii tynkują zupełnie inaczej. Tutaj jest to naprawdę ciężka, fizyczna praca. Pomocnik rozrabia zaprawę w betoniarce i zasuwa z tym czym prędzej do tynkarza.

Ten w jednej ręce trzyma blaszaną tacę z trzonkiem pod spodem. W drugiej ręce natomiast ma pacę z nierdzewki, parokrotnie większą od standardów polskich.

Pomocnik łopata wrzuca tynkarzowi zaprawę na tacę, a on tynkuje jedną ręką, w drugiej bez przerwy trzymając zaprawę z tacą. Waży to około 10kg. Ruchy, jakie wykonuje podczas tynkowania są tak zamaszyste, że bez kolejnych egzaminów irlandzki tynkarz ma prawo wprowadzać chorągiewkami samoloty do hangaru.

Ale to dopiero początek. Bo tak pracują, jeśli tynkują dolne partie ściany. Osoby tynkujące górne partie ścian muszą przejść kurs cyrkowca. A to dlatego, że tynkarze chodzą wtedy na szrudłach.

Nie, to nie żart. Mają takie specjalne szrudła, przywiązywane do nóg niczym protezy. Dzięki temu mają wolne ręce i mogą sięgnąć wyżej.

Olivier z Jankiem też zasługują na papiery cyrkowca. Ale nie dla tego, że świetnie sobie radzą. Wręcz przeciwnie. Bo jak ich ustawić obok prawdziwego tynkarza z Irlandii, to ich wyczyny wyglądają jak praca clowna w cyrku. Ma się fajnie przewracać i rozśmieszać publikę. Ten cel osiągnęli znakomicie.

A odbywało się to tak, że Olivier stał w jednym kącie i wyrabiał troszkę zaprawy w małym wiaderku. Janek stał przy ścianie z szpachelką i z jeszcze mniejszego wiaderka, stojącego na ziemi nakładał odrobinę zaprawy na ścianę i rozsmarowywał ją, jak masło na kanapce. Wyglądało to tak, jakby Janek bał się przewrócić ścianę szpachelką. Już prędzej to ściana przewróciłaby jego.

Reasumując, wyglądali przy lokalnych pracownikach niczym dzieci w piaskownicy przy stongmanach. Duży zapal, zero umiejętności.

Toteż po trzech sekundach od chwili, gdy zobaczył ich pracodawca, byli już przebrani i wracali do domu. Dobrze, że nie za bardzo go rozumieli...

Oliviera dobiło to dosyć mocno. Tym bardziej, że jego Mariola po trzech dniach również przerwała pracę. Wersja oficjalna: w hotelu potrzebowali kogoś tylko na trzy dni.

Wersja prawdziwa: księżniczki nie zmywają talerzy.

Po tych perypetiach Olivier pokochał na nowo Polskę i perspektywy czekające tam na niego. Mariola stwierdziła natomiast, że Irlandia to dziki kraj. Ukochana Oliviera, piastująca w Polsce stanowisko kreatorki partii dolnych (czyli sprzedaje portki) stwierdziła, że to praca poniżej jej kwalifikacji. No dobrze, ale nie przesadzajmy. To nie tak wielka różnica, czy ktoś zmywa talerze, czy naciąga obcym facetom spodnie na d***. W Polsce pracowała w sklepie odzieżowym. Osobiście bez chwili wahania wybrałbym zmywanie talerzy. Natomiast Janek, mimo początkowej klapy, okazał się prawdziwym twardzielem. Nie przejął się zbyt tą porażką i zapytał, czy znajdzie dla niego coś innego. To jest właściwa postawa.

Wkrótce nawinęła się nowa „robota”. Na nowo budowanym osiedlu domków w Castlerea zagadnąłem malarza, który skierował mnie, zgodnie z procedurą do właściciela. A że, jak ktoś do niczego się nie nadaje, to zawsze może zostać malarzem, wygoniłem do niego do pracy Damianka i Janka. I w to im graj. Ta praca spodobała im się i pracowali u niego do końca swojego pobytu w Irlandii.

W międzyczasie, kiedy byliśmy w Polsce na wakacjach, zamieściłem ogłoszenie w Gazecie (wiadomo, jakiej).

„Praca w Irlandii, zawody budowlane., itd.”

W dniu emisji, zamiast pracować, co chwilę odbierałem telefony. W końcu połowę swojej dniówki przesiedziałem w toalecie.

– Co jest grane, Tomek, rozwolnienie? – Dokuczał mi Mike. A ja w kółko to samo;

– Dzień dobry, tak.

– ...

– W zawodach budowlanych. A jaki jest Pański zawód?

– ...

– A doświadczenie?

– ...

– Oczywiście, nie za darmo. Ale żeby Pan był spokojniejszy, biorę pieniądze, jak już Pan zacznie pracę. Tutaj wynagrodzenie płatne jest co tydzień, proponuję więc 300 euro przy pierwszej wypłacie i trzysta przy drugiej.

—...

—Tak, wiem. To bardzo uczciwe postawienie sprawy. Dodatkowo, ma Pan gwarancję, że jeśli straci Pan tę pracę z przyczyn innych, niż pijaństwo, lub temu podobnych, załatwię Panu kolejną za darmo. Tak do pół roku.

—...

—Tak, może Pan zapytać. Zarobki w Pańskim zawodzie to tygodniowo czterysta do sześciuset euro, przy pięciodniowym tygodniu pracy, osiem – dziewięć godzin.

—...

—Mieszkanie ma Pan załatwione. Standard, to pięćdziesiąt euro czynszu. Mogę odebrać Pana z lotniska. Dodatkowo pomagam załatwić wszystkie niezbędne formalności. SAFE PASS, PPS, konto w banku, tłumaczenie, czasem dowóz do pracy, itp.

—...

—Wszystko Panu powiem, jak się dogadamy.

—...

—Tak, w tym domu mieszka już paru Polaków. Zwykle to jest jedna lub dwie osoby w pokoju.

—...

—Nie, jeśli się dogadamy i poproszę o przyjazd, to powiem, co zabrać, ale narzędzi nie trzeba. Chyba, że zmieści się Panu do walizki betoniarka...

—...

—Nie, to taki żart, oczywiście.

—...

—Znajomość angielskiego nie jest niezbędna. Jak Pan zna się na robocie, to się Pan dogada.

—...

—Jak? Na migi.

—...

—Jak się Pan zdecyduje... Już? Dobrze, jak tylko coś znajdę, to zadzwonię, wówczas musi Pan szybko kupić bilet i przylecieć.

—...

—Do Dublina.

—...

—Może Pan zadzwonić. Ale nie wcześniej, niż za cztery dni.

—...

—Ja również, do usłyszenia i zobaczenia. Ja też.

Po tym tygodniu miałem w domu kartotekę lepszą, niż urząd pracy w Skierniewicach. Jak już pojawiał się jakiś etat, to wertowałem dokumentację i wybierałem ludzi, którzy wydawali mi się najbardziej normalni oraz wiarygodni.

A że nie da się tego rozszyfrować w stu procentach przez telefon, przyjeżdżali tutaj najróżniejsi ludzie. Od pijaka, do wielbiciela chińskich zupek. Od złodzieja do oszołoma.

Po pewnym czasie takiego załatwiania pracy miałem wrażenie, że w Polsce rząd rozdawał darmowe bilety złodziejom, czubkom i alkoholikom.

Taki znalazł sobie sposób na bezrobocie.

Rozdział 19

**Whiskey i moja żona (prawie). Emigracja emigranta.
Jak przerzucałem łajno. Cieśla, co to nie wie,
z której strony ciąć gałąź, na której siedzi. Po co
Irlandczykom czołgista? A na koniec
o pączkowaniu.**

*

Pierwszą osobą, którą ściągnąłem po zamieszczeniu ogłoszenia i rozmowie telefonicznej był Jan Jakiśtamjuźniepamiętam. Ze względu na jego zamiłowanie do jednego typu alkoholu (zapewne ze względów ekonomicznych), nazwaliśmy go Dżony Łyski.

No i wszystko jasne.

Nadużywał. Ale zanim zaczął nadużywać w Irlandii, musiał do niej przylecieć. Zapewne mocno ścisnął się na pożegnanie z polskimi butelkami, bo zadzwonił do mnie parę godzin po lądowaniu w Dublinie. Jego głos wskazywał na spożycie. Umówiliśmy się, że zadzwoni, jak dojedzie do Castlerea. Byłem w pracy, więc nie mogłem go odebrać z lotniska.

W końcu usłyszałem sygnał dzwonka telefonu.

—Pan Tomek? Jestem już na dworcu! – Na dworcu? W Castlerea? Zdziwiłem się, bo tutaj jest zaledwie przystanek. Ale może jest z małej miejscowości i myśli, że to już dworzec...? Nic to.

—Dobrze, będę za pięć minut.

Ruszyłem. Skręciłem w lewo, w prawo i już jestem. Stoję przy „dworcu”, a po nim ani śladu. Dzwonię.

—No, gdzie Pan jest?

—Przed budynkiem dworcowym.

—Gdzie?!

—Przed budynkiem dworcowym. Wyszedłem głównym wyjściem. Zbaraniałem. Spoglądam na ten głupi przystanek i zastanawiam się, jak on

mógł z niego wyjść głównym wyjściem?!?! Cały przystanek to wiata, jak u nas przystanki PKS-u. Co to za koleś, cholera. Może mu się hotel z naprzeciwka pomylił z dworcem. – Staram się sobie to w miarę racjonalnie wytłumaczyć.

—Może mi Pan opisać, co Pan widzi wokół? Bo ja Pana nadal nie widzę. —Po mojej lewej stronie stoi z dziesięć autobusów, a...

—Co?! – krzyknąłem. Przecież wystarczy, jak tu jeden autobus wjedzie, to już nie da się nawet korkociągu rozłożyć, a on mówi o dziesięciu. Już wiedziałem, że idę złym tropem.

—Dobrze, to jeszcze raz. Gdzie Pan jest?

—Przed dworcem – powiedział lekko już niepewnym głosem.

—A w jakim mieście?

—W kastel-coś-tam.

—A może Pan mi powiedzieć, w jakim „coś tam”? – zapytałem, bo wydaje się, że już łapałem punkt rozbieżności.

—Zaraz... mam tu gdzieś bilet. Castelbar.

—No tak. A ma Pan tą kartkę, na której zapisał Pan adres?

—Tak, chwila. – Usłyszałem odsuwany zamek w torbie. Choć w tej sytuacji nie zdziwiłbym się, jakby był to zamek rozporoka. Jak myłą mu się miasta, to czemu nie zamki?

—Castlerea – powiedział po chwili ciszy. — No właśnie. Widzi Pan różnicę? — Nooo... taką drobną.

—No to ta drobna różnica, to sto kilometrów – zezłościłem się. Chciałem zaraz trochę odpocząć, a wypadła mi ekspedycja ratunkowa. Przecież nie zostawię tam kolesia, bo autobusem już dziś nigdzie nie zajedzie.

—To teraz Pan sobie na nas poczeka. Będę za dwie godziny. Niech Pan nie odchodzi daleko, bo Pan znów zabłądzi. Podjadę ciemnozielonym Fordem Mondeo Kombi. Zadzwoń, jak będę w pobliżu.

Obok mnie leżała Alicja i czytała książkę. Nasze ulubione zajęcie.

No, dobrze. Może ulubione zajęcie numer dwa.

—Kiciuś, muszę jechać do Castelbar po kolesia. Wsiadł do złego autobusu. Jedziesz ze mną?

—Uuuu. A ja chciałam sobie z Tobą poleżeć i się przytulić. – powiedziała, lekko rozczarowana.

—Muszę jechać. Nie zostawię tam sieroty. On nawet nie zna języka. Pomyśli jeszcze, że go chcę zrobić w Karolka.

—No, dobrze. Ale weź jeszcze kogoś. Nie wiadomo przecież, co to

za facet.

—Dobrze. Zapytam, komu będzie się chciało jechać.

Zszedłem na dół do salonu. Damian siedział na kanapie i zdrapywał sobie resztki farby z łokcia. Co on nim robił? Mieszał farbę? Marek oglądał coś w TV. Janek z Ryśkiem pichcili obiadek w kuchni.

—Kto chce mieć darmową wycieczkę po Irlandii? – zapytałem. Cisza. Po chwili Marek powiedział swoim rozciągniętym głosem;

—Jaaa to jestem zmachaaany dziisiaj. Nadźwigałem się pustaaaków.

Tamci gotują, nie mam wyjścia. Muszę namówić Damiana.

—Pakuj się, Gała. Może po drodze będą dziury, to nie będziesz musiał drapać farby. Sama Ci odpadnie.

—A gdzie chcesz jechać?

—Do baru.

—O, to ja też jadę. – Rozruszał się Marek.

—Do Castelbaru – dodałem.

—Ooo, to jednak jestem zmęczony. – Marek opadł z powrotem na fotel. — Za ile wrócimy?

—Dwie godziny. Jutro sobie obejrzysz wieczorynkę. – Taki drobny bajer. Inaczej nie pojedzie.

—To zmienię jedynie spodnie.

Nie pytałem już, dlaczego.

Pojechaliśmy.

Zadzwoiłem jeszcze raz do nowego, upewniłem się, że czeka przed dworcem. Jest. Kazałem mu trzymać się framugi drzwi dworca, a sikać do butelki. Żeby tylko niczego nie starał się już znaleźć.

Wsiedliśmy do auta, bez entuzjazmu ruszyliśmy w jedynym,

słusznym kierunku. To jeden z tych momentów, kiedy muszę gnać na ratunek nierozgarniętemu emigrantowi zarobkowemu, co to wolałby być w Polsce, ale „kolo” za granicą obiecał mu kokosy.

Dobrze, że nie jechał do Londynu, bo pewnie dzwoniłby do mnie z Łącka Zdroju!

Droga jakoś względnie szybko minęła. Wjeżdżamy do Castlebar. Podjeżdżamy do dworca. Nie muszę go długo szukać.

Trzyma się framugi, jak prosiłem.

Zawołałem, ale nie zareagował. Myślę, że po prostu, złapał się za mocno. Poprosiłem Damiana, żeby oderwał delikwenta.

Damian z nowym i kawałkiem framugi wsiedli do auta. Wykręcam i kieruję się w stronę domu.

Widzę, że z zawodu malarz. Polskie dzinsy, „chlapane wapnem”, polska dzinsowa kurtka, „chlapana wapnem”.

Cały jakiś taki ochlapany. Typowy polski robotnik w wieku średnim z wąsem. Okazał się człowiekiem renesansu. Budowlanego. Murarz, malarz, cieśla i co tylko.

A w dodatku krakowiaczek jeden, miał zawodów siedem. Na szczęście okazało się, że faktycznie potrafi na budowie zrobić wszystko. A jak się upije, to nawet zyskuje zmysł artystyczny.

Pracę załatwiłem mu w pobliskiej miejscowości. Na początku dowoziłem go do Paula Drivera, tynkarza. I jako jeden z niewielu, nauczył się szybko tynkować po Irlandzku. Po tygodniu przeszedł do innej firmy. Kolegi Paula – Martina. Sympatyczny na co dzień, inteligentny. Myślę, że mimo problemu alkoholowego, można by mu nawet zaufać. Bo dało się go lubić.

Był z nim tylko jeden, ale za to wielki problem.

Zakochał się w Alicji.

Nie ukrywał tego przed nami. Komplementował ją wciąż, robiąc

maślane oczy. Ale zawsze, gdy wracałem do domu, a on miał wolne, lub przyjechał wcześniej – łąził, jak przyklepiony do Alicji. Ona w kuchni, on też, ona w salonie, on również obok.

—Kocham Was... – mówił, a myślał przecież o Ali.

Stawało się to coraz bardziej męczące. Postanowiłem przyspieszyć nieuniknione. Kasę już mi spłacił, znalazłem więc czym prędzej mieszkanie dla niego nieopodal jego miejsca pracy. Wszystko załatwiłem wcześniej. Wróciłem po pracy, żeby mu to oznajmić, ale był już na tyle naprany, że nie wiele zrozumiał. Nie miałem jednak wielkiego wyboru, zapakowałem go i zawiozłem do nowego lokum. Musiał trochę zdziwić się po przebudzeniu, ale na drugi dzień miałem wyjazd do Dublina i nie miałbym jak dostarczyć go do pracy.

Jedyne, co mogłem zrobić w tej sytuacji, to zostawić mu kartkę na stole i zadzwonić rano, żeby nie zasnął.

Pewnie wyglądało to tak:

Johny leży na łóżku z zamkniętymi oczami.

„Co to jest? Coś ciężkiego leży mi na głowie. Jakaś szafa?” Zaczyna machać rękami, jakby starał się ją złapać. Ale nic tam nie ma.

„Dobra, szafy nie ma, ale łeb napier***a. Co to może być?” Pomacał się dokładnie po całej głowie. „Jest w jednym kawałku i trzyma się szyi”. Wyraźnie westchnął, uspokojony.

„To może kac?”

Tak, w jego wypadku to według mnie opcja numer jeden. Nie wiem, dlaczego nie pomyślał o tym na samym początku.

W tym momencie rozległy się dźwięki piosenki; „Majteczki w kropeczki Alalala.”

„A to co, k***? Mam jakieś omamy?” – A że jego dyńka pracowała

obecnie na biegu „jałowym”, to chwilę potrwało, nim go olśniło.

„Przecież to mój budzik dzwoni. A to znaczy..., to znaczy..., że już jest jakiś poniedziałek, albo jeszcze gorzej. Muszę wstać do pracy”.

Sięgnął ręką, z zamkniętymi oczami w miejsce, gdzie spodziewał się budzika. Łup. Walnął nią o jakąś niespodziewaną przeszkodę.

„Co jest, k***, ktoś mi w nocy ścianę w pokoju postawił?”

I, co śmieszniejsze, ta myśl wydawała mu się obecnie najbardziej racjonalna. „Nie ma wyjścia, trzeba jakoś włączyć światło”. – I zaczął dłońmi szukać wokół jakiegoś kontaktu. Ale po chwili go rozjaśniło.

„Zaraz, zaraz, a co jeśli... “ – myśli powolutku docierają mu do dyńki, dlatego ma chwilę zawieszenia, jak komputer ze starym Windowsem.

„A co, jeśli ja mam ciągle zamknięte oczy? Może dlatego jest tu tak ciemno? Zobaczymy, skoncentrujemy się na oczach...”

Siłą woli stara się podnieść powieki, choć wciąż nie wie, czy są opuszczone. Jednak po chwili rozległo się skrzypienie, jak z nienaoliwionych drzwi i światło zaczęło docierać do wnętrza jego pacynki.

Jako że w tym stanie skurczony mózg wypełnia mu jedynie kawałek przestrzeni w dolnej części twarzoczaszki, na początku dostrzegł tylko coś na kształt wschodu słońca. W końcu jednak promienie światła, docierające przez oczy, zaczęły oświetlać jego wyżarty alkoholem mózg, przyczepiony do kręgosłupa, jak główka od szpilki. Promienie zaczęły topić szron na jego szarych komórkach i wtedy procesy myślowe ruszyły, jak z kopyta.

„No tak, już wszystko dobrze. Jest jeszcze mrok, czyli nie zasnęłam”. Ale kiedy zaczął się rozglądać, znów znalazł się jakby w innej bajce.

„A to co? Gdzie ja jestem? Albo mam taką sklerozę, albo ostatnio budziłem się w innym miejscu”.

Janek usiadł sobie na łóżku, czemu oczywiście towarzyszyło takie samo skrzypienie, tylko dużo głośniejsze. Zaczął się rozglądać, przestraszony, bo znów poczuł się zagubiony, jak mały chłopczyk.

– Gdzie ja jestem? – powiedział płaczliwym, dziecięcym głosem, mając przed oczami wspomnienia z dzieciństwa. Jak wtedy, gdy wszyscy koledzy uciekli, a on został sam w domku letniskowym z truskawkami w garści, stojąc jak zamurowany, czekając aż właściciel działki otworzy drzwi i wytarga go za uszy.

„Przecież ostatnio, jak miałem otwarte oczy, to byłem gdzie indziej. Alicja! Gdzie jest moja Alicja? To nie jest jej dom”.

Rozejrzał się jeszcze raz. Niskie pomieszczenie, stare meble, małe okienko, wszystko wygląda, jak w domku dla lalek. To jest stare, irlandzkie budownictwo. Zerknął obok łóżka i dostrzegł swoją torbę podróżną i parę reklamówek.

„Czyżbym wczoraj po pijanemu wyprowadził się od mojej Alicji?” W tym momencie, rozglądając się, dostrzegł na stoliku jakąś kartkę. A że jego szara komórka pracowała już normalnie, domyślił się, że to do niego.

Zerwał się z łóżka. Tak mu się wydawało, ale jego zmysł równowagi nie mógł działać sprawnie, więc zamiast na łóżku, znalazł się pod nim, robiąc przy tym duży hałas. Mimo wszystko, nie poczuł bólu. Wyczołgał się, podniósł rękę ponad stół nocny i chwycił kartkę. Przez minutę soczewki łapały ostrość, ale w końcu był w stanie przeczytać list:

„Janek, przykro mi, że musiałem Cię ewakuować w tym stanie, ale miałem już zaklepane dla Ciebie mieszkanie w Ballymoe. Ja muszę jutro, czyli Twoje „dzisiaj”, jechać do Dublina, nie mógłbym

więc zawieźć Cię do pracy. A Twój szef podjedzie po Ciebie przed ósmą. Nie zaśpij...”.

– Żartowniś, k***- powiedział głośno, bo w tej sytuacji żart go nie rozweselił. Ale czytał dalej:

„Dzięki temu, że nie musisz wydawać na dojazdy, będziesz miał więcej kasy na Whiskey...”.

—No, faktycznie – pomyślał, uradowany.

„A i Alicja odetchnie, jeśli wiesz, co mam na myśli...”.

—To skubaniec! – znów się zdenerwował.

„Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz i nie będziesz się gniewał. Jakbyś był trzeźwy, załatwilibyśmy to bardziej poprawnie.

PS. Żebyś nie czuł się samotnie, załatwiłem Ci mieszkanie ze współlokatorem.

Ale nie martw się, on będzie mało widoczny. Zwłaszcza wieczorem”.

—Heloł? – Ktoś zapukał, wystraszony wcześniejszym hałasem i właśnie nacisnął klamkę, by wejść do pokoju.

—All right? (Wszystko dobrze?) – Johnny usłyszał zmartwiony głos, a po chwili w drzwiach stanął Murzyn, czarny jak noc.

Cały ten dzień Dżon pracował wściekły i na kacu. Dopiero po paru dniach i moich telefonach złość mu minęła i pomyślał nawet, że mnie rozumie.

—Szkoda, że ja tak nie zrobiłem, jak ten pieprzony sąsiad się do mojej przystawiał. – Zakończył temat. I dodał:

—To przyjedźcie do mnie w odwiedziny w weekend. Przygotuję jakąś zakąskę i buteleczkę.

Czyli nie był zły z natury. Tak mu się tylko życie potoczyło.

Nadal spotykaliśmy się. Ale tylko czasem.

A w polskich gazetach wciąż leciało ogłoszenie. Ludzie dzwonili,

czas leciał z wolna. Do mieszkania, w którym mieszkałem po przyjeździe, w Williamstown, przyjeżdżali nowi Polacy. To jest mieszkanie Dereka, syna właściciela. Mogłem w ten sposób choć trochę odwdziaczyć się im za pracę i przyjęcie w firmie. Każdy z nich płacił Derekowi standardowe pięć dyszek tygodniowo. A od kiedy wyprowadziłem się z Williamstown, trochę kilo polskiej wołowiny przesunęło się przez tą chatę.

Był Dzwonek. Cieśla. Tak go nazwałem. Bo wydawało mu się, że jest „chłop, jak dzwon”, tylko nie zdawał sobie sprawy, że jest taki tępy... Cwaniaczek warszawski. Facet, który uważał się za tak inteligentnego i na tak wysokim poziomie, że na dach wchodził bez drabiny. Od pracodawcy oczekiwał zatem, że nie będzie wymagał od niego czegoś tak płytkiego, jak praca. Pracował na początku u Seana, którego znam dość dobrze. Sean zapytał mnie kiedyś, czy Felix (jego imię) przypadkiem nie kończył filozofii, bo do ciesielki się nie nadaje.

Natomiast, co okazało się po pewnym czasie, miał chrapkę na irlandzką emeryturkę. Kiedy jeszcze był w Polsce i zanim tu przyjechał, sprawdził, jaki staż jest do tego potrzebny i liczył, że jakoś te pięć latek odbębni. Nie odbębnił. I to mimo to, że bęben urósł mu jeszcze większy, niż miał. Popracował trochę u Seana, następnie jeszcze w dwóch miejscach, nigdzie jednak nie chcieli go trzymać. Musiałem ich prosić, żeby potrzymali go jeszcze miesiąc, dwa. Zagwarantowałem mu sześć miesięcy pracy i starałem się gdzieś go upchnąć, choć nie było to wcale łatwe.

Kiedy Sean powiedział, że Felix nie nadaje się, poprosiłem o tydzień i znalazłem nowe miejsce dla niego. Tam też popracował tylko chwilę.

—Jak tam w nowym miejscu? – zapytałem któregoś dnia.

—Interesująco. Mogę nauczyć się nowego podejścia do budownictwa, oni uczą się ode mnie – rozpoczął swą filozoficzną rozprawkę. Tylko że ja już poznałem jego bajki.

—Pokazałem im ostatnio, w jaki sposób trzymać całówkę we właściwy sposób. Bo ciągle im się załamywała na długich elementach. A jak – i zaczął demonstrować – złapie się kciukiem od góry a resztą dłoni od spodu, zaginając taśmę na kciuku, to można ją utrzymać prawie poziomo na wiele większej długości.

—Taaak? – udałem zdziwienie. – To świetnie. – A pomyślałem, że to pewnie on maczał palce i szare komórki we wszystkich tych instrukcjach obsługi, pisanych w PRL-u.

Np: „Instrukcja korzystania z toalety”, stworzona dla żołnierzy:

„Po podejściu do pisuaru stajemy w lekkim rozkroku. Lewą ręką wyjmujemy końcówkę cewki moczowej. Oddajemy mocz do pisuaru w ten sposób, aby strumień uryny trafiał w środkową część kratki odpływowej. Po zakończeniu czynności, parokrotnie strzepujemy pozostałą w przewodzie moczowym urynę do pisuaru. Po zapięciu rozporka, podchodzimy do umywalki i obowiązkowo odkręcamy kran i myjemy ręce. Wycieramy je w dostępne środki”.

Napisano „dostępne środki”, bo skutek kryzysu i działania wrogich armii w polskim wojsku był chwilowy niedobór papierowych ręczników. Niedobór ten dziś nazwalibyśmy po prostu brakiem, ale w socjalizmie braków nie było. Natomiast wszystkie towary w sklepach występowały w chwilowych niedoborach, w proporcji jeden do jednego. Czyli jeden dzień coś było, a później jeden rok nie. A jeżeli chodzi o wycieranie rąk w dostępne środki, to żołnierz rozumiał to na swój sposób. Dla jednych były to włosy na głowie, dla innych spodnie. „Dziadki” wycierały sobie ręce w „kocie futra”.

Młody wojownik Greenpeace może mnie źle zrozumieć, dodam więc, że „dziadki” i „koty”, to produkty „fali” w wojsku. Ale to wszystko „pikuś”. Bo postępując zgodnie z tą instrukcją, żołnierz stawał przed prawdziwym dylematem. Złamać regulamin, czy osikać sobie spodnie.

Dlaczego?

A gdzie w regulaminie jest rozkaz rozpięcia rozporka? Ale wracając do Felixa ze stolicy.

Kiedy kolejny pracodawca irlandzki wyrzucił go z roboty, spotkałem się i zapytałem, czemu nie docenił klasy profesora Dzwona.

Powiedział;

—Wiesz, Tom, on tak lubi dokładność, a zwłaszcza opowiadanie o niej, że zanim wymierzył właściwe ułożenie jednej belki na dachu, włącznie z zmierzeniem gęstości drewna i odstępów między słojami (chodzi o słoje drewna, nie o takie na weki), to reszta pracowników musi go wyganiać, bo zamykamy już budowę i jedziemy w nowe miejsce.

—No tak. Rozumiem. Czyli w skrócie, opierdala się, jak tylko może.

—Dokładnie. A nawet wtedy, jak nie może.

Spotkałem się więc z Felisem w Williamstown i powiedziałem mu, jaka wygląda sytuacja. Zaproponowałem, że załatwię mu pracę, jako pomocnik budowlany, bo do tego filozofia jest zbędna. Stwierdził, że to poniżej jego godności. Jeszcze nie wiedziałem, że już z Markiem, współlokatorem z tego samego domu kombinuje, jak tu nie zapłacić za załatwioną pracę. W tym samym mniej – więcej czasie zjechało się w odpowiedzi na ogłoszenia trochę „elementu”. Każdy z nich płakał, że jest biedny i musi wysłać

pieniądze do Polski, bo dzieci głodne. Tylko nie dodali czyje. Może mówili o tych w Afryce. A że wiem, jak to jest, bo sam przyjechałem tu bez grosza, zgadzałem się. Często zamiast płacić mi całość z pierwszej wypłaty, płacili mi po pięć dych, lub stówę tygodniowo. I paru z nich, jak tylko trochę się rozejrzało, zaczęli spiskować, jak tu wywinąć się z umowy.

Oprócz Feliksa, w domu tym zamieszkał też Romek, polecony przez jednego z moich irlandzkich znajomych. On był w porządku na tyle, że nie wskazał nikogo, ale powiedział, żeby na nich uważać.

Z Feliksem i Romkiem mieszkał jeszcze Darek, karateka ze Skarżyska i Marek, wysoki „okularnik” z Piotrkowa. Ten ostatni zadzwonił do mnie z Galway, prosząc o jakąkolwiek pracę, bo nie ma nawet pieniędzy na dojazd.

Pojechałem po niego. Powiedziałem, że odda mi kasę, jak sobie zarobi i dałem mu jeszcze dwie dychy na podstawowe artykuły spożywcze, oraz zapewniłem mieszkanie.

Na drugi dzień już pracował, jako pomocnik na budowie.

A po tygodniu, kiedy przyszło do zwrotu długu i zapłaty za załatwienie pracy, zaczął się ukrywać.

Darek z kolei szukał pracy, jako tynkarz. Również poszedł pracować zaraz po przyjeździe. Niestety, on zderzył się ze ścianą. A dokładniej z tym, o czym już pisałem, że tynkują tu inaczej. Uprzedzałem go (po doświadczeniach z Olivierem), że tynkowanie tutaj jest trudne, ale stwierdził jeszcze przez telefon, że sobie poradzi. Pewnie jakoś by sobie poradził, ale w firmie, w której pracował, zrobił kolejny błąd. Pracowało tam paru Polaków. A podstawowa zasada za granicą – nie ufaj rodakom. Uprzedzałem go, żeby nic im nie mówił o załatwianiu pracy. Nie posłuchał. Myślał, że mówię tak tylko dla ochrony własnego tyłka. Żeby

wzbudzić odrobinę współczucia w krajanach, powiedział im, że załatwiłem mu pracę za kasę i teraz biedny nie dojada, żeby spłacić. Wobec tego nie ma pieniędzy na „wkupną” butelkę wódki. A ziomale po prostu wykorzystali informację, żeby wyeliminować konkurenta.

Pobiegli czym prędzej do swojego szefa, przedstawiając sytuację w upięszonych kolorach.

Podobno stworzyłem tu obóz pracy i pod groźbą gilgotania pod pachami, zmuszam wygłodniałych, a co gorsza „na kacu”, Polaków do pracy ponad siły.

Właściciel zwolnił Darka. Darek, po takim przyjęciu przez rodaków stwierdził, że już chce wracać. Nie zdążył jeszcze nic zapłacić mi za pracę, więc nie było problemu. Ale pamiętał o tym, że go uprzedzałem, mimo to nie powiedział mi wszystkiego. Nie poinformował mnie o fakcie roztrąbienia wokół, że załatwiłem mu pracę za pieniądze. Mimo to, chciał mojej pomocy przy odzyskiwaniu niewypłaconego wynagrodzenia za ostatni tydzień pracy.

Zadzwoiłem do jego byłego szefa.

—Halo, Tom dzwoni, jak się masz?

—Dobrze – odburknął.

—Darek prosił, żeby zadzwonić w sprawie jego wypłaty.

—Co? Nie zapłacę mu.

—Dlaczego? – zapytałem.

Chwila ciszy, jakby zastanawiał się, co powiedzieć.

—Wiesz, mam przyjaciela w Policji. Powiedział, że branie pieniędzy za pracę jest nielegalne.

Trochę mnie zaskoczył. Ja już wcześniej wiedziałem, że Darek się wygadał. W jeden z dni, kiedy podjechałem, żeby zabrać go do

domu po pracy i czekałem na niego, podszedł do mnie jeden z Polaków i podał mi CV swojej córki, pytając, czy coś da się załatwić.

—To powiedzieli Twoi pracownicy? Ufasz im?

Teraz on trochę zaniemówił. Pewnie też go zaskoczyłem.

—Zadzwoń w następnym tygodniu.

Ale w następnym tygodniu już nie dzwoniłem, bo Darek postanowił, że wraca i zrezygnował z reszty kasy.

Głupio mu było, kiedy mu powiedziałem, że nie mogę nic zrobić więcej w tej kwestii, bo jego łzawa historia dotarła do szefa.

Feliks z Markiem próbowali namówić go, żeby też nie płacił za pracę i mieszkanie. Nie widziałem powodu brać od niego kasy, mimo że to on nie dotrzymał umowy. Ale Darek, mimo wszystko, był raczej uczciwym facetem. Być może postanowił wracać, bo trafił w tak fatalne środowisko? Gdyby zamieszkał z nami w Castlereaa, pewnie pracowałby do tej pory.

Natomiast zabawnie—żałosny duet wzajemnej adoracji, tzw. „Stowarzyszenie poszkodowanych przez obowiązek pracy”, przystąpił do ofensywy. Feliś, który nie zapłacił mi nic, chciał zaoszczędzić jeszcze na czynszu. Pietrek, który nie oddał mi pieniędzy za transport i zapomniał o swoim płaczu do słuchawki telefonu i o tym, co dla niego zrobiłem, też postanowił zaoszczędzić na czynszu i prowizji za pracę.

Pobiegli więc któregoś dnia do Dereka i zapytali, czy mogą płacić czynsz bezpośrednio jemu.

Derek powiedział, że nie ma sprawy, bo to nie ma znaczenia.

— To ile tygodniowo od osoby? — zapytali, już licząc oszczędności w tysiącach.

— Pięćdziesiąt tygodniowo — odpowiedział Derek.

– Od domu? – zapytali jeszcze raz, zdziwieni.

– Nie, od osoby.

Wrócili do domu, jak zmyci. Myśleli, że zdzieram z nich kosmiczną stawkę, a za zysk planuję kupić sobie porsche. A ja, jak to już wspominałem, umieszczałem ludzi u Dereka, a nie w innych domach tylko dlatego, żeby choć trochę odwdzińczyć im się za to, jak mnie przyjęli.

No, ale maszyna poszła w ruch i już nie mogli się wycofać. Powiedzieli „A” to muszą powiedzieć „B”. A jak powiedzieli „B”, to pozostało im tylko „ME” i „KUKURYKU”.

„B”, jak Baran. Tak mogę podsumować ich akcję dywersyjną.

Wyszli na tym, jak Zabłocki na mydle. Feliks, mimo usilnych prób przyklepienia tyłka gdziekolwiek, wrócił w końcu do Polski. Chyba od tego czasu zaczęła się w Polsce recesja.

Pietrucha, co to go każdy wy***cha, błąkał się po całym świecie, żeby wyjść na Pacana.

A ja nauczyłem się lepiej przyglądać ludziom i bardziej liczyć na ludzi z polecenia, a nie z księżycyca.

A co u Romka?

Romek rozpoczął pracę u Martina, gdzie naprawiano sprzęt rolniczy. Tam, gdzie poprzednio pracował Damian. Nigdy nie miałem z nim problemów. Jak już pisałem, uprzedził mnie o tym, że będą kłopoty. Zrobił to z klasą, bo nikogo nie sypnął, ale wiedział, że tamci nie są w porządku.

Romek wywiązał się z wszelkich rozliczeń. Pracował uczciwie, szef czasem kupował mu bilet do Polski. Widocznie polubił go. Miał tylko jedną dziwną przypadłość. Kiedy był w domu, urządzał sobie spacer. Chodził w kuchni w tą i z powrotem. I tak przez pół godziny. Kiedyś takie zachowanie zdenerwowało jednego

z współlokatorów.

– Co Ty tak chodzisz w kółko, jakbyś był na spacerniaku w pudle. Usiądź sobie. Romek spojrzał na niego krzywo. Przez chwilę nie było wiadomo, co zrobi. Zresztą zwykle nie było wiadomo. Jest bardzo skrytą osobą. Nigdy nie powiedział słowa o sobie. Dowiedziałem się wszystkiego od znajomych z jego miasteczka. Ale później. Tym razem jednak usiadł bez słowa. W tym czasie mieszkał tam Maciek. Był świadkiem tego zdarzenia. Myślał, że Romek doskoczy do Mietka i mu przyleje. Bo Romek faktycznie siedział w pace. Nie wiem za co, ale zdarzyło mu się. Dlatego odruchowo spacerował po domu.

Z czasem, po około dwóch latach firma zaczęła słabo prosperować i Romek powrócił do Polski.

Ostatnim osobnikiem, który przyleciał do mnie i zamieszkał w Williamstown był Wojak. Maciek, który mieszkał w domu Dereka poprosił mnie, żebym załatwił pracę jego znajomemu.

Nie ma sprawy. Marek był sound (czyli „wporzo”), więc nie było z tym problemów. Tym bardziej, że moja nowa, oficjalna linia brzmiała: „jak najmniej przybłędów, jak najwięcej osób z polecenia”.

Podjechałem któregoś dnia po pracy, żeby przywitać się z nim i dowiedzieć czegoś więcej o jego umiejętnościach i oczekiwaniach. Warunki już znał.

Wszedłem do salonu. Zobaczyłem siedzący na kanapie sumiasty wąs. Do wąsa przyczepiony był jakiś facet. Niski, w sile wieku, ale raczej opadającej sile wieku. Jego rozmiary sprawiały, że mógłby zmieścić się w każdej lodówce. Tylko po co? Nie wiem. Taka myśl.

– Cześć – powiedziałem. – Tomek. – I wyciągnąłem dłoń na powitanie. On wyciągnął swoją, ale w miejscu, gdzie spodziewałem

się jego dłoni, przeciąłem powietrze. No tak, przy jego wzroście dłoni powinna znajdować się gdzieś na wysokości standardowego łokcia.

Wyciągnąłem dłoń dalej i doprowadziłem do pierwszego kontaktu.

A zatem UFO jednak istnieje. Wiedziałem, że będą mali. Spodki zawsze były małe.

– Fu, fu, fu – przemówił w swym ojczystym (jeśli mają ojców) języku, patrząc na mnie spode łba ...przepraszam, ale nie wiem, czy ufoludki mają głowy, łby, czy inne. Nazwałem to łbem, na potrzebę chwili. Oczywiście nie zrozumiałem go. Czyli forma życia niewiele mądrzejsza od nas. Bo skoro nie potrafi się z nami porozumieć, to musi być jak Zenek spod sklepu. Nic nie kuma. Ale skoro kosmici przylatują tu szukać pracy, to nie jest dobrze we wszechświecie.

– Jak? – zapytałem jeszcze raz. – Fufu? Miło mi. Skąd przybywasz?

– Nie Fufu, tylko Mieczysław – wtrącił się obecny przy rozmowie Maciek. – On tak nie wyraźnie mówi spod tego wąsa.

– Aha, ha, ha. – Nie wiedziałem teraz, kto sobie żarty robi. Maciek, czy ufoludek. Muszę to przemyśleć jeszcze raz.

Dobra, przyjmijmy, że to nie UFO. Ale musi być chociaż czółgista, bo jak mówi swoje „Fu Fu”, to brzmi to, jakby chciał przekrzyknąć ryk silnika. A pilotem być nie może, bo pasa by nie widział przez szybę. To znaczy mógłby być pilotem, ale tylko do pierwszego lądowania. A skoro przeżył, to znaczy, że nie pilotował.

Boże, co ja pieprzę. Muszę się zresetować. Bo teraz to ja chyba odleciałem.

—Mieczysław? Dobrze, jak tam lot? – zapytałem, nawiązując rozmowę i przy okazji próbując wyciągnąć z niego więcej dźwięków.

—Możje byt – powiedział ze swoim kosmicznym akcentem... Nie, to zza Buga akcent.

– Skąd jesteś? Mieszkasz tam, gdzie Marek?

– Taaa, z Krasnystjawu jestem. Maarka szwagijr.

– A jaki jest Twój zawód?

– Mijetek.

– Niiieee – kapnąłem się. – Gdje Ty rabotał w polszy – już nie wiedziałem, w jakim języku mówić.

– Po Polsku mów. – Znów Marek rozwiązuje problem. – On tylko akcent taki ma, ale zaraz się przyzwyczaisz.

– Ja wodjitjel tanka.

– Wódę tankujesz? Czyli jak wszyscy, lubisz wypić. – Ale Mietek pokręcił przecząco głową.

—Czołgista. Żołnierz zawodowy na emeryturze.

—To po co Ci ta Irlandia, jak Ty emeryturkę wojskową pobierasz?

—Zawsze siję parę groszy priyda.

—To możesz jako pomocnik budowlany pracować, tak jak to Markowi mówiłem. Bo na czołgach tu nie jeździmy. Chyba, że chcesz ujeżdżać byki. To podobne zajęcie...

—Ha, ha, nie mieszaj mu w głowie, bo już jest zestresowany – powiedział Marek.

—Możje byt – odpowiedział Miecio i widzę, że trochę opadło z niego napięcie. A jak się wyprostował, to już wydaje się wyższy. Wprawdzie po wyprostowaniu to wciąż tylko metr pięćdziesiąt, ale lepsze to, niż nic. Bo na początku tak mi się wydawało, że ma zero wzrostu.

—W poniedziałek rano o ósmej bądź gotów, podjedzie tutaj pod dom Tom, Irlandczyk i u niego zaczniesz swą przygodę w świecie

proletariatu.

—Czego? – zapytał wystraszony.

—W świecie ludzi pracujących miast i wsi.

—Aha – mruknął, nie rozumiejąc pewnie żartu.

—Co mam zabrać?

Już miałem powiedzieć „drabinę”, ale ugryzłem się w język.

—Weź sobie śniadanie, ubrania robocze, buty. – „Na wysokim obcasie”, chciałem ponownie dodać. Ale powiedziałem co innego. – Z czubkiem.

—Buty z czubkiem? – zapytał Marek. – Jak je założę, to będą z czubkiem. – Roześmialiśmy się we dwojkę.

—Jakim czubkiem? – zapytał, nierozumiejący lub niechcący rozumieć naszej radości Miecio.

—Z metalowym czubkiem. Zasady BHP. Narzędzi nie musisz brać, bo domyślają się, że nie przyleciałeś z Polski z taczka i betoniarką. A i łopata dziwnie wyglądałaby w samolocie.

—Dokumenty jakieś? Książeczkę wojskową mogę zabrać.

I od tej pory zawsze, gdzie tylko mógł, zabierał książeczkę wojskową. Na zakupy, do kościoła. Dobrze, że nie nosił w portfelu zdjęcia czołgu zamiast żony. Ale zdjęcia żony też nie nosił. Bo nie miał. Ani żony, ani zdjęcia. Co w wypadku braku żony jest oczywiste. Portfela też nie miał. Za to miał torebkę foliową z Tesco, w której nosił wszystkie swoje brzęczące zapasy gotówki. Nosił kasę ze sobą nie dla tego, że miał, ale dlatego, że obawiał się ewentualnej kradzieży. Ale o tym później. Ja jeszcze tego przecież nie wiem.

—Nie, nie trzeba. Zniszczysz sobie tylko to w tym pyle. A jak u Ciebie z językiem?

—Pa ruski magu gawarit.

—Ale oni raczej nie. Angielskiego nic?

—Nic.

—Tak jak mówiłem Markowi, to nie jest wielki problem. Oni pokażą Ci, w jakiej proporcji rozrabiać zaprawę, gdzie podać i to tyle z przeszkolenia zawodowego. Dalej tylko ciężka praca.

—Poraadzi sobie – kiwnął głową Maciek. – Narobi się trochę, ale chociaż bęben mu się zmniejszy.

—Dobrze – podsumowałem. – Jak będziesz miał pytania, to dzwoń. Masz jakiś telefon bez sim-locka, jak radziłem?

—Mam, Nokię. – I już chciał wyciągać, żeby pochwalić się swoim telefo--młotkiem.

—Dobrze, zapisz sobie numer do mnie i dzwoń, jak coś trzeba by Ci przetłumaczyć. Aha, Marek da Ci jakiś SIM. Kupiłeś mu coś? – zapytałem, bo przypomniałem sobie, że dwa dni temu rozmawialiśmy o tym.

—Tak, już mu dałem.

—No to, żołnierzu, rano w dwuszeregu zbiórka i do szturmu.

—Taaak, do dwuszeregu to trzeba najmniej dwoje. – Chciał błysnąć na koniec wiedzą wojskową.

—Ty i Twój cień, to już jest dwoje. – Ale pomyślałem, że on może rzucać cień tylko w całkowicie bezchmurne dni i to tylko do dziewiątej rano, bo jak słońce jest wyżej, to już nie ma jak go złapać.

Po paru dniach zapytałem, jak tam w pracy? Okazało się, że dobrze. Radzi sobie, polubił ich nawet. Przynajmniej tak mówił. Kasę wypłacił z czasem i zgodnie z regulaminem. Jak to wojskowy. U Toma pracował niecały rok. Po tym czasie budowlanka zaczęła lekko zwalniać i Tom, jego szef, nie miał już tyle zamówień. Musiał zrezygnować z pomocy Mietka. Na początku było to parę dni pracy

w tygodniu, a później jeden lub wcale. Mieczysław wiedział, że pół roku mojej gwarancji już minęło. Siedział w domu w Williamstown i każdego dnia czekał przed ósmą godziną, czy może przypadkiem Tom po niego nie pojedzie. Tom, murarz mówił mu, że jakby co, to go znajdzie, lub zadzwoni do mnie, ale to nic. Mietek i tak czekał. Od siódmej czterdzieści pięć, zawsze na baczność, z reklamówką gotową do skoku.

Kiedyś spotkałem go przed domem, jak wybierałem się do pracy. Dowiedziałem się, jaka jest sytuacja. Szkoda, żeby tracił kasę na mieszkanie, jak nie zarabia. Zaproponowałem mu, żeby przeprowadził się do Castlerea, pod 12. Tam nie musi płacić za mieszkanie, dopóki ja mu nie znajdę jakiejś pracy.

Wiem, że zgodnie z umową nic nie byłem mu winien, ale nie miałem z nim żadnych kłopotów, zatem chciałem mu jakoś pomóc. Jak dowiedział się, że od poniedziałku ponownie idzie do pracy, to myślałem, że z radości wąż mu się wyprostuje. I wyprostował się na chwilę, jak powiedziałem, że nie chcę następnej kasy od niego. Będzie po prostu płacił, jak wszyscy, za mieszkanie.

Posłałem go do Michaela. Tzw. „Kontraktora”. Czyli kogoś, kto zajmuje się całą budową. Sam wykonuje część prac, natomiast resztę zleca podwykonawcom. Problem językowy nie był tak ważny, bo pracował tam już jeden Polak. Pavarotti. Ale o nim później. Resztę o Mietku też napiszę później, w ciągu dalszym, bo przy tylu ludziach, przewijających się przez me ręce, trudno jest utrzymać chronologię zdarzeń.

Poprzestańmy na tym, że Mietek pracuje sobie u Michaela, razem z Pavarottim. Jest piątek, już po pracy. Podjechałem na stację w Castlerea, żeby zatankować auto. Przy okazji zapytałem, czy nie potrzebują kogoś do pracy.

To pytanie zadawałem już bezwiednie.

Wczoraj, kiedy wracaliśmy z Tuam, musiałem ugryźć się w język i udało mi się to w ostatniej chwili. Chciałem zapytać, czy nie mają jakiejś roboty dla piętnastu moich kolegów. Osobą, do której chciałem skierować me pytanie był irlandzki oficer Policji...

A było to podczas rutynowej kontroli dokumentów na drodze.

Fajnie by to wyszło.

—Dzień dobry, wie Pan, załatwiam robotę za kasę Polakom. Nie ma Pan może jakiejś oferty dla nich?

—Nie, ale mam coś dla Pana. Kajdanki, wikt i opierunek. Będzie Pan mógł opierać się parę lat. Zapraszam. Woli Pan kajdanki srebrne, czy różowe?

Na szczęście w porę się spostrzegłem, że to nie kask budowlańca.

Tym razem, będąc na stacji rozejrzałem się przed pytaniem, czy nie ma mundu-rowych.

Poprosiłem o rozmowę z właścicielem.

—Oczywiście – odpowiedział. – Ale z dobrym angielskim, do pracy na kasach. Nie miałem nikogo w tym momencie, władającego biegle językiem. Już miałem zrezygnować, ale przypomniałem sobie, że Hormon w końcu sprowadził tą laskę do Irlandii. Córkę Gienka, który to sprowadził mnie na drogę przestępstwa. Bo był pierwszy.

Nie. Fatalnie to zabrzmiało.

Sprawił, że przeszedłem na złą stronę mocy. Czyli po raz pierwszy zrobiłem coś nielegalnego za granicą.

Wracając do wątku; Halina, córka Gienka i ofiara Hormona mówiła dobrze po angielsku.

Zadzwoiłem do Gienka i zapytałem, czy chce pracować na stacji paliw. Chciała. A na marginesie, to Hormon został w ostatecznym

rachunku upolowaną zwierzyną. Halinka okazała się prawdziwą cwana lisicą. Wyrolowała Hormona, mnie, swojego chłopaka i kogo tylko się dało. Widocznie lubi rolady. W końcu jest ze Śląska. Dopóki Hormon obiecywał, że załatwi jej jakąś pracę, była samotną dziewczyną, skrzywdzoną przez polską rzeczywistość. Hormonek załatwił jej pracę w domu opieki.

To nie to. Ona nie będzie na każde skinienie starych dziadów. OK. Druga propozycja – piekarnia. Za ciężko. Plecy ją bolą i w ogóle, praca ponad siły. Tylko w tym czasie praca w tej piekarni była bajką. Wtedy nawinałem się z pracą na stacji. Poszła. Może być.

—Ale Misiaczku, ja nie rozumiem, dlaczego mam płacić za pracę temu niedobremu Tomkowi... Nie pozwól, żeby ten niedobry chłopczyk zrobił kuku twojej miziuni...

No to Misio dzwoni.

—Tomek, Ty nie możesz wziąć kasy od Hani. To ja Ci zapłacę, chcesz? – A w głosie tego szaleńca słyszę groźbę. – Ile chcesz, to ja Ci zapłacę. Ona nie ma kasy.

Odpuściłem. Z tym szaleńcem lepiej nie mieć nic do czynienia.

Hormon już nie był jej do niczego potrzebny, zatem po paru dniach okazało się, że ona ma w Polsce chłopaka. I właśnie za dwa dni on też przyjeżdża.

Zamieszkała ze swym bojfrendem (bojfrend od słowa „ bać się”) i tatusiem.

Tam, mając już dojsie, załatwiła pracę dla bojfrenda.

Ale widocznie bojfrend był za bardzo BOJ-frend, więc rzuciła go dla innego.

BUM-frenda (pewnie dobry – wiadomo, w czym).

Zanim jeszcze rozstała się z BOJ-frendem, on załatwił pracę

swojemu bratu, Stefanowi. Stefek ściągnął wkrótce też swoją dziewczynę, Beatkę.

A w międzyczasie Gienek ściągnął swą żonę, Franję.

Tak zatem mój pierwszy raz był bardzo płodny, choć przez długi czas nic nie wiedziałem o tym wypączkowaniu. Z jednego Gienka zrobiła się cała „drużyna pierdziela”.

I już nawet nie ma znaczenia, czy pierdzielem jestem ja lub Hormon, bo daliśmy się wyrolować, czy Gienek, bo najstarszy.

Na szczęście nie wszyscy emigranci, którzy przyjechali do mnie to oszuści, cioty lub alkoholicy.

Są też pozytywne przykłady. Do tej pory było już parę osób w porządku. Nie powiem, że przyjaciele, ale chociaż mieli jakiegokolwiek zasady.

Janek, to zawsze uśmiechnięty, starszy pan. Radził sobie w pracy, w domu też był lubiany. Może czasami trochę sobie z niego żartowali, ale to on pokazał prawdziwe jajko w ekstremalnej sytuacji.

O tym później.

Olivier, do pracy fizycznej nie nadawał się, ale mogłem mu w pewnych względach ufać. To ktoś przypominający przyjaciela. Taki „przyjacielski czyściec”. Tylko okoliczność może tą pączkującą przyjaźń potwierdzić lub odrzucić.

Damian – dobra chłopina, ale ze skłonnościami do picia i tak bardzo zakochany, że gdyby pokochał Bin Ladena, to cały świat wysadziłby w powietrze, żeby Osama pogłaskał go po główce. Świetny materiał na przyszłego profesjonalnego alkoholika, bo alkohol rządzi nim w tym samym stopniu, co miłość.

Rysiek – zawsze trzymał się trochę z boku. Przyjeżdżał do mnie wiele razy, pracował ze mną w firmie, pracował w piekarni. Ale

choć wiedziałem, że nie tnie gałęzi, na której razem siedzimy.

Romek, który miał swoje problemy w Polsce, interesował się tylko pracą i żył swoim życiem.

Marek – póki wszystko było po jego myśli – super kolega. Jak tylko coś mu nie pasowało – pokazał rogi. Obgadywał nas wśród naszych częstochowskich znajomych.

Reszta to przypadki szczególne, szczególnie niebezpieczne (dla siebie, lub otoczenia) lub po prostu nudne, jak przysłowiowe flaki z olejem.

A to dopiero początek cyrku.

Rozdział 20

**Życie na przystanku. A może otworzyć punkt skupu butelek? Czy w Polsce został jeszcze jakiś „czubek”?
Zwiedzamy Irlandię. Co wolałby zwiedzać Łyski?**

*

Dni na emigracji mijają jeden za drugim. Inaczej się przecież nie da. Ale ja, zamiast poświęcać czas Alicji i Dominice, jeżdżę po pracy po okolicy, jednych przywożę z pracy, drugich zawożę na kurs SAFE PASS. Innych odbieram z lotniska. To był trudny czas dla nas.

Mieszkaliśmy pod 12 w Castlerea. Razem z nami od trzech do siedmiu osób. Wszystko po to, żeby zarobić trochę na załatwianiu pracy, na czynszu.

Po takich doświadczeniach, jakie mieliśmy w Polsce z Alicją, starałem się zrobić wszystko, co możliwe, żeby nigdy już nie lecieć przez całe miasto z reklamówkami załadowanymi w najtańszym dyskoncie spożywczym.

Zobaczyliśmy, że można tak po prostu ŻYĆ. Nie martwić się

o jutro, zasypiać bez strachu, że rano znów ktoś będzie pukał lub raczej walił do drzwi, krzycząc „gdzie moje pieniądze!?”.

Ale nic za darmo. Odbywało się to kosztem moich relacji z Alą. To był okres spokojny finansowo, ale obfitował w sprzeczki, ciche dni, kłótnie prywatne i publiczne. Ci bardziej wścibscy mieli darmowe kino.

Oczywiście, wina leży po obu stronach, ale dopiero po czasie zrozumiałem, na czym polegała moja wina.

Przecież nie da się zbudować rodziny na przystanku autobusowym. A tak wyglądało wówczas nasze życie.

To wszystko jest dla mnie wciąż za trudne, żeby o tym pisać, skorzystam zatem z prawa autora do pisania o tym, co mu się rzekwnie podoba i pominię te smutne wątki.

Powiem tylko, że same pieniądze też szczęścia nie gwarantują.

Jest wieczór. Siedzimy sobie przy stole w salonie. Damian popija obiad piwem.

Piątym. Ale obiad pierwszy.

—Co tam u Grzejnika? – spytałem. Grzejnikiem nazywaliśmy pracodawcę Damiana, Heata. Wiadomo, dlaczego.

—Szlifowaliśmy dzisiaj framugi. W siedmiu domach dzisiaj wszystkie przeleciałem.

—Co masz na myśli? – zapytałem, zaintrygowany dwuznacznością wypowiedzi.

—No, po pierwszym lakierowaniu bezbarwnym lakierem musisz szczyścić szorstkość z framugi, żeby drugi, heeep – odbiło mu się po browarku – drugi raz potem pomalować.

– Aha. Myślałem, że jakieś dziewczyny przyszły Was odwiedzić. – Udałem głupiego.

—Ja tylko Angelę kocham. – Zrobił maślane oczy kota ze

„Shreka”.

Już go chciałem przytulić i podrapać za uszkiem, kiedy odezwał się Marek.

—Gała, nie fandzol. Piwa się lepiej napij. – Stuknęli się puszkami. Ale Gała już sobie przypomniał swą lubą i siedział teraz stłamszony. Skulił się w sobie tak, jakby głowę miał pomiędzy barkami, przygarbiony, jak sęp z bajek rysunkowych.

A ja pomyślałem po raz kolejny, że Irlandczycy wszystko robią od d***y strony. Czy kto słyszał w Polsce, żeby framugę i drzwi wewnętrzne malować dopiero po powieszeniu i osadzeniu? Ale to nie koniec malarskich ciekawostek z „Zielonej Wyspy”. Oni również ściany i sufity malują, kiedy wszystko w środku jest już zrobione. Włącznie z ustawionymi meblami kuchennymi. Co najwyżej zetrą farbę z mebli ścierką.

Inną kosmiczną technologią jest dopasowywanie mebli do ścian. Jako że żaden stolarz nie może ufać, że jakakolwiek ze ścian lub podłóg zawiera kąty proste lub jest równą płaszczyzną – wszystkie graty robi się w systemie „mniej-więcej”. Jeśli dana ściana ma długość czterech metrów – meble wykonuje się w łącznym rozmiarze trzy metry dziewięćdziesiąt centymetrów. Resztę uzupełnia się zaślepkami. I to zarówno ze względu na potencjalną różnicę w rozmiarze ściany u góry i na dole, jak i ze względu na wręcz pewny brak linii prostych na ścianie.

A dodatkowo – trudno jest znaleźć w Irlandii dwie szafki w oficjalnym rozmiarze, dajmy na to dziewięćdziesiąt centymetrów, które będą ten wymiar posiadać. Zwykle będzie to trzy do sześciu milimetrów różnicy. I nikt nie jest w stanie powiedzieć, czy sześć milimetrów mniej, czy więcej.

Nawet monterzy mebli u klienta. Problem stanowi to dla nich

dopiero wówczas, gdy muszą wyburzać ścianę, żeby zmieścić szafkę.

Ale wracając do rozmowy.

—A jak tam Paweł? – zapytał Marek. – Jeszcze w ciastkarni zasuwa?

—Jak rozmawiałem z mamą, to mówiła, że jeszcze tak, ale chętnie by przyjechał, jakby była jakaś robota.

—A kto to jest Paweł? – zapytałem.

—Mój brat – powiedział Damian. – W ciastkarni pracuje. Piekarz. Nie masz jakiejś roboty dla niego?

Uwielbiam takie pytania. Aż się prosi, żeby odpowiedzieć TAK. Czyli nie. Wyobrażam sobie kolesia, szukającego pracy w Polsce. Wchodzi taki załamany ksero–Damian do firmy i pyta;

„Nie ma Pan roboty dla mnie?” – I co tu odpowiedzieć?

—Nie mam. Cieszę się, że się zgadzamy.

—To do widzenia. A nie wie Pan, kto może mieć?

—Tak, nie wiem.

—A wody nie mógłbym się napić? Bo gorąco.

—Tak, nie mógłby Pan.

—To dziękuję.

—Nie ma za co!

Co za zgodność. Wygląda na to, że się dogadali.

I tak samo miałem ochotę odpowiedzieć Damianowi, ale te jego „oczy kota w butach” rozmiękczyłyby nawet poborcę podatków. A dodatkowo pomyślałem, że może to sprawi, że trochę lepiej będzie znosił tą ciężką emigrację.

– On jest piekarzem z zawodu, czy ciastkarzem?

– Piekarzem, ale może gdziekolwiek pracować. Ze mną na przykład. Ja bym mu pomógł. - Widzę, że wreszcie poczuł się

ważniejszy. Już się przymierza do stanowiska kierownika zespołu jednoosobowego. A biorąc pod uwagę wielkość jego potencjalnego podwładnego – zespołu pół-osobowego. Czyli kierownik i jego pół pracownika.

—A coś z budowlanki? – Miałem jeszcze nadzieję.

—Poradzi sobie. Trochę u nas w domu pomagał przy remoncie.

Okazało się, że ta pomoc, o której mówi Damian polegała na podkarmianiu ciastkami z pracy. Ale to nic, bo nie żałuję, że odpowiedziałem;

– To niech szuka biletu i przyjeżdża. Coś znajdziemy dla niego.

Na tym zakończyliśmy tę rozmowę. Minęło parę dni, zanim brat Damiana, Paweł, postanowił przyjechać.

Nasze życie toczyło się swoim rytmem. Ale wtedy działo się w Williamstown.

Poprzyjeżdżało trochę przykładowych wzorców „polskiego emigranta”.

A co jeden to lepszy przykład. I czasami zastanawiam się, czy Polska nie zaczęła sobie czasem tak dobrze radzić gospodarczo, bo wszystkie oszołomy przyjechały tutaj.

A kryzys w Irlandii zaczął się wkrótce po największej fali polskiej emigracji. Bo to nie była emigracja zarobkowa, tylko ucieczkowa. Fakt, zbudowaliśmy szybko, co się dało. A nawet więcej. Tylko problem tkwi w tym, że czterem milionom Irlandczyków tej pracy wystarczyłoby na kolejne dwadzieścia lat, a nasi wspaniali emigranci zbudowali to w trzy lata, pieniądze przepili, a teraz piją tylko za irlandzki zasiłek.

Ale to jeszcze za wcześnie na te spostrzeżenia. W tym momencie jest boom. Roboty po łokcie, a ludzi zdecydowanie za mało. A ja troszkę chcę z tego tortu uszczknąć. Dlatego do Seana przyleciało

dwoje nowych pracowników z Polski. Marcin i Michał Tosiak.

Z Marcinem nigdy nie było kłopotu. Cichy, spokojny. Popracował osiem miesięcy. Sympatyczny, pracowity. Zarobił ile brakowało mu do rachunku i postanowił, że wraca. Tęsknota.

Natomiast Michał, to już typowy przypadek polskiego emigranta. Podczas rozmowy telefonicznej wygadany, cieśla – jak to mówią – z dziada pradziada.

Potrafi zrobić dach z paczki zapalek i kostki drożdży. Ideał. Pierwsze dni pracy u Seana potwierdziły, że w pracy radzi sobie. Szybko nauczył się różnic w ciesielce polskiej i irlandzkiej. I wtedy się zaczęło odsłanianie prawdziwej twarzy.

Twarzy alkoholika.

Zaczęło się jak u Tuwima. Najpierw powoli, jak zółw ociężale.

Dwa piwka nie przeszkodzą mi wcale.

Nagle – świst

Nagle – gwizd

Seta – buch

Fłaszka – w ruch

Już ledwo sapie

Już ledwo zipie,

A jeszcze Tosiak wódeczkę chlipie.

I znów świst

I znów gwizd

Pusta flaszką – buch

Tosiak – w ruch

A dokąd, a dokąd, a dokąd tak gna?

Do sklepu, do sklepu, by zdążyć na czas.

I już Michałek wraca i sapie.

Idzie i sapie, dyszy i dmucha

Żar z rozgrzanego mu brzucha bucha.
Torby do niego podoczepiane,
A w każdej flaszką i piwo zagrzane.
Tych toreb jest ze czterdzieści,
Sam Tosiak nie wie, co się w nich mieści.
I choćby przyszło tysiąc atletów
I każdy zjadłby tysiąc kotletów
I każdy nie wiem jak się natęzał,
Nikt ich nie wyrwie – tak mocno trzyma.

Na początku pił tylko w weekend. W każdy poniedziałek Marcin był przygotowany na akcję „pobudka”. Z początku wystarczała próba śpiewu Marcina. Po paru tygodniach nawet salwa armatnia nie skutkowałą. Budził go tylko brzęk butelek. Po pewnym czasie i to przestało działać. Zawalił poniedziałek, potem drugi.

Później poniedziałek i wtorek.

Sytuację obserwowałem na bieżąco, bo bywałem u nich co drugi dzień.

—Chłopie, weź się do kupy! – mówiłem mu. – Masz dobrą pracę, zarabiasz całkiem fajną kasę. Za co będziesz pił, jak stracisz robotę?

—To mi załatwisz drugą. Za to Ci płacę! – odpowiedział agresywnie. Był właśnie na kacu.

—Jeżeli Cię wywalą za alkohol, to nie mój problem. – Chciałem go nastraszyć.

– A żonie coś wysłałeś? Chcesz, to chodź na pocztę, to Ci wypełnię przekaz.

—Wysłałem jej miesiąc temu pięćdziesiąt euro, to niech sobie radzi.

Szczęka mi opadła.

Mają dwoje dzieci. A on przepija wszystko. Jeśli już idzie do pracy, to znaczy, że skończyła się kasa. Dwa razy prosiłem Seana, żeby go nie wyrzucał. Bo trudna sytuacja rodzinna, itp.

Tylko większość osób, wracających po takim incydencie, zaczyna czuć się jeszcze pewniej. Uważają, że nawet, jeśli zamordują szefa, to mam im znaleźć nowego na to miejsce. Bo oni nie lubią zmieniać co chwilę roboty.

Za trzecim razem powiedział, że już więcej nie zaryzykuje. Wczoraj Michał był pijany w pracy i prawie spadł z dachu. Wszystko widział też Marcin i potwierdził później słowa Seana.

Dopóki Tosio miał kasę na zapewnienie reklamówek – czuł się niczym w niebie. Problem zaczął się, gdy kasa zniknęła. Pewnie został okradziony. A ta setka pustych butelek?

Nieeee, to ktoś podrzucił.

W pewien piękny (co już jest niesamowite) dzień w Irlandii, kiedy wróciłem do domu, zastałem Tosiulka u mnie w kuchni. Przyjechał z Darkiem, bratem Judyty ze sklepu. Właśnie wiosłował żurek, którym poczęstowała go Alicja. To był jego pierwszy posiłek od dawna. Do tej pory ciągnął na wysokoprocentowym paliwie.

Przywitałem się z nimi.

– Co Cię sprowadza, Michaś? – zapytałem.

– Nie mam pracy, a muszę zapłacić czynsz. Pożycz mi dwie stówki.

– Oj, Michał, czy Ty uważasz, że jestem aż tak naiwny? Znikniesz za zakrętem i na radar pobeigniesz do monopolowego. Nie dam Ci pieniędzy.

– Ale ja muszę zapłacić czynsz Derekowi.

– Ja już z Derekiem rozmawiałem, wie, że nie masz pracy i zgodził się darować Ci te trzy tygodnie, ale to tyle, co mogłem dla

Ciebie zrobić.

– Ty mnie tu ściągnąłeś i miałeś mi załatwić robotę – powiedział z wyraźną pretensją w głosie.

– A z jakiego powodu straciłeś pracę u Seana? – zapytałem, nie wiedząc, jaki jest cel wizyty Darka.

—Bo raz z dachu prawie spadłem.

—A dlaczego?

—Bo ślisko było.

—Otóż, straciłeś pracę, bo chlałeś bez umiaru! – Teraz już się wściekłem. Widzę, że gra przed Darkiem. Ale po co? Może chce od niego coś wyciągnąć?

—A Ty, Darek nie pożyczaj mu przypadkiem jakiejś kasy. On wszystko przepije. Tosiakowi nikt w okolicy pracy nie da, bo słyszeli już opowieści o Tosiuniu, co to leży pod sklepem, nie mając siły się podnieść. A jak nieprzyzwyczajony do takiego widoku Irlandczyk podchodzi, by zapytać, czy wszystko OK., on mówi, że będzie dobrze, ale "giw mi fajw juro" (będzie dobrze, jak dasz mi pięć euro).

Michał Tosiak opuścił wzrok, zmieszany. Spojrzałem na jego dłonie, które trzęsły się w alkoholowym delirium. I kolejny raz zrobiło mi się go szkoda. Przegrał wszystkie ważne walki w życiu. Nawet, jeśli jeszcze o tym nie wie. Przegrał swą młodość, bo nawet jak przestanie pić, to młodość i niewinność już miną. Przegrał swoje życie, bo nie ma normalnej rodziny, a od swej kobiety uciekł za granicę. Pewnie nie dlatego, że ona jest zła. Tak wielu Polaków uciekło za granicę, by pić tu bez wzroku i wymówek żony. A najgorsze jest to, że przegrał z wódką. I niestety, myślę, że tej walki już nie wygra. Przegrał swoje życie. Może choć nie do końca zmarnował życie swojej rodziny?

Tak, czy inaczej – nic tu po nim. Nie wyrzucę go na ulicę. Wciąż czuję pewną odpowiedzialność za jego los.

– Słuchaj, Marek, myślę, że już czas, żebyś wracał do Polski. Nic tu nie zwojujesz. Możesz tylko skończyć w pace. W Polsce chociaż wiedzą, co zrobić z takim znaleziskiem na ulicy. A tu – narobisz sobie długów za szpital. Zaraz znajdę Ci jakiś bilet do Polski. Chcesz?

Zobaczyłem błysk w jego przekrwionych oczach.

—Dobra, a jak wrócę do Polski, to Ci odeślę kasę.

—Nie obiecuj, bo tego nie oczekuję. Poczekaj, włączę kompa. – Zwróciłem się do Alicji – Alu, nałóż chłopakom dokładkę. – Powiedziałem to głównie z myślą o nim, ale Darek też się ucieszył.

—Coś do picia chcecie? – zapytała Alicja. – Kawę, herbatę albo sok?

—Ja nie piję kawy – mówi Darek. – Ale wodę chętnie.

Darek, to zapalony surwiwalowiec. Staruje, gdzie się da. Twardy koleś, chociaż nudziarz. I nie do końca mogę go rozszyfrować.

Przeszukałem połączenia w podstawowej linii lotniczej polskiego emigranta. BREJA-NER.

Znalazłem coś za trzy dni w cenie czterdzieści trzy euro.

—Dobra – zwróciłem się do Michała. – Masz samolot za trzy dni. Powiem Dere-kowi, że zostaniesz jeszcze do wylotu. Nie musisz już płacić za mieszkanie.

—Dzięki – powiedział, zapychając się pajdą chleba i żurkiem.

—Przyjadę po Ciebie w sobotę, bądź spakowany. Podrzucę Cię na autobus i dam Ci wydrukowany bilet. Tylko żebyś nie musiał szukać Cię po miasteczku.

—A dasz mi parę euro dzisiaj? Kupię sobie coś na kolację.

—Nie, ale Alicja już zapakowała Ci do reklamówki trochę

jedzenia na tę parę dni, a tu masz – sięgnąłem do lodówki – piwo na kaca. Więcej Ci nie dam, ale jedno pozwoli Ci zejść z delirki spokojniej.

—Dzięki – powiedział, prawie urywając szyjkę od butelki, bo za piwo złapał, zanim skończyłem mówić.

—Zawieziesz go po drodze do domu? – zapytałem Darka.

—Spoko. Cześć, do zobaczenia, Alicjo. – Następny, zakochany w Ali. Widzę, jak na nią patrzy. Trzeba było zakochać się w jakimś pasztecie ze złotym sercem, ale nie!!! Zachciało mi się anioła z wyglądu i diabła z charakteru. To teraz cierp. Nie cierpię cierpieć.

Pojechali. Alicja zerknęła, czy samochód odjechał.

—Chodź do pokoju. Coś Ci powiem – szepnęła do mnie.

Weszliśmy na górę i zamknąłem drzwi.

—Szkoda, że nie widziałeś, jak tu wpadli. Tosiak, na głodzie i wściekły. Darka przywiózł, jako bodygarda. Pewnie mu naopowiadał, jak to go wykorzystaleś i zostawiłeś. A Darek wszedł tu i od razu stracił rezon. Najpierw zobaczył Marka i Oliviera, a potem mnie i zgłupiał.

„Alicja, a co Ty tu robisz?”

„Mieszkam” – powiedziałam.

Tosiak zobaczył, że jest tyle ludzi i że znamy się z Darkiem i też zmiękł. Zapytał, czy jesteś, powiedziałam, że zaraz będziesz, że mogą poczekać.

—Podejrzewam, że Michał namawiał go, żeby Cię sprął.

—Ha, ha, dobrze, że się nie domyśliłem wcześniej, bo zaraz bym go wykopał z domu za taki numer.

—Wiesz – powiedziała – nim wódka rządzi. Nic na to nie poradzisz. Parę razy Seana prosiłeś, żeby go nie wyrzucał. A jakby wtedy spadł z dachu? Miałbyś wyrzuty sumienia. Znam Cię. –

Pogłaskała mnie po policzku. – Ładnie to zała-twiliś. Więcej nie możesz już zrobić. Niech sobie marnuje życie na własne konto.

I to był koniec kolejnego polskiego epizodu w Irlandii. Tusk prosił, żeby Polacy wracali, to wracają.

Ale czy o takich emigrantów mu chodziło?

Problem w tym, że pierwsze wracają niedojdy. Takie jak Michał. Tylko mały procent Polaków wraca, bo już im wystarczy. Często wracają do Polski kawalerowie, bo tutaj nie ma nawet w co wetknąć końcówki. Lokalne dziewczyny są niedostępne ze względu na barierę językową, ale to akurat całe szczęście. Osiem-dziesiąt procent Irlandek jest tak brzydki, że po zbliżeniu może człowieka ogarnąć strach, czy mu końcówka nie zgnije przypadkiem. Reszta jest oblegana przez stado wygłodniałych samców, latających za laskami, niczym rój wściekłych pszczół. Tak więc polskiemu „kawalerowi do wzięcia” trudno dobrać się do miodu.

Samotni kawalerowie mają skromny wybór: latać Brejanerem do Polski na tzw. spotkania sponsorowane, czy wrócić do kraju na stałe, żyć skromnie, ale dopieścić swojego przywódcę (to nie o Tusku).

Żonaci trzymają się Irlandii jak mogą, bo tutaj nikt im kieliszka z ręki nie wyrwie. I śmieci im wynosić nie każe, a seksu mają tyle samo, co przy żonie. Czyli zero. No, chyba, że też odłożą sobie na spotkanie sponsorowane lub nie boją się, że im końcówka odpadnie. Bo to dla nich byłaby żadna strata. A nawet mogliby dzięki temu skoncentrować się bez rozpraszania na degustacji alkoholi wysokich lotów.

Czyli Cidera i Whisky z Lidla.

A normalni? Przecież tacy też przylecieli.

Normalni pracują, ściągają tu rodziny i ani myślą o stałym

powrocie. Do czego?

Do tego domu wariatów?

Do kraju, gdzie uczciwy człowiek nie może żyć normalnie? Do kraju, gdzie ludzka praca jest nic nie warta? W Polsce pracowałem jako stolarz w wielu firmach. Nigdy nie zostałem doceniony, pochwalony. Dlaczego? Bo pochwalenie pracownika grozi prośbą o podwyżkę. Tutaj w tydzień wysłuchałem całego potoku komplementów względem mojej pracy. A pokazałem im dopiero odrobinę umiejętności.

Czy o to mi chodzi? O pochlebstwa? Nie. To jest tylko jeden z przykładów różnic, które powodują, że tutaj chce się żyć, a Polskę tylko odwiedzać z pełnym portfelem. Żeby kupić kiełbasę, papierosy i wracać. Bo Polska rozwija się, ale kosztem zwykłych ludzi. Bo za zwykłą polską wypłatę nie da się przeżyć, jeśli nie mieszka się z mamusią. A nawet, jeśli nam uda się usamodzielnąć, to kłopot ma mamusia. Bo leki drogie, bo chętnie rozpieszczałaby wnuczka. Ale czym? Pustymi słoikami? Chyba, że wpuści tam parę much i będzie go tak zabawiać.

Żeby przetrwać, trzeba walczyć, wspinać się w górę po kotłowaniu ciał, jak w pudle pełnym szcurków.

Tak, jestem rozgoryczony. Ale to już przyszło. Bo teraz MOGĘ sobie pozwolić na patrzenie na Polskę z boku. Bezstresowo.

Dlatego rozumiem wszystkich emigrantów. Ale nie rozumiem, czemu wielu z nich nie potrafi, nie chce wykorzystać danej im szansy.

Tosiak jest najlepszym tego przykładem. I jak on chce tę Polskę budować?

Z pustych butelek?

Powodzenia.

Ale teraz z powrotem przeniesiemy akcję dreszczowca (a może deszczowca, bo tu pada. A jak nie pada, to też pada. W ostateczności kropi) do Castlereaa.

Kolejny kurs do Dublina, na lotnisko.

Pojechałem z Damianem, odebrać jego brata – Pawła.

Zdecydował się przylecieć. Już załatwiłem mu pracę u Liama w Ballinlough. Praca na budowie, jako pomocnik. Trochę ciesielki, potrzymać deskę, przynieść pięćset worków cementu i inne drobne prace.

To też jak zobaczyłem go na lotnisku, pomyślałem, że sobie nie poradzi. Wykrakałem. Nie poradził sobie. Po paru dniach Liam powiedział, że potrzyma go jeszcze z tydzień, ale tylko tyle może dla mnie zrobić, bo pomocników ma dużo, a fachowców jak na przysłowiowe lekarstwo. Tym bardziej, że pomocnika to on chciał, ale dla tynkarza. A to jest ciężka praca i Paweł sobie nie poradzi.

Jest dużo niższy ode mnie, drobnej budowy. Blond włosy. Prawie platynowy.

Typowy „Chłopiec z plakatu”, jeśli ktoś jeszcze pamięta tą bajkę.

No cóż, siedzi w domu i czeka na inną ofertę. Ale gdzie go posłać, jak przy dźwignięciu łopaty może się złamać. On, nie łopata. Miałem nadzieję, że chociaż coś ugotuje, jak jesteśmy w pracy.

Ale już po chwili wiedziałem, czemu nie urósł. Przy jego diecie, to zamiast kurczaków, hodowca drobiu miałby kurnik pełen wróbli. Tylko pierś z kurczaka, lub najtańsze paluszki rybne, zwane przez nas „trampkami”. Bo są tak elastyczne i podatne na rozciąganie, niczym podeszwa w trampkach.

A więc z gotowania obiadów też nici.

Musiałem czym prędzej znaleźć mu jakieś zajęcie. Lekkie, łatwe

i przyjemne. Znalazłem w okolicy piekarnię. Ponchak Bakery. Firma z długą tradycją. Skoro jest piekarzem, to tam powinien dać sobie radę. Ale czy oni potrzebują w tej chwili kogokolwiek?

Podjechałem pod biura firmy w czasie mojej przerwy obiadowej.

Pierwszy strzał okazał się pudłem. Biuro zamknięte.

Drugiego dnia zrobiłem sobie przerwę w innym czasie.

Zapukałem i wchodzę do biura. Dwie babki siedzą i przekładają papierki z miejsca na miejsce.

—Hello!— zagailem inteligentnie.

—Hello! – odpowiedziała jedna z nich. – W czym mogę pomóc?

—Mam na imię Tom, pracuję niedaleko, w Furniture LTD. Przyjechałem, żeby zapytać, czy potrzebujecie kogoś do pracy.

—Mówiłeś, że pracujesz w Furniture, w Williamstown? – zauważyła bystro.

—Tak, ale ja szukam pracy dla kolegi. On jest piekarzem.

—Nie ma już dziś menadżera, Darena. Będzie jutro.

Przyjechałem jeszcze raz kolejnego dnia.

Poznałem menadżera. Daren okazał się bardzo sympatycznym facetem. Po chwili rozmowy przeszedłem do sedna. Okazało się, że chętnie przyjmie piekarza do pracy. Jeśli jest piekarzem, bo niedawno ktoś polecił mu polskiego pracownika, jako piekarza. Ale jedyne, co go łączyło z piekarnią, to to, że czasem go piecze w gardle.

—Jak miał na imię? – Coś mi zaświtało.

—Romuald. Znasz go?

Nie wiedziałem, co powiedzieć, bo niby go znam, ale myślę, że tak naprawdę to nie znam go wcale.

Romuald, to po naszymu Hormon. Ten Hormon.

—Znam go, szalony facet. – Nie chciałem zagłębiać się w jego

szczegółowy opis.

—Tak, szalony. Ten nowy może zacząć jutro o ósmej.

—Ok. Dziękuję.

Po pracy wróciłem do domu. Zapukałem do niego. Paweł leżał wykończony na swoim łóżku i serfował w necie.

—Co jest? Żyjesz jeszcze?

—Jakoś... – odpowiedział, choć widziałem, że ledwie zipie po dniu u Liama. – Można się bawić?

—Ha, ha, ha. – Żartować sobie w takiej sytuacji, gratulacje. – To będę musiał Ci przerwać tę świetną zabawę.

—Dlaczego? – zapytał z nadzieją, bo wiedział, że szukam czegoś nowego dla niego.

—Od jutra idziesz do piekarni. Zawiozę Cię rano, na siódmą. Ubierz się ładnie.

—A ja już się przyzwyczałem do dźwigania stukilowych worków z cementem

– droczy się ze mną. – Jeszcze tydzień i chciałem startować z Pudzianem w teamie.

—He, he, to będę musiał złamać Ci tą oszałamiająco zapowiadającą się karierę.

—No doooobra, jak muuuszę... – udał rezygnację.

—Do końca tygodnia będę Cię woził, ale później musimy coś wymyślić z trans-portem. Bo tam pracujesz w takich godzinach, że musiałbym się zwalniać. Masz prawko?

—Nie.

—Oooo, niedobrze. – No to z deszczu pod rynnę. Coś trzeba wykombinować. – Dobra, zobaczymy, jak tam sobie radzisz i wtedy zdecydujemy, co dalej.

Pawłowi spodobała się praca. Po tygodniu spotkałem się

z Darenem, menadżerem. Jest OK., wychwalił go. Zapytał, czy nie mam jakiegoś kierowcy. Z wielkim ociąganiem powiedziałem, że jest koleś z prawkiem, ale nie wiem, jak się sprawdzi.

Siema.

Masakra. Szwendał się beczynn timer po domu i wciąż mnie nagabywał. Wszystkich zameęczał swymi opowieściami. No to go wysłałem. Niech chłopina da nam pięć minut oddechu.

Kiedy siedział cały dzień w domu, ktoś cały czas musiał mieć go „na oku”.

Cała historia Seby, alias „Siema”, to pasmo niewiadomych.

Siedzi sobie spokojnie, je obiad, ale nikt nie wie, czy nagle nie pacnie się łyżką w oko.

I to nie dla tego, że nie wierzy w to, co widzi, lub dlatego, że nie trafił do ust. Pacnie się w oko, bo zdenerwowała go mucha, latająca wokół jego talerza i właśnie usiadła mu na powiece.

Nie? To nie jest wystarczający powód, żeby trzepnąć się czymkolwiek w oko? Widocznie nigdy was mucha nie zdenerwowała. A co gorsza, Seba uważa, że ta mucha zrobiła to zupełnie świadomie!

Specjalnie przyleciała do jego talerza, bo miał dzisiaj kotlet schabowy. Alicja poczęstowała go z litości, po miesiącu przyglądania się jego diecie „cud”. Czyli takiej, po której cudownie krótko żyjesz.

I skąd ta mucha wiedziała, że właśnie dzisiaj on ma schabowego? I w takim odświętnym dniu przyfrunęła i zrobiła mu kupę na środku kotleta!

A żeby jeszcze tego było mało, kiedy ją odgonił, (tylko odgonił, żeby nie uszkodzić kotleta) ona pobzyczała, zrobiła dwa kółka nad jego głową i usiadła mu na powiece. Jakby chciała powiedzieć:

„sram na ciebie”...

– I co, nie wkurzyłbyś się, Tomek? – powiedział, przykładając lód do oka.

– Wiesz - odpowiedziałem poważnie – może starałbym się wykazać trochę więcej rozumu od niej. Raczej starałbym się zemścić na niej, jak już odfrunie z mojego oka. A trafiłeś ją chociaż?

—Chyba tak, bo coś mi do oka wpadło.

—No to teraz masz ją razem z jej kupą w oku. Czyli jej „na wierzchu”. Wnętrznosci też.

—To głupia mucha.

—Tylko nie staraj się jeszcze raz ją uderzyć. Ona już nie poczuje, ale Ty tak.

—Auuu – stęknął, przykładając nową kostkę lodu. – Jutro wszystkie muchy wybiję na osiedlu.

—Tylko jak je będziesz gonił po okolicy, to nie wbiegaj na prywatne posesje. Tutaj nic Ci nie zrobią, ale na pewno trochę się zdziwią.

Takich rozmów z nim było wiele. Dlatego miałem obiekcje, kiedy Daren zapytał o kierowcę.

Tym bardziej, że najdziwniejsze rzeczy zdarzyły się miesiąc temu. Seba przyleciał z polecenia znajomego, Marka.

Wówczas nie wiedziałem jeszcze, jakiego kota w worku mi sprzedał.

Na pierwszy ogień poszedł do pracy przy karton–gipsie. Pomagał Irlandczykowi z Dunmore.

Po dwóch dniach pracy pytam się w czasie imprezy (to już była sobota);

—A jak tam w pracy, Seba?

—Doooooobrze – powiedział przeciągając, czyli wiadomo, że co nie

tak. Wstał z fotela, podszedł do ściany.

—Ale nie wiem, o co mu chodzi z tą wiewiórką.

—Z jaką wiewiórką? – zapytaliśmy zaskoczeni, choć go znamy już odrobinę.

—Bo tak! – Wyciągnął ręce do góry, jakby trzymał wkrętarkę w pracy. – Ja jedną ręką trzymam ten karton – demonstruje, jak go trzyma – a drugą kręcę. – I pokazuje jak przykręca go do sufitu.

—Dociśnij karton do góry, bo nie doszedł. – Żartuję sobie. Seba rzeczywiście podniósł lewą rękę wyżej.

Marek i Dżony Łyski załapali jego gest i śmieją się. Ale Seba niezrażony, ciągnie dalej opowieść;

—No to ja kręcę, a on do mnie „wiewiórka”!

—Co? – zapytaliśmy równocześnie z Alicją, zdziwieni.

—No właśnie! – powiedział ucieszony Seba. – Ja też nie mam pojęcia, o co chodzi z tą wiewiórką!

—A na pewno nie powiedział „żyrafa”? – zapytałem, żeby jeszcze bardziej zagmatwać sytuację, choć i tak nic z niej nie rozumiemy.

—A dlaczego „żyrafa”?

—A dlaczego „wiewiórka”?

—No właśnie, nie mam pojęcia, o co mu chodziło. I tak przy każdej płycie. Ja wkręcam, a on „wiewiórka”...

—Ale to co, po polsku do Ciebie zagadał?

—Nie.

—To skąd wiesz, że „wiewiórka”, a nie „hipopotam”?

—Nie wiem – powiedział speszony – może i hipopotam.

—No nieeee, poddaję się. – Łyski rozłożył ręce. I kontynuował swoim powolnym rytmem. – Idź Seba do kuchni, tam jest komputer. – Pauza. – Usiądź sobie, włącz go. – Pauza – Zobacz sobie jak wygląda wiewiórka i jak hipopotam. – Seba chciał coś

powiedzieć, ale Dżony podniósł dłoń, uciszając go.

—Obiecuję, że zobaczysz pewne różnice. – Znów roześmialiśmy się wszyscy. – Wtedy przyjdź do nas i jeszcze raz odpowiedz na pytanie.

Ale Seba cały czas stał niezdecydowany na środku pokoju.

—Wiem, hipopotam jest taki duży, tłusty. – I dodał do tego prezentację rękami oraz nadał policzki. – A wiewiórka mała ruda, z takim rudym ogonem. – Dodał również do tego taką choreografię, że prawie pospadaliśmy z sofy.

—I ma takie uszka i nimi strzyże! – Postrzygł przy tym dwoma palcami przy uszach.

I wtedy już pospadaliśmy.

Lecz on dalej stał na środku pokoju, z takim wyrazem twarzy, jakby był na przesłuchaniu. Kiedy już jako-tako pozbieraliśmy się do kupy, walnęliśmy kolejkę na rozluźnienie umęczonego śmiechem przełyku.

A on wciąż brnie.

—Ale wiem, że on mówił „wiewiórka”.

—No dobrze, skąd wiesz? – zapytałem już zrezygnowany. Boję się, że jego kolejne tłumaczenie może mnie wykończyć.

– Bo lubię takie bajki amerykańskie i tam jest wiewiórka. Znów się zaczyna.

– Seba! – Złożyłem dłonie, niczym do modlitwy. – Proszę Cię, skup się. Dla czego sądzisz, że mówił o tej wiewiórce z amerykańskiej bajki?

—On nie mówił o tej z bajki.

—Uaaahahahahah – znów wszyscy ryknęli śmiechem.

Ale Seba był już zdeterminowany wyjaśnić sprawę.

—Tylko w tej bajce nazywali tą wiewiórkę „krejzi skłiril”, czyli

„stuknięta wiewiórka”.

—I on do Ciebie mówił „Krejzi skłiril”, czyli „stuknięta wiewiórko”? – Wydawało mi się, że choć jestem już w stanie logistycznie objąć problem i co nieco sobie poukładać.

—Nie.

—O, boże! – złapałem się za głowę. – Rysiek, przynieś jakąś kartkę i długopis. Postaram się jakoś ten wątek rozrysować, bo nie mogę go objąć. On jest jednak bardziej jak hipopotam. Znaczą: Seba.

—Ha ha ha...

—Nie, jak ja kręciłem, to on mówił „wiewiórka”, czyli „skłiril”!

—Oj – aż wstałem i uciszyłem wszystkich gestem – może trudno nam w to uwierzyć, ale istnieje pewne prawdopodobieństwo, że dochodzimy do sedna...

—To najpierw dojdźmy do setki – zaproponował Łyski, unosząc kieliszek. — Za wiewiórki i inne futrzane – zaproponował Rysiek. Chlup!

—No więc, starając się podsumować: Ty przykręcasz płytę do sufitu, a on krzyczy coś, jak: „skłiril”, ale nie „wiewiórka”? Dobrze mówię?

—Taaak – pokiwał uradowany Seba.

—A może krzyczał: „skłeryt”?

—Noo! A skąd wiesz? – Aż sobie podskoczył.

—Bo on mówił „skłeryt”, czyli wyrównaj, trzymaj to równolegle. Chodziło mu, żeby dobrze do ściany dosuwał płyty.

—Nooo – powiedział uradowany Sebuś, jakby od początku to wiedział.

—Brrraaaaawoooo!!! – Zaczęliśmy mu klaskać, wspólnie ciesząc się z rozwikłania największej zagadki współczesnego świata.

Teraz już żadne tajemnice świata nie są dla nas, tak naprawdę, skomplikowane. Ale z Sebusiem zawsze było wesoło. A może raczej „wesoło”. Bo momentami

uśmialiśmy się do łez, ale wiele razy, to po prostu płakaliśmy. Nad ciężkim losem i głupotą.

Z czasem Sebuś, jak już go trochę poznaliśmy, dostał ksywkę „Siema”. Nie dla tego, że był jak Jurek Owskiak.

Chociaż, jak się nad tym teraz zastanawiam, to może trochę też. Wiadomo, hasło Jurka brzmi: „Róbta, co chceta”. I on właśnie tak robił. Ksywkę dostał dlatego, że to było jego ulubione, boję się powiedzieć, że jedyne, powitanie.

Bardzo lubił w dowolnej chwili dnia lub nocy zapukać do pokoju mojego i Ali.

– Tomeeeek – niby pytał, czy jestem, śpię, lub cokolwiek... wiadomo, jakie cokolwiek. Ale, co gorsza, nigdy nie czekał na odzew. Łapał za klamkę i już był w środku. – Siema! He, he, he.

– Alicja, masz może fajkę? Paaalić się chce. – To „a” było takie beczane, jak u młodego baranka. Oczywiście, nie pamiętał już, że wszystkie papierosy, które przywiózł z Polski sprzedał dwa dni temu po cztery euro, bo „rzucam palenia, a cena dobra”. A mnie wydaje się, że po prostu chciał nas przyłapać w niedwuznacznej sytuacji. I zapalić, po naszym seksie!

Oczywiście po paru takich „napadach z zapalniczką w ręku”, zaczęliśmy zamykać drzwi.

Wtedy łapał za klamkę. Zamknięte.

—Tooomeeek.

Cisza. Udajemy, że śpimy.

—Tomeeek. – Ton wyżej.

Cisza.

—Alicja! – Zmienił kierunek natarcia.

Cisza, choć już nas cholera bierze.

—Alicja! – Jeszcze ton wyżej.

Pokazuję Ali na migi, co mu zrobię jutro. Ale cisza.

—Tomeeeek, Alicjaaaaa! – I dokłada do tego wku***wiające „PUK, PUK”.

Cisza. Pięć sekund, dziesięć sekund. Wreszcie. Już miałem wstać i go udusić.

—Tomek, masz dla mnie jakąś robotę? Bo nie wiem, czy mam rano wstawać! Ludzieeee, trzymajta mnie, bo nie wytrzymam!!! Wstaję, podchodzę do

drzwi, otwieram je z zamiarem przyłania mu zamaszystym „sierpem”, ale widzę w drzwiach uśmiechniętą głupkowato twarz, słyszę jego:

—He, he, he, siema, Tomek. – Każda sylaba wypowiedziana wyraźnie osobno i poddaję się.

Żeby się uspokoić, zanim coś powiem, liczę w myślach jego iloraz inteligencji; „RAZ, DWA, TRZY”, oddycham głęboko i mówię:

—Już Ci mówiłem, że pojutrze idziesz do pracy, do Pata. – Patrzą w te jego zawsze szeroko otwarte oczy i modlę się, żeby już nic nie chciał.

—Alicja – szepta konspiracyjnie, mimo tego, że przed chwilą prawie drzwi wyrwał z ramy, pukając.

—A masz fajeczkę? – Alicja bez słowa rzuca prawie całą paczkę w jego stronę.

Łapie, jak Boruc.

—Wystarczy Ci do rana? – pytam złośliwie.

—Może mi wystaaaaarczy – odpowiada, jakby myślał, że pytam serio.

—Jak braknie, to zapuuukam – mówi z uśmiechem.

—Jak jeszcze raz zapukasz, to ja Cię zaraz puknę!!! – Dałem się wpuścić w nieudomówienie.

– Eehehehehe, bez taaakich. Ja mam żonę. – Opadły mi ręce, włosy oraz wszystko, co tylko było w stanie. Ledwie, po zamknięciu drzwi i przystawieniu krzesła, dowlokłem się do łóżka.

I śnił mi się osioł z twarzą Siemy, palący paczkę fajek na raz, robiący I-A-I-A, dymem. I mówił jeszcze: "Nie idę dzisiaj do roboty, he,he."

I o mały włos sam nie zasnę do pracy.

Trochę sytuacja uspokoiła się, jak już poszedł do tej roboty. Ale tylko na początku.

Parę razy pytałem Darena jak sobie radzi, bida. Facet musiał mieć stalowe nerwy, bo mówił, że wszystko dobrze. Oczywiście, zupełnie w to nie wierzyłem. I nie myliłem się. W końcu jednak z piekarni zwolnili go po kolejnym wypadku samochodem firmowym.

Odpowiedzi Darena, jego poprzedniego pracodawcy, były dosyć wymijające i taktowne. Seba z pewnością nie był wzorowym pracownikiem. Ale za to czasami ich rozbawiał do łez.

A zatem Seba znów szukał pracy. Znając jednak jego naturę, w chwili, kiedy dowiedziałem się, że nie pracuje w piekarni, miał już załatwioną kolejną pracę. Po prostu, przerażała mnie myśl o Sebie, koczującym przy drzwiach mej sypialni.

Jego nowy pracodawca opowiedział mi kiedyś, jak to pewnego pięknego, jak na Irlandię, dnia, (bo nie padało) przyszedł do kantyny, gdzie dwaj jego bracia jedli śniadanie. Sebuś właśnie skończył jakąś zadaną wcześniej pracę. Coś tam przyniósł, wyniósł, pozamiatał. Jego angielski zawsze kulał, nie mniej niż jego logika

i rozum. Cały ogólnie był kulawy. Oprócz nóg.

Chciał jakoś zakomunikować im, że już przyszedł, bo skończył ostatnią pracę. Stał, jak zawsze, głupawo uśmiechnięty, z wytrzeszczonymi oczami w drzwiach kantyny i omal nie krzyknął;

—Aj hir!!! – W jego pojęciu powiedział; „JUŻ JESTEM”, ale wszyscy inni usłyszeli:

—Aj hir! – Czyli: „JA SŁYSZĘ!”

Pat i John spojrzeli na siebie, zaskoczeni i buchnęli takim śmiechem, że aż kubki na stole się trzęsły, a John opluł Pata przełykaną właśnie herbatą z mlekiem. Nie mogli przestać do końca przerwy i ponawiali wybuchy jak tylko przypomnieli to sobie w ciągu dnia.

To rozweselenie zapewne nie wynikało ze śmieszności sytuacji, a bardziej z radości, że Siema w końcu słyszy. Jest więc większa szansa, że zrozumie, co się do niego mówi.

Pat miał w oczach łzy, jak opowiadał mi o tym po upływie trzech dni.

Myślę, że po tej sytuacji zaczęli mniej denerwować się na niego, a bardziej traktować, jak pracownika „specjalnej troski”.

I nie pomylili się.

Minęło parę tygodni od tej komedii, kiedy postarał się o tragedię. I prawie mu się udało. Pat zlecił Sebastianowi wysprzątanie pomieszczeń w wykończonym budynku. Długo Siema nie wracał. Poszedł więc Irys zobaczyć, co Sebek znów źle zrozumiał.

Kiedy wszedł na piętro, stanął niczym wryty i na moment odebrało mu zdolność ruchu. Jednak w ułamku sekundy rzucił się jak oszalały do przodu, łapiąc Sebastiana za nogi i unosząc w górę.

Seba próbował się powiesić...

Szybko wezwali karetkę i zawieziono go wówczas do szpitala w Roscommon. Kiedy Siema doszedł do siebie, bezzwłocznie przeniesiono go na oddział zamknięty psychiatryka.

Spędził tam parę tygodni na obserwacji. Kiedy przyjeżdżaliśmy do niego w odwiedziny, zachowywał się, jakby nic się nie stało.

—Jak mnie wypuszczą, to pójdę znów do Pata do roboty. Mówił, że nie ma problemu. — Oczywiście, mówił tak, by go nie stresować, ale ja już powiadomiłem jego ojca. Miał przyjechać za parę dni i zająć się nim.

Wszyscy wiedzieliśmy, że Siema ma klepki poukładane po swojemu, ale nikt nie podejrzewał go o taki numer. Może chciał zmienić sobie ułożenie klepek? Tego się nie dowiemy. Po wyjściu ze szpitala Sebastian zamieszkał z tatą. My natomiast odetchnęliśmy z ulgą. Nigdy też nie powiedział, jaki był powód tego zajścia. Mogę jedynie przypuszczać, że nie układało mu się z żoną. Po jakim czasie i tak się rozstali.

Mój ostatni kontakt z nim nastąpił po trzech latach od próby wydłużenia szyi. Któregoś ranka, kiedy już miałem wychodzić do pracy, usłyszałem dzwonek do drzwi.

To dziwne. Nikt normalny nie przychodzi w odwiedziny o tej porze. I trafiłem.

To był Seba.

—Cze, e, e, e, e, e, śc, Tomek. Co słyhać? — Zbaraniałem.

—Cześć, a co ty tu robisz? — Przecież już dwa lata był w Polsce.

—A, przechodziłem obok. — To miał lekki spacer.

—Mogę u Ciebie zostać dzisiaj? — I już pakuje się do środka, jak kiedyś do naszej sypialni.

—A Alicja gdzie?

—O tej porze raczej śpi. Na drugą zmianę idzie. Chcesz kawy?

Albo coś zjeść? – zapytałem, bo znów mnie zaskoczył swoją wizytą.

—Aa, a, a, a, a, a, jak już robisz! – Jeszcze nawet nie zacząłem, ale co robić, zrobiłem mu na szybko śniadanie, kawę.

—Słuchaj, bo ja muszę iść do pracy. – Zapomniałem, że on odbiera na swojej fali i nie zrozumie sugestii.

—A, to iii idź. Ja sobie do urzędu pójde później. Po papiery przyjechałem. Nie masz, Tomek, jakiej roboty dla mnie?

Oj Siema, ręce opadają. Powiedziałem tylko Alicji, że mamy „jajko niespodziankę” w salonie i poszedłem. Na szczęście, kiedy wróciłem, okazało się, że Seba rzeczywiście przyjechał po jakieś papiery i że ma bilet powrotny za dwa dni. Trochę powspominaliśmy przy obiedzie, zdrzemnął się u nas. Tylko my się nie wyspaliśmy, czuwając całą noc i chowając wszystkie ostre narzędzia, sznurki, a nawet gumkę „myszkę”. Do rana mógłby się całkiem nią wytrzeć... Ufff!!!

Nie wracajmy już do tego tematu, bo jakby nie Pat, to śniłby mi się dyndający Sebuś. Oczywiście, nie powinienem czuć się winny, bo zrobiłem dla niego więcej, niż jego rodzina, ale zawsze coś siedziałoby w mojej pamięci.

Wracając do Dzonego Łyski.

Parę razy odwiedziła go w Dunmore jego siostra z mężem. Jedna z naszych wspólnych imprez odbyła się w wynajętym przez niego nowym mieszkaniu. Małe, przytulne, z dwoma sypialniami na górze i małym salonem, połączonym z kuchnią.

Kiedys Małgosia, siostra, wspomniała, że chętnie zwiedziłaby okolicę. Wybraliśmy się więc na tournée po Irlandii zachodniej.

W Mondeo miejsca było, co niemiara. Z przodu siedzieliśmy ja z Alicją, a z tyłu Krzyś, Janek i Małgosia.

Podjechaliśmy na początku na stację paliw. Wiadomo, musieliśmy zatankować.

—To ile mamy się dorzucić do paliwa? – zapytał zawsze konkretny w tych kwestiach Janek. A dodatkowo na pewno chciał dobrze wypaść przed Alicją i siostrą.

—Macie wycieczkę fakultatywną, wliczoną w naszą umowę – powiedziałem, bo mimo tej jego nadwrażliwości, a może właśnie dla niej, polubiłem go.

—A czy będziemy musieli później zdawać egzamin z topografii? – zażartował Krzysiek.

—Nie, jedynie ze znajomości pubów – powiedziała Alicja. – Błędna odpowiedź skutkuje wykluczeniem z najbliższej kolejki (wiadomo, setka mniej).

—Ha, ha, ha – roześmialiśmy się.

—Sądzę, że dziś wszyscy oblejemy ten egzamin – wykrakałem.

—To ja nie przystępuje do kursu. Mogę go oblać już teraz. Zatrzymaj się na chwilę przy sklepie.

Przejeżdżaliśmy akurat obok Super Value, lokalnego marketu spożywczego.

Po chwili Krzyś wrócił, niosąc coś w papierowej torbie, może nawet w dwóch.

W drugiej ręce trzymał rozpuszczalnik. Czyli napój gazowany.

—Teraz możemy ruszać. – Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął kieliszki.

—Uuuu, widzę, że potrafisz planować swoją przyszłość! – powiedziałem.

—Chcę mieć piękne wspomnienia z tej wycieczki, a to jest mój krajobrazo-kolorowacz. – Pokazał butelkę wódki.

—Więc chodź, pomaluj mój świat... – zanucił Janek, sięgając po

kieliszek.

—Dobrze, możecie sobie otworzyć tą kolorowanekę na drogę, ale jak komuś zachce się malować, niech krzyknie, to się zatrzymam. Nie będę musiał czyścić auta z farbek.

Podczas podróży zwiedziliśmy miasto Galway. Następnie ruszyliśmy na południe, w kierunku Cliff of Moher. Niestety, zanim dotarliśmy na miejsce, musieliśmy wracać. Cały Kraków stracił już kontakt z bazą.

Miesiąc po ostatnim spotkaniu przyjechaliśmy przekazać mu prezent, który sobie zamówił. Szczeniaczka od naszej Princessy.

Szczeniaczek bardzo do niego pasował. Był podobnie jak on, zagubiony i skołowany. Nazwał go Alidar. Wiadomo. Dar od...

Piesek był zagubiony, bo dopiero co stracił mamę. Dżony był zagubiony, bo skończyła się whisky, by zaleczyć stare rany z Polski i nowe z Irlandii.

—Czemu Ty jesteś taki dziś przybity? – zapytałem, choć raczej znałem odpowiedź.

—Bo mi w życiu nie wyyszło – powiedział, jak zwykle akcentując mocniej ostatnie słowo.

—Całe życie coś nie tak. W Polsce mi nie wyszło. Miałem żonę, kochaałem jąąąą. Dzieci przecież mamy. – Zrobił pauzę, jakby zastanawiał się, czy mówić dalej. – Może przez wódkę. Nieeee wieceem.

Ale dzieci miały wszyyyystko. Na wakacje jeździliśmy.

—Nie miał lekkiego życia – wtrąciła siostra Małgosia. – Wiem, że on lubi wypić, ja też. Ale to nie o to poszło. Ona nie była za bardzo zakochana chyba. Jakoś nigdy nie złapałam z nią kontaktu. Taka zimna wydra. A Janek to serce na dłoni ma.

—No – kontynuował Dżony. – A ona mnie zdradzała. Z takim tam... – kiwnął głową, pokazując przestrzeń przed sobą – co niedaleko mieszka. Ale zostawiłem jej wszystko. Z jedną torbą podręczną się wyprowadziłem. – A jaka była prawda? Był taki wielkoduszny, czy miał tylko jedną torbę podróżną?

—Jak dzieci nie było w domu. Bo bym się popłakał zaraz.

Krzysiek, mąż jego siostry uzupełnił kieliszki. Znał tę historię na pamięć, wiedział więc doskonale, że to jest jedyny moment, żeby przerwać mu na chwilę.

—Zdrowie byłych żon. – Uniósł szkło. – Niech im ziemia lekką będzie.

Wszyscy roześmiali się refleksyjnie. A Dżony wrócił do opowieści.

—Wtedy znalazłem Twoje ogłoszenie i jeeestem. Zobaczyłem Alicję – pomyślał chwilę, spojrzął na mnie – i Ciebie, dostałem pierwszą wypłatę, pięćset euro i myślałem, że teraz wszystko będzie dobrze.

Wynająłem sobie to MIESZKANKO, sprzątam tu sobie, będę PIESKA wyprowadzał – rozejrzał się, SIOSTRA mnie odwiedza, WY czasami przyjeżdżacie. – W tym momencie stracił zapał, jakby sobie uświadomił, że w gruncie rzeczy to nie o tym marzy.

—Będzie fajnie – powiedział z rezygnacją. – Napijmy się, kochani. Częstoście się. Alicjo, specjalnie dla Ciebie zrobiłem tę sałatkę.

—Dobra, już próbowałam – dodała siostra. – A ta jest z ananasem i kurczakiem.

—To opowiedz, jak tam w pracy. Wszystko dobrze? Rozumiesz ich? – zapytałem, żeby zmienić trochę ten temat.

—Pracowałem u tynkarza i było dobrze. Ale teraz załatwił mi pracę u Mufina.

—U kogo?

—U Mufina! – powtórzył.

—To Ty w ciastkarni robisz? Bo muffiny, to rodzaj ciastek, coś jak babki u nas.

Tylko takie małe.

—Może. On też mały. I jak baba.

—U Marvina. Wymawiają trochę podobnie: Mervyn.

—No to siup – pogoniła nas siostra. Ona też nie wylewa za kołnierz. Nawet go nie nosi, bo ma na sobie granatowy sweterek w serek.

—I to mnie właśnie wkurza. – Potrząsnął ekspresyjnie całym ciałem. – Jak się śmieją ze mnie.

—Dlaczego? – spytała Alicja.

—Bo nie znam języka. I jak coś już powiem po angielsku, to się rechotają.

—Tak? To co palnąłeś? – zapytał Krzychu, oczywiście w między czasie otwierając kolejną butelkę whisky.

—Oni mają byyyki. I czasem, jak pada i nie jedziemy na budowę, to chcą, żeby im przy tych bykach pomóc. Ale widzę, że mnie tak sondują. Co zrobię a czego nie. Siup! – Podniósł kieliszek, bo widział, że Krzychu już się kręci w miejscu i nie wie jak przerwać. Lekko się skrzywił (chyba trochę źle poszło), przekąsił kanapką z sosydzem, pokrojonym w podłużne plasterki i kontynuował.

—Kiedyś chcieli, żeby gnój po tych bykach przerzucać. Brat tego Mufina... —Marvyna – poprawiłem.

—No – zawiesił się na chwilę. – Jego brat przyniósł widły i pokazuje mi na stertę gnoju. Żeby to wrzucić na przyczepę. A ja w adidasach już się topię w tym bagnie. No to mówię: Aj kunt. I pokazuje mu na dół. A Ci zaczęli rechotać, jak głupki, ale już mi

nie kazali tego robić. I o co im chodziło?

—Wiesz – staram się mówić poważnie, chociaż najchętniej wybuchnąłbym śmiechem – bo tu chodzi o niuanse. Jak powiesz: I kaunt, to znaczy, że nie możesz. Ale jak powiesz; Aj kunt, to znaczy: ja zem cipa.

Wszyscy, oprócz Dżonego, wybuchli śmiechem.

—Pokazując na dół, utwierdziłeś ich w śmieszniejszym toku myślenia.

Teraz śmiech przerodził się w rechot. Alicja, śmiejąc się, potrąciła szklankę.

Dobrze, że to mineralna.

—Oj, mój brzuch – mówił Krzyś piskliwym głosem, a do żony;

—Nie wiedziałem, Gosiu, że Ty masz siostrę.

—Ha, ha, ha – śmialiśmy się wszyscy, oprócz Janka, bo po tylu kieliszkach, to wszystko śmieszny.

—No tak – powiedział naburmuszony Janek – teraz wszystko jasne. Lepiej wcale się po angielsku nie odzywać. Udawać, że się nie rozumie i tyle. Niech oni się martwią.

—Oj, Dżony, nie jesteś pierwszy. Ze mnie też czasem się śmieją. – Starałem się nieco poprawić mu humor. – Może bardziej z akcentu, ale zawsze to coś. A jak jakiś obcokrajowiec stara się mówić po Polsku, to co, nie śmiesz Cię to?

—No doobra – powiedział lekko udobruchany. – Ale bez języka to bida za granicą.

—Fakt – rzuciłem. – A jeszcze większa bida bez języka w łóżku.

—Hi, hi, hi – zapiszczała Gosia.

—Co się tak śmiejesz? – zapytał Krzyś.

—Bo Ty to też czasami w łóżku zapominasz języka w..., lepiej nie dokończę!

—Eeee, he, he, he!!!

Teraz z kolei śmiali się wszyscy, oprócz Krzyśka.

Janek wstał.

—Wszyscy mają nalane? Alicjo? – Uniósł kieliszek, jak to do toastu.

—Kochani! Chciałem Wam wszystkim serdecznie podziękować. Alu, jestem szczęśliwy, że Cię poznałem. – Romantyczne spojrzenie. – Tomku, dziękuję, że mnie ściągnąłeś do tej Irlandii. No i oczywiście Wam – spojrzał na siostrę z mężem.

– Że zawsze, kiedy trzeba, to mi pomagacie. Wasze zdrowie. – Przechyliliśmy kieliszki.

—Kocham Was .- Teraz już nie wiadomo, do kogo to było skierowane, bo Janek opadł na kanapę, zmęczony ciężarem kieliszka i wagą słów.

Impreza jeszcze toczyła się do przodu, ale coraz słabiej. Wszyscy byliśmy już mocno wskazujący. Więc ja wskazałem sobie jedyny słuszny kierunek, czyli łóżko na piętrze. Tym bardziej, że Krzyś z Gosią, na ile mogłem ich zrozumieć, roztrząsali jakiś swój prywatny problem. Janek, patrząc na wazon i przypuszczając, że patrzy w stronę Alicji, mówił, jak to ona dziś pięknie wygląda.

Leżąc na górze, wciąż wszystko doskonale słyszałem. To zasługa wielkości domku, jak i irlandzkiego systemu budowania domów. Ściany działowe i sufit są wypełniane niczym.

I niestety, w pewnym momencie usłyszałem za dużo.

—Alu – bełkotliwym głosem mówił Janek – chodź ze mną do łóżka...

Jako że też byłem wstawiony, nie zamierzałem puścić tego płazem. Ubrałem się szybko, strasznie wkurzony zszedłem na dół, a Janek znów swoje;

—Pójdiesz ze mną do łóżka, Alu? – Alicja zajęta rozmową z Gosią nie słyszała go.

—Janek – krzyknąłem. – Chyba cię pop***liło. To ty, k*** nas zapraszasz, a później próbujesz przelecieć moją dziewczynę?

—Stój, Tomek. – Krzysiek włożył rękę pomiędzy nas i starał się załagodzić sytuację. – Przecież on jest pijany, nie wie co mówi.

—Wiem. – Spojrzałem na niego. Rzeczywiście, oczy ledwie otwarte, nie wiadomo, czy jest tu, czy na Mauritiusie. – Ale to niczego nie usprawiedliwia. Jak ktoś nie umie pić wódki, to niech się zajmie mlekiem! – krzyknąłem zdenerwowany.

—Tomek, przestań, przecież on jest pijany, nawet nie wie, co mówi. Chodź, prześpimy się, to jutro zapomnimy. – Alicja chwyciła mnie za rękę i pociągnęła na górę.

—Jakby nie to, że jestem pijany, to pojechalibyśmy do domu. A dziś faktycznie nie ma sensu z Tobą gadać, bo i tak nic nie będziesz pamiętał.

Rano zebraliśmy się z Alicją dosyć wcześnie, zeszliśmy na dół. Tylko Krzysiek nie spał. Ale nie mieliśmy ochoty rozmawiać o wczorajszym wieczorze, powiedzieliśmy więc tylko cześć i nie mówiąc słowa o wczorajszych ekscesach, odjechaliśmy.

W ten sposób zakończyła się nasza znajomość z krakusami. Mimo tego, że rozmawialiśmy jeszcze parę razy telefonicznie, już więcej wspólnych imprez nie było.

Szkoda, że tak wyszło.

Rozdział 21

**Wielki mały człowiek. Dla chcącego – nic trudnego.
O kamieniarzach, co zbudowali mur między nami.
Oj, panowie, za wysoki, nie przeskoczycie. Ale**

poduszkę zabrali.

*

Czas leci, ludzi przybywa. Atmosfera gęstnieje, czas się przeprowadzić. Zgarnęliśmy parę osób ze sobą i zamieszkaliśmy pod numerem 44. Ja, Alicja, Dominika, Paweł, Szymon, który pracował od początku u irlandzkich cyganów (tzw. Trawelersów). Reszta mojej drużyny pierścienia, (a raczej sznurka, bo byłem przez nich uwiązany, wciąż kogoś przywożąc, zawożąc, odwożąc, załatwiając kogoś sprawę, organizując, tłumacząc szefowi, z jakiego powodu nie był w pracy, itd.) mieszkała pod 12. Dla utrzymania pewnej orientacji, (bo momentami już sam nie pamiętałem ile osób i kto ma mi dopłacić) starałem się ich jakoś policzyć. Za każdym razem wychodziła mi inna ilość. Mam nadzieję, że w wyniku złego liczenia nie zapomniałem odebrać kogoś z Dublina, lub Cork... Z całą pewnością liczba mieszkańców pod pierwszym adresem zwykle kręciła się wokół liczby 10. Ktoś przybywał, inni gdzieś znikali. Pewnie miałbym kłopot ze zrobieniem dokładnej listy.

Pracowicie mijały nam kolejne dni, tym bardziej, że pracy w Irlandii w tym czasie było, co nie miara. Ja byłem tak zajęty wszystkimi sprawami podopiecznych i pracą, że nie byłem już w stanie wozić Pawła do pracy, tym bardziej, że pracował w godzinach, kiedy ja również byłem w pracy.

—I co teraz, Paweł? Podoba Ci się w pracy?

—Nie ma co psuć – powiedział z akcentem wskazującym na to, że jest dobrze.

—To co zrobimy z dojazdami? – zastanawiałem się głośno.

—W Westport mieszka mój kolega, sąsiad z Polski. Pisał do mnie, że ma motorower do sprzedania. Jakoś tam podobno jeździ. Mogę go kupić i spróbować.

W najbliższą sobotę pojechaliśmy po motorek. Zmieścił się od biedy w bagażniku. Miałem wtedy Forda Mondeo Kombi.

Kiedy wróciliśmy, odpaliliśmy go. Działa.

—Jak się tym jeździ? – zapytał Paweł.

—To Ty kupujesz motorek i teraz się pytasz, jak się tym jeździ? Mówiłeś, że nie masz prawka, ale sądziłem, że kiedyś już tym jeździłeś...

—W życiu! – powiedział z szerokim uśmiechem. – Ale będę miał okazję się nauczyć.

—No tak, lepiej teraz, jak jeszcze widzisz drogę, niż po sześćdziesiątce, jak będziesz miał kłopot z dostrzeżeniem kierownicy.

—Ha, ha, ha. Takiś mądry? To pokaż jak się jeździ.

—Ja też nie mam doświadczenia, ale spróbujmy.

Wsiadłem na odpaloną maszynę. Sprzęgło, gaz i... —Prrrrrrrt – zdechł.

—Hi, hi, hi – roześmiał się zadowolony Paweł. – Chyba lepiej przeczytam instrukcję w necie. Bo przy Twojej nauce, to daleko nie zajadę.

—Dobra, dobra! Cwaniaku. Jeszcze raz. – Odpaliłem, sprzęgło i gaz nieco delikatniej. Jest, ruszył.

Przejechałem kawałek i wróciłem. Pokazałem mu, co i jak i kazałem wsiąść. Pierwsza próba też spalona. Falstart. Za drugą ruszył. OK. Problem z transportem został rozwiązany.

W niedzielę w nocy miał pierwszy wyjazd. Do pracy na nocną zmianę. Paweł, jak to Paweł. Założył ładne białe spodenki dresowe i ruszył.

Kiedy wstawałem w poniedziałek do pracy, on wrócił z nocki. W jednym kawałku.

Ale jego spodnie już w niezliczonej ilości kawałków. I z niewielką ilością dostrzegalnej bieli.

Chyba, że zamienił się spodniami z jakimś bezdomnym obszarpańcem.

—Co się stało? – zapytałem. Równocześnie policzyłem, czy razem z nim powróciły wszystkie jego części ciała.

Głowa – jest, stwierdziłem, gdy zdjął kask.

Ręce – sztuk dwie – zgadza się.

Nogi – jedna i pół... – a nie, przepraszam, on tylko podniósł stopę do tyłu, żeby się pomasować po bolącej kostce.

Korpus – jedna/druga – zgadza się, nigdy nie był za gruby. — Co Ty, Paweł, spotkałeś stado wściekłych psów po drodze?

—Takiś mądry? Trzeba było samemu jechać – powiedział z żartobliwą nutą w tle. – Do Ballymoe jechało się fajnie. Już zakręciłem w stronę Glennamaddy, tnę ile fabryka dała, czyli dwadzieścia na godzinę, wiatr mi grzywkę rozwiewa. Ale jak coś nadjechało z naprzeciwka, to tak mnie oślepiło, że wolałem zjechać mu z drogi. A jeszcze nie wiedziałem, czy jadę dobrym pasem. No i wpierniczyłem się do rowu. Telefon zgubiłem, bo bym zadzwonił. Gdzieś w kałużę mi wpadł w rowie. A tam chaszcze takie i ciemno. I nie znalazłem. Spodnie mi się przy tym w łańcuch wkręciły. Ale tak się wkurzyłem, że je za pierwszym razem wyszarpałem. Moje nowe spodnie.

—No, to nieźle. Ale nic sobie nie połamałeś, mam nadzieję?

—Sobie nie, ale jakbym tego kierowcę dorwał, to bym mu wszystkie kredki połamał. Na „długich” jechał, idiota.

—Irlandczycy tak jeżdżą.

—Już myślałem, że nie odpali rakietą. Kopałem w rozrusznik i kopałem. I nic. Dopiero po chwili załapał, jak go grzecznie

poprosiłem. I jakoś dojechałem do roboty. Pół godziny spóźnienia. Kto mi teraz zapłaci za to? – powiedział z udawanym żalem.

—A spisałeś numery tego pirata? Może on?

—Tak, lecąc w rów z wodą, spokojnie wyjąłem ołówek, zastrugałem i zapisałem na dłoni. Bo kierownicy i tak nie musiałem już trzymać. – Zawsze lubiłem jego poczucie humoru.

—To co teraz? Rezygnujesz z przygody ze skuterem?

—Eeee, tam. Mam jeszcze trzy pary białych dresów. Jak wszystkie potargam, to sprzedam motor.

—Ha, ha, ha! Gratuluję upartości. Ale może załóż inne spodnie na drogę?

—Zgłupiałeś? Jak ja bym wyglądał w innych. A jak mnie jakaś laska będzie oglądać? W oczy bym jej nie spojrział.

—A gdzie? – droczyłem się z nim.

—Ha, ha. – Pokiwał głową, bo zrozumiał, a może nawet sobie wyobraził, gdzie by spoglądał. – No, sam widzisz. Nie mogę w innych jechać.

I tak sobie jeździł. W pierwszym miesiącu zwiedził jeszcze trzy nieodkryte rowy. Później już opanował nerwy i na widok innego pojazdu naprzeciw, po prostu zwalniał i czekał aż intruz go ominie. No i dokupił sobie trochę białych spodni.

—Wiesz co, Paweł? – zagadałem przy obiedzie w kolejną niedzielę.

—Co tam? – Zerknął znad rybnego trampka z ziemniakami.

—Rozmawiałem z Alicją. Pomyśleliśmy, że Twoja wytrwałość jest godna upamiętnienia.

—Tak? – Oderwał się od posiłku. – A co, dostanę nagrodę?

—W pewnym sensie – rzekłem tajemniczo. – Pomyśleliśmy, że w miejscach twych upadków w rowie zrobimy odlewy w kształcie

twojej pozycji lądowania. Taki pomnik wytrwałości polskiego emigranta. – Ha, ha. – Chyba się ucieszył. – To świetny pomysł. Ty na to wpadłeś?

—Tak, tylko jest jeden problem.

—Jaki? – zainteresował się.

—Masz jeszcze te białe spodnie? Bo będziemy musieli zrobić odlew, więc chciałbym, żebyś jeszcze raz rzucił się z motoraka do rowu. Rozumiesz, to musi być naturalnie wyglądający pomnik.

—Dobrze, a ile proponujesz za modeling?

—Dziesięć kilo ziemniaków i paczka filetów rybnych. Może być?

—Jedna? Trochę mało.

—Ale w środku są cztery filety.

—A, to co innego. To kiedy robimy odlew?

—A kiedy jedziesz do pracy? Może nie musiałbym Cię specjalnie fatygować.

—Ale ziemniaki płatne z góry.

—Dobrze.

—To jesteśmy umówieni.

Mijały kolejne dni. Poznawaliśmy masę nowych ludzi, ale tylko część z nich sprawdziła się w praniu. Na pewno mogę zaliczyć do tych osób Pawła. Zawsze jak jesteśmy w Częstochowie – spotykamy się, żeby przewrócić coś ze szkła. I wypić wszystko, co się rozleje.

—Hello, Tom. Jak się masz? – usłyszałem głos w telefonie. Rozpoznałem charakterystyczny mocny i pewny ton głosu. Dzwoni Paul Driver z Dunmore.

Jak zwykle w mojej branży, liczy się refleks i cwaniactwo. Kiedyś zauważyłem w Williamstown „dostawczaka” z firmowymi napisami. Tynkarz. Zadzwoń, czy nie potrzebuje czasami

pomocnika, bo mój kolega właśnie szuka pracy. Dobrze, że nie zapytał, który. Nie musiałem choć kłamać. Bo nawet ten kolega jeszcze nie wiedział, że jest w Irlandii od miesiąca. Nie wiedział też, że jest świetnym pomoc-nikiem tynkarza. Nie wiedział też, że jest moim dobrym kolegą. I nie wiedział wielu innych rzeczy. Bo pracownika szukałem dopiero, jak była „robota”. Bazę chętnych miałem z odpowiedzi na ogłoszenia w Polsce. Kiedy odpowiedział, że tak, przydałby mu się pomocnik, przejrzałem kandydatów.

Trafiło na Johnego Whisky, który nie wiedział jeszcze, że jest Johnem Whisky.

A nawet jeszcze nie wiedział, że pokocha Whisky i... Alicję.

Ale taki był początek mojej znajomości z Pauliem.

Johny zaaklimatyzował się już w Dunmore i poszedł własną ścieżką. A może bardziej, został na nią wepchnięty. Paul raczej nie dzwoni w jego sprawie.

Czyli szuka pracownika. Dobra nasza.

—Dobrze – odpowiedziałem.

—Tom, masz jakichś dobrych kamieniarzy? – W głowie włączył mi się „search”.

Mój mózg już wertował wszystkie CV. – Ale naprawdę dobrych.

—Tak, ale nie wiem, czy znaleźli pracę, czy nie.

Okazało się, że Paul ma do ustawienia ogrodzenie z kamienia. Zaproponował cenę od metra. Zadzwoiłem do dwóch kolesi, jeden z gór, drugi znad morza. Zbyszek i Stasiek. Byli już nawet kiedyś w Irlandii. Okładali kamieniem jakiś remontowany budynek. To było dla mnie potwierdzenie ich umiejętności. W trakcie rozmowy telefonicznej też sprawiali wrażenie normalnych.

Nie pomyślałem o tym, że żaden szanujący się psychiatra nie rozmawia ze swoim pacjentem przez telefon.

Ale kto by o tym w tym momencie pomyślał?

Powiedziałem im, jakiej stawki mogą się spodziewać, zacząłem wymieniać im koszty utrzymania.

—Dooobrze, my już byliśmy, to wiemy wszystko. Nie będziemy tracić na telefon (dziwne, bo to ja do nich dzwoniłem).

—Dobrze, to do zobaczenia.

Przyjechali.

Okazało się, że jeden jest z gór, a drugi to marynarz. Ja pochodzę z Częstochowy... cholera, otoczyli mnie!

Ustaliłem z nimi cenę za pierwszą robotę. Byli rozczarowani, mimo że przez telefon mieli podane stawki. Pewnie mieli nadzieję, że jak zobaczą, jakie chłopaki „malowane”, to zaraz im podwoję stawkę.

U poprzedniego gościa dostawali stawkę na godzinę. U mnie dostali kwotę od metra.

—Maaało, ale dobra. Zrobimy te robotę, żeby Ci pokazać, jak się robi z kamienia.

Potrafili. Bardzo dobrzy kamieniarze.

Ale po tym doświadczeniu w Irlandii ich oczekiwania były na kilkukrotnie zawyżonym poziomie.

Może i zarabiali po 20 euro, ale bardziej prawdopodobne, że mieli dużo mniej, a to tylko forma nacisku na mnie. Wytworzyli sobie obraz Irlandii, jako eldorado. Miejsce, gdzie to pracownik jest na górze łańcuch pokarmowego, a przedsiębiorca grzecznie do niego dzwoni i pyta, czy jaśniepan raczy przyjść dziś do pracy.

Już widziałem, że z nimi nie będzie łatwo.

Pierwszą pracę wykonali jak należy. Przy kolejnej pracy rozpoczęła się rozgrywka.

Domyślając się, że mogą z nimi być kłopoty, zmieniłem plan

i dałem im jeszcze jedno zadanie „na rozpoznanie”. Posłałem ich do Irlandczyka, który miał do zrobienia mały murek i schodki.

A Irlandczyk, do którego miałem ich posłać na stałe, dopytywał się coraz bardziej, gdzie Ci znakomici kamieniarze z Polski. Już podobno tydzień lecą samolotem.

—Co to za model samolotu, co lata bez lądowania tydzień?

—Zmienili rezerwację, ktoś jest chory. – Nie dodałem, że coraz bardziej podejrzewam, że obaj oni są chorzy, ale na przerost ambicji.

Jakoś Iryska ugłaskałem na parę dni.

Niestety, nie mogę ich wpuścić do gościa, bo coś tam nawywijają.

Muszę ich rzucić na ten murek i zobaczyć jak się zachowują.

Znów dostali cenę od metra, ja natomiast zostawiłem dla siebie 30%. Kupiłem im potrzebne narzędzia, dowoziłem ich do pracy. I tak dawałem im więcej, niż powinienem, biorąc pod uwagę rachunek ekonomiczny. Ale w porządku, dorzucali się do mieszkania, więc coś dla mnie zostawało w bilansie.

W domu nie spędzaliśmy czasu wspólnie. Zamykali się w swoim pokoju i spiskowali.

W środę po pracy wracałem wykończony do domu. Odebrałem jeszcze ich po drodze i dojechaliśmy do Kilkeevan. Przez całą drogę nie odezwali się słowem. Przynajmniej do mnie. Siedzieli obaj z tyłu i coś szeptali.

Podjechaliśmy pod dom.

—Jutro Was zawiozę pół godziny wcześniej, bo jeszcze mam coś do załatwienia – oznajmiłem, nie wdając się w szczegóły. – To jutro lub po jutrze powinniście skończyć te schodki? – zapytałem, badając głównie ich ogólne samopoczucie i czy jeszcze potrafią mówić „dzień dobry i do widzenia”.

—Po jutrze, jutro nie damy rady – powiedział trochę zbyt ulegle Stasiek. Weszli do domu nie witając się z nikim, przesnuli się przez korytarz i już słyszałem odgłos klucza przekręcanego w zamku. Pobiegali trochę po łazience, Stasiek przemknął jak halny... nie, marynarz to raczej jak sztorm, przez kuchnię, porwał konsumpcję i tyle ich widzieliśmy.

Ten Stasiek to musi być giermkim rycerza, Zbyszka z Zadupia, herbu „zakuty łeb”. Nie dość, że jest jego pomocnikiem na budowie, to jeszcze i w domu robi za „żonę”.

Ciekawe, czy oprócz prania skarpetek w zakres kontraktu wchodzi też seks, czy tylko lizanie d***.

Trochę się zagalopowałem w moich rozważaniach, ale zaczynają działać mi na nerwy.

Właśnie skończyliśmy jeść obiad z Alicją. Dominika, jak zwykle porwała talerz i pobiegła jeść w sieci. Czyli serfując w necie.

—To co, kiciuś – powiedziałem do Ali. – Idziemy pojeść trochę literek na deser?

– Alicja doskonale wie, o czym mówię. Chodzi o czytanie w łóżku. To gazetkę, to parę rozdziałów książki. Zależnie od tego, co mamy w menu.

—Dobrze. Idź, ja zaraz przyjdę, tylko schowam to, co zostało. Nie chcę, żeby mi sapali na mój obiad.

Ruszyłem w kierunku schodów. Gdy już byłem na piętrze, zobaczyłem, że Dominika macha na mnie ręką. Już miałem powiedzieć, żeby nie robiła głupich min, bo tak jej zostanie, ale pokazała przytkniętym do ust palcem wskazującym, żebym był cicho. Teraz wskazała tym samym palcem na pokój obok, czyli lokum „duetu z kamienia”. Wtedy usłyszałem, że o czymś rozmawiają.

Dobra. Wszystko jasne. Dominika ich podsłuchuje. Pokiwałem z dezaprobatą głową i zacząłem otwierać drzwi do swojego pokoju. Jednak w ostatniej chwili, zamiast wejść do pokoju, zatrzymałem się. Odczekałem parę sekund i zamknąłem drzwi, pozostając na zewnątrz. Dominika wie, że za podsłuchiwanie dostałaby reprimendę, mimo to zawołała mnie. Czyli coś ważnego.

Dobrze, zaryzykuję obciach. Cichutko zakradłem się do jej pokoju. Domi jeszcze raz pokazała na ich pokój. Zbliżyłem ucho do ściany.

—Nie... Zaraz Pani wszystko opowiem. – Rozpoznałem po głosie, że to Zbyszek rozmawia z kimś przez telefon.

—On załatwia robotę na czarno w Irlandii i bierze za to kupę kasy... – Pauza.

– Tak... – Pauza.

—Jak by Pani redaktor się tym zainteresowała, to my opowiemy wszystko. – Pauza. – Dobrze, to jak by co, to zadzwonimy do Pani w sobotę... – Pauza. – To do widzenia.

Dominika spojrzała na mnie wystraszona. Ja sam byłem zaskoczony. Co te głąby kombinują?

Chwilowo nie miałem pomysłu. Jeszcze chwilę odczekałem, czy czasem nie zachce im się teraz spacerować po domu. Cisza. Usłyszałem skrzypienie łóżka. Pewnie się położyli. Ok. Wyszedłem, pokazując tylko Dominice, że nie ma się czym martwić, choć sam nie wiedziałem jeszcze, co kombinują.

Wykorzystałem sytuację, żeby wślizgnąć się do naszego pokoju, kiedy zoba czyłem, że po schodach na górę wchodzi Alicja. Ona zdziwiła się tak samo jak ja wcześniej, widząc mnie wychodzącego ukradkiem z pokoju Dominiki z palcem na ustach. Weszliśmy do pokoju i szeptem opowiedziałem jej, co słyszeliśmy.

—Coś mi tu nie pasuje – powiedziała po chwili zastanowienia. – Przecież wiedzą, że tu przez te ściany, to słychać nawet jak się strony w gazecie przewraca... A oni nagle biorą się za takie dyskusje. Dla mnie, to oni chcą cię nastraszyć, żebyś im więcej zapłacił. Zresztą ja Ci mówiłam, że to nie życie, ciągle z jakimiś oszołomami. Powinniśmy sami mieszkać.

—Nooo, chyba masz rację. Jak chcieliby coś ukryć, to mogli sobie dzwonić w czasie pracy? Przecież byli sami – powiedziałem, starając się rozgryźć sytuację.

– Zresztą oni nawet nie wiedzą, że ja to akurat robię całkowicie legalnie. Na firmę. A jeśli chodzi o kasę za pracę, to nie jestem taki głupi, żeby coś mi udowodnili. Skończą ten murek i wypad. – Pokręciłem głową, nie wierząc w to, co się dzieje.

– Co za k*** nienasycone nasienie. Przecież wiedzieli przed przyjazdem, ile mogą zarobić. Przyjeżdża taka „para mieszana” i myśli, że dorabiam sobie opowiadając bajki przez telefon.

—Dobrze, to jest Twoja sprawa, jak to sobie z nimi załatwisz. Nie odpowiedziałeś mi na moje pytanie. Kiedy będziemy sami mieszkać? Paweł, czy Szymon, są w porządku, ale jak ściągniesz tu takich oszołomów, to nie wiadomo, do czego są zdolni.

—Wiem, kiciuś – odparłem, zasmucony trochę. – Ale wiesz, jak było w Polsce przed przyjazdem? Ja to cały czas pamiętam. Staram się zrobić, co mogę, żeby już więcej biedy nie zaznać. I problemów z kasą, dzwoniącej Alfredy. Wiem, że nie wszystko to jest legalne, ale powiedz, czy Ci ludzie, którzy nam w Polsce za towar nie płacili, lub znikali z towarem, byli w porządku? Jeszcze niedawno mieliśmy takiego doła. Teraz możemy się trochę odkuć i zamierzam wykorzystać tę szansę, bo nie wiadomo jak długo ona potrwa. – Złapałem ją za dłoń. – Już nie raz w Polsce zdawałem sobie sprawę

z jakiejś szansy dopiero, jak przechodziła mi koło nosa. Tutaj, jak widzisz, jak ktoś jest normalny, to jest mi wdzięczny za to wszystko, co mu daję. Przecież załatwienie pracy, to jest tylko mały pikuś na początek. Dostają ode mnie dużo więcej, niż im mówię przed przyjazdem.

—Wiem, Tomek. – Pogłaskała mnie po policzku. – Ale ja też chciałabym trochę prywatności.

—Jedno mogę Ci już obiecać. Na pewno nie zaproponuję pracy nikomu z ogłoszenia. Większość z nich to jakieś cudaki. A tych koleśi jutro lub pojutrze wyprostuję. Niech tylko skończą ten murek.

—Ja tego nie rozumiem. Czy normalni ludzie nie szukają pracy za granicą? Albo przyjeżdża sympatyczny alkoholik, jak Johny Łyski, albo standardowy alkoholik, jak Michał Tosiak. Następny koleś, to Felix, warszawski cwaniaczek. – Pokręciłem głową, wznosząc wzrok do góry. – I najlepszy: Łysy, bajkopisarz o niepewnej przeszłości.

—Faktycznie, same czubki. – Potwierdziła Alicja.- Ale Ty cały czas nie słuchasz, co ja do Ciebie mówię! Ja już nie chcę mieszkać w hostelu. Ja pracuję, Ty pracujesz. Chyba już nas stać na wynajęcie mieszkania tylko dla nas. Ja rozumiem, że jak ktoś przyjeżdża tutaj tylko na zarobek, a rodzina siedzi w Polsce, to chcą mieszkać jak najtaniej. Ale my jesteśmy tu razem. Wszyscy słyszą nasze kłótnie. Ja potrzebuję trochę spokoju, ciszy. I chcę bez stresu chodzić po mieszkaniu. Teraz nie wiem, jak wychodzę z pokoju, kogoś spotkam na dole. A niektórzy z nich nie są życzliwie do Ciebie nastawieni.

Spojrzałem na nią. Ma rację. Na dłuższą metę tak się nie da. Ale jak zaczniemy sami płacić za cały dom i wszystkie rachunki, to

nam umknie dużo dochodu. Z drugiej strony, fajnie byłoby móc pobiegać nago po domu, goniąc swojego „króliczka”...

—Kiciuś, tak jak Ci obiecałem. Koniec ze ściąganiem oszołomów z księżyca. Wiesz przecież, dlaczego oni tu mieszkają. Lepiej mieć nowych na oku, żeby nie nawywijali. Ale teraz, jeśli już, to tylko ludzie z polecenia.

—Uparty jesteś, jak osioł. Jakbyś nie wiedział, że przez ten „dworzec” w domu jest połowa naszych awantur. Chcesz, to nie ma sprawy. Przestaną przygryzać język. Opierniczę Cię przy nich, jak mnie wkurzysz. – Odwróciła się do mnie plecami i zaczęła czytać książkę.

Faktycznie, znów ma rację. Zamiast zająć się teraz Alicją, pogodzić się, dojść do kompromisu -zaczynam myśleć o dwóch kamieniarzach. Muszę się ich pozbyć do końca tygodnia. A co gorsza, kogoś znaleźć i posłać do Irlandczyka, dla którego mieli pracować. Oni już są dla mnie spaleni.

Zszedłem do salonu. Za chwilę przybiegła Dominika.

—No i co? – spytała zdenerwowana. Jeszcze ona. Takie skurczybyki wciągają dzieci w swoje rozgrywki.

—Nie martw się, Dominika. Oni tylko taką ściemę walą, żeby więcej kasy wycisnąć. W niedzielę spadają. Tylko nic im nie mów, bo jeszcze o tym nie wiedzą.

—Noo, to dobrze, bo jeszcze telewizja tu potrzebna.

—Domi, nie wierz we wszystko, co ludzie mówią. Ludzie często mają interes w tym, żeby kłamać.

—Dooobra, to idę na górę, cześć.

—Cześć.

Usiadłem w salonie. Rafał jeszcze w pracy. Paweł na drugiej zmianie. Jest chwila ciszy.

Włączyłem TV. „Jak rozpętałem II Wojnę Światową”.

No właśnie. Ja, jak Franek Dolas. Chciałem dobrze, a wychodzi jak zwykle.

Może choć koniec tej historii będzie radosny.

Bo Polak, to taka nacja, co jak może coś popsuć, to popsuje. Żeby drugi nie miał. Lub żeby potem mieć co naprawiać. Dzięki temu permanentnemu psuciu, żeby naprawić, każdy Polak może być stolarzem, krawcem, zna się na futbolu, auto prowadzi lepiej niż Nikki Lauda, a tak w ogóle, to powinien zostać prezydentem.

Bo tylko wtedy mógłby naprawić coś godnego jego trudu, czyli całą Polskę.

A dla tych troszkę bardziej ambitnych – Europa i Świat.

Z wrodzonej skromności Polak nie myśli jeszcze o naprawianiu innych planet. Natomiast jestem pewien, że każdy Polak widzi luki i wady wszechświata. I jak tylko dostałby odpowiedni śrubokręt, to tu przykręci, tam poluzuje i będzie wszechświat chodził, jak szwajcarski zegarek... z polskimi odciskami palców. Kradziony z ręki niemieckiego turysty. Bo coraz mniej jest innych szwajcarskich zegarków.

Zamykają mi się powieki. Dobrze, że nie na wieki. Ale ogarnia mnie coraz fajniejsza błogość. Widzę tunel. Na końcu światło. Idę i wciąż nie mogę dojść do niego, zaczynam biec. Światło wciąż się oddala. Biegnę coraz szybciej. Ale jak zwykle w takich sytuacjach, koniec tunelu jeszcze bardziej się oddala. Nigdy tam nie dotrę. Przynajmniej w ten sposób. Zatrzymałem się. Światło już się nie zmniejsza. Zrobiłem krok do tyłu. Drugi. Zaczynam biec do tyłu. Światło jakby się przybliżało. To fantastyczne, umiem biec sprintem do tyłu... Już widzę koniec tunelu.

Uaaaa, wypadłem. Dookoła plaża. Upał. Jest pusto. Tylko z lewej

strony widzę dwie postacie.

Otrzepuję się z piasku i idę w ich stronę. To dwóch chłopców bawi się w budowanie z piasku.

—Co robicie, chłopcy?

Wtedy się odwrócili. To straszne. Może to i chłopcy, ale mają twarze tych nieszczęsnych kamieniarzy... i nie wiem, czy się uśmiechają, czy śmieją.

—Bo taki Pan nam powiedział, że jak zbudujemy ten domek, to dostaniemy dużo pienionsków na luzne takie napoje.

—A gdzie macie kamienie? – zapytałem złośliwie, bo już mnie wkurzają.

—My z ziarenek piasku. Jesteśmy mali, to budujemy mały domek.

—Ha, ha, ha, to powodzenia. Tylko się nie przeforsujcie z tymi kamieniami – powiedziałem złośliwie.

Już miałem iść sobie dalej, bo wcale nie miałem ochoty na ich towarzystwo, kiedy mały Zbysio złapał mnie za rękę tak, że nie mogłem się ruszyć. Jakby mnie sparaliżowało.

—Ale Ty nie mozes iść do domu, dopóki nie zlobis do nasego domku mebelków.

—To jakieś żarty? – zapytałem wystraszony. – Musiałbym chyba z jednej zapalki cały segment wystrugać.

—A to jus tfuj problem, koleś. – Wtedy nagle zobaczyłem, że jestem przykuty do plaży góralską ciupagą. Zygmus i Stasio natomiast złapali się za rączki i w podskokach pobiegli w stronę wody, śpiewając;

„Może przejdzieeeeemy, wodą popijeeeemy. Kuchnia polooowa diabli wiedzą gdzie!”.

Wtedy się obudziłem. Właśnie leciała końcowa piosenka filmu.

Ufff.

Nie cierpię tych cholernych kamieniarzy.

Tego dnia kamieniarze już nie wychylili nosa z pokoju. Podejrzewam, że nawet mieli przygotowane wiaderko awaryjne w pokoju, gdyby chcieli skorzystać z toalety.

Alicja i ja, też nie poruszaliśmy już tego tematu wieczorem. Ale ja cały czas o tym myślałem. Co siedzi w głowie takich ludzi? Przez telefon mieli podane wszystkie warunki. Nie mogą zarzucić mi żadnego odstępstwa od naszej umowy. Co nimi kieruje?

Zawiść? Bo sami nie potrafili sobie zorganizować, załatwić pracy?

Zazdrość? Bo zaraz po przyjeździe, zamiast zająć się swoim portfelem, prowadzą ksiązkę rachunkową moich „przychodów”?

To takie typowo polskie. Życzyć śmierci sąsiadowi, któremu lepiej się powodzi, albo tylko kupić sobie ładniejszą skrzynkę na listy.

Niestety, w tej chwili nie mogę obiecać, że to ostatni oszołom, sprowadzony z ogłoszenia. W tym problem. Coraz bardziej jestem rozczarowany rodakami, ale ciągle pojawiają się oferty pracy. I to nawet bez mojej wielkiej ingerencji. To sami Irlandczycy przekazują sobie moje namiary i dzwonią, czy nie znam kogoś, kto... A kasa płynie. Milionerem nie zostanę, ale po siedmiu latach chudych w Polsce, doceniam każdą chwilę „za pan brat” z płynnością finansową.

Jeszcze trochę.

A co z tym duetem? Dokończą ten murek i wypad. Nie chcę od nich kasy, ale nic więcej im nie załatwię. Teraz muszę na szybko szukać kamieniarzy na ich miejsce. Irlandczyk wydzwaniał już parę razy.

Poszedłem spać z podjętą decyzją. Po skończonej pracy dostają tydzień na wyprowadzkę, lub powrót do Polski.

No to sobota. Kamieniarze dokończyli murek. Podjechałem po nich. Jadąc do domu, nie odzywaliśmy się do siebie. Widziałem, że cały czas obserwują mnie, czekają co zrobię. Ale ja tym bardziej nie miałem ochoty z nimi rozmawiać.

—Jak odpoczniecie chwilę, to zejździe na dół. Dzisiaj się rozliczamy. – To jedyne, co powiedziałem.

Przejechaliśmy przez miasteczko. Zatrzymałem auto na podjeździe. Baca z marynarzem wzięli swoje rzeczy z siedzenia i bez słowa zniknęli w swoim pokoju. Pewnie zwołali posiedzenie. Burza bezmózgów.

Wszedłem do kuchni i zjadłem obiad. Alicja w pracy. Dominika siedzi w swoim pokoju i serfuje w sieci. Minęła godzina, kiedy w końcu postanowili zejść razem na dół. Nie sprawdzałem, czy trzymali się za rączki.

—No to jak się liczymy? – rozpoczął lanie wody marynarz.

—Tak, jak było ustalone przed pracą – odpowiedziałem spokojnie. – Nie po to się umawiam przed pracą, żeby teraz rozpoczynać jakieś jałowe dyskusje – dodałem zdecydowanie.

—Ale to jest mało – włączył się góral. – Jak pracowaliśmy dwa lata temu przy kamieniu, to mieliśmy 20 euro na godzinę. I nikt nas nie gonił.

—To dlaczego tam nie zostaliście? – zapytałem. – Tutaj daję Wam umówioną kwotę od całości. Metry sobie mierzyliście sami, kamień widzieliście. Nic więcej Wam nie zaproponuję. To samo mówiłem Wam przez telefon. Czego jeszcze oczekujecie? Że Wam dam podwójną stawkę, bo macie do siebie daleko? – Nawiązałem do ich adresów w Polsce. – Przecież nie kazałem Wam szukać znajomości na drugim końcu. – Nie byłbym sobą, jakbym im nie

dołożył parę słów od siebie. – Pewnie wszyscy w okolicy mieli Was dosyć.

Góral, jak to góral, już zaczynał się zbierać do bójki, ale powstrzymał go marynarz i może trochę, mój ironiczny uśmiech.

—No, porozmawiajmy. – Starał się jeszcze coś wywalczyć marynarz, co to w nie jednym porcie zostawił ślad. Swoją kupę...

—Dobrze zrobiliśmy naszą robotę?

—Tak – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

—No to chyba nam się należy trochę lepsza kasa. Dorzuć jeszcze z połowę. Przecież wiem, że możesz.

—Oczywiście, pracę wykonaliście dobrze. Tylko patrzycie na to ze złej strony. Te pieniądze nie należałyby się Wam, jakbyście coś schrzanili. To nie PRL. Tu się płaci za czyny, a nie samo istnienie. Jak myślicie, ile kontraktów bym załatwił, jak robota byłaby kiepskiej jakości?

—Dobra, dobra. – Teraz wtrącił się góral bez ciupagi. – Ja tam robotę zrobiłem jak należy, to i kasy mi się należy więcej.

—A dlaczego? – zapytałem, bo dyskusja z nimi, to jak rozmowa ze ścianą.

—Bo tak! – odparł i założył rękę na rękę, prezentując swoją typowo góralską postawę.

Mnie za to ręce opadły.

—No to zadzwońcie sobie do tej pani redaktor, niech ona rozstrzygnie nasz spór.- Spojrzeli na siebie zdziwieni. Po chwili jednak odzyskali głos.

—No, tak trzeba będzie zrobić – powiedział „bosman bez majtków”. Nie bardzo wiedział, jak zaatakować, zatem dodał:

—Jak tak, to będziemy musieli do niej zadzwonić. – Ale w oczach było widać zmieszanie. Nie bardzo wiedział, jak rozegrać ten

pomysł z telewizją. Pewnie pokrzyżowałem im plany, wyskakując z tym pierwszy i przyprawiając to sarkazmem w głosie.

—To świetnie, możemy to zrobić teraz? Zapytajmy, kiedy przyjedzie, bo nie chciałbym akurat być na zakupach, wydając waszą krwawicę.

—Ale... – Przez chwilę się zastanawiał, wymieniając, jak mu się wydawało, niewidoczne spojrzenia z Ustki do Zakopanego. – Ona teraz jest na urlopie. Wraca za parę dni. – Odetchnął, myśląc, że rozegrał sprawę, jak super agent 007. Ale wyszło mu to, co najwyżej, jak agentowi „jedna siódma”.

—To mogę chociaż zobaczyć rejestr wybieranych numerów w środę o 19.12? – Teraz, to oczy mieli tak duże, że miałem ochotę podstawić im talerzyki, żeby im gały nie upadły na podłogę.

Zapadła krępująca cisza. Krępująca ich, bo mnie nie miała powodów krępować.

—Prawda jest taka, że prowadzicie ze mną grę, starając się naciągnąć mnie na więcej kasy. Umowa nic dla was nie znaczy. A ja nie lubię ludzi bez honoru. A najbardziej mnie dziwi góral, którego słowo nic nie znaczy. Ty jesteś góral, czy mama Cię na górze urodziła?

Zbyszek, góral, zrobił się czerwony ze złości. Uniósł się i powiedział, patrząc mi w oczy;

—To jak tyś taki cwany, to ja Ci powiem, co zrobimy. – Wymienił spojrzenie ze Staśkiem. – Albo nam dasz tak jak chcemy, jeszcze połowę więcej, albo my zadzwonimy do urzędu skarbowego. – Znów sobie przysiadł, zadowolony z tego, co wymyślili. – I wtedy będziesz inaczej śpiewał.

Wyprostował się na fotelu z miną zwycięzcy. A jednak górale są uparci. Zapadła cisza. Oni patrzyli na mnie, czekając tylko na

potwierdzenie, że się zgodzę, a ja patrzyłem na nich, ciesząc się razem z nimi ich chwilą triumfu.

Bo wiedziałem, że nie potrwa on długo.

No właśnie. Wystarczy. Sięgnąłem do szuflady. Wyjąłem z niej kartkę papieru. Udawałem, że ją czytam.

—No dobrze. Przyparliście mnie do muru. – I znów przez chwilę obserwowałem, jak ich oczy śmieją się z radości.

—Proszę, to jest dla Was... – Podałem im trzymaną kartkę.

Stasiek przyjął ją, ale widząc, że ja zaczynam się uśmiechać, zapytał, nie czytając;

—A co to jest?

—To jest dowód rejestracji firmy. – Teraz znów oczy zrobiły im się duże.

—Już przerabiałem takich jak Wy, cwaniaczków. Dlatego takie prace są rozliczane w pełni. – Teraz sięgnąłem do kieszeni.

– A tutaj macie dowód wypłaty. Podpiszecie, to zgodnie z umową otrzymacie wynagrodzenie. Jeśli będziecie się stawiać, to tu macie drugi dokument: prośba o podanie numeru konta, dla celów przelania wynagrodzenia. Oczywiście, w związku z tym, że nasza współpraca nie układa się dobrze, proszę Was o wyprowadzenie się w ciągu tygodnia. Czynsz odliczam sobie od waszej wypłaty.

– No nieee, Tomek – zaczął zmieszany Stasiek. – To nie tak. Po prostu, chcieliśmy się potargować. Jest dobrze, niech będzie tak, jak jest. Przy następnej robocie dasz nam lepszą stawkę.

– Nie, już przegraliście swoją szansę. A faktycznie, postawiliście mnie pod murem, bo od dwóch tygodni oszukuję Irlandczyka, że kamieniarze do niego jadą. A on robi duże osiedle, wszystkie elewacje w kamieniu – dodałem, żeby wiedzieli, co tracą. Taka bezpłatna lekcja.

W tej sytuacji mieli tylko dwa wyjścia: nasłać na mnie ufoludki z gwiazdozbioru Oriona, albo podpisać dokumenty, przyjmując gotówkę i iść do pokoju, przespać się z tym, co mają w kieszeni.

I tak właśnie zrobili.

Przez parę dni wcale ich nie widziałem. Wiedziałem tylko, że są, bo czasem słyszałem, jak otwierają zamek i nawet, kiedy idą do toalety, zamykają pokój na klucz.

Po chwili, jak to w irlandzkim budownictwie, słychać w całym domu dźwięk naciskanej spłuczki i szum płynącej wody i nie tylko. Dodatkowo, można bez GPS-a dokładnie prześledzić całą trasę pędzącego strumyka.

W niedzielę wieczorem miałem jeszcze jeden dowód ich istnienia. Kiedy wszedłem do kuchni, zrobić sobie kanapkę, po chwili wszedł Stasiek. Podkulony ogon, wzrok, próbujący coś wyczytać z mojej twarzy. Pewnie liczyli jeszcze, że w poniedziałek jednak ich tam pošlę. Naiwni.

– I co? – zapytał, niby od niechcienia. A napięty był, jak przed skokiem na drzewo. I to mu właśnie chciałem zaproponować, ale ugryzłem się w język.

—Niedziela. – Do takiej odpowiedzi się ograniczyłem.

—Czyli nic? – Chciał jeszcze potwierdzenia.

—Tak, nic – odparłem, żeby jednak zrozumiał. – Kiedy wyjeżdżacie?

—Hmmm, może we wtorek – odparł i ulotnił się, nie chcąc już rozmawiać.

I tak sobie jeszcze przesiedzieli jeden dzień. Ale skoro mówili o wtorku, to pewnie znikną w poniedziałek. Dlatego nie zdziwiłem się, kiedy Szymon zadzwonił do mnie i powiedział, że „ukamienowani” robią zamieszanie, jakby się pakowali. Na

przerwie obiadowej w pracy wsiadłem do auta i przyjechałem, zobaczyć, co jest grane.

Kiedy wjechałem na osiedle, zobaczyłem, jak Stasiek wychodzi z domu z dwoma reklamówkami, wypełnionymi dobytkiem.

Tylko, z tego co pamiętam, kiedy przyjeżdżali, mieli jedynie po saszetce i małej torbie turystycznej.

Patrzta no, jak ludzie szybko się dorabiają. A żeby było weselej, zaraz za nim wyszedł Zbysio spod samiuśkich Tater. Też z dwoma reklamówkami.

No proszę.

Pewnie potomek Janosika w linii prostej „obrobił” bogatych i chce dawać biednym. Czyli sobie i Stasiowi. Jak na potwierdzenie tych słów, jedna z reklamówek rozerwała się pod wpływem ciężaru dobytku.

A co w reklamówce?

O, co za niespodzianka! Parę naszych garnków, zestaw sztućców, naszych. Oraz dla podniesienia wagi dobytku, ręczna maszynka do mięsa. Nasza.

—Cześć, chłopcy! – Zbysio spojrzał ze złością na Staśka, a następnie na mnie. – Co to, organizujecie podwieczorek dla bezdomnych na mieście? Mogliście mówić. Sam chętnie coś bym Wam pożyczył. – Podeszedłem do nich i stanąłem, zagradzając im drogę.

—A teraz, skur***, odłóżć wszystko, co ukradliście na miejsce, bo zadzwonię na Gardę, przyjedzie Murgrabia i powiesi was za ziobro.

Więcej ich nie widziałem.

Pewnie krążą po lasach i okradają owce z wełny.

Rozdział 22

Nadciąga tajfun. Tomek, po co przywiozłeś ten koks? Maj nejm is Bład. Artur Bład. A myślałem, że ściągnąłem tu już wszystkich czubków. To pewnie ostatni. Jak przeżyć sztorm na szczudłach? Z czego robią kanapki w Polsce?

*

Sobota. Wychodzę z domu i wsiadam do samochodu. Właśnie dzwonił do mnie kolejny przyjezdny. Fenomenalny tynkarz. Tynkowanie nie ma dla niego tajemnic. Przez telefon dwa razy pytałem, czy zdaje sobie sprawę, że tutaj tynkuje się inaczej.

—Tak, ja WIEM, pracowałem w Hiszpanii, tam też się tynkuje inaczej.

Dobrze, sprawia wrażenie zorientowanego.

To przyjechał.

Zadzwoił, że już wysiadł w Castlerea na przystanku autobusowym.

—Na pewno to jest Castlerea? – zapytałem po przejściach z Johnym Whisky.

—Tak. Castlerea. Za ile będziesz?

—Za 20 euro – zażartowałem, ale zaraz sobie uświadomiłem, że on mnie nie zna i pewnie nie zrozumie mojego żartu. – Żartuję. Za pięć minut. Proszę zaczekać. Jak Pan wygląda?

—Ogolony na zero, dobrze zbudowany, w ogrodniczkach dżinsowych. Z jedną torbą.

—OK. – W ogrodniczkach? Ciekawe, czy zabrał też grabki i łopatkę.

No to jadę. Przejeżdżam przez ulicę przy skwerze. Okno uchylone, słońce świeci, mocno grzeje. Ktoś stoi na przystanku. Ale to nie ogrodnik, tylko skin jakiś. Napakowany jak balon. I te

wrzody pod pachami. To takie charakterystyczne u marnych kulturystów z napompowanym „ego”. Ale cóż, może się mylę. Za wcześnie na oceny. Poznajmy się.

—Poznajmy się – powiedziałem, kiedy już podszedł. Chwilę wcześniej zmachałem na niego, zjeżdżając na parking po drugiej stronie ulicy. Zobaczył mnie jeszcze wcześniej, niż ja jego, więc od razu domyślił się, że to jego transport. – Tomek. – Wyciągnąłem rękę na powitanie.

—Artur. – Ścisnął mi dłoń, żeby zmiażdżyć. Dobrze, może nie po to, ale dosyć mocno. To taki sygnał. Wiem, że jestem trochę na Twojej łasce, ale pilnuj się! Ja też mam argumenty.

—Zapakuj sobie bagaż do tyłu. – Ruszyłem w stronę bagażnika, żeby go otworzyć.

—Nieee – powiedział, równocześnie obejmując torbę, żebym mu jej nie wyrwał. Musi tam mieć jakieś skarby w środku. Ale jakie? Może flaszkę? Spojrzałem jeszcze raz na niego. Łysy, napakowany. To chyba raczej nie flaszka. Prędszej koks.

Uzależniony, to boi się stracić. Dobrze. Usiadł z torbą na kolanach, na tylnym siedzeniu. Jedziemy.

—Jak podróż? – zacząłem rozmowę, żeby rozluźnić nowego.

—Doobrze. Dużo podróżuję, to jestem przyzwyczajony – mówił, bacznie się rozglądając. Pewnie chciał zapamiętać drogę, jakbym miał go wywieźć w pole i porzucić. Nie dziwię się. Sam bacznie bym się rozglądał. – Daleko jedziemy? – Spojrzał w końcu na mnie.

—Nie. Dwa zakręty i jesteśmy – powiedziałem, bo właśnie minęliśmy pierwszy z trzech zakrętów. Ruch na drodze był niewielki. Jak to w sobotnie przedpołudnie. Przed drugim zakrętem, za kościołem, przepuściłem długi sznur aut. No tak, 10:30. Kończy się przerwa śniadaniowa. Dobrze, że to nie jest dzień

powszedni. Wówczas trudno byłoby się przedostać przez miasteczko.

Najgorsze jest to, że to nie ilość aut blokuje główne skrzyżowanie w Castlereaa. To vany, busy i auta prywatne młodych Irlandczyków, którzy po przerwie robią jeszcze pięć kółek, żeby widzieć, co dzieje się w mieście. Liczą, że przypadkiem będzie tu przechodzić Angelina Jolie. W dodatku bez Brada Pitta! I to wygłodniała, licząca na to, że ktoś postawi jej burgera za sex.

Tymczasem wjechaliśmy już na nasze osiedle. Artur puścił klamkę drzwi. Już wie, że raczej nie wywiozę go do lasu, żeby oskubać go z kanapek. Bo co innego może mieć ktoś jadący na emigrację?

Przejechałem przez rondo.

—Dużo Was tam mieszka? – zapytał Artur, a ja widzę, że cały czas bada sytuację. Wtedy myślałem, że po prostu jest niepewny sytuacji. Przecież wielu Polaków jest oszukiwanych za granicą. A słyszy się o tym dużo. Później okazało się, że raczej szuka okazji. Do czego? No, przecież jeszcze nie wiem. Dopiero z nim jadę.

—Pod numerem 12 około 10 osób. My natomiast mieszkamy parę domów dalej. —Czyli ja gdzie będę mieszkał?

—Pod 12. Zaraz Cię przedstawię domownikom. Większość z nich będzie w domu.

Właśnie podjechaliśmy. Zaparkowałem na podjeździe, żeby nie musiał dźwigać torby.

—Weź sobie torbę, wejdziemy tylnymi drzwiami.

Przeszliśmy przez furtkę, okrążyliśmy dom i weszliśmy drzwiami od strony kuchni.

—Witam. – Zobaczyłem Janka, grzebiącego w garnku. Gotuje dla siebie, ale także dla Ryska. Synka jego ukochanego. Rysiek zajęty

jest opróżnianiem puszki z piwem. Przy kuchennym stole siedzi Patryk i Lutek. Kończą pochłanianie obiadu. —Witam Pana kierownika – odpowiedział uśmiechnięty, jak zwykle Janek.

—Cześć, Janek – rzuciłem odruchowo.

—Muemmuemeuem – odpowiedziała przeżuwająca reszta domowników.

—To jest Artur. Wasz nowy kolega. – Przedstawiłem Artura obecnym.

—Patryk.

—Artur.

—Lutek.

—Artur.

—A ja jestem Janek. Skąd jesteś? – zapytał z nożem w ręce, bo właśnie kroił mięso na kotlety. Artur spojrzał najpierw na nóż, a następnie na Janka. Janek odłożył nóż i wyciągnął dłoń na powitanie.

—Ze Szczecinka.

—Ze Szczecina? Mam tam znajomego z wojska – zaczął, jak zwykle, jakąś opowieść Janek. Ale przerwałem mu brutalnie, żeby nie zamęczył gościa po podróży swą historią.

—Ze Szczecinka. To jest taki mniejszy Szczecin, ale zupełnie gdzie indziej.

—Ha, ha, ha – roześmiali się wszyscy oprócz Łysego i Janka.

—W Szczecinku masz stryja ze strony ciotki – zażartowałem, a teraz roześmiała się cała trójka, bez Janka. Zaciekawiony hałasem, albo po nowe piwko, przyszedł Rysiek.

—Cześć – powiedział. – Skąd jesteś? – Cholera, chyba odziedziczył po tacie gen wścibskości.

—Z tego miasteczka, co tam macie stryja ze strony ciotki – rzucił

Lutek, który też lubi mówić dużo. Ale nim nie kieruje wścibskość, tylko potrzeba posiadania jednego lub więcej słuchaczy. W miarę możliwości – rodzaju żeńskiego. Teraz, niestety, musiał zadowolić się tym, co mu wpadło w ręce, czyli nami. Tak czy inaczej, roześmialiśmy się wszyscy, tym razem prócz nieświadomionego Ryśka.

—A skąd znacie stryja Franka? – zapytał zdziwiony Rysiek. A patrząc na Artura powiedział:

—To Ty jesteś ze Szczecinka? – Teraz to my zgłupieliśmy. Co za traf. Spojrzeliśmy na Janka. Janek też miał minę, jakby zobaczył UFO.

—Jakiego Franka? – Spojrzał na syna. Ma sklerozę, albo coś nie gra w tej historii.

—No co Ty, Jasiek. – Tak mówił zawsze na tatę. – Franka nie pamiętasz? – Ale sprawa się rypła, jak zobaczyliśmy, że stara się mrugać do Janka okiem teoretycznie mniej widocznym z naszej strony.

Jasiek tylko wzruszył ramionami i nic nie powiedział. W jego wieku tryby muszą pracować już trochę wolniej. A może to nie to? Janka trybiki raczej zawsze pracowały troszkę wolniej.

—Aaaaa, ha, ha! Dobrze. Zrobiłeś nas „w Karolka”. Już Ci uwierzyłem – powiedziałem w końcu, bo już wszystko było jasne. – A skąd wiedziałeś, że Artur jest ze Szczecinka?

—Jak szedłem z salonu, to słyszałem Was. – Sięgnął do lodówki po piwko. Psssst! Usłyszeliśmy ulubiony odgłos uchodzących gazów. Innego odgłosu uchodzących gazów nie tolerujemy. Nawet, jeśli to nasze gazy.

—Dobrze, wracamy do meritum. – Wróciłem do sedna.

—Gdzie wracacie? Dopiero, co przyjechałeś! – powiedział Jasin. –

Napij się kawy, albo czegoś innego, a nie tylko jeździsz ciągle.

—Janek, meritum to nie jest stolica Trynidadu. To znaczy, że wracamy do celu naszego tu przybycia.

—Czyli że jak tu przyjeżdżasz, to tu jest meritum? – draży Janek.

—Jaaasiek, zamknij się – powiedział mimo wszystko z czułością Darek. – Ośmieszasz się tylko. Weź sobie encyklopedię jak czegoś nie rozumiesz.

—Wstyd to kraść – skontrował Janek. – A ja, jak czegoś nie wiem, to pytam. A Ty, jak myślisz? Skąd się wzięłeś?

—Bo jak szedłeś do pracy, to listonosz poleczone nosił! – rzucił Lutek i znów wszyscy buchnęli śmiechem.

—Ty, Lutek tak nie cwaniakuj, bo ten listonosz to najdłużej to zawsze u twojej Gosi przesiadywał. Pewniej jej pomagał kopertę zakleić! – Jednak i Janek potrafi czasem zdrowo przysolić.

—Uaaa, aha ha ha!!! – wypełniliśmy całą kuchnię śmiechem.

—Ale Cię Janek zakasował – rzucił Patryk do Lutka. – Teraz już będziesz wiedział, że nie zaczyna się ze Zakrzakowcami. – Patryk, jak i Janek i parę jeszcze osób mieszka w tej samej miejscowości. Lutek jest tam napływowy.

—Dobra. Artur, chcesz napić się herbaty, kawy, albo coś przekąsić?

—Teraz nie. Pokaż mi pokój, gdzie mogę bagaż zostawić. Później zejdem, to coś zjem.

—Dobrze, to tak tylko w skrócie Ci opowiem, co jest grane. Jak masz coś z mięs, lub rzeczy, które musisz schować do lodówki, to tu będzie Twoja półka. – Otworzyłem drzwi od lodówki i pokazałem mu przygotowaną dla niego półkę. – Jak coś masz do zamrażarki, to włóż gdziekolwiek, pamiętaj tylko, które jest Twoje.

Teraz przeszedłem do szafek.

—Ta szafka będzie również Twoja. – Otworzyłem parę górnych szafek. – Tu są naczynia, a tutaj gary, patelnie. – Pokazałem szafkę narożną. – A w tej szufladzie są sztucce, noże i tak dalej. Teraz możemy iść dalej. Wyszliśmy do przedpokoju.

—Tu, po lewej znajduje się mała toaleta. Zwykle używana, jak ktoś jest osłabiony imprezą i nie ma siły wejść na górę. – Poszliśmy dalej. – Po prawej stronie masz salon. Dla wszystkich. – Zajrzeliśmy do środka. Tam siedział Pavarotti z Konarem. Kończyli swój obiad z wiader. Na talerze nie chciało im się zmieścić.

Taki żart. Ale tłumaczy ich to, że w dwójkę stanowią 50 procent wagi ośmio-osobowego składu mieszkańców domu.

—Czeeeeść – powiedział Pavarotti. Konarowi nie udało się wydobyć dźwięku, bo patrzył zauroczony w talerz.

Artur zajrzał do środka na chwilę i zaraz się cofnął. Został porażony kumulacją masy w jednym miejscu. Skręciliśmy w lewo i weszliśmy po schodach na górę.

—Tu, po lewej są dwa pokoje, gdzie śpią chłopaki. Łazienka jest tu, po prawej stronie. Najlepiej ustal sobie z nimi wszystkimi, kiedy kto ma łazienkę do dyspozycji po pracy i tak dalej.

—A to jest Wasz pokój. Będziesz tu spał z Jankiem i Ryśkiem. Twoje jest to łóżko pod oknem. Masz fuksa, bo nie chce im się zmieniać materaca i pościeli. Więc to będzie twoje miejsce. Sejf tu nie ma, ale złodziei też nie, możesz czuć się bezpiecznie.

—A co z robotą? – zapytał, obserwując, co powiem.

—Tak jak rozmawialiśmy przez telefon, idziesz w poniedziałek do tynkarza. Narzędzia on załatwi Ci na początek. Jak się sprawdzisz, to kupisz sobie potrzebne rzeczy za kolejną wypłatę. Bo tutaj każdy ma swoje narzędzia.

—A z kasą jak? Tak jak rozmawialiśmy, tak? – Zabrzmiało to bardziej, jak potwierdzenie, niż pytanie.

—Tak, zaczniesz mi płacić jak zaczniesz zarabiać. I czynsz co tydzień. Wszystko zgodnie z ustaleniami.

—To dobrze, bo jak będzie wszystko tak, jak się umawialiśmy, to dziewczynę może tu sprowadzę. Ona jest modelką. Zobacysz, jaka laska!

—Taak? – powiedziałem zdziwiony. Ciekawe, kiedy mi powie, że babcia też przyjeżdża.

—Startowała w wyborach miss Wielkopolski.

—I jak jej poszło? – zapytałem, żeby nie robić mu przykrości.

—Sama Ci powie. Mam zdjęcie, to Ci później pokażę. To co, widzę, że kręci się biznes?

—Jakoś leci – powiedziałem, przyglądając mu się przez chwilę.

—Bo ja też załatwiałem ludziom robotę. – Teraz spojrzałem, zdziwiony, na niego.

– W Hiszpanii. Miałem ekipę budowlaną.

—To co Ty tu robisz? – zapytałem, ciekawy, co się stało.

—Aaa, kiedyś Ci może opowiem. – Przybliżył się do mnie i powiedział ściszym głosem. – Bo ja siedziałem trochę.

Widzę, że lubi skakać po tematach. Albo chce opowiedzieć mi życiorys w pigułce, albo wziąć na litość. Na razie nie wiem, o co chodzi. Ale coś tu skrzypi w tej historii.

—Za to? – Wiadomo, za załatwianie pracy w Hiszpanii.

—Kiedyś Ci może opowiem. Jeszcze się tak nie znamy, Tomek. Wiesz jak jest – powiedział, sugerując, że on już kawałek życia „liznął”. Po latach, jak wróciłem myślami do tej rozmowy, wyobraziłem sobie, co musiał „liznąć”, że gada takie bzdury. Zebrało mi się na wymioty.

—Dobra, to odpocznij dzisiaj. Zapoznaj się z grupą, a jutro podskoczę, to powiem Ci, o której startujesz.

—A gdzie to jest? Daleko?

—Nie bardzo. Ale na nogach za daleko. Facet będzie czekał na Ciebie w Frenchparku. Na razie ja będę Cię rano zawoził. A jak się sprawdzisz...

—No jasne, że się sprawdzę. Tynkowanie i bić się. To są dwie rzeczy, które umiem robić w życiu – przerwał mi wypowiedź.

—To dobrze. Czyli jak Irlandczyk potwierdzi, że chce Cię na dobre, to pomyślimy, co dalej z transportem.

—W porządku, Tomek. Będzie dobrze. – Cały czas szuka kontaktu wzrokowego ze mną. Ale jeszcze nie wiem, czy sprawdza mnie, czy po prostu „łasi się” do mnie. —To dobrze, jak będzie dobrze. W takim razie odpoczywaj i do zobaczenia jutro.

—Cześć.

W taki sposób sprowadziłem do Irlandii to, co w Polsce najgorsze. Jaki z tego wniosek? Cieszyć się, czy płakać? Donek powinien mi podziękować. Przeszłość w Polsce raptownie spadła. Wygląda to tak, jakby połowa polskich oszustów wyjechała na wakacje. Tylko, kto teraz będzie pisał bajki w Polsce? Z drugiej strony udało mu się zrobić wiele złego tutaj, w Irlandii. A przecież Irlandczycy nie zasłużyli sobie na takich ch***, jak Arturek.

Ale, jak zwykle, tego wszystkiego nie dowiedziałem się przy pierwszej rozmowie. Za tą wiedzę zapłaciłem dużo. Czy ta lekcja życia była warta tej ceny? Łysy ma rozpocząć pracę w poniedziałek u Martina z Frenchparku. Jako tynkarz.

Bo przecież w tym jest najlepszy.

Poniedziałek. Obudziłem się trochę za późno. Wskoczyłem

w ubrania robocze i jak wystrzelony z procy, zbiegłem na dół. Artur już czekał w kuchni.

—Dlaczego mnie nie budzisz? Spóźnię się do pracy.

—Ale ja nie – powiedział lakonicznie. Nie miałem czasu, ani ochoty na roztrząsanie jego wniosków.

Tym bardziej, że na razie go tylko obserwuję. Wnioski wyciągnę później.

Biegiem do auta i z piskiem opon ruszyliśmy w stronę Frenchparku.

—Stresujesz się? – zapytałem, nie czekając na odpowiedź. Powiem więcej. Nawet nie pamiętam, co mi odpowiedział. Nawet nie wiem, kiedy dojechaliśmy do celu.

—Powodzenia. Martin przyjedzie vanem z napisami „Dermott” na burcie – powiedziałem na odchodne. – Jak by co, dzwoń. Wziąłeś telefon?

—Tak. Nara. – odpowiedział.

Po paru minutach nadjechał opisany samochód dostawczy.

Artur wszedł do auta.

—Hello, maj nejm is Artur. (Cześć, mam na imię Artur).

—Hello, Artur. I am Martin (Cześć, Artur, mam na imię Martin). So, Tom said, You are experienced plaster? (Tomek powiedział, że jesteś tynkarzem z doświadczeniem?)

—Jes. Aj plaster, polisz (Tak, ja tynkarz z Polska).

—I have some tools for You, for a beginning. (Mam dla Ciebie narzędzia na początek). – Starał się rozluźnić atmosferę Irlandczyk.

—Guud (dobry) – odpowiedział Artur, swoim typowo „polskim” angielskim.

—We will talk about payment after first day. Is it ok?

(O wynagrodzeniu będziemy rozmawiać po pierwszym dniu. OK?)

—Jes (tak) – odpowiedział Łysy.

Martin zrozumiał, że wiele sobie z nim nie pogada, zresztą sam nie jest najrozmowniejszym z rozmownych, więc jechali w ciszy parę kilometrów za Frenchpark, aż dojechali do domu, który właśnie tynkują.

—It`s here (To tutaj) – powiedział po wyjściu z auta. Podszedł do tylnych drzwi. Otworzył je i zaczął wybierać narzędzia dla Artura, które obiecał mu pożyczyć. Podał mu jakąś tacę z uchwytem pod spodem i pacę. Na koniec wyciągnął jakieś protezy do chodzenia.

„A to po chu***” – pomyślał Łysy. – „Co tu, jakiś kuternoga przyjdzie do roboty? Czy się boi, że sobie nogi połamię? No co, wezmę, jak daje”.

– Take this. (Weź to.) – Wskazał Arturowi worki z zaprawą do tynkowania.

– The mixer is on site. Power is on. (Betoniarka jest na działce i prąd włączony). W międzyczasie ktoś wyszedł z środka budynku.

– Artur – zawołał go Martin. – This is your labour (To twój pomocnik).

– Aron - przedstawił się pomocnik.

– Artur. – Jak zwykle, Artur wyciągnął dłoń, żeby się przywitać, ale ten nie zwrócił na to uwagi, bo już patrzył gdzie indziej.

„To kut***, nawet przywitać się nie raczy. Gwiazdor. Może Polaków nie lubi. Ja go zapamiętam, cwela.

Artur patrzył na niego jak na Ufo, bo nie rozumiał, co to za „lejba”? Czyli pewnie jakiś tynkarz też, tylko bardzo leniwy. „Ja za niego zapier*** nie będę!”.

—W porządku, Martin! – powiedział, udając, że rozumie. „Ale o co mu k*** chodzi? Po h*** mi jeszcze ten szpieg tutaj. Myślałem,

że z nim będę pracował”.

—I will be back around Four. I have to finish another job.(Będę z powrotem około czwartej. Muszę skończyć inną robotę). Be ready to go back at this time. (Bądź gotowy do powrotu około tej godziny).

Zawrócił jeszcze przed nim autem.

—And don't forget to clean the mixer. (I nie zapomnij wyczyścić betoniarki).

—Ok, ok. – Potrząsnął głową, że rozumie.

„Chociaż wcale, kur*** nie rozumiem, co ten je*** ku*** do mnie mówi! Może jak mu przype***, to zacznie mówić wyraźniej”.

Martin odjechał vanem. Artur został z Aronem.

„Kur***, jak tu zacząć? Trzeba nowego wyźgać. Wyczaję, jak on robi, to załapię szybko”.

—Aron, szoł mi. (Pokaż mi). – Pokazał ścianę. – Łi łorking dyfrent. (My robić inaczej).

I Aron pokazał mu, co i jak. Trochę się zdziwił, bo podobno to on miał być pomocnikiem, a ten Polak miał być z doświadczeniem. Ale OK., może Martin kazał mu sprawdzić, czy Aron coś potrafi.

Nawrzucali do miksera wszystko, co trzeba. Artur starał się zapamiętać kolejne czynności i proporcje. Ale jak młody Irlandczyk zaczął rozciągać tynk na ścianę, to portki mu się pogięły. Chociaż starał się „zachować dobrą minę do złej gry”.

—Ok., Poland dyfrent. (Ok., Polska inaczej). – Irlandczyk domyślił się, że w Polsce tynkuje się inaczej.

—Aj traj. (Ja próbować) – powiedział Artur. Wziął do ręki tacę i pacę. Młody wrzucił mu bez ostrzeżenia zaprawę łopataą na tacę. Zaskoczony Artur nie utrzymał balansu i wszystko spadło na ziemię.

—He, he, he. Suprajs. (Niespodzianka) – zaśmiał się Łysy, chcąc

powiedzieć, że Irys go zaskoczył.

—Na! (Teraz) – powiedział, przygotowując się tym razem do utrzymania zaprawy na tacy.

Jeszcze raz.

Łup! Oczy polskiego fachowca zrobiły się wielkie, bo myślał, że jest silny „kolo”, a tu ma problem z utrzymaniem czegoś takiego w poziomie. Ale dobrze jest. Trzyma. Teraz kolejny krok. Musi nabrać sobie z tej tacy zaprawę na pacę trzymaną w drugiej ręce.

Dzióbnał odrobinę. Naśladując ruchy zaobserwowane u Arona, spróbował nałożyć tynk na ścianę takim ruchem, jakby kogoś przywoływał. Część zaprawy spadła na ziemię.

A młody stoi z łopataą pełną zaprawy, żeby podać mu kolejną dawkę. „Co ten fuc*** Polish wyrabia? Jak on jest tynkarz, to ja jestem pilot myśliwca!”

A to naprawdę skrajne porównanie, bo armia irlandzka widzi myśliwce tylko w filmach wojennych.

Ale, jak to Irlandczyk, za bardzo się nie przejął. Stoi i czeka. Przecież on ma płatne na godzinę. Jako pomocnik.

Natomiast Arturek stara się, jak może. Łysina cała mu się już zapociła, po plecach płynie mu Niagara. Ale „jedzie” do przodu. Tego nie można mu odmówić. Stara się. Już oblepił kawałek ściany. Pomocnik– instruktor poszedł dorobić nowej zaprawy, a zadowolony z siebie Arturo odłożył ciężką tacę na bok, rozmasował mięśnie i z dumą przyglądał się swojej robocie.

—Dobry jestem, ku***, w du*** je***. – Wiara czyni cuda. Jedni wstają z wózków, drudzy przepływają ocean. A Artur po prostu tak wierzył, że oślepl. Coś, co dla niego było perfekcyjną robotą, idealnie gładką ścianą, dla kogoś, kto w ogóle WIDZI, byłoby przyklepionym do ściany papierem ściernym. Krzywo przyklepionym.

Kiedy Aron wrócił z nową zaprawą, przyjrzał się krytycznie jego pracy i powiedział;

—This is all wrong! I'll try to fix it. He gonna kill us! (To jest źle. Spróbuję to naprawić. On nas zabije.) – I wziął się za wyrównywanie ściany cienką warstwą zaprawy.

—Now, its your turn. (Teraz twoja kolej). – I podał Łyseму narzędzia z powrotem, z dezaprobata.

Artur zauważył, że coś jest jednak nie tak z jego pracą.

—Tu macz wodka jestrdej. (Za dużo wódki wczoraj). – Starał się jakoś wybrnąć z sytuacji. Niewiele to pomogło, bo nie tylko Aron nie lubi zapie*** za kogoś. A tym bardziej za Polaka. Nie odpowiedział mu, zwyczajowo przyjętym w takiej sytuacji, „fuc***iem offem”, bo jednak czuł respekt do mięśnia Polaka.

To jeszcze raz przystąpili do pracy. Artur tynkuje, młody podaje zaprawę. Nawet w końcu spodobało mu się to, bo przy Martinie musiał się nieźle „napocić”, a przy Arturku czuł się jak na wczasach w Kildare.

W porządku, ale teraz czas na wyższy stopień wtajemniczenia. Arturek nie należy jednak do grupy koszykarzy, więc zmartwiony zastanawia się, jak wytynkować górne części ściany.

—Hał du Dys? (Jak robić to?) – zapytał w języku „Kali”.

Aron podniósł palec wskazujący..., nie ten. WSKAZUJĄCY. Mówiąc: „poczekaj chwilę” i wyszedł do innego pokoju.

Kiedy wrócił, Arturowi szczęka opadła. „Ten kut*** przyniósł te protezy, ku***! Poje*** go do końca!!!”.

Ale widzi, że młody się nie śmieje. Niestety, zaczyna się domyślać, po co Martin dał mu szczudła. Tak. Szczudła, bo teraz już go oświeciło.

—Szoł mi. (Pokaż mi). – To jedyne, co mógł powiedzieć do Arona.

Aron założył szrudła, szybko zapinając je na łydkach. Stał prosto i pokazał gestem, żeby podać mu tacę i pacę. I jak poprzednio, młody Irlandczyk wprawnymi ruchami zaczął nakładać tynk na ścianę, balansując równocześnie na szrudłach. Po chwili przywołał Artura bliżej, oparł się o niego i odwiązał zapięcia.

—Now it`s your turn. (Teraz twoja kolej) – powiedział ponownie.

Artur miał tak głupią minę, jakby zobaczył swojego dzielnicowego. I nie wiem, czy jeszcze głupszej miny nie miałby czasem dzielnicowy, widząc Arturka. Ale tą sprawę pozostawmy im. Póki co, Łysy wciągnął szrudła na swoje „kopytka”. Z pomocą Arona uzyskał pion. Odebrał tacę i pacę. Młody Irlandczyk nałożył mu zaprawę łopata na tacę.

I wówczas zaczął się sztorm. Biedny Arturek walczył z chwiejącą się podłogą, podmuchami wiatru, przychodzącymi nie wiadomo skąd i własnymi ułomnościami. Na ścianie pozostało masę jego odcisków dłoni, wciśniętych w zaprawę. Jakby nadal trwała akcja „niewidzialnej ręki” sprzed lat.

Jego środek ciężkości przemieszczał się szybko i niespodziewanie dla niego samego. Po nałożeniu zaprawy na tacę przechylał się w lewo, drobiąc równocześnie kroczyki, jak w „krakowiaku”, by utrzymać równowagę. Kiedy nabierał zaprawę na

pacę i starał się nałożyć ją na ścianę, jaka niewidzialna siła odpychała go do tyłu. Wtedy musiał robić szybko dwa kroki w tył. Żeby nie stracić równowagi, równocześnie wystawiał szybko rękę z zaprawą na tacy do przodu. Wtedy przestawał „lecieć” do tyłu.

Zaczynał ponownie lecieć do przodu. I tak potańczył sobie pół dniówki, parę razy sprawdzając zębami twardość ściany, a parę razy tyłkiem solidność podłogi.

Młody pomocniko–nauczyciel początkowo chciał nagrać go

kamerą w telefonie i puścić na Tubie, ale jednak strach nie pozwalał mu zaryzykować. Pozostało mu tylko „wyśmiać się za wszystkie czasy” za ścianą, gdy ten f*** Polisz nie patrzy.

Po zejściu ze szczudeł, Artur nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. Mógł to określić jedynie na podstawie odcisków pośladek na podłodze. Skoro wiedział już gdzie jest „graund”, domyślił się też, gdzie jest góra. Z „lewą i prawą” poczeka jeszcze trochę, aż poczuje się lepiej.

Tynkowanie dolnych partii ściany jakoś może i zaczęłoby mu wychodzić, ale „góra”, i szczudła rozłożyły go na łopatki.

„Kur*** Jakby nie to, że ten irlandzki skur*** jechał na tych szczudłach, to pomyślałbym, że mnie jeb*** Tomek wystawił do jakiego poje***nego „śmiechu warte”!!!”.

„K***, przejeb***, w życiu się tak nie naje***, jak przy tym pier*** tynkowaniu!!! Co ja temu Martinowi, kur**, powiem? Przecież mnie zaraz wypier***! Dobrze, że chociaż ściana mi dobrze idzie. Może mu wcisnę, że w Polsce nie ma szczudeł, tylko podest na kółkach? Kur**, ja to jestem genialny, jak trzeba! Zawsze spadnę na cztery, kur***, jeb***ne łapy!”.

Minęła pierwsza przerwa. W tym czasie Artur, zamiast jeść śniadanie i obiad, uciekał do innego pokoju. Tam siedział tak długo, aż się „wysapał” do skutku. Później ściągał koszulkę, wyzymał ją, trzymając nisko, żeby kapiąca woda nie dawała wrażenia „odkręconego kranu”. Następnie resztę ciała wycierał kawałkiem znalezionej na budowie szmaty. To nic, że brudna. Ważne, że uroczo sucha. Przynajmniej za pierwszym razem.

Podczas drugiej przerwy usiedli jednak razem, bo Aron przylazł za nim. Irys wyjął swojego rolla i zaczął mlaskać. Artur wyjął swoją kanapkę. Polską bułkę z włożonym w środek polskim burgerem

z taniej sieci handlowej.

I też zaczął mlaskać. Irlandczyk przyglądał się z zaciekawieniem, co jada się w Polsce. Pewnie steki z białych niedźwiedzi.

—What`s this? (Co to jest?) – zapytał w końcu.

—Polisz burger. – Zamachał dumny Artur. – From... – „jak jest Żabka po angielsku?” – Burger from frog. Czip. (Polski burger z żabki. Tani.)

Aron zrobił wielkie oczy. Spodziewał się, że w Polsce jedzą dziwne rzeczy, ale aż tak? Musi tam być kolosalny głód.

Artur wysunął swojego „burgera z płaza” w jego stronę.

—Traj. (Spróbuj) – powiedział. Ale ten jakoś dziwnie stanowczo się wzbraniał, więc Artur zaproponował mu coś innego.

—Aj hew łan mor burger. From... (Mam jeszcze jeden burger.) – „Jak to jest po angielsku Biedronka?” -Burger from Lejdibird. (Burger z biedronki). – I znów wysuwa dłoń z burgerem z Biedronki w jego stronę, ale Aronowi oczy prawie wypadły. Szybko wstał i wyszedł z pomieszczenia, bo miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Po chwili wrócił, ale już zrezygnował ze śniadania. Kiedy zobaczył Artura pałaszującego burgery z insektów, ponownie poczuł się słabo. Raczej bardziej z ciekawości, obserwował, jak Artur ze smakiem je burgera z biedronki. Mimo tego, że wiele dziwnych rzeczy słyszał o Polsce, to tego się nie spodziewał.

Ale nurtowało go jeszcze pytanie od strony technicznej. Odważył się je jakoś zadać.

—How many of them do You need to have one burger? (Ile biedronek potrzebujecie na jeden burger?).

Artur nie bardzo zrozumiał pytanie. „Chyba się pyta ile burgerów trzeba, żeby się najeść”.

—Łan – odpowiedział stanowczym głosem.

—Ou, f**k! – krzyknął Aron i tym razem wybiegł „puścić pawia”. Jego organizm nie wytrzymał obrazu wyobrazonej olbrzymiej biedronki, spłaszczonej w burgerze. A jeszcze wyobraźnia dokładała machanie nóżkami wystającymi za bułkę...

Już chyba nie zje nic w tym tygodniu.

Kiedy już jakoś odrzucił od siebie ten widok i udało mu się wrócić do Polaka, żeby pozbierać rozpoczęte śniadanie i podziękować stwórcy za krowy i owce, Artur właśnie kończył przełykać ostatni kęs i wycierał usta w rękaw.

„Ja nie wytrzymam tego” – pomyślał i znów wybiegł z pomieszczenia.

Artur w tym czasie siedział szczęśliwy, że ma jeszcze dodatkową chwilę na odpoczynek.

„W życiu nie kupię tu takiego rolla, jak ma ten Aron. Zjadł tylko kęs i tak się struł... Słyszałem, że oni tu żrą baraninę. No to i jak barany się zachowują! Dobrze, że my tylko wieprzowinę jemy. To i zachowujemy się, jak... śśś...ię należy!”

W końcu jednak jakoś udało im się wrócić do pracy.

Zbliżała się 16. Młody, ledwie żywy Irlandczyk powiedział, że czas sprzątać i wyczyścić mixer. Resztę zaprawy, czyli pół mixera, wylał do dołu obok i przemył beczkę wodą. Artur w tym czasie posprzątał zaprawę z podłogi, żeby szef nie opier*** go za marnotrawstwo. Jeszcze nie wiedział, że tym akurat wcale się nie przejmie. Takie czasy. Boom.

Arturowi stres odbiera ochotę na dukanie po angielsku. Więc stara się znaleźć jakiegokolwiek zajęcie, zamiast przesiadywania z Irlandczykiem. Po głowie tłoczy mu się tysiąc myśli.

„K***, żeby znów nie dać się tak wyrolować, jak w Hiszpanii. Przecież, k***, gdzie się w końcu muszę zahaczyć. Do Polski nie

wrócę, bo mnie ten jeb*** prokurator zaraz drapnie na granicy. Może mnie Martin nie wypier*** Powiem mu o tym podeście. Może łyknie”.

—Oortr. (Artur) – krzyknął Aron. – Martin is coming (Martin nadjeżdża). Pack your toys. (Pakuj zabawki).

—Ok. – A pomyślał:

„Ja Ci k*** dam zabawki! Poczekaj. Najpierw sobie owinę Martina na palec, to zajmę się Tobą”.

Wyszedł na zewnątrz. Od strony drogi wjechało auto. Martin wysiadł i skierował się w stronę budynku.

—Done? (Skończone?) – zapytał, śmiejąc się szeroko. Łysy, jak rasowy klakier, rozpoczął swoją grę.

—He, he, its dyfrent in Poland. (To robimy inaczej w Polsce). Noł legs. (Bez nóg). – Pokazał nogi, mając na myśli szczudła.

—Łi juzing sters! (My używać schody) – powiedział, mając na myśli podest. Martin wszedł do budynku. Aron został na zewnątrz. Pewnie pomyślał, że wrzask równie dobrze będzie słyszał stąd. Za Martinem, jak zbity pies, podążył Artur. Weszli do pierwszego pokoju.

—What, the f**k! What`s this?! (O ja pier***, co to jest) – krzyknął, jakby zobaczył ducha. Spojrzał na Łysego tak, że Arturowi pot z glacy wyparował w momencie.

—Aj noł. (Ja wiem) – powiedział. – Top is no gut, bikołz łi juzing sters, bat dałn is perfekt! (Góra źle, bo my używać schody, ale dół perfekt.) – I korzystając z tego, że nie ma Arona, pokazał kawałek przez niego poprawiany.

Martin spojrział na ścianę i kiwając palcem na znak zaprzeczenia, wyszedł do auta. Przez chwilę Artur słyszał tylko fragmenty przekleństw.

—Fok... prick... (piii, piii).

Kiedy wrócił, trzymał w jednej ręce żarówkę z oprawką a w drugiej przedłużacz.

Podłączył przedłużacz do tymczasowego gniazdka.

—You want to say its perfect? Look! (Mówisz, że to jest perfekct? Zobacz!) – I oświetlił żarówką trzymaną blisko ściany powierzchnię tynkowaną przez Łysego. Coś, co wydawało się Arturowi prawie idealną powierzchnią, wskutek oświetlenia pod odpowiednim kątem, stawało się „wyżyną krakowsko-częstochowską”. Dopiero przy takim oświetleniu uwydatniły się wszystkie niedoróbki.

Martin spojrział na Artura. Ten nie umie dukać po angielsku, zrobił więc tylko głupią minę i nie wydukał nic. Opuścił głowę, jego plan upadł.

—Come on. I have no time. I have to go back. (Choć, nie mam czasu. Muszę wracać).

Bez słowa podreptali do samochodu. Aron już odjechał swoim, byli więc w kabinie tylko we dwoje.

Martin odpalił auto. Złapał za drążek zmiany biegów i prawie go urywając z nerwów, wrzucił jedynkę, ale zdenerwowany znów wyrzucił na luz.

—Fu**k! – zaklął pod nosem i sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę SILK CUT-ów. Szybko odpalił jednego. W irlandzkiej tradycji nie ma zwyczaju częstowania sąsiada. Artur odebrał to jednak, jako kolejny wrogi gest wobec niego.

„Niedobrze, kur***! Co robić?”

—Ju łont mi tumoroł? (Ty chceć mnie jutro?) – zapytał, żeby przerwać ciszę i wybadać sytuację.

—Are you, fuc**n, crazy? You are NOT a plaster! (Co ty jesteś, pieprzony szaleniec? Ty nie jesteś tynkarz.)

„O, k*** grunt mi się pali”.

—Ju noł, aj must łork. Maj son is bed. (Wiesz, ja musieć pracować. Mój syn jest źle. Bo chyba nie chciał powiedzieć, że jego syn leży w łóżku i nic nie robi). – Rozpoczął kontratak. Martin nabrał powietrza w płuca, by znów odpowiedzieć coś ostro, ale w końcu dotarł do niego sens łamanej angielszczyzny.

—What is wrong with him? (Co mu jest?) – zapytał lekko już łagodniejąc.

—Hart. Bed. Wery bed. Must operejszn. (Serce. Źle. Bardzo źle. Musi operacja).

– Zrobił przy tym smutną minę, wzrok popłynął w dal.

—I am very sorry, but I can't save the World.(Bardzo mi przykro, ale nie mogę zbawić świata).

—You are not a plaster. (Ty nie jesteś tynkarzem). – Spojrzał Arturowi w oczy.

—Aj ken du ewry dżab. I ken pejnt, aj ken kliin. (Ja umiem robić każda robota. Mogę malować, mogę sprzątać). – Równocześnie pokazywał rękami, że umie malować, jak będzie sprzątał.

Zapadła chwila ciszy. Hałasował tylko silnik i spiker w radio.

—Aj must hew many for son. Must operejszn. Łajf ring. Łat aj tok? Eny dżab. Pliz. (Muszę mieć pieniądze dla syna. Musi operacja. Żona Dzwonek. Co ja rozmawiać? Jakakolwiek robota. Proszę). – Złożył dłonie jak do modlitwy.

Znów cisza. Martin w międzyczasie spojrział na zegarek i ruszył autem. Kieruje i trawi informacje. Pewnie walczy ze sobą.

—Aj must pej Tom. Yf not, aj noł many, noł hew iit.(Muszę płacić Tom. Jak nie, nie mieć pieniędzy, nie mieć jeść) – rzucił z nowej beczki. Drugi haczyk.

—Pay? To Tom? For what?! (Płacić? Tomowi? Za co?).

—Łork. Tom giw mi łork, Aj pej him ewry łik (Praca. Tom dać mi praca, ja płacić mu co tydzień).

—You are stupid, so! Dont pay him. You dont have to. (To Ty jesteś głupi. Nie płacć mu. Nie musisz.)

I ruszyli.

—Iff You want, You can paint this house. Just don't pay this prick. He exploits You! (Jeśli chcesz, to możesz pomalować ten dom. Ale nie płacć temu kuta... On Cię wykorzystuje.)

Arturek już się śmieje „od ucha do ucha”. Na zewnątrz wygląda to jak radość z rozwiązania wielkiego problemu. Ale ciekawsze jest to, co myśli:

„To debil, k*** Wystarczy mu trochę kitu pocisnąć. Jeszcze go wyroluję w odpowiednim momencie. Na razie muszę trochę popłakać mu w rękaw. Tylko, co go bardziej ruszyło? Historia o bachorze, czy Tomku? Trzeba wybadać”.

—Ju help mi, bo operejszn? (Ty pomagacć mi, becouse operacja?) – zapytał, przybierając „minę” chłopca pańszczyźnianego, stojącego przed szlachcicem.

—Yes, I don't care what is the story, about Tom. I will help You, because I have son, as well. (Nie obchodzi mnie, co to za historia z Tomem. Mogę ci pomóc, bo też mam syna.) – Zatrzymał auto, bo właśnie dojechali do Frenchparku. Stanął na skrzyżowaniu przy Gardzie. Łysy lekko przestraszył się, czy czasem to nie jest zaplanowane. Czy nie próbuje go niespodziewanie odstawić na komisariat. Jakby zaczęli go sprawdzać, byłby dym. Jak byliby dociekliwi, to by się dokopali, do czego nie trzeba.

Wysiadając z auta, plecak z „dobytkiem” już trzymał mocno w ręce. Niby nie spoglądał w stronę Martina, ale dokładnie obserwował każdy jego ruch.

To znaczy, każdy bezruch, bo Martin czekał, aż Łysy wypchnie swój polski tyłek z auta i da mu w końcu spokój. Już jest wystarczająco wściekły.

—Be here tomorrow, same time. (Bądź tu jutro o tej samej godzinie).

—Ok, aj Bi hir. (Ok, ja być tu). – Pokiwał dodatkowo głową, równocześnie się uspokajając.

—See You! (Do zobaczenia).

—Si ju!!!

„Ufff, przeżyłem” – pomyślał.

Rozdział 23

Polscy fachowcy od „bycia fachowcem”. Trudno wyłowić zgniłe jabłka w pełnym koszyku. Czy ja dałem ogłoszenie: „do pracy-partaczy”? Czy jednojajowiec może być mądrzejszy od kury?

*

Podjechałem po niego po pracy, żeby zabrać go do domu. Już czekał na mnie. Zobaczył auto. Zaparkowałem przed skrzyżowaniem w ten sposób, że nie musiałem przejeżdżać przez nie i zawracać. Artur doszedł do auta. Otrzepał jeszcze ubrania robocze i wsiadł.

—Jak tam pierwszy dzień? – zapytałem, jak zawsze.

—No, Toomek! A jak ma być? Dobrze! – powiedział pewnym głosem. – Zasuвам na ścianie.

—To fajnie. Zmęczony? – zapytałem. – Bo przecież tynkarz to musi się tu napię... To nie tak jak w Polsce.

—No tak, ale widzisz przecież, ja nie jestem „miętkim ch*** robiony”. – Pokazał biceps. – Ja mogę zapierniczać, Tomek. Jak mi

zapłacą dobrze, to nie ma k***, bata. Tak im ściany odpier***, że mu gały wyjdą.

Zawróciłem już i zmierzaliśmy z powrotem do Castlereaa.

—I co, poradziłeś sobie z tą ich technologią? – spytałem z ciekawości. Przyjeżdżali tu różni tynkarze, ale żaden nie poradził sobie jeszcze w pierwszym dniu.

—No, a jak myślisz, Tomek? – odpowiedział pytaniem, uśmiechając się przy tym, jakbym zadał mu pytanie niestosowne. – Wszedłem na ścianę, najpierw zrobiłem dół, potem wskoczyłem na szczudła i pierd*** górę!

—To gratulacje. Jesteś pierwszym, który sobie poradził w pierwszym dniu. – Chciałem obronić moje ostatnie pytanie.

—Młody lokals rozrabiał zaprawę, a ja jechałem. Ledwie nadażał. Pierd*** jeden pokój, potem chciałem drugi, a młody zaczął prosić, żebym zwolnił.

—Taak? – zdziwiłem się.

—No, a jak?! Na koniec przyszedł Martin. No to ja przeszedłem do drugiego pokoju, wziąłem żarówkę z oprawką. Upierd*** kable, żeby ją podłączyć do przedłużacza. Jak się zaświeciła, to przytknąłem ją do ściany. – Spojrzał na mnie, czy go podziwiam. – Wiesz, po co?

—Nie – odparłem.

—Pod światło widzisz idealnie, czy ściana jest gładka. – Wygląda na wykoń-czonego, ale bardzo dumnego z siebie.

—Aha... – Noooo, niegłupi patent.

—No to ja mu pierd*** żarówką po ścianie i mu gały wyszły. Odłożyłem żarówkę bez słowa.

—No, to super. Czyli jest zadowolony. To ile Ci zaproponował? – Arturek przyjrzał mi się ponownie. Pewnie zastanawiał się, po co

mi ta informacja. A ja akurat pytam w dobrej wierze, bo to nie ma wpływu na moją stawkę. Ale jak dobrze zarabia, to będzie z nim spokój. Faktem jest, że niektórzy wiecznie narzekają. Choć głównie dlatego, że nic nie potrafią.

—A Ty ile masz? – odbił piłkę.

—Czternaście.

—No to dodaj sobie jeszcze trochę.

—No, to super. To pijemy w sobotę!

—Nie ma sprawy, Tomek – powiedział łaskawie. – Zatrzymasz się chwilę przy sklepie? Muszę coś kupić do jedzenia.

—A masz jakąś kasę, czy chcesz parę euro? – zapomniałem wcześniej zapytać.

—No co Ty, Tomek. – Zawsze jak mówi do kogoś, to patrzy mu głęboko w oczy. – Czy ja wyglądam na biednego? – Znów napiął mięśnie, teraz już wszystkie. – Mam jeszcze parę złotych na bułkę.

—Rozumiem, tak tylko pytam. Bo jakbyś nie miał, to mógłbyś zasłać przy pracy. Przy Twojej masie, to energii trzeba dużo, żeby przepracować cały dzień.

—Widać, że potrafię zjeść, nie? – Poczul się miło polechtany.

—Tak. Masz tak samo, jak mój brat. Jak widzi kawałek mięsa, to mu nie daruje. A od dawna „dźwigasz”?

—Od zaaawsze chyba. Też mam starszego brata. Z nim zaczynałem. Wiesz jak to jest, Tomek. Wciągnął mnie w kulturystykę i inne takie sprawy – powiedział zagadkowo i znów mnie obserwował.

Raczej nie jestem wścibski, nie interesowało mnie więc, co „autor miał na myśli”.

Autor też nie drażył tematu. Dojechaliśmy do Super Value.

—Możesz jechać, nie musisz na mnie czekać. Przejdę się.

—Jesteś pewien? Jeśli to drobne zakupy, to zaczekam.

—Nieeee, przejdę się. Poznam miasteczko. Jeszcze nie miałem okazji.

—Dobrze, to jutro o tej samej porze – powiedziałem i nawet mnie to ucieszyło, bo ja byłem zmęczony i chciałem jak najszybciej znaleźć się w domu. I – jak rzadko ostatnio – był to wieczór, gdy udało mi się już nie wyjeżdżać z domu, obejrzeć film, poczytać książkę.

Za karę kolejny dzień od początku nie był łatwy. Dużo pracy, bo klient niecierpliwił się i musieliśmy pilnie dokończyć zamówienie. Wracając do domu, czułem się wyciśnięty, jak cytryna. Na koniec dniówki, jakby było mało, odebrałem połączenie.

—Tomek, zaczekasz na mnie chwilę? – Dzwoni do mnie Patryk. – Już dojeżdżamy do zakładu.

—A gdzie jesteście? – zapytałem.

—Zaraz za Tuam – odpowiedział, rozkładając mnie na łopatki. Przecież to jeszcze 30 kilometrów! W dodatku kiepską drogą. Dużo zakrętów i mało możliwości wyprzedzania.

—Chłopie, to kiedy Ty tu będziesz? – rzuciłem zniechęcony.

—No, za pięć minut wjedziemy do Tuam i potem jeszcze...

—Co?! To Wy jeszcze nawet do Tuam nie wjechaliście? – Załamał mnie. – Czyli to „za Tuam”, to było przez Ciebie wypowiedziane z mojego punktu widzenia?

—No, tak! Bo ja staram się wczuć w Twoją sytuację. – To gad!

—To bardzo się cieszę, że tak myślisz o mnie. Ale zrobimy to inaczej. Muszę jechać do Frenchparku po Łysego i jeszcze po Dolce i Gabanna. (To ksywka nadana przez nas dwójce nowych emigrantów). Przywiozę ich do Castlerea, bo i tak inaczej się nie da

i wrócę po Ciebie.

—To za ile będziesz? – Przeliczyłem dystans w pamięci; 30 po Łysego, 30 z powrotem.

—Za 45 minut.

—Dobra, to jak nie namówię Mervyna, żeby mnie podwiózł, to dam Ci znać.

A jak nie będę dzwonił, to znaczy, że mnie odwiozą.

—W porządku – powiedziałem i ruszyłem w stronę auta.

—See You, lads. (Do zobaczenia, chłopaki) – rzuciłem na odchodne Irlandczykom z pracy i już pędziłem w stronę Frenchparku.

Dolce i Gabanna czekali na mnie w miasteczku, jak zwykle uśmiechnięci.

—Co tam, Tomek słyhać? Jak w pracy? – zaczęli, jakby wracali z występów kabaretu, a nie z pracy.

—A to słyhać, że zaraz muszę znów wracać do Williamstown, po Patryka – powiedziałem rozczarowany sytuacją.

—A, to możemy się przejechać z Tobą? Zobaczymy, gdzie pracujesz.

—Nie ma sprawy. Ale jak Patryś nie zadzwoni, to nie musimy jechać. Zaraz się okaże. – I ruszyliśmy w drogę powrotną. Niestety, nie ma innej drogi, niż powrót przez Castlerea.

—A co tam u Was? Sądząc po humorze, to dostaliście podwyżkę. Zanim jeszcze dostaliście wypłatę – dodałem sarkastycznie. Bo ja akurat nie tryskałem radością.

—Jeśli chodzi o to, to nie ma się czym chwalić – zaczął Dolce. A ja, mając doświadczenie, już wiedziałem, że robota nie wypaliła. A raczej oni nie dali sobie rady.

—To co, nie chce Was już facet więcej, czy tylko ciężki dzień? –

zapytałem jednak z odrobiną nadziei, że nie wszystko dziś układa się źle.

—Nie wiem, ale raczej nie – powiedział Gabanna tym razem. Muszą mieć wszczepiony jakiś eksperymentalny przełącznik, że zawsze mówią na przemian. I pewnie nawet mają wspólny strumień myślowy. Muszą być bliźniakami jedno-jajowymi lub parą gejów.

Tym razem, oczywiście, kontynuował Dolce.

—Dzisiaj, jak zajechaliśmy na miejsce, to powiedział, żeby obłożyć kamieniem jakiś murek. No to zrobiliśmy zaprawę i „jedziemy” z tym szajsem. Pierwsza warstwa jakoś poszła.

Teraz kontynuuje Dolce.

—Ale jak położyliśmy kolejną warstwę, to poszliśmy na śniadanie.

—Bo wszyscy poszli – dodał Dolce i głos znów przełączył się na Gabannę.

—No to zjedliśmy sobie, co tam kto miał, my mielimy kanapki z szynką i serem.

– Faktycznie, to w tej chwili najważniejsza informacja, pomyślałem.

—I z majonezem – dodał drugi głośnik. Jak się później okazało, to nie był lewy głośnik. Dolce, to był całkiem lewy głośnik.

—No! I z majonezem. – Znów plik niezbędnych informacji. Ale może coś było w tym majonezie? Poczekam na rozwój wypadków. Mamy jeszcze parę kilometrów do przejechania, to niech „trąbią”, co chcą. W końcu jakoś dojdą do sedna wspólnymi siłami.

—I wracamy po tej przerwie, patrzymy, a ten górny poziom się przewrócił.

—Albo ktoś go przewrócił – dodał lewy.

—Albo go ktoś przewrócił – poszło przebicie na prawy głośnik. – W każdym bądź razie zaczęliśmy od nowa ten poziom. I wtedy przyszedł ten Irlandczyk, szef...

—I kazał nam wszystko rozbierać – znów zabrzączał lewy głośnik.

—Nie wiemy, o co mu chodziło. Nic go nie zrozumieliśmy. Pokrzyczał, pokrzyczał...

—I poszedł – powiedział prawy kanał.

—To zadzwonię do niego dzisiaj, zobaczymy, co jest grane – odpowiedziałem, choć nie trudno się domyślić, że coś zawalili. Tylko sami nie wiedzą, co.

—Zaraz dokończymy rozmowę, tylko zadzwonię, czy mam wracać po Patryka.

Wybrałem numer Patryka.

—No i...? – rzuciłem do słuchawki, kiedy już odebrał po 66-ym „bipie”.

—Aaa, ja już w domu jestem. Zawiózł mnie Pat, bo akurat jechał do Castlerea.

—No, to super, że oddzwoniłeś – powiedziałem z przekąsem.

—Przecież mówiłem Ci, że jak będzie kłopot, to zadzwonię – usłyszałem jego zdziwiony głos w słuchawce.

Patryś... mister „będzie pan zadowolony”, ale jak trzeba coś zrobić, to go nie ma. – Dobra, to jedziemy do domu. Patolek już wrócił do matolkowa.

Artur pracuje już dla Martina cały tydzień. Pewnie dzisiaj dostanie pierwszą kasę. Jak taki jest dobry, to może dostanie z 700. Dojeżdżam do Frenchparku.

Artur czeka przy murku. Wygląda, jakby już tu zamieszkał.

Siedzi sobie na kurtce, obok na koszulce rozłożone śniadanie i otwarta butelka z napojem.

Sam przybrał pozę rozleniwionego kuracjusza. Nawet mnie nie zauważył.

„Piiip” – zatrąbiłem, żeby zwrócić jego uwagę.

Zebrał się powoli. Ale wbrew wyglądowi zewnętrznej powłoki, wewnątrz działo się bardzo dużo.

„Trzeba mu wcisnąć jakiś kit. Przecież nie powiem mu, że nawet z tego malowania mnie Martin wypierniczył. Ale za to, że dzisiaj nawet po mnie nie przyjechał, to ja mu wypie... jakiś numer. Bo on by chciał, żeby w dwa dni sześć pokoi mu pomalować. Ocipiał” – pomyślał sobie Artur.

—Wsiadaj – rzuciłem, bo w przeciwieństwie do niego, ja nie czuję się, jakbym był na wakacjach. Ciągłe coś do załatwienia, ktoś do przywiezienia, itp.

—Spokojnie, Tomek. Luuuzik – powiedział, leniwie gramoląc się do auta.

—I jak tam w pracy? – rozpocząłem od razu dialog na właściwy temat, bo nie mam dużo czasu na dyskusje. Muszę jeszcze odebrać niby-kamieniarzy z budowy. Po tej wpadce z samo rozburzającym się murkiem dałem im inną robotę.

Dostałem do malowania dwa nowo wybudowane domy. Wewnątrz i na zewnątrz. Właśnie jadą ściany. To im idzie lepiej. To znaczy; o tyle lepiej, że pomalowane ściany nie przewracają się...

Ale wracajmy do Artura:

—Nie za dobrze – powiedział i znów głęboko patrzy mi w oczy. Oczywiście on patrzy cały czas, a ja tylko czasami, bo głównym moim zajęciem jest kierowanie autem.

—Dlaczego?

—W ch***a wali z kasą. Obiecał sześćset, siedemset, a wypłacił mi połowę.

—A co z resztą?

—Nie wiem. Wysłałeś mnie do jakiegoś oszusta. Teraz mi szukaj nowej roboty, bo ja więcej do tego ku***sa nie pójdę – powiedział zdecydowanym tonem.

—Dobra, zadzwonię do niego. Zobaczymy, co się da zrobić. Może po prostu nie miał dzisiaj tyle przy sobie.

—Nie! – rzucił trochę zbyt zdecydowanie. – Nie, ja już nie chcę do niego iść, mam swój honor. Ja mu pokazałem, co potrafię, a jak tego nie docenia, to ch*** mu w d**- „Dobry jestem, tak na biegu to wymyśliłem” – pomyślał ucieszony.

—Ale może rzeczywiście jedynie brakło mu kasy – powiedziałem, bo nie mogłem uwierzyć, że chce zrobić „w konia” takiego dobrego pracownika. A jak Martin jest oszustem, to będę wiedział, żeby nikogo mu już nie posyłać.

—Tomek, umówiliśmy się, że gwarantujesz mi robotę przez pół roku, co najmniej. Ale nie za trzysta. Nie wierzysz mi, jak Ci mówię, że gra w ch***? – „Jakoś muszę go odwieść od tego telefonu. Wszystko się wyda”, pomyślał Artur. – Nawet z nim nie rozmawiaj, ja mam swój honor. – Uniósł się. Chyba jest przewrażliwiony na punkcie swojego honoru.

—A co z tą kasą? – zapytałem.

—Dobra, niech się nią wypcha. Dam sobie radę. A on się tym zakrzusi. Poradzimy sobie, Tomek. Tak? – Położył mi rękę na ramieniu, spoglądając ufnie w oczy.

– No dobra, jak chcesz. Ale ja już do niego nikogo nie pošlę, jak facet jest niepewny – powiedziałem zrezygnowany.

—Ty możesz w poniedziałek iść z malarzami, zobaczymy jak Ci

idzie malowanie, a ja w międzyczasie poszukam jakiegoś rozsądniejszego tynkarza.

Arturowi aż pot pojawił się na czole na samą myśl o pracy dla tynkarza.

—Ale do tynkarza, to za mniej niż 15 na godzinę, to nie idę. Ja już pokazałem, że jestem dobry.

„Jeszcze czego – pomyślał – wołami mnie do tynkarza nie zaciągniesz”.

—Malować umiesz, mówiłeś? – zapytałem dla pewności.

—Tomek, ja w budowlance wszystko umiem, tylko za ile? – nabierał z powrotem wiatru w żagle swojego bajeru.

—Tam będziesz tylko parę dni, aż Ci znajdę coś lepszego. Ja mogę Ci dać tylko tyle, co innym.

—Czyli?

—Dychę za godzinę. Wiesz, to jest dla Ciebie zajęcie na przeczekanie. Zamiast parę dni siedzieć w domu, będziesz miał robotę.

—Słabo. Daj dwanaście. – Targuje się ze mną.

—Nie mogę, bo pozostali mają dychę i byłbym wobec nich nie w porządku.

Nawet, jak będziesz tam tylko parę dni.

—Dobra, ale pod warunkiem. – O, to widzę, że to ja muszę się go prosić, żeby pracował. Coś mi tu zaczyna zgrzytać. Będą z nim najpewniej kłopoty.

—Jakim warunkiem? – wywarczałem, bo zaczyna mi działać na nerwy.

—Zapłacę Ci, jak pójde do innej roboty. Nie za to malowanie.

—Dobrze – powiedziałem, bo spodziewałem się innych warunków. A to sam chciałem mu zaproponować, bo jeszcze nie

zarobił. – To bądź gotów jutro o 7:15. Zawiozę Was i ja też udam się do pracy.

—Dobra, to do jutra.

I wysiadł, bo właśnie dojechaliśmy pod ich dom. Ja, oczywiście tylko zakręciłem na podjeździe i ruszyłem z piskiem, żeby odebrać malarzy i zobaczyć jak idą postępy.

Artur posiedział trochę w pokoju. Ale coś go nosi, nie wie, co zrobić.

„Znow mnie pośle do jakiegoś tynkarza i będzie kaszana” – pomyślał.

„Nic, nie będę się na głodnego wkurzał. Idę coś zjeść”.

I zszedł na dół. Sięgnął do swojej półki i wyciągnął pieczywo tostowe, 50 centów za paczkę. Z lodówki coś na kanapki. Serek tak topiony, że prawie nic nie zostało. 30 centów opakowanie. Pomidor i cebula w promocji, bo zarąbane współlokatorom.

Ale to wszystko robił automatycznie. Myślał o czymś zupełnie innym.

„Ciekawe czy on trzyma lewą kasę w domu? Nie za bardzo jest jak sprawdzić”.

W ręce trzymał nóż, bo właśnie kroił chleb.

„Czemu takiemu ku***sowi kasa sama leci do kieszeni a ja się muszę tak, k*** nakombinować? Jego wszyscy słuchają i się boją. Takiego lewusa, kur***” – I ze złości zacisnął dłoń na nożu i ostrym czubkiem porysował blat stołu.

„Ja go jeszcze wyroluję. I co ta laska widzi w tym cieniu? Jedną ręką bym mu dopie***”. – Jeszcze raz przejechał ostrzem po blacie.

Nagle usłyszał, że ktoś z salonu zmierza w kierunku do kuchni.

Czym prędzej odłożył nóż na miejsce. Złapał kanapkę w rękę i zaczął ją pożerać.

Janek wszedł do kuchni i zobaczył Arturka. Po minie Janka dało się zauważyć, że nie przepada za nim. Stanął w drzwiach, ale za chwilę podszedł do blatu i zaczął też szykować sobie kolację.

Nie rozmawiali ze sobą. Artur obserwował Janka i doskonale wiedział, że Janek go nie lubi. Zresztą wiedział też, że większość ludzi go nie lubi. Jest dla nich za sprytny. W międzyczasie do kuchni wszedł też Szymon.

Artur, mając widownię, przechodząc obok Janka, szturchnął go dosyć mocno, demonstrując swą siłę.

—Co tam, Janek? – rzucił kpiąco.

W tym momencie Janek złapał nóż, którym Artur przed chwilą rysował po blacie i skierował go w jego stronę.

—Słuchaj no, Artur, stary jestem, mnie tam nie zależy. Ale jeszcze raz mnie szturchnij, to Ci flaki wypruję i będzie po zabawie.

Artur zdębiał i nagle stał się o połowę mniejszy, kurcząc się w sobie.

—Za stary jestem, żebyś mnie tak szturchał.

—No co Ty, Janek? – Artur spuścił z tonu. – Na żartach się nie znasz? – zapytał pojednawczo.

—To sobie tak nie żartuj – odpowiedział. Zabrał sobie talerz z kolacją, ale i nóż.

I poszedł do salonu.

—Co on taki nerwowy? Żona go zdradza? – zapytał Szymona, śmiejąc się, Artur. —Janek to jest Janek – odparł dyplomatycznie Szymon i też udał się do salonu. „Długo tu nie dam rady z tymi skur***” – pomyślał Łysy. —„Trzeba ich wyrolować i spier***”.

I z tą myślą poszedł spać.

A że śniły mu się koszmary, rano zaspał i wstał wściekły.

—Wstawaj. – Patryk potrząsnął nim. – Tomek na Ciebie czeka. Dzwonił do mnie, że jedziesz z nim.

—A, no tak. Już idę, będę za pięć minut.

—Spóźnię się teraz do pracy – powiedziałem, jak już wsiadł.

—Sorry, zaspałem.

Zajechaliśmy na miejsce, szybko pokazałem mu, co ma dziś robić.

—Dolce z Gabanną dzisiaj zaczynają malować wszystkie drewniane drzwi lakierem bezbarwnym. – Z bagażnika wyjąłem parę puszek lakieru. – To dla Was.

—A Ty, Artur możesz zacząć malować elewację zewnętrzną. – Poszliśmy do pomieszczenia, gdzie trzymamy farby. – Tu masz farbę na zewnątrz, a tu wałek na wsięgniku. Wysoka drabina jest za domem. To możesz „lecieć” ścianę po ścianie. – Spojrzałem jeszcze na niego. – Wiesz, co i jak?

—No, Tomek! – Głębokie spojrzenie. – Przecież wiesz. Jeszcze im przyjdę pomóc później.

—Dobrze. – powiedziałem. – To do 18-ej.

I ruszyłem do pracy.

Artur poprzeciągał się jeszcze zaspany, po czym poszedł do Stolca i Kaban... Przepraszam. Do Dolca i Gabanna.

—Co tam, zaczynamy? – zapytał rozpoznawczo.

—Nie ma stresu – powiedział Gabanna. – Robota nie zając.

Ale wówczas podszedł Dolce, który już szykował pędzle i ocenił stan drzwi.

—Dobra, Gabban. Jedziemy. Musimy pomalować te wszystkie drzwi. Później zrobimy sobie przerwę.

I ruszyli wspólnie.

Artur postać chwilę, po czym też poszedł jednak trochę

popracować. Chwycił drabinę. Zaniósł ją do pierwszej ściany. Ustawił i zaczął wchodzić.

I nagle okazało się, że to bardzo wysoko...

„Ten cholerny lęk wysokości” – pomyślał i zszedł.

„Zacznę na dole, ale będę musiał wymyśleć jakiś kit, czemu nie zrobiłem góry”.

Po paru godzinach Gabanna przyszedł do Artura, zobaczyć postępy.

—Jak tam idzie?

—Dobrze, tylko nie mogę zrobić góry, bo drabina jest rozwalona.

„Przeze mnie” – dodał w myślach.

—Chodź na przerwę. Śniadanie. Zrobimy sobie teraz przerwę, bo później przychodzi ten Irlandczyk, który te chaty buduje.

—Tak? To on przychodzi, żeby kontrolować Tomka?

—Może. Nie wnika. – Gabanna bardziej był zajęty myślami o śniadaniu.

—Idźcie. Zaraz przyjdę. – A w głowie zaświtał mu nowy pomysł.

Po paru minutach Artur wrócił do nich uśmiechnięty „od ucha do ucha”.

—No i jak tam, malarze? Idzie jakoś? – zapytał.

—Powoli – odparł Dolce. – Tak jak Tobie – dodał złośliwie.

—Ja tu tylko na parę dni. Nie będę wam roboty zabierał. – Ale coś jeszcze przyszło mu do głowy. – A zresztą, jak ja będę jechał tak jak zwykle, to was później Tomek opierniczy, że wolno robicie.

—No..., dzięki. Spoko jesteś koleś – odparł Dolce, bo wiedział dobrze, że Gabanna, jego przyjaciel i nie tylko, opiernicza się cały dzień. Więc na pewno da się to zrobić dwa razy szybciej. Ale Tomek na razie się nie czepia, więc jest w porządku.

—To o której, mówicie, przychodzi ten Irol?

—Zwykle około 12. Pogada z sąsiadem i wraca do siebie.

—Co za koleś?

—Spoko. Taki sympatyczny facet. Kiedyś nam nawet po tym irlandzkim rollu przywiózł.

Posiedzieli oczywiście dwa razy dłużej, niż wypadało. Mają płaconą stawkę godzinową. Wiadomo, czy się stoi, czy się leży..., itd.

W końcu jednak znów ruszyli do boju.

Artur wziął się za przednią ścianę. Chciał zobaczyć, jak ten koleś przyjedzie.

W końcu przyjechał. To chyba on. Artur odłożył wałek i podszedł do niego.

—Hełoł! – rzucił, jak ten go tylko zobaczył.

—Hi! – odpowiedział Irlandczyk i przyjrzał się Arturowi, bo nie widział go tu wcześniej.

—Mi Artur – przedstawił się i wyciągnął rękę na powitanie. Nadal nie wiedział, że to nie jest tu w zwyczaju.

Mimo to, Irys potrząsnął dłonią.

—Ajm pejnter. (Ja malarz). – Pokazał palcem na siebie i wypiął klatę, jakby był z Delta Force. – Professional. – Wypiął klatę jeszcze bardziej.

—Dobrze – odparł krótko Irlandczyk, lekko zdziwiony. Przecież nie spodziewa się, że fryzjer będzie mu malował dom...

—Dys noł Gut. (To nie dobrze). – No i nie wiadomo, czy drewno liche, czy malarze do kitu. – Aj szoł ju. (Ja pokazać ty). – Teraz chodziło mu o to, że pokaże, o co mu chodziło.

I poszli. Artur przodem, jakby prowadził skazańca na ścięcie. John, Bo tak ma na imię Irlandczyk, jak skazaniec z tyłu. I podobnie się czuł, bo nie bardzo wie, o co chodzi.

A plan Arturka od śniadania był prosty. Wygryźć Tomka z następnego kontraktu. Już wszystko przygotował. Teraz zbierze jedynie plon.

Dwaj projektanci (Dolce i Gabanna) specjalnie hałasowali na górze tak, jakby wyburzali ściany, a nie malowali. Wiadomo. Przychodzi szef – muszą być decybele. Łysemu o to chodziło, bo nie będą słyszeć, co on mówi.

Podprowadził Johna do pierwszych drzwi.

—Luk. (Patrz). – Przeciągnął dłonią po drewnianej, lakierowanej ramie. Drugą dłonią wskazał dyskretnie w kierunku głośnego duetu. John zrobił to samo. Pod dłonią poczuł taką szorstkość, że wystraszył się, że zedrze sobie skórę z dłoni.

Ale Artur ciągnie wątek i powtarza tą samą prezentację przy drugich drzwiach.

—Gut? (Dobrze?) – zapytał dla formalności.

—No! (Czyli „nie”) – odparł John, trochę zmieszany.

—Aj du perfekt łork. Ju łont? Aj next hałs. (Ja robię perfekt robota. Ty chcieć? Ja następny dom). – Irlandczyk otworzył szeroko oczy i patrzył coraz bardziej zdumiony. Co to za koleś? Co jest grane?

Oczywiście, cwaniaczek nie powiedział mu, że w przerwę wsypał do puszek z lakierem piasek, przed ostatnim malowaniem.

—Ju fynk? (Ty pomyśleć?) – zapytał Artur, przekonany, że właśnie dopina deala.

—OK., I will think about it. (Dobrze, przemyślę to).

I poszedł. Zapomniał nawet obejrzeć resztę domu, by ocenić postęp prac.

Po wejściu do auta pierwsze, co zrobił, to zadzwonił na swój numer telefonu.

—Cześć, Tomek, jak leci?

—Wszystko dobrze, a u Ciebie?

—Dobrze. Możemy spotkać się jutro?

—Dobrze, w porze obiadowej, o czternastej?

—W porządku.

Po wyjściu Johna Artur poszedł na górę, do Dolce & Gabanna.

—Dobra, już nie musicie się tak popisywać – krzyknął, bo musiał przebić hałas, który tworzą. Obaj przygotowali sobie szlifowanie drzwi na wejście Johna, lub moje. Teraz myśleli, że to Irlandczyk wchodzi na górę. Papier ścierny w ich rękach nie daje już rady. Ledwie zipie.

Oni odwrócili się prawie równocześnie, a na ich twarzy malowało się zafascynowanie procesem tarcia.

—Już poszedł sobie.

—Poszedł? – zdziwili się. Zawsze wszystko sprawdzał. A teraz co? Artur dostrzegł to zdziwienie i jak zwykle, wykorzystał okazję.

—Pokazałem mu jak idzie malowanie z zewnątrz i tylko pokazał kciukiem „OK”.

A gęba mu się śmiała.

—Tak? – To jedyne, co dali radę powiedzieć.

—No i powiedział, żeby trzymać tu oko na całość. Bo widzi, że się opierniczacie.

Już mieli zaprotestować, ale rola by już rozpisana. Podniósł dłoń i powiedział.

—Spokojnie. Nie jestem taki. Ja Was kryję, Wy pomagacie mnie i jest dobrze.

—?

—Powiedziałem mu, że dobrze pracujecie, tylko Tomek farby jakieś z wyprzedazy kupił. – Ponownie wypiął klatę. – Następny

kontrakt to ja będę dla niego robił.

Malarze wytrzeszczyli swoje cztery oczka, niczym całe stado żab.

—Spokojnie. Jak będziemy żyć w zgodzie razem, to Was wezmę do tej roboty.

— Widząc ich zbiecie z tropu, dodał na deser: — A coś mówił o jakimś osiedlu do malowania.

Boys spojrzeli na siebie, kiwnęli głowami i Dolce powiedział;

—To trochę tak... — Szukał właściwego słowa. — Nie w porządku.

— Znalazł. Nastąpiła jednosekundowa pauza. Ale bojąc się tego, co powie Artur, od razu dodał:

—Ale praca jest praca. Jak zapłacisz, to zrobimy.

—Ok, to jesteśmy ustawieni.

Po tym wrócili do zwykłych zajęć.

Czyli Artur poszedł na dół, dalej obmyślać spiski, a chłopcy, jak Łysy zszedł na dół, zajęli się tym, co poprzednio. Dolce malował drzwi, a Gabanna miętolił słomkę w ustach i nawijał do Dolce.

W tym czasie zadowolony Artur z zapalem zaczął malować ścianę. Nawet lęk wysokości mu zniknął i pogwizdując, malował ścianę za ścianą, jak nigdy w życiu. Kiedy tak leciał wałkiem, usłyszał za sobą czyjś głos.

—Hello!

Łysy obrócił się i o mało nie spadł z drabiny. Udało mu się jednak utrzymać równowagę i odpowiedział;

—Heloł.

—John told me to ask you a favor.(John powiedział, że mogę Cię poprosić o przysługę). — I zamachał ręką, prosząc, żeby zszedł i poszedł za nim.

Artur z tego angielskiego zrozumiał tylko machnięcie ręką. Poszedł za nim do domu obok. Przeszli przez korytarz. Artur

automatycznie rejestrował wartościowe fanty. Tak na wszelki wypadek.

—I want You to fill and paint few chips. I will pay, of course. (Chcę, żebyś załatał i pomalował parę dziur. Zapłacę). – I pokazał miejsca.

Z tego angielskiego Łysy też najlepiej zrozumiał dziury i ostatnie słowo.

—Łan moment – powiedział i poszedł po szpachlę i farbę.

Kiedy wrócił, sąsiad kręcił się w kuchni i nie przeszkadzał mu w pracy.

Nie, nie mówię o malowaniu. Arturkowi dopisało szczęście i wyhaczył klucze od mieszkania. A chodząc po domu i szukając niby-dziur, zapamiętał co bogatsze okolice.

„Naprawdę, jak już idzie, to już idzie” – pomyślał, uradowany.

„Dzisiaj to nawet bank szwajcarski dałbym radę obrobić.” – Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Kiedy właściciel domu chciał mu zapłacić za usługę, Artur wspaniałomyślnie machnął ręką.

—Noł, Ok. – powiedział, jak umiał. A pomyślał:

„Nie chcę tych groszy. Wezmę sobie zapłatę, jak wpadnę przy okazji”. – Bo, jak wiadomo, to ona czyni Artura.

Rozdział 24

Pati nożownik – reaktywacja. I na co nasze spory głupie. I tak wszyscy skończymy w „mamrze”.

Pierwsze aresztowania. Co teraz?

*

—Patryk, gdzie Ty jesteś? – zadzwoniłem, bo znowu nie wiedziałem, czy mam go przywozić, czy nie. Wolałbym nie kręcić się

w kółko niepotrzebnie.

—W domu. A co?

—Nie, tak pytam, bo mi zniknąłeś z radaru – zazartowałem. – To nara.

—Nara.

„Normalnie, ten Tomek to jakiś śpiący dzisiaj” – pomyślał Patryk, krojąc schab na kotlety w plastry. Kupił je, kiedy byli z Marvynem na przerwie śniadaniowej w Galway. Zobaczył dobrą cenę, to grzech byłoby nie wziąć. Obok leży kurczak w przyprawach. Czeka na „solarium”.

Więc teraz stoi i tnie, choć najchętniej już położyłby się do łóżka i odpoczął. Większość chłopaków jeszcze w pracy. W domu jedynie Janek, ale on chyba właśnie „walnął sobie” drzemkę. I Artur. Chyba bierze prysznic, bo słysząc lejącą się wodę.

Patryk już prawie kończył, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. No, przecież tak nie polecę z utyłanymi rękami. Może Janek nie śpi.

—Ding-dong.

—Janek, śpisz? – krzyknął, choć bez większej wiary.

—Ding-dong, ding-dong! – Dzwonek dzwonił coraz bardziej natarczywie.

—Cholera. Na co dzień tutaj ludzi jak mrówek, ale jak coś trzeba, to nie ma nikogo. – Rzucił kotlety na deskę, a sam, z nożem w ręce, ruszył w stronę wejścia.

Przekręcił zamek i łokciem otworzył drzwi w ten sposób, że rękę z nożem trzymał za drzwiami, łokciem kontrolując klamkę. Udało mu się jakoś wyrzucić.

Zbaraniał. Przed drzwiami stało dwóch Gardziarzy (policjantów). Spojrzeli na niego, na siebie. Wyglądało to tak, jakby nie wiedzieli

jak zacząć.

—Ortr – teraz policjant zaczął patrzeć na kartkę papieru, jakby pierwszy raz zobaczył litery – Czszesiasz, yes? – Zapytał ten wyższy z nadzieją.

—Artur Szczęściarz – poprawił ich. – JEST – potwierdził.

—You will go with us. (Pójdiesz z nami!) – powiedzieli i ten niższy już się zbierał, żeby złapać Patryka za rękę i założyć mu kajdanki. Patryk, kiedy to zobaczył, zgłupiał całkiem. Chciał wytłumaczyć, że Artur jest, ale na górze. Uciekł z ręką, otworzył drzwi szerzej, żeby im pokazać schody. Tylko, że te schody wskazał im ręką, w której trzymał nóż!!!

W oczach irlandzkich policjantów widać było przez moment zaskoczenie, ale ten wyższy w momencie zrobił szybki krok do przodu, złapał Patryka za nadgarstek dłoni z nożem, kiedy ten próbował im pokazać schody.

Dalej poszło łatwo. Fachowe wykręcenie ręki, Patryk pada na podłogę, obaj policjanci siadają na niego. Mimo, że Patryś stara się coś wytłumaczyć, Gardziarze zakładają mu kajdanki i wyprowadzają czym prędzej do radiowozu, pozwalając mu nosem zbadać gładkość asfaltu.

Prawdziwy Artur usłyszał hałas. Wygląda z łazienki. Ale kiedy dostrzega, co się dzieje, delikatnie przymyka drzwi, a następnie obserwuje sytuację przez szparę.

Janek śpi w najlepsze. Granatów nikt nie rzucał, więc dlaczego miałyby się obudzić?

Patryk, zapakowany do radiowozu i obezwładniony, stara się coś wytłumaczyć.

—Artur w kiblu! – krzyczy biedny Patryk.

—Artur kill you? (Artur Was zabić?) – powtórzył jeden

z Gardziarzy. – This is punishable treat! (To jest groźba karalna). – Ucieszyli się, mając nowy zarzut.

—Nie wiem, co Wy mówicie, ale to jest pomyłka! – Już nie wie, jak się wytłumaczyć. Oni jednak zrozumieli, że ich obraża.

—You are „pomyłka”. (Ty jesteś „pomyłka”) – odpowiedzieli mu zadowoleni z wzorowo przeprowadzonej akcji i uśmiechnęli się do siebie.

Kiedy ruszyli, ten niższy, prowadząc auto zadzwonił na posterunek, że zgarnęli figuranta i potrzebują kogoś do zabezpieczenia rzeczy zatrzymanego. W tym celu ktoś na komisariacie skontaktował się z właścicielem domu. Czyli z Patem Blackiem. Kazali mu niezwłocznie stawić się pod w/w adresem.

To „niezwłocznie” musiało potrwać, bo Black w najlepsze urzędował sobie w pubie.

W Ballihaunis. Trzydzieści kilometrów stąd. Zatem Garda wysłała radiowóz po niego. Pół godziny w jedną stronę, pół godziny w drugą stronę.

Kiedy podjechali pod właściwy adres, po prawdziwym Arturku ślad już zaginął. Nawet jego włosy z pleców spłynęły już łazienkową kanalizacją. Zadzwonili do drzwi.

Cisza. Wyższy rangą oficer kazał drugiemu obserwować tył budynku, czy nikt nie stara się uciec lub coś wyrzucić przez okno.

Tak na wszelki wypadek, bo przecież figuranta już mają.

Kolejny raz zadzwonił. Teraz już bardziej natarczywie. Brak odpowiedzi. Spojrzał na Blacka.

—Can we go in? (Możemy wejść?) – Pat pokiwał jedynie twierdząco głową.

Gardziarz nacisnął klamkę. Otwarte.

—Helllooo! – powiedział jeszcze przez lekko uchylone drzwi.

Cisza.

A Jasio dalej spał w najlepsze. Coś tam do niego zaczęło docierać, że ktoś uparcie dzwoni. Ale w półśnie nie był w stanie uświadomić sobie, że nikogo nie ma w domu. Przez sen powyzywał na tych wszystkich „miastowych” obiboków, którym nawet otworzyć drzwi się nie chce.

„Noooo, w końcu” – pomyślał, kiedy dzwonki ustały. I znów zapadł w sen. Śniła mu się Bronia z obornika... Ups, przepraszam, z Obornika Śląskiego. Poznali się w sanatorium w Ciechocinku. Tam gdzie las zdrojowy.

Hmmmm. Bronia, jego prawdziwa, choć niespełniona miłość.

Był tam pierwszy raz. Właśnie przechodził obok grupy pijącej wodę z sanatoryjnego źródła, kiedy usłyszał kobiecy szept zaraz za swoimi plecami;

—Ale śmierdzi zgniłymi jajami. – W momencie odwrócił się i nie myśląc wiele wypalił;

—Oooo! Przepraszam Panią bardzo. Może ja i nie jestem najmłodszy, ale kąpię się regularnie raz w tygodniu. A takie grubiaństwo nie wypada – spojrzał na nią – nawet takiej młodej kobiecie.

Cała grupa emerytów (bo i ona tylko wyglądała młodo) zaniósł się takim śmiechem, że po wszystkim trzeba było przeprowadzić dwie hospitalizacje i nastawić jedno złamanie ręki staruszka, który ze śmiechu spadł z ławki. W ten sposób się poznali. Później było już tylko lepiej, bowiem okazało się, że ona mówiła nie o nim, tylko o tej wodzie leczniczej do picia...

Teraz widzi ją znów. Idą alejką. Ona spogląda mu głęboko w oczy i mówi:

—Wiesz, Jasin, ja Cię kocham. Czuję się przy Tobie tak młodo,

że muszę powiedzieć tak, jak mówią młodzi: „AJ LOVE JU”!

I położyła mu dłoń na ramieniu, potrząsając nim lekko. Janek jakby budził się z letargu. Ujął jej dłoń, otworzył szeroko oczy i patrząc w twarz też powiedział;

—AJ LOVE JU!!! ..

W tym momencie, zamiast twarzy Broni, ujrzał zdziwioną twarz faceta w czapce z napisem „GARDA”...

Obudził się w jednej chwili. Machinalnie złapał napastnika za rękę, spoczywającą na jego ramieniu.

Zdębiały Gardziarz, stojący nad jego łóżkiem, uwolnił czym prędzej swą „broniową” dłoń z Jankowego uścisku.

—What da f@ck!! – przeklął, robiąc krok w tył.

Janek z oczami, jak dwa spodki, zerwał się z łóżka i stanął twarzą w twarz z oficerem.

Irlandczyk w mundurze i Janek w majtkach. Dobrze, że nie odwrotnie. Bo to by całkiem zmieniło postać rzeczy.

Przez chwilę spoglądali sobie głęboko w oczy, niczym para kochanków, nie wiedząc, co zrobić.

Janek, ze wstydu i wściekłości zamachnął się na policjanta, żeby rzucić mu tą „głupią czapkę” ze łba. Ale oficer już się zreflektował i sprawnym ruchem unieruchomił Janka, przewracając go na łóżko.

—Are there only freaks, living in this house? (Czy tu mieszkają same czubki w tym domu?) – zapytał Pata, który stał za nim i tłumił śmiech.

—Do you speak english? (Mówisz po angielsku?) – zapytał policjant Janka.

—Jak Ci zaraz „spikne”, to Cię rodzona matka nie pozna, Ty gangsterze jeden!!!

– wyrzucił z siebie Jan, próbując się wyrwać. Bez rezultatu. –

Puść mnie, bo jak Cię złapię, to Ci tak przyfandzole, że zobaczysz! – Znow spróbował się uwolnić. – To tu policja gorsza, niż za komuny w Polsce.

—Easy, slow down. (Spokojnie) – powiedział Gardziarz. – I dont want to hurt you. (Nie chcę Cię uszkodzić).

—„Helciu”! Nie jestem żadna „Helcia”! Janek jestem, baranie. To pewnie z owcami przebywa na co dzień, to głupie jak baran. – Ale już opadł trochę z sił, więc uspokoił się mimowolnie.

—O co chodzi? O tą zgrzewkę piwa, co żem przy pabie znalazł? To zaraz odkupie, cholera, a nie człowieka na ziemię od razu za parę piw – powiedział już uspokojony, a nawet zszokowany, skąd to wiedzą?

—Slow down. (Uspokój się). Do you speak english? (Mówisz po angielsku?)

—Nain – odpowiedział. – Nie fersztejen.

Irlandczycy spojrzeli na siebie zrezygnowani. Blackowi przyszło do głowy rozwiązanie problemu.

—Officer, Ill ring Tom, the polish man speaking english. (Oficerze, zadzwonię do Toma, Polaka mówiącego po Angielsku). – Policjant pokiwał twierdząco, ucieszony.

Kiedy Janek wesoło baraszkował sobie w bieliźnie z policjantem, w stronę domu co chwilę zmierzał jakiś mieszkaniec polskiego pochodzenia.

Pierwszy szedł Szymon. Radiowóz dostrzegł stosunkowo szybko. Ale jeszcze nie widząc w tym nic strasznego, szedł dalej.

„O cholera! A jak to akcja pirat? Wyśledzili mnie w sieci i teraz dupną wszystkie moje „pirackie” płyty z muzą i filmami. Przejdę dalej i poobserwuję”. – I tak jak pomyślał, tak również zrobił. Przeszedł dalej i zatrzymał się dopiero przy rondzie. Postał chwilę,

obserwując. Nie wiedział, co zrobić, więc udał się w stronę miasta.

„Zaraz zadzwonię do Tomka i zapytam, co jest grane”.

Teraz nadjeżdża drugi polski „bohater”, co to jego przodkowie krew za ojczyznę...

Pavarotti. Jedzie firmowym vanem. Przy rondzie, jak tylko zobaczył Gardę pod domem, zahamował odruchowo.

„O, k*** A Ci skąd wiedzą? Ktoś mnie pod***ał”. I zamiast skręcić w pierwszy zjazd, zjechał z ronda drugim i pojechał prosto.

„Może za mną nie pojedą” – pomyślał.

„Musiał mnie Mietek podjechać, że biorę te miedziane kable na złom z budowy. To kut*** zaj*** ch***a, jak go dorwę”. Zatrzymał auto przy drodze, odczekał chwilę. Nie jadą za nim. To może to nie do niego? Ale na wszelki wypadek wyszedł z auta, podszedł do najbliższych drzwi i zadzwonił. Żeby mieć alibi, jeśli chciałoby się im ruszyć za nim. Zawsze może powiedzieć, że szuka roboty dla szefa.

—Hello? – zapytał jakiś zdziwiony głos zza drzwi.

—Hello, I am looking for a train station. (Witam, szukam dworca kolejowego) – rzucił, niby zagubiony.

—You have to go back to...(Musisz wrócić do). – Dalej już nawet nie słuchał, tylko obserwował radiowóz.

—Ok. Thanks. (Ok., dziękuję). – Wrócił do vana. Odpalił i po woli odjechał na stację paliw, przeczekać sytuację.

„Gdzie ci mężczyźniiii, wspaniali tacy! Orły, sokoły, herosy?” – Można by zacytować słowa piosenki Danuty Rinn. Kto tej Polski będzie bronił przed wrogiem? Ładnie to tak zwiewać z „pola walki”? Jak tak dalej pójdzie, to nawet wojakowi Szwejkowi się poddamy!

Ale jest nadzieja. Idzie następny Polak. Ten to nawet krok ma „bohaterski”. Czołgista „w stanie spoczynku”. Ale piechur za to

aktywny. Całą miejscowość obchodzi każdego dnia, zbierając, co los mu zesłał. Wszystko przez to, że w telewizji mówili, że pieniądze leżą na ulicy. No to chodzi i szuka. A że nie może znaleźć kasy – zbiera, co jest. Gwoździe, śrubki, nakrętki, majtki i nawet dętki!

Po tym programie, czterdzieści pięć lat temu, wyszedł na ulicę poszukać. Rzeczywiście znalazł zaraz dwadzieścia groszy. Później już szło gorzej. Ale wciąż żyje nadzieją.

W każdym bądź razie, Miecio Wojak tnie do przodu, aż miło. I już doszedł do domu. Już jego jedna noga rozpoczęła skręt w lewo na podjazd...

Właśnie wówczas dostrzegł w radiowóz.

Dopiero wtedy, bo jego wzrok zawsze skierowany jest na chodnik. Może po części dla bezpieczeństwa. W Polsce na chodniku można sobie połamać nogi. Ale nie tu. Janek chodzi z „nosem w ziemi”, bo jego nos działa jak wykrywacz metalu. A dokładniej; monet, zapalniczek, spinaczy biurowych, itd. Zbiera wszystko, co w Polsce ma wartość w sklepie, lub skupie złomu.

I teraz o mało go to nie zgubiło. W ostatniej chwili zawrócił, wracając na główny chodnik i poszedł prosto.

„Cholera jasna. To pewnie wtedy, jak piłem wino w tym parku to mnie jakoś zapisali. Dowodu im nie dawałem, ale może mnie śledzili? To teraz mnie „udupią”. Mandat jak nic. A jak pogrzebią w domu, to po mnie. Znajdą te dziesięć kartonów ruskich fajek i mnie zamkną, albo wyślą z powrotem do Polski”. – Chwilę pomyślał. – „Dobra, podejść ich podstępem. Zrobię kółko i poczekam przy rondzie, aż odjadą”. – No i rozpoczął pierwsze okrążenie, jak kolarz podczas Wyścigu Pokoju.

Zniknął za rogiem, oglądając się czasami, czy nikt za nim nie biegnie.

Tymczasem z pracy, autem wraca Lutek z Konarem, którego odebrał po drodze.

—Znów się nagrzej pewnie – powiedział Konar do Lutka. – Po „chlebek tylko wskoczę” – przedrzeźniał Wojtka Windowsa. I roześmiali się razem.

—No, prawie jesteśmy – powiedział kierujący, jak już przestali się śmiać. – Jeszcze tylko rondo i...

—O, ku***! A to co? – rzucił, wjeżdżając na rondo. – Garda się „czai” przy naszej chacie – powiedział do Konara.

—Albo mają patrol, albo ktoś im powiedział, że nie mamy ubezpieczenia i taxu na auto – dodał zdenerwowany. Oczywiście, pojechał na rondzie prosto, udając, że taki był jego cel od początku. Po plecach pociekła mu stróżka potu. „Ja to się zawsze w coś wpakuję! Co za los”. Zatrzymał się przy jakimś domu.

—Co robimy? Przecież nie podjadę, bo zaraz nas sprawdzą. – Spojrzał na Konara.

—Poczekaj – szepnął, nie wiadomo czemu, Konar i wysiadł z auta.

Podszedł do najbliższych drzwi i zadzwonił.

—Hello? – usłyszał zdziwiony głos Irlandczyka za drzwiami. A zdziwiony irlandzki „głos za drzwiami” pomyślał;

„Kogo znów licho niesie?” Dopiero, co tłumaczył komuś drogę na dworzec.

—Hi, I am looking for a train station. (Szukam dworca kolejowego) – rzucił, czym wprowadził Irlandczyka w osłupienie, choć nie mógł tego widzieć. Czyżby przenieśli stację w jakieś nowe miejsce, że nikt jej nie może znaleźć? Niiieee, przecież jeszcze wczoraj tam była.

—What da f@ck! Is it any information? F@ck off!!! (Co do licha,

czy to jest informacja? Odchrzań się). „To musi być jakaś akcja Gardy. Pewnie ktoś im sychnął, że sobie dorabiam dragami. Trzeba szybko to spuścić w kiblu” – pomyślał zestresowany Irlandczyk i biegiem ruszył w stronę salonu, żeby całą miesięczną „wypłatę w proszku” przepuścić przez muszlę.

A Konar zdębiał, stojąc przed drzwiami. Pewnie, gdyby nie sytuacja, walnąłby pięścią w drzwi, przebijając je i łapiąc tego prostaka z drugiej strony za szyję. Ale teraz z pewnością nie chciał robić hałasu.

—I am sorry – powiedział grzecznie i wrócił do auta.

—Dajesz, wracamy do miasta – wycedził do Lutka i już ich nie było.

Ufff, kolejni uratowani od tortur i morderczych przesłuchań. Co za ulga.

Ale nie, to nie wszyscy! W paszczę lwa właśnie zmierza, nieświadom zagrożeń, wesoły, uśmiechnięty Wojtuś „Windows”. Od czasu, gdy opuścił Konara i Lutka, „obalił” w drodze jedno winko i teraz marzy o drugim. I już wychodzi zadowolony zza zakrętu od strony apteki, wesoło huśtając reklamówką z kolejnymi winkami, kiedy zauważa radiowóz i nagle trzeźwieje. Ale to straszne doświadczenie! I dodatkowo, jaka strata. Nie po to wydał tyle na winko, żeby zaraz wytrzeźwieć! To winko miało go chwilę „trzymać na fazie”.

„To pewnie ta głupia sklepowa doniosła, że nietrzeźwy kupiłem te wina. Mogłem kupić ze dwa, a nie sześć. To mnie teraz złapią i zabiorą wszystkie”. – Zatrzymał się na chwilę, chwiejąc się w miejscu. – „Co robić? Może nikt mnie nie widział. Idę do parku i tam przeczekam” – pomyślał, a następnie zawrócił w stronę, z której nadszedł.

—Stop! (Stój) – usłyszał głos z boku. Spojrzał w tą stronę. „O ja cię kręcę! Gardziarz!” – pomyślał i bezwiednie zaczął uciekać, żeby uratować biedne wino przed złym policjantem.

„Raz Tomek, raz Garda! Wszyscy chcą mi zabrać wino! A co to ja Caritas jestem?” – I przyspieszył, jak mu się wydawało.

Ale Gardziarz widział to inaczej. Biedny Wojtek zrobił tylko dwa kroki nogami. Reszta ciała kontynuowała ucieczkę, ale nie dogadała się z nogami. W związku z tym Wojciech runął, „jak długi”. A nawet „jak długi i szeroki”.

Upadkowi towarzyszył odgłos tłukących się butelek, robiąc hałas, niczym w punkcie skupu.

Oficer spojrzał na uciekającego osobnika z reklamówką. Widząc, że uciekinier jest nie do końca uciekinierem, podszedł do niego niespiesznym krokiem.

—Wszystko dobrze? – zapytał, sprawdzając, czy nic mu się nie stało.

—W porządku – wymamrotał Wojtek. Może i wzrok miał mętny, ale wyczulony nadal na to, co najważniejsze. Nagle przestało mieć znaczenie niebezpieczeństwo. Nieważne, że policja go goni. Istotne, jak wina przeżyły ten upadek.

—Mnie nic nie jest! Ratuj wina! – krzyknął zrozpaczony z nosem w żwirze, widząc, jak marnuje się jego dobytek.

Irlandczyk oczywiście nie zrozumiał słów, ale podchwycił zbolale spojrzenie, skierowane na reklamówkę. Poszedł więc zabezpieczyć kontrabandę. Odchylił brzegi reklamówki bardzo delikatnie, jak gdyby spodziewał się tam raczej nitro--gliceryny, a nie zestawu tanich win. Zapach dochodzący z środka spowodował, że Irlandczyk stracił zainteresowanie zawartością. Podszedł do konesera trunków.

—Come on. (Chodź.) – Złapał Wojciecha pod ramię i pomógł mu wstać. To znaczy, chciał mu pomóc wstać. Ale Wojtkowi właśnie „weszło w nogi” wino, zdegustowane po drodze. Co podniósł się z pleców, to przewracał się na front. Jak wstał na kolana i starał się z pomocą oficera stanąć prosto, to obalał się do tyłu. Jakby puścić to w przyspieszonym tempie, mielibyśmy „wańkę-wstańkę”.

Podczas gdy bawili się w naukę wstawania i pady, drugi Gardziarz z Blackiem zmagali się z Jankiem.

Janek już założył spodnie, zapalił papierosa... eee, nie, przecież on nie pali.

A na komisariacie, w celi siedział już sobie Patryk. Policjant ścigał jego odciski palców.

—Mi nie nóż na Garda – starał się, jak mógł wytłumaczyć, że wcale nie zamierzał atakować nożem Policjanta.

—Ok, ok, will be all right. (Ok, ok, spokojnie. Wszystko będzie dobrze). – I odcisnął kolejny palec.

—Mi nie Artur. Mi Patryk. (Ja nie Artur, ja Patryk) – dalej nawija, zrozpaczony.

Ale Gardziarz usłyszał: My name Artur. (Mam na imię Artur).

—Yes, we know it. Thats why you are here. (Tak, wiemy. Właśnie dlatego jesteś tutaj). – Ale Patryk tylko patrzy na niego wielkimi oczami. Pomyślał, że nawet nie może zadzwonić do Tomka, wytłumaczyć im, że to pomyłka. Ale przecież pierwsze, co zrobili, to zrewidowali go i odebrali mu wszystkie przedmioty. W tym telefon.

Teraz dostał własny pokój i drzwi za nim się zamknęły.

„Cholera, się porobiło. Co ja żonie powiem? Że się z nożem rzuciłem na gliniarza? Przecież mi nie uwierzy, jak Gardziarz

powie coś innego. A w dodatku przecież ich było dwóch. A jak mnie wsadzą? Ciekawe ile można dostać za napad z bronią w rękę. Zachciało mi się Irlandii. Nie mogłem sobie siedzieć w Polsce i zarabiać te marne pieniądze?! A tu ze mnie kryminalistę zrobią.

Ale wstyd na wsi!!! Przecież już nigdy nie pokażę się w kościele, jak w końcu wyjdę z paki! A może nie będzie tak źle, może już nie będą pamiętać, jak wyjdę za pięć lat.” – Przespacerował się po celi nerwowym krokiem. – „A jak mnie wsadzą do celi z jakimś murzynem? Przecież taki murzyn to nie patrzy, że mam żonę. Wszystko przeleci!!! Cholera, przewalone!”. Podrapał się po głowie. – „A jak Pat się dowie, to mnie zaraz wyleje z roboty. Co on sobie pomyśli? Niby taki spokojny Polak, a już w pudle siedzi. Ciekawe, czy mają tu przysłowie, że cicha woda brzegi rwie?”.

W tym czasie siedzę sobie spokojnie w domu i o niczym nie wiem. Leżymy w naszym pokoju, w łóżku. Oglądamy z Alicją na przenośnym odtwarzaczu DVD komedie: „Narzeczoną z moich koszmarów”. Płaczymy prawie ze śmiechu.

—Oooo, ha, ha, ha! Nie mogę! – łzy lecą mi ciurkiem ze śmiechu, kiedy ona na plaży sika na niego, żeby zdjąć meduzę, przyssaną do jego pleców.

—Drrrrń, drrrrrń. – Zerkam w stronę telefonu, leżącego na szafce nocnej.

—Nieeee, nie teraz – mówię. Mam nadzieję, że drugi raz nie zadzwoni. Wiem, że to nikt ze znajomych, bo na każdy ich numer mam ustawiony inny dzwonek. Wiem od razu, kto dzwoni. Ale tym razem to standardowy sygnał, tak więc to żaden Polak.

—Drrrrń, drrrrrń! – dzwoni jednak wciąż natarczywie.

—No nic, muszę odebrać. Może jakiś Irlandczyk szuka

pracownika – powie-działem do Alicji i zatrzymałem na chwilę DVD.

—Hello, it's Pat Black. Can you come to 12 Kilkeevan? (Cześć, tu Pat. Możesz przyjść tu pod 12?) – zapytał, a ja wyczułem powagę w jego głosie. Ale komedia była taka fajna, że nie poddawałem się łatwo.

—What happened? Can't we meet tomorrow? (Coś się stało? Nie możemy spotkać się jutro?) – zapytałem jednak z nutką nadziei.

—No, it's serious thing. You have to be here. (Nie, to poważna sprawa. Musisz tu być) – Usłyszałem chłód w jego głosie.

—Ok, I'll be there in two minutes. (Ok, będę tam za dwie minuty). – Coś musiało się stać. Co tam nawywijali? Może szybę wybili po pijanemu, albo pobili się o flaszkę. No, chyba że to Konar, to mógłby „wpruć” nawet za talerz ziemniaków.

—Muszę iść, Alu. – Spojrzałem przepaszającym wzrokiem. – Black dzwoni. Pewnie głąby szybę stłukli, albo mu dywan poplamili. Zaraz wrócę. Poczekaj, to dokończymy wspólnie oglądać komedię.

—Zawsze jakiś problem z nimi. Dałby sobie spokój. Więcej masz zamieszania z nimi, niż to warte – powiedziała z wyraźnym wyrzutem.

—Wiem, też mnie to zaczyna już drażnić. Może im niańkę wynajmę. Tylko tak brzydką, żeby nawet Mietek Wojak się na nią nie rzucił.

—Ha, ha, ha. Masz szczęście, że mnie chociaż rozśmieszyć zawsze potrafisz, bo inaczej miałbyś u mnie przechlapane! – odparła, dając mi lekkiego kuksańca w bok.

Zszedłem z łóżka, założyłem spodnie, sweter. Zabrałem kluczyki i dokumenty. I już było słycać moje „patataj” po schodach.

Wsiadłem do auta. Wycofałem spod domu, zakręciłem raz i drugi i już jestem na rondzie. Kiedy przez nie przejeżdżałem, zobaczyłem radiowóz pod 12 numerem. Skóra mi się zjeżyła. „Cholera, co tam się stało?”. Nacisnąłem mocniej na gaz. Po chwili zdjąłem nogę z gazu, kiedy dotarło do mnie, że tam są gliniarze. Podjechałem i zaparkowałem obok radiowozu. W drzwiach stał Pat Black.

—What happened? (Co się stało?) – zapytałem zdenerwowany.

—Do you know Ortr Cysz..., Kszczy..., eee Ortr, from this house? (Czy znasz Artura, z tego domu?) – zapytał.

—Szczęściarz. Yes, I know him. What happened? (Szczęściarz. Tak, znam go. Co się stało?) – powtórzyłem pytanie. Ale Pat pokazał mi ręką, żeby iść za nim. Kiedy wchodziliśmy po schodach na górę, powiedział.

—Hi is arested. This is all I know. There is another man upstairs, but he`s not speaking English.(On jest aresztowany. To wszystko, co wiem. Tu jest jeszcze jeden facet, ale on nie mówi po angielsku.) – Zdębiałem!

—Arested? What did he do?! (Aresztowany? Co zrobił?) – zapytałem zdziwiony.

Nie, choć może nie tak bardzo. Po nim można się przecież wszystkiego spodziewać.

—I don`t know. Ask Garda. (Nie wiem, zapytaj Gardę).

Właśnie weszliśmy na górę, gdzie zobaczyłem oficera policji. Stał w otwartych drzwiach sypialni Artura. Między innymi Artura.

—Hello! My name is Tom. (Witam, mam na imię Tom) – powiedziałem, wchodząc do środka.

—Hello, officer Bernard Gray – przedstawił się Gardziarz. Wtedy zobaczyłem też Janka, siedzącego na łóżku z kajdankami na nadgarstkach. Znów osłupiałem.

—Jaanek, a Ty za co? – wykrztusiłem zupełnie już skołowany.

„Za ostaaaatni grosz, kupię dziś chociaż cień tamtych dni” – a nie, to telefon.

Konar dzwoni. Ale teraz nie odbieram. Później.

—To nie o Tobie, Janek. To Konar dzwoni. – Wróciłem jednak do tematu. – Co się dzieje? – zdążyłem tylko zapytać i przerwał mi policjant:

—Don`t! (Nie). – Podniósł rękę, dając do zrozumienia, że nie wolno mi rozmawiać z nim. – Don`t talk to him. I have few questions. (Nie rozmawiaj z nim, ja mam parę pytań). – Pokiwałem głową, że rozumiem, ale rozumiałem coraz mniej. Co tu się dzieje, do cholery, jak mnie nie ma?!

—Do you know this man? (Czy znasz tego mężczyznę?)

—Yes, it`s Jan Sopol. (Tak, to Jan Sopol) – odparłem, czekając, czy powie, że Janek ukradł batonik, czy chciał zgwałcić owieczkę, bo już nie wiem zupełnie, o co chodzi!

—Tell him, we are looking for a room of Ortr Szszszczsz..., Ortr`s room!(Powiedz mu, że szukamy pokoju Artura Szszsz... Artura!) – No tak, trochę się wyjaśniło.

„They NOT gonna GET us, they NOT gonna GET us!”.(Oni nas nie dostaną – piosenka TATU) – Teraz dzwoni Szymon. Odebrałem szybko i powiedziałem do słuchawki:

—Szymon, nie mogę teraz rozmawiać.

—Dobra, a gdzie jesteś? – zdążył zapytać, zanim odłączyłem.

—Pod 12, ale jestem zajęty.

—Widzę. Zadzwoń, jak pojedą.

—Dobra. – Rozłączyłem rozmowę i pomyślałem, gdzie jest reszta? Przecież powinni już być w domu po pracy. Później się dowiem.

—I am sorry. (Przepraszam) – powiedziałem do policjanta i dodałem:

—This is Artur`s room and few other lads. (To jest pokój Artura i paru innych chłopaków). What happened? (Co się stało?) – Oczywiście, policja wszędzie jest taka sama. Muszą być robieni w tej samej „formie”. Nie odpowiadają na pytania.

Rozejrzał się tylko i zapytał:

—Which one bed belongs to him? (Które łóżko należy do niego?) – W pokoju było łóżko Janka i jeszcze dwa pojedyncze. Wskazałem mu to właściwe.

—This one. (To jedno). – Podeszedł do niego. Podniósł kołdrę, zajrzał pod prześcieradło. Nic nie znalazł, uklęknął i zajrzał pod spód. Oczywiście, jego pośladki w konsekwencji tego znalazły się wypięte na wprost nas. W tym czasie zadzwonił znów mój telefon.

„Szejk dad ass, uu bejbe bejbe, szejk dad ass”. (Trzęś tym tyłkiem, uuu, bejbe, bejbe, itd.) – Teraz z kolei kawałek Seana Paula. To znaczy, że dzwoni Alicja.

—Tomek? To co, wstawiać już obiad? Za ile będziesz?

—Musisz trochę poczekać z tym obiadem – powiedziałem.

—A co się stało? – zaniepokoiła się Alicja.

—Aaa, zamieszanie z Arturem, ale teraz nie mogę rozmawiać. Opowiem Ci, jak wrócę.

—Awanturuje się? – zapytała, również niezbyt zaskoczona.

—Nie, będę za godzinę. – Spojrzałem w stronę Policjanta, sterczącego „na czworaka” przy łóżku, wpatrzonego we mnie pytającym wzrokiem. Pewnie sobie pomyślał, że robię sobie żarty, puszczając taka muzyczkę. To jak atak na jego du... dumę!

—It`s my girlfriend. (To moja dziewczyna) – powiedziałem na usprawiedliwienie. Bernardzik widocznie przyjął to tłumaczenie, bo

wrócił do przeszukiwania przestrzeni życiowej Arturka.

Po chwili wyciągnął walizkę, plecak i parę reklamówek. Otworzył walizkę. W środku jakieś łachy. Gliniarz sięgnął do kieszeni i wyciągnął gumowe rękawiczki. Z obrzydzeniem uniósł dwoma palcami jakieś arturkowe porciętka. Odrzucił je na bok. To samo zrobił z reszta ciuchów. Pod spodem ukazały się jakieś narzędzia, nóż myśliwski i porozrzucana damska biżuteria...

No, ładnie. Pewnie Artur jest transwestytą. Po to ta zgolona głowa. Żeby peruczka dobrze się trzymała!

Właśnie, ale nie widać peruczki. To może jednak to jest po prostu... kradzione?! To skur***!!! Dlaczego znów nie jestem zaskoczony?

Policjant zamknął walizkę. Pozbierał wszystkie torby i wstał. Poprzyglądał się nam przez chwilę, myśląc, co ma zrobić dalej. Spojrzał na Janka i powiedział:

—I understand that my visit surprised you. (Rozumiem, że byłeś zaskoczony moją wizytą). – Poprosił mnie o tłumaczenie Jankowi. Mówił dalej:

—I can forget what you did here. (Mogę zapomnieć to, co zrobiłeś). – Janek pokiwał ucieszony, potwierdzając, że zrozumiał.

—But! (Ale). – Uniósł wskazujący palec wysoko. – You can only take documents and money and you have to leave this house for a few hours. (Możesz wziąć tylko dokumenty i pieniądze i musisz opuścić ten dom na kilka godzin). – Janek pokiwał głową twierdząco i ucieszony wyciągnął ręce z kajdankami do Gardziarza.

Ten rozpiął je i schował do pokrowca. (Oczywiście kajdanki, nie ręce.) Janek, prawie biegiem, złapał dokumenty, pieniądze i... nie zapomniał wyciągnąć piwka z reklamówki za łóżkiem. Po jednym do każdej kieszeni w kurtce. I już go nie było.

Teraz Policjant zwrócił się do mnie.

—Ortr is suspected of theft. (Artur jest podejrzany o kradzież.)
How long do you know him? (Jak długo go znasz?)

—Two months. (Dwa miesiące). – „No to jeszcze ja będę w to wkręcony”, pomyślałem. – I helped him to find a job. (Pomogłem mu znaleźć pracę) – powiedziałem, mając nadzieję, że nie będzie dociekał coraz bardziej. Niektóre pytania nie byłyby dla mnie zbyt komfortowe.

Na szczęście nie był aż tak tym zainteresowany. Może zmęczyła go walka z Jankiem. Może w swej irlandzkiej naturze nie jest tak dociekliwy, jak byle polski posterunkowy.

—OK – powiedział. – I'll check this room but, is there anything else belongs to Ortr? (Sprawdzę pokój, ale jest tu jeszcze coś, co należy do Artura?)

Rozejrzałem się, ale nic więcej nie zauważyłem.

—Noodles in the kitchen, I think. (Może makaron w kuchni). –
Gliniarz spojrzał na mnie, zaskoczony.

—Noodles? (Makaron?)

—Yes, I think this is all, he was eating. (Tak, myślę, że to wszystko, co on jadał).

—Aaaaha, ha, ha, ha. – Teraz Bernard roześmiał się, odbierając to jako żart.

Ja też roześmiałem się razem z nim, choć było w tym więcej prawdy, niż fikcji. Arturek ugotował sobie zawsze gar makaronu za 49 centów, polał to sosem z puszki za 30 centów i wciągał, aż mu się uszy trzęsły. Popił szklaną wody z kranu i przez godzinę chodził po domu gładząc się po brzuchu i opowiadając, jak to pojadł chińszczyzny, lub włoskiego żarcia (w zależności od sosu).

A co robił z zarobioną kasą, tego nie wie nikt. Wygląda na to, że

Artur to typ takiego Jasia wędrowniczka. Przyjeżdża w nowe miejsce, nakradnie, pooszukuje ile się da i jak grunt zaczyna się palić pod nogami – zwiewa w inne miejsce.

Teraz mu się nie udało. Dorwali go znienacka. Jeszcze dowiedziałem się od Blacka, że jak go zatrzymywali, to wyskoczył do nich z nożem! To idiota. Teraz się szybko nie wykaraska.

I dobrze. Jeden problem „z głowy”.

Poczekalem jeszcze trochę, aż Garda pozabiera sobie wszystkie zabawki Arturka, wypuścili mnie z domu i zabrali klucz. Oddadzą wkrótce. Teraz dopiero zastanowiłem się, gdzie są wszyscy!

Szymon dzwonił. Konar dzwonił. A pozostałych stu piętnastu lokatorów?

Rozdział 25

Wojtek. A po Łysym nikt nie zapłaci.

*

Klucze od domu oddali mi bardzo szybko. Nic więcej nie znaleźli. A Pat Black pogonił procedurę. Kiedy tak sobie stałem, uradowany, że jeden problem rozwiązał się niemal sam, to usłyszałem, że otwierają się drzwi zewnętrzne w kuchni. Tak, jakby ktoś chciał wejść bezszelestnie. Arturek siedzi, więc to musi być któryś z polskich „bohaterów na emigracji”.

Ruszyłem z salonu do kuchni, też bezszelestnie. Ledwie wychylając się przez drzwi z przedpokoju do kuchni zobaczyłem Windowsa, jak porusza się niezdarnie po kuchni, walcząc z wielkim sztormem w głowie. Obijając się o szafki i stół, stara się postawić reklamówkę na stole. Udało się. Po jego twarzy przebiegł grymas triumfu. Teraz stanął szerzej na nogach, wyciągnął przed siebie rękę, starając się trafić nią do reklamówki.

Pierwsza próba nie powiodła się. Dostał jakiś silny wiatr od prawej burty i ledwie zdążył złapać się krzesła, nie dając się powalić sztormowi.

Tłumiąc śmiech, choć nie ukrywając się już tak bardzo, obserwuję jego kolejną próbę. Nie istnieje ryzyko, że mnie zauważy, będąc w tym stanie.

Nogi szeroko, ręka przed siebie, obranie celu i start.

Jest! Ręka w reklamówce! Pełen sukces! Pomerdał chwilę dłonią w środku i po wyrazie szczęścia na jego twarzy było widać, że coś złapał. Po chwili, na końcu ręki wysuniętej bardzo delikatnie z reklamówki, ukazało się wspaniałe trofeum. Browarek w puszcze!

Mniam, mniam, Wojtusiowi pocięła ślinka... Spojrzał, gdzie w tej chwili znaj-duje się jego druga ręka.

Jak mistrz Joda, siłą woli nakazał jej sięgnąć do zawleczonej w puszcze i pociągnąć.

—Psssst!!! – usłyszałem odgłos uszczęśliwiający każdego prawdziwego faceta.

W tej chwili, choć serce mi się krajało, wkroczyłem do akcji.

Atakiem uprzedzającym przejąłem puszkę w ostatniej fazie lotu. Spragnione usta Wojtusia już szukały otworku w puszcze.

Niestety, nie znalazły! Po paru sekundach kompletnej dezorientacji, informacja ta dotarła do jego coraz bardziej szarych komórek. Zamglone szczęściem oczy zaczęły nagle szukać kształtu przedmiotu, z którym utraciły kontakt.

„Gdzie jest puszka?” – krzyczały. I wtedy trafiły na mnie, po czym na trzymaną przeze mnie puszkę.

Rozgorylenie, jakie zobaczyłem w jego oczach było tak wielkie, że jeszcze chyba takiego nie widziałem...

—O! Tuoumek! – wydusił z siebie. W tym momencie rękę, którą

wciąż trzymał przy ustach, opuścił wzdłuż tułowia. Głowa opadła mu tak, że brodą dotykał klatkę piersiową. Teraz to już wyglądał tak, że nawet kot ze „Shreka” przy nim wymiękł.

—Cześć, Wojtek – przywitałem się. – Znów się nadziabałeś. – Stwierdziłem fakt. – Jak Ty jutro do pracy pójdziesz?

—Pójdę, pójdę – powiedział bezwiednie. A sztorm znów nim zakołysał.

—Ostatnie dzisiaj – powiedziałem, oddając mu piwko. A na jego twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego szczęścia, jakie potrafią okazywać jedynie małe dzieci... No i Wojtek, jak widać!

Wojtek, Wojtek. 50 lat. Zwycięzył...

Alkohol go zwyciężył.

A taki dobry człowiek. To przykre. Bo często spotykam alkoholików, których nie jest mi szkoda nawet troszkę. Ale to nie on. Trzeźwy Wojtek, to człowiek „do rany przyłóż”!

Tata Pawła i Damiana. Człowiek, który mógłby być najlepszym przyjacielem. Zrobiłby dla Ciebie wszystko. A po kielichu zrobiłby wszystko dla wódki... Tak mi przykro, że nie mogę nic więcej dla niego zrobić. A dotychczasowe starania nie wystarczają. Już będzie tylko gorzej.

A kiedy przyjechał, udało mu się nawet przez jakiś czas nie pić. Damian nie powiedział, że tata jest alkohikiem. Poszedł do pracy, zarabiał. Był dumny, że w końcu może pomóc swoim synom finansowo. Kupić im kurtkę, dać trochę kasy na wakacje, cokolwiek. Zaczął nawet znów rozmawiać przez telefon ze swoją byłą żoną. Cieszył się jak dziecko, kiedy powiedziała, że może przyjedzie go odwiedzić.

Liczył, że może jeszcze da się naprawić stare błędy.

Nie wiem, czy to te emocje, czy po prostu słaba wola

spowodowała, że znów sięgnął po alkohol.

I lawina znów ruszyła, zmiatając po drodze wszystko, co zdążył odbudować. Była żona przestała odbierać, dzieci znów straciły szacunek, pieniądze się rozeszły, resztę ukradli koledzy. Nie zostało nawet nic na bilet powrotny.

Ten moment, to czas, kiedy jeszcze pracował. Wyrzucano go trzy razy z pracy za pijaństwo, ale trzy razy załatwiałem mu powrót w to samo miejsce. Kłamałem, tłumaczyłem. Narobiłem sobie przez to wrogów w piekarni. Odbierałem mu alkohol, kiedy tylko udało mi się go przyłapać na przynoszeniu go do domu. Bawiliśmy się w kotka i myszkę.

Kiedy już Wojtek wiedział, że zawsze kontroluję go przy wejściu, zmienił metodę.

Którego dnia wracał z pracy i jak zwykle ostatnio wysiadł w mieście, po tak zwany „chlebek–sobie-muszę-kupić”. Wracał do domu na nogach. Z reklamówką. Ale już rozpracowałem jego nowy numer. Jak tylko go zobaczyłem, pobiegłem do jego pokoju. Mieszkał tam z Pawłem, nie było zatem kłopotu z dostaniem się do środka.

Jego pokój mieścił się na parterze, okno prowadziło na ulicę. Stałem sobie przy ścianie w ten sposób, żeby mnie przez to okno nie widział. Po chwili zobaczyłem, jak z zewnątrz otworzył okno. Do środka pokoju wsunęła się jego ręka, trzymająca reklamówkę z brzęczącą zawartością. Kiedy chciał ją cicho postawić na podłodze i „czysty” wejść do domu drzwiami frontowymi – ja odebrałem od niego reklamówkę lewą ręką, a prawą potrząsałem jego dłoń na powitanie.

—Cześć, Wojtek, co tam za smakołyki przed nami chowasz?

Zobaczyć tą minę – bezcenne!

I bawiliśmy się tak przez jakiś czas w takie podchody. Ale z czasem przestał już cokolwiek przynosić do domu. Opijał się już w pobliskim parku. Dwa razy przyjeżdżała do nas Garda, pytając, czy znamy „takiego-to-a-takiego”.

Przy trzeciej wizycie na komisariacie, czuł się tam już jak u siebie w domu. Kiedy podjechałem po niego z Gardą, siedział sobie na środku komendy, otoczony obserwującymi go z zaciekawieniem policjantami. Był w kapciach. Toczył sobie z nimi pogawędkę co najmniej tak, jakby angielski miał w małym palcu, albo raczej nic nie robiąc sobie z tego, że go nie rozumieją.

Kiedy mnie zobaczył, krzyknął:

—Ooooo! Tomeczku!!! – Ręce podniósł do góry tak radośnie, jakbyśmy byli na imprezie, a ja właśnie doniosłem zgrzewkę browarków.

Policjanci zanosili się śmiechem.

Ale życie Wojtka nie było komedią. Było zdecydowanie tragedią. Pił już do nieprzytomności. Kiedy pijany spał w swoim pokoju, przez sen prowadził dyskusje tak głośne, że słyszeliśmy go w salonie. Przez sen śmiał się, kłócił, dyskutował. Dla kogoś siedzącego w salonie brzmiało to, jak niezła impreza. Mówiliśmy wtedy, że Wojtek przyjmuje gości. I wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

Tylko Wojtek nie rozumiał, o czym mówimy.

—Jak tam, Wojciu? – pyta Szymon. – O której wczoraj goście poszli?

—Jacy goście? – pytał zdziwiony. Nie dość, że nic z poprzedniego dnia nie pamiętał, to jeszcze sprowadził do domu jakichś gości!

—Nie wiem, nie widziałem ich, bo się zamknęliście w pokoju. Słyszałem jedynie, że na koniec z jakąś babką rozmawiałeś. – Podpuszczał Wojtka.

—Babką? – Dał się zrobić, bo babkę w pokoju ostatnio to miał jak leżał w szpitalu. Na sąsiednim łóżku. Ze złamaniem.

—Co Wy tam wyprawialiście, że tak głośno było? – Brnie dalej Szymon. Sugestia była jednoznaczna.

—A nie to, co myślisz – odparł Wojciech i udał się do swojego pokoju, nie wiedząc, czy się cieszyć, czy żałować. Bo Szymon mówi, że miał w pokoju babkę. Ale co się działo? „No super, bardzo się cieszę. Ale to straszne, że spałem z babą, pierwszy raz od nie wiadomo kiedy i nie pamiętam, kurka wodna!”.

Tak, jak już pisałem, nastał jednak w końcu czas, że Wojtek nie dał rady przestać pić i wylali go z pracy definitywnie. I już tylko się staczał, pijąc. Jedzenia nie kupował, bo było mu szkoda pieniędzy. Ważniejsze były trunki. Alicja zawsze coś podsuwała mu do jedzenia, szczególnie wtedy, kiedy miał momenty przypadkowego wytrzeźwienia. Ale to tyle.

Przy naszym najbliższym wyjeździe do Polski kupiliśmy mu bilet i zabraliśmy go z powrotem. W Polsce chociaż upić się można taniej.

Niestety, ta historia nie mogła skończyć się dobrze. Minął prawie rok, kiedy dowiedzieliśmy się od Pawła, że Wojtek, jego tata nie żyje...

Garda już odjechała, Wojtek po wypiciu piwka czekał, aż odwiozę go pod 44.

Ja z kolei czekałem, aż domownicy powychodzą z krzaków i wrócą do domu.

Z każdym powracającym Polakiem przeprowadzałem rozmowę mniej-więcej tej treści;

—Pojechali już? – I wystraszony wzrok.

—Tak, pojechali.

—Czego chcieli? Pytali o mnie?

—Nie. – Nie tłumaczyłem im wszystkiego od razu, żeby zobaczyć ich reakcję.

—Przeszukiwali (mój pokój, torbę, garaż, pytali o auto – niepotrzebne skreślić).

– Napięcie na twarzy.

—Nie!

—Ufff... To czego chcieli?

—Artura aresztowali.

—Aha... – Wyraz ulgi na twarzy. Z powodu tego, że to nie o nich chodzi, jak i dlatego, że to chodzi o Artura. Trzeba przyznać, że z nikim nie nawiązał szczerego kontaktu. Jak to oszust i złodziej.

Kiedy, jak nam się wydawało, wrócili już wszyscy, każdy był tak zmęczony sytuacją i czekaniem w krzakach, że szybko rozeszli się do swoich pokoi. Ja też, czym prędzej załadowałem Wojtka do auta i wróciłem do domu.

Nikt nie zauważył, że brakuje Patryka.

Tymczasem na komendzie Patyk, czyli Patryk, grzecznie siedzi sobie w celi i nawet wstydzi się poprosić o adwokata, czy szklanek wody.

W jednym z pokoi komendy znajduje się z kolei dwoje Gardziarzy, robiących inwentaryzację rzeczy skonfiskowanych Arturowi. Zdziwiło ich, że nie znaleźli żadnych dokumentów. Przedmioty z torby Arturka okazały się tymi skradzionymi. Prócz tego trochę ciuchów, niedojedzona bułka, lekko nieświeży kawałek polskiej kiełbasy, dwa wydawnictwa instruktażowe, jak zbudowana jest kobieta ze szczególnym uwzględnieniem wszystkich otworów technicznych. Parę zdjęć jakiegoś łysego kolesia i dziewczyny, tym

razem w odzieży wierzchniej.

Ten, który dokonywał przesłuchania poszedł zapytać, gdzie są dokumenty.

Wziął też z policyjnej przezorności zdjęcia. Te z łysym koleśkiem.

Krrrach. Zazgrzytał zamek, dawno nieużywanych drzwi.

„Ostatni raz to tu zamknęliśmy jakiegoś pijanego Polaka. Kiedy to było?”. Gdy stanął w drzwiach, Patryk, lub jak policjantowi się wydawało „Ortr”, stał już „na baczność”. Polak ze strachem wpatruje się, co oficer trzyma w ręce. „Czy to jest jakaś pałka? Pewnie będą mnie chcieli zmusić do przyznania. Co im taki Polaczek. Parę razy mu przyleją, to się do wszystkiego przyzna! A statystyka wykryć urośnie. Pewnie tak właśnie sobie myśli ten gliniarz. Gliny to wszędzie łajzy”-pomyślał sobie Patryk.

Ale Bernard wszedł do środka, ponownie się przedstawił i grzecznie zapytał:

—Do you need anything? (Czy czegoś potrzebujesz?) – Ale Patryk widzi, że policjant trzyma ręce z tyłu. Pewnie ma w nich pałkę, a przyszedł sam, żeby nie było świadków.

„No, trudno, jak i tak mam dostać wpier***, to chociaż niech się rodzina za mnie nie wstydzi, że mnie obcy lał!”. Stanął dumnie z wypiętą piersią i zaśpiewał;

„Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród.

Nie daaamy pogrzeeeeć mOOOO-wy!!!” – po czym rzucił się na zaskoczonego Gardziarza. Ten, jako dobrze wyszkolony funkcjonariusz, nie dał się zaskoczyć. W chwili, kiedy Patryk już w locie nurkowym łapał go w pasie, ten szybko zrobił krok w bok.

Patryk miał zamknięte oczy, więc zdziwiło go, że wciąż leci.

„Ale ta cela, to mi się mniejsza wydawała”.

I kiedy w końcu napotkał na swej drodze opór, pomyślał:

„Twardy skur***” I film mu się urwał.

Mówi się, że Polak, to poleciał nawet na drzwiach... Patykowi prawie się udało, bo wleciał prosto w drzwi. A dokładniej, uderzył framugę w połowie wysokości.

Gardziarz jeszcze przez chwilę stał zdumiony, patrząc na leżącego na podłodze Patryka. Oni tutaj nie są przyzwyczajeni do agresji ze strony zatrzymanych. Irlandzka policja cieszy się poważaniem, połączonym z lekkim strachem. Dlatego ataku na nich dokonują tylko szaleńcy, pijani i ...ten Polak.

„Ale może Polaków powinienem zaliczyć do tej drugiej grupy? Muszę spojrzeć jeszcze raz w instrukcję”.

W wyniku ogromnego hałasu, jaki rozniósł się po całym komisariacie, zbiegli się inni Gardziarze.

—Ja pier***, co jest grane? – krzyknął pierwszy.

—Zabiłeś go? – spytał drugi.

—Dlaczego? – spytał trzeci.

—Nic nie zrobiłem, to on mnie zaatakował – odpowiedział Bernard, wyrwany z osłupienia.

Wtedy nadszedł komendant komisariatu, spojrział na Patryka, spojrział na Gardziarza pytającym wzrokiem:

—Lepiej powiedz nam prawdę.

Kiedy wróciłem do domu, opowiedziałem Alicji całą historię. Alicja też nie rozplakała się z tego powodu, że go przymknęli. Oczywiście, my cały czas myśleliśmy o Arturze.

—Doigrał się – skomentowała jedynie w ten sposób całe zdarzenie.

Było już późno, więc zaraz po kolacji poszliśmy spać. Jutro kolejny dzień...

Rozdział 26

Panowie, to nieporozumienie. Za narkotyki to sobie posiedzisz. Ale gdzie te „dragi”, de hell? Śledztwo kuleje. Co zrobić, kiedy czarne nie jest czarne? Panie komendancie, a gdzie zwał złodziej?

*

Obudziłem się ponownie lekko spóźniony. Wyskoczyłem szybko z łóżka, złapałem cokolwiek na śniadanie i wskoczyłem do samochodu.

Podjechałem po Patryka, będąc pewnym, że ten już czeka na mnie przed domem.

Nie wyłączałem silnika.

Czekam.

Nie wychodzi. Zatrąbiłem.

Czekam.

Jako że jest już ósma, nie ma nikogo w domu. Powinien być jedynie Patryk. Podeszedłem do drzwi i użyłem gongu.

Ding-dong.

Nic.

Ding-dong, ding-dong, ding-dong. Dzwoniłem już natarczywie. Może się wczoraj „urznęli” po tej historii.

Cisza.

Poszedłem od tyłu. Przeszedłem przez kuchnię do przedpokoju. —Patoool!!! – wydarłem się przy schodach. – Wstawaj, panienko!!!
Cisza.

„No, ja mu zaraz zrobię pobudkę!” – pomyślałem i ruszyłem zwawym krokiem na górę. Kiedy dotarłem do drzwi jego sypialni, walnąłem w nie parę razy, a następnie nacisnąłem klamkę.

Zamknięte.

—Patryk!!! – krzyknąłem ponownie, równocześnie waląc w drzwi.

—Wstawaj, już jesteśmy spóźnieni do pracy. Pat nam jaja urwie.
Nic.

Co robić? Jak będę w połowie drogi, to będzie wydzwaniał, żeby go zabrać. O! Właśnie, przecież mogę zadzwonić. Będę wiedział, czy śpi w domu, czy ze strachu spał w parku. Albo u innych znajomych.

Wykręcą numer.

Jest sygnał.

Biiiiip, Biiiiip.

Tymczasem na komendzie sytuacja została opanowana. Patryk, po opatrzeniu przez wezwanego lekarza, wrócił do celi. Leżał na łóżku, zdziwiony troskliwością Gardy i służby zdrowia. Dali mu nawet zastrzyk przeciwbólowy!

Komendant zabrał Bernarda, oficera, który „znokautował” Patryka, do swojego gabinetu na rozmowę. Wytłumaczyli sobie zaistniałą sytuację i choć komendant nie do końca chciał w to uwierzyć, przyjął jego tłumaczenie za najwygodniejsze, dla spokoju i dobrego imienia Gardy. Bernard został przez niego poproszony o odsunięcie się od tej sprawy.

—Nie chcemy, żeby ten incydent wyszedł podczas jakiegokolwiek rozprawy.

Mogłoby to zaciemnić obraz.

Drugi oficer, Paul, prowadzący tę sprawę z Bernardem, siedział w dyżurce, przyjmując zgłoszenia i wysyłając patrole. Jako że sprawa Patryka, znanego przez nich, jako „Ortr” była świeża, przeglądał w czasie ciszy w eterze wszystkie zatrzymane fanty.

Właśnie sięgał do torby po kolejny „dowód”, kiedy coś zabuczało

w środku. Paul podskoczył na krześle. Wystraszył się tak mocno, że wyciągając rękę z torby, huknął się łokciem w biurko. Kawa, którą popijał sobie policjant, wylała się na materiały sprawy.

„Co jest do k*** z tymi Polakami? Czy oni szczury w torbach wożą? Nigdy więcej Polaków! Wolę już robić za tłumacza przy chińczyku!!!”.

Paul nie wiedział, od czego zacząć. Złapał jednak szybko dokumenty z biurka i zlał z nich kawę do kosza na śmieci.

Biiip –Biiip – dochodziło z worka, w którym przed chwilą trzymał rękę. „No tak – pomyślał. – To nie szczur, tylko telefon tego Ortra. Ciekawe, kto dzwoni?”.

Spojrzał na wyświetlacz:

„Drugi Tomek” – przeczytał.

Tak mnie Patryk miał wpisanego. Bo wcześniej znał innego Tomka, więc mnie wpisał zgodnie z kolejnością.

„Drug Tomek?” (Narkotyk Tomek). „No, widzę, że coraz lepsza sprawa się z tego robi. Tu się sprawdza główna zasada policjanta: Rusz gównem, to odkryjesz cały smród! No to sobie porozmawiamy trochę...”.

Sięgnął po telefon.

Odebrał. Przyłożył słuchawkę do ucha, nic nie mówiąc.

Biiip.

Biiip.

Już miałem się rozłączyć, ale wydawało mi się, że odebrał.

—Patyk? – zapytałem.

„Kto to jest Patyk?” – pomyślał Gardziarz, który właśnie odebrał telefon. Może to jakieś hasło, albo ksywka złodziejska. Dobrze, pogramy w to!”.

—Patik? – spróbował powtórzyć łamaną polszczyzną, żeby zyskać na czasie.

—We are saying „Patyk”, no „Patik”. (Mówi się Patyk, a nie Patik) – odpowiedziałem. „To pewnie Patryk już w pracy i kazał Mervynowi odebrać. W maliny mnie chcą wpuścić”.

—Patiyk – powtórzył już lepiej. – Where are you? (Gdzie jesteś?) – zapytał Paul, starając się jak najwięcej dowiedzieć, nic nie mówiąc.

—In Castlerea. Waiting for Patyk. (W Castlerea, czekam na Patyka) – powiedziałem z wyrzutem w głosie.

—I have his toys in boot.(Mam jego zabawki w bagażniku) – powiedziałem, mając na myśli jego narzędzia do pracy. Wkrętarkę, wyrzynarkę, itp.

DIN-DIN-DIN!!! Zapaliła się lampka policjantowi.

„Mamy ich”- pomyślał zadowolony. – „Ma jego dragi w bagażniku! Teraz tylko go zlokalizować!”.

—Where In Castlerea? (Gdzie w Castlerea?)

—At Patryk`s house, Kilkeevan Park. (W Patryka domu, Kilkeevan Park) – odpowiedziałem.

Paul spojrział szybko w dokumenty sprawy.

—12 Kilkeevan Park?

—Yes! – potwierdziłem.

—Ok, Patik will be there in five minutes (Ok, Patryk będzie tam w pięć minut) – powiedział gliniarz i w napięciu czekał na odpowiedź. „Złapie haczyk, czy nie?”. — Do you want me to wait here? (Czy chcesz, żebym tu zaczekał?) – zapytałem.

—Yes – odpowiedział, a w dyżurce zrobił bezgłośnie gest Marcinkiewicza: YES!

Yes! Yes!

—Dobrze – potwierdziłem. Pewnie, że lepiej poczekać tu przy kawce, niż już ruszać do „harówki”.

Zrobiłem sobie małą czarną z zasobów „kogoś” i usiadłem w salonie, przed telewizorem.

A na komendzie dopiero teraz zaczął się ruch. Jakby piorun pierdyknął w dom wariatów.

W życiu tu nie było takiego chaosu, ale też nigdy nie mieli tu sprawy poważniejszej, niż bijatyka przed pubem. Właściwie to jedyny rodzaj przestępstwa w Castlerea, odejmując wypadki i przewinienia drogowe.

Gardziarze biegają, obijają się o siebie. Szukają tego, tamtego. To znaleźli, ale wciąż nie mogą znaleźć tamtego.

Trudno, nie ma czasu. Jadą z tym, co mają.

—Dobrze, plan jest taki – wtrącił komendant – że Paul uzyskał informację.

– Ciekawe dlaczego policja zawsze „zdobywa informacje”? Zdobyć, to znaczy walczyć o nie. A oni dostali ją na tacy. A Paul walczył nie o informację, ale z kałużą kawy na spodniach.

—Pod adresem 12 Kilkeevan Park przebywa podejrzany o rozprowadzanie narkotyków. Ze względu na to, że nie wiemy wiele o podejrzanym, proszę zachować szczególną ostrożność. Grupa druga podjeżdża od strony apteki i zajmuje pozycje zabezpieczające drogi ewentualnej ucieczki. Grupa pierwsza podjeżdża pod główne wejście. Dokonuje zatrzymania. – Teraz wziął czapkę i machnął ręką, dając znak rozpoczynający akcję.

—Czasu nie mamy wcale, ruszamy zatem prędko i problemy rozwiązujemy na bieżąco.

Wszyscy ruszyli zdecydowanie w stronę drzwi wyjściowych.

Po paru minutach grupa druga była na miejscu i zgłosiła

zabezpieczenie tyłu budynku. Teraz spod kościoła ruszyła grupa pierwsza. Z możliwie jak największą prędkością wjechali na osiedle, zakręcili na rondzie. Przejechali przez nie „pod prąd”. Przed domem zobaczyli forda mondeo.

—Stephen, sprawdź to auto. My natomiast idziemy w kierunku drzwi. Podjechali i zahamowali ostro. Stephen podbiegł do auta, zaglądając do środka, a dwoje pozostałych policjantów podbiegło do drzwi frontowych i zadzwonili. Siedziałem w salonie, ale zdążyłem tylko zauważyć, że coś śmignęło za oknem i usłyszałem pisk hamowania.

—Oooo, jedzie Marvyn, ten wariat.

Dig-dong, ding-dong – usłyszałem dzwonek.

—Open – krzyknąłem, bo nie wiedziałem, czy Patryk też przyjechał.

„Co on tam wyprawia?” – pomyślałem, bo po otwarciu drzwi zrobił się duży hałas.

—Friiiz – usłyszałem krzyk za moimi plecami, aż kubek z resztą kawy wypadł mi z ręki. Nie miałem jednak czasu go podnieść, bo kiedy się obejrzałem, zobaczyłem dwóch gliniarzy z pistoletami wycelowanymi prosto we mnie... Oczywiście, podniosłem ręce do góry.

—Are you Tom? (To ty jesteś Tom?) – zapytał jeden z nich.

—Yes – odparłem. „Czego oni chcą? Przecież Pat ich nie przysłał, żebym jechał do pracy. Aż taki przymus nie jest potrzebny. Może Arturek mnie chce w coś wkłębć. Pewnie im powiedział, że załatwiam robotę za kasę. To skur***”.

I pomyśleć, że to wszystko zdążyło mi przyjść do głowy w czasie, kiedy położyłem się na podłodze i ledwie zdążyli sprawdzić, czy nie mam broni. Albo jakichś cukierków.

W każdym bądź razie, zanim pomyślałem, jak wiele w tym czasie pomyślałem, już byłem w radiowozie i jechałem zapewne na komisariat z obstawą. Nie sądzę, żeby wieźli mnie do pracy...

Nikommu nie chciało się ze mną gadać. Zauważyłem tylko, że inny gliniarz wziął kluczyki od mojego samochodu i pojechał za nami.

Nie wiem już, może im chodzi o tę łysą oponę z lewej strony?! Bardzo szybko znalazłem się w prywatnej celi. Całkiem ładnie. Może powiesiłbym... nie, to nie jest właściwe słowo w tej sytuacji. Może umieściłbym na ścianie parę obrazków, ale ogólnie nie jest źle. Nie tak, jak w filmach.

Miałem okazję przyjrzeć się dokładniej, bo niestety, spędziłem tu parę godzin. Po tym wielkim zamieszaniu i pośpiechu, na komisariat wrócił codzienny spokój. Mają złodzieja Ortura, dorwali jego kołesia – dilerę narkotyków, to teraz nie ma pośpiechu. Obmyślają strategię.

Natomiast grzecznie siedzę sobie w celi i myślę, co jest grane. Nie mam wiele do stracenia. Reputacja wśród Polaków w okolicy fatalna, a więc to mi jej nie pogorszy. W pracy powiem, że zachorowałem. Nie są aż tak dociekliwi. Polskę zupełnie nic nie obchodzi, co tam za granicą wyprawia jej obywatel, tak długo, jak nie pobieram zasiłku.

Może tylko Alicja będzie się martwić, lecz mam trochę czasu, coś więc musi się wyjaśnić do tej 18:00.

Słyszę zgrzyt klucza w zamku. Jakaś policjantka podała mi menu.

—Proszę wybrać, co chcesz na śniadanie. — I czeka na moją odpowiedź. Zgłupiałem do reszty. To musi być jakiś nowy rodzaj restauracji! Zapewne tak słabo im idzie sprzedaż, że klientów przyciągają za pomocą Gardy. I pewnie jeszcze mnie nie

wypuszczają, dopóki nie zjem do końca i nie wylizę talerza!

Postanowiłem zamówić jakąś małą porcję. Skoro nie mają ruchu, to zakładam, że żarcie musi być paskudne.

—Tosty z serem poproszę. – No, tego chyba nie uda im się schrzanić!

—Ok. – I poszła. Po chwili wróciła i przyniosła tosty i herbatę z mlekiem w papierowym kubku, bez sztuczków. Postawiła bez słowa i wyszła. Nawet nie zdążyłem o nic zapytać.

Ale tak prawdę mówiąc, o co miałbym zapytać?

Co na obiad, czy gdzie deser?

A jak by ją mój żart zdenerwował? Bałbym się z nią stanąć w ringu, a co dopiero w takich okolicznościach... Może to nawet kiedyś był facet?

Tak, to może być problem tej restauracji. Kelnerki tu niezbyt urodziwe.

A z tym obiadem, to wykrakałem. Po paru godzinach ciszy w eterze znów drzwi się otwarły. Wlazła ta sama funkcjonariuszka i podała mi menu!

No nie, faktycznie to musi być jakiś rodzaj restauracji! Tylko pod przymusem. Może w ten sposób chcą Polaków przyzwyczaić do „jadania na mieście”?

Jak wiadomo, w Irlandii na obiad do restauracji chodzi 99% Irlandczyków. Ten jeden procent, który nie chodzi do knajpy, to pewnie wegetarianie.

W tej samej Irlandii, wśród polskiej emigracji, do restauracji uczęszcza 1% Polaków. Ten jeden procent to Ci, których żona lub dziewczyna właśnie wywaliła z domu. I to w porze obiadowej, bo inni jednak zdążą wygrać z głodem, kupując pęto kiełbasy i bułę w polskim sklepie.

No to pewnie wystarczy, że im obiecuję cotygodniowe wizyty w knajpie i po sprawie. Ale jeśli mam być wypuszczony pod warunkiem wykupienia abonamentu, to będzie problem. Za długo trzeba czekać na zamówienia.

Dobrze, spojrzałem na pierwszą stronę menu. O cholera, to takie klocki! Mam przed sobą menu włoskiej knajpy „Mario” z Castlerea. Czyli nawet im się nie chce gotować w tej restauracji, tylko zamawiają u makaroniarza.

Jeśli tak, to ja poproszę Kebab i Hot-Doga. Włoskie w tych daniach to mogą być tylko włoski. Jak kucharzowi wypadną spod beretki. Ale nie będę ich uświadamiał. Oni nie chcą nic mówić, to ja im nie powiem prawdy o Kebabie!

Zjadłem sobie spokojnie to, co dostałem. Jeszcze trochę posiedziałem, ale już zacząłem się nudzić. Załomotałem w żelazne wrota. Po chwili przylazł nowy kelner.

—Rachunek poproszę – powiedziałem po polsku, żeby nie zrozumiał, że sobie żartuję.

—Co? – zapytał grzecznie.

—Jak długo tu zostanę? – Teraz już wróciłem do angielskiego.

—Nie martw się, czas spędzony tutaj jest wliczany do emerytury – zażartował sobie teraz on, mam nadzieję. Udany rewanż. Pewnie się domyślił, że cwaniaczę.

I poszedł sobie.

Gardziarze, po zamknięciu mnie w celi wrócili do biura. Komendant usiadł uśmiechnięty za biurkiem. Przed nim paru innych, którzy byli zamieszani w zatrzymanie przestępcy roku w Castlerea.

—Gratulacje, Panowie! Świetna robota! Teraz pozostaje znaleźć

te narkotyki w aucie. Paul, Tobie się należy ta wątpliwa przyjemność. Weź sobie, kogo chcesz do pomocy i jak je znajdziecie, dajcie znać. Reszta może wrócić do swoich obowiązków.

—Ok. – Wszyscy wyszli z gabinetu. Tylko komendant został sam na sam ze swoimi myślami.

„Awansik? Albo, co najmniej premia. Hmmm, może zabiorę żonę do Kildare? Paul natomiast poszedł przeszukać samochód. Sean, którego poprosił o pomoc, poszedł sobie zapalić, żeby się odstresować. Pierwszy raz miał broń w akcji.

Paul wyjął z kieszeni kluczyki.

Pewnym ruchem otworzył bagażnik, gdzie według rozmowy znajdzie „towar”. Spojrzał do środka. Zobaczył cztery plastikowe walizki, w jakich kupuje się zestawy narzędzi.

„Dużo tego! To będzie niezła kontrabanda. Nawet w Dublinie będą nam zazdro-ścić!”.

Złapał pierwszą z brzegu. Zważył w rękach.

„Ze cztery kilo! I to już w pierwszej!!! Ciekawe, czy to proszek, czy pigułki?”.

Otworzył.

Zajrzał do środka. W pudełku po wkrętarce znalazł... wkrętarkę.

„No tak, to byłoby zbyt oczywiste. Kto by woził dragi tak na widoku... Aż taki głupi, to chyba nie jest? Przeszukam to metodycznie”.

I jak pomyślał, tak zrobił. Wyjął wszystkie cztery pudła. W pierwszym, jak już zauważył, była wkrętarka. Otworzył drugie opakowanie, po wyrzynarce.

Może zdziwicie się tak jak on, ale w pudełku po wyrzynarce Paul znalazł... wiertarkę!

Tak, wiertarkę, bo wyrzynarkę znalazł w kolejnym pudle, po

wiertarce.

„F@k!!! Pewnie to umyślnie tak zrobił!”. No dobrze, zostało ostatnie pudło. Mamy już wyrzynarkę, wiertarkę i wkrętarkę. I takie same trzy pudełka. Czyli w ostatnim pudełku, po ręcznej pile tarczowej powinno być co?

„Narkotyki!” – pomyślał.

Ale nie było. Nic tam nie było. Nawet piły!

Jaki z tego wniosek?

„Ktoś ukradł piłę!!!”. – Jedynie to przyszło mu do głowy.

„A co gorsza, ktoś ukradł narkotyki!!!”. – Logicznie kontynuował swój policyjny tok myślenia.

„A zatem dobrze. Mamy dwie kradzieże. – Wziął głęboki oddech. - Nie, spokojnie, Paul. Zbierz myśli. Nie denerwuj się. Dobrze, może liczyłem na zbyt łatwy sukces. Najpierw przeszukam wszystko spokojnie i z pewnością zguba się znajdzie. Oczywiście chodzi o narkotyki, a nie o piłę. Jak znajdę narkotyki, to piłę mu odkupię. A zresztą, po co mu piła, jak znajdę narkotyki? Chyba żeby sobie coś uciąć, he, he!”.

I powrócił z entuzjazmem do przeszukania, uśmiechając się w duchu, że ma takie poczucie humoru.

Dla pewności przejrzał i rozebrał pudła, które miał już wyciągnięte.

W końcu!

W obudowach, jak i w narzędziach znalazł poupychane duże ilości proszku...

I choćby nie wiem jak naciągać fakty, nie były to narkotyki, tylko zwykły pył stolarski.

—Masz już? – zapytał Sean, który już skończył wciągać dym z papierosa.

—Na razie nie, szukam – odpowiedział najspokojniej, jak potrafił. Choć ciśnienie już mu się podnosi.

—Przeszukam dokładnie bagażnik, natomiast Ty zacznij w komorze silnika – zarządził Paul, aby odciągnąć Seana od miejsc, gdzie prawdopodobnie można będzie znaleźć narkotyki.

W komorze silnika czysto. To znaczy nie w tym sensie. Silnik umorusany, jak cholera, ale dragów nie ma.

W bagażniku też czysto w tym samym sensie. Czyli nie ma dragów. Teraz obaj rzucili się do środka.

—Zajrzyj pod auto – zadyrygował Paul, żeby kolega nie znalazł ich pierwszy.

I udało mu się to. Sean nie znalazł pierwszy narkotyków.

Zresztą Paul też ich nie znalazł. Przetrzepali całe auto w każdy możliwy sposób. Udowodnili, że są równie dobrymi szkodnikami, jak stado myszy, którym ukryto w aucie kilo sera.

Po tym „przełądzie” nawet Rubik (ten od kostki) nie byłby w stanie tego złożyć ponownie.

Sean wypalił przy tym paczkę fajek, Paulowi, choć jest łysy, posiwiały włosy.

Nieważne gdzie.

Co teraz?

—Musisz iść to zameldować – powiedział Sean, uprzedzając Paula.

—Nie wiesz, czy wszyscy już zdali broń? – spytał Paul, niby przypadkiem. Bo obaj wiedzieli, że broń w rękach Komendanta w czasie wysłuchiwania złych wiadomości nie służy miłej konwersacji.

—Mam nadzieję – wypiszczwał Sean.

I poszedł. Komendant przyjął to nawet w miarę spokojnie.

—Fak! Fak! Fak! – powiedział tylko i zaczął intensywnie myśleć.

—Musimy go jakoś podejść! – I znów cisza na myślenie.

—Będziemy ich musieli napuścić na siebie. – Podrapał się po mocno wyłysiałym czole.

—A zrobimy to tak... – I wyjaśnił Seanowi, jaki ma plan.

Kiedy Patryk usłyszał chrobotanie klucza w zamku, zerwał się na „równe nogi”. Gdy policjant wszedł do środka i zamknął drzwi, on już stał na baczność, gotowy do raportu.

—Hello, Ortr. – Gardziarz przywitał się i usiadł sobie zatroskany na pryczy Patryka. Poklepał miejsce koło siebie dłonią.

—Usiądź, proszę. – Patryk grzecznie usiadł.

—Wiemy wszystko. – Spojrzał Patrykowi głęboko w oczy, żeby mógł w nich wyczytać, że rzeczywiście wie wszystko.

—Ju – noł – mi? (Znasz mnie?) – zapytał Patryk, bo niestety, angielska gramatyka jest dla niego niczym chińskie litery. Albo polska ortografia. Nieujarzmiona.

—Tak. – Pokiwał smutno głową Sean, wciąż patrząc mu w oczy.

—Mi no gilty (Ja nie winny) – kontynuował swą łamaną angielszczyzną, zapamiętaną z filmów gangsterskich. – Aj Ken go? (Ja mogę iść?) – zapytał z uśmiechem, mimo bólu głowy pod opatrunkiem.

—Yes. – I Patyczek już chciał wstawać, ale gest dłonią Seana powstrzymał go.

– Tak, ale za jakieś 10 lat.

Patryk spoglądał na niego wielkimi oczami, bo nie był pewien, czy dobrze rozumie to, co właśnie usłyszał!

—Tom wszystko nam powiedział. – Teraz Sean położył w przyjacielskim geście dłoń na jego ramieniu.

—Gdzie to jest? – zapytał i spojrzał Paciowi głęboko w oczy.

—Jak nam powiesz wszystko, to Ci pomożemy.

—Aj help Ju. (Ja pomóc). – Teraz Patryk spojrzał mu w oczy, aby gardziarz wyczytał w nich, że nie kłamie.

—Więc gdzie to jest? – powtórzył pytanie oficer.

—Łat? (Co?) – Patryk dalej nie rozumiał pytania.

Sean popatrzył na niego zasmucony.

—Widzę, że nie chcesz współpracować. – Zrobił pauzę. – Atak z nożem w ręku, to nie brzmi dobrze. – I wstał, markując zbieranie się do wyjścia.

—Pliiiz, noł – powiedział wystraszony Patryk. – Najf cziken. (Nóż na kurczaka).

– Starał się wytłumaczyć, że właśnie porcjował kurczaka, jak zadzwonili.

—Knife chicken?! – zapytał zdziwiony policjant.

—Jes, for cziken – powtórzył, pokazując gestem, jakby trzymał nóż w ręce.

Z tego zdenerwowania tylko zaśmiał się, bo sytuacja jest komiczno-dramatyczna.

—Chcesz powiedzieć, że Garda to tchórze? – podniósł głos.

—Noł! – zaprotestował Patryk, ale brakuje mu słów, żeby się dogadać. – Cziken In kiczen! (Nie, kurczak w kuchni). – Ale Gardziarz słyszał to, co chciał usłyszeć.

—Chciałeś zabić jakiegoś tchórze w kuchni?

—Jes! – potwierdził Patryk, choć nie do końca wiedział, co potwierdza.

—Podaj mi imię tego tchórze.

—Cziken nejm? In Polisz? (Nazwę kurczaka? Po polsku?)

—Yes! – kiwnął głową Sean. Wiadomo, jedna z głównych zasad

w policji to dać się wygadać podejrzanemu. Zawsze coś chlapnie. I wygląda na to, że zasada ta sprawdzi się także dzisiaj.

—Kurczak! – powiedział Patryk po woli i wyraźnie.

„Cool Chack” – zapisał sobie Gardziarz w notesie.

—Skąd on jest? – kontynuował wywiad, sprytnie łącząc brzmienie ksywy z pochodzeniem.

—From „Grzęda” – odparł bezwiednie Patryk, ale za chwilę spostrzegł się, że głupio gada. Chciał to wyjaśnić, ale policjant uniósł dłoń, przerywając mu.

—Szszejna. – I zapisał: SHAINA. Spojrzał na to, co zapisał i spytał dla potwierdzenia:

—From China? (Z Chin?) – „No tak, jeszcze nam tu chińskiej mafii brakuje” – pomyślał policjant. – I co, uciekł? – Sean wspomógł się gestami, prezentując ucieczkę „chińczyka”.

—Kurczak? – zapytał Patryk dla potwierdzenia, że zrozumiał dobrze.

—Yes, Cool Chack. (Tak, Chłodny Czak).

—Noł, In kiczen on tejbl. (Nie, jest w kuchni na stole) – powiedział Patryk o kurczaku, choć nie bardzo rozumiał, czemu ten kurczak jest tak ważny.

—Dead?! (Martwy?) – wystraszył się gardziarz, bo trupa, nawet i chińskiego, to nie mieli od lat.

—Jes, ded! – Patryk potwierdził, bo niby jaki miałby być kurczak na rosół?

Biegający?! I ma go z garnkiem gonić?

—Ok, zaraz wracam. – Sean wstał i zamknął drzwi celi za sobą.

Poszedł szybkim krokiem do Bernarda.

Zapytał dla pewności, co znaleziono w domu, podczas zatrzymania Patryka.

Bernard przeczytał parę punktów z listy. Nie było tam martwego Chińczyka.

—Ufff! – odetchnął Sean. „Dobrze, że nie pobiegłem od razu do komendanta z wiadomością o powiązaniach z chińską mafią! I o martwym Chińczyku na stole, który okazał się kurczakiem! To by była kompromitacja”.

I wrócił do celi Polaka.

—Twój angielski jest fatalny. – Patryk pokiwał twierdząco.

Gardziarz postanowił ograniczyć słowa do minimum. Wyjął z kieszeni moje zdjęcie.

—Czy znasz go?

—Jes. Tom. – powiedział, pokazując na zdjęciu mnie. – Łi łorkin tuggeder. (My pracować razem).

—Wiem – powiedział Sean z wyższością. „W końcu zaczyna gadać”, pomyślał.

—Co robicie razem? – podpowiada, ułatwiając mu przyznanie się do dilerki. Zestresowany Patryk miał taką pustkę w głowie, że pamiętał tylko duże litery z nazwy firmy, miejsca pracy.

—LTD. – odpowiedział, bo myślał, że to wystarczy.

—Masz na myśli LSD? – poprawił go.

—Noł, furniture. Aj Em kabinet mejker. (Nie, meble, jestem stolarzem). „Dalej kręci” – pomyślał oficer. Temat narkotyków postanowił sobie chwilowo odpuścić. Wyjął z kieszeni drugie zdjęcie. Musi go najpierw trochę zmiękczyć dowodami, może przespacerować się określną ścieżką.

—Znaleźliśmy to w twoim pokoju. – Pokazał zdjęcie biżuterii damskiej, znalezionej w pokoju.

—Mi noł gej. (Ja nie gej) – rzucił zdziwiony Patryk.

—Wiem, Ty to ukradłeś.

—Mi, co? (Ja, co?) – Nie zrozumiał, o co chodzi.

—You-stole-it. (Ty to ukradłeś) – powiedział, ilustrując to za pomocą gestu.

—Mi? (Ja?) – Już całkowicie się pogubił.

Ale Gardziarz pomyślał, że to tylko gra. Sięgnął do kieszeni po następne zdjęcie.

Pokazał je Patrykowi, mając nadzieję, że może tym zdjęciem zaskoczy go.

—A kto to jest? – zapytał, przyglądając się uważnie jego reakcji.

Zauważył, że aresztant wyraźnie wystraszył się.

„Dobrze, w końcu go trochę ugryzłem”. – Ucieszył się, że może przesłuchanie w końcu ruszy do przodu.

—Artur Szczęściarz – odpowiedział Patryk niechętnie, bo wiedział, że powiązanie z Arturem, oznacza same kłopoty.

—Ty jesteś Artur Czszzszasz. Kim jest ten facet? – poprawił go.

—Noł, mi Patryk Bosak, dys Artur Szczęściarz. (Nie, ja Patryk Bosak To jest Artur Szczęściarz).

Teraz Paul zgłupiał. Na chwilę zaniemówił. Szybko jednak ukrył zdziwienie, jak przystało na policjanta. Polak jest zbyt spięty. Trochę go rozluźnię, grając dobrego policjanta.

—Ok, Patryk. Jak to się wymawia? Czszzsziaś... – Robił przy tym dziwne miny.

—Szczęściarz, ha, ha. – Rzeczywiście, trochę się rozluźnił.

—My name is Bacon, You know, breakfast roll, bacon.(Ja nazywam się Boczek, wiesz, śniadaniowy roll, w nim boczek). – Zademonstrował, jak zajada śniadanie. – And Ortr?

—A, Artur. Jego nazwisko. Szczęściarz – mówi Patryk. – Hmm... – Jak tu powiedzieć „szczęściarz” po angielsku? Już

wiem.

—Fart!

—Ortr Fart? (Artur Pierdziuch?) – Policjant prychnął, bezwiednie wymawiając nazwisko Artura. – Prrr, hrrr, hrrr... – krztusił się śmiechem.

Patryk, niestety nie znał tego znaczenia słowa „fart” i nie rozumiał tej reakcji.

A policjant mówił przez śmiech:

—The biggest Castlerea gangster EVER. Welcome; Ortr Fart! (Największy gangsta z Castlerea. Powitajcie; Artur Pierd!) – I znów; – Prrrr, khe, khe, khe! – Łzy pociekły mu po twarzy. Nabrał parę głębokich wdechów.

Dla zyskania na czasie zaczął rozglądać się po celi. Po chwili ciszy, bezgłośnie złożył trzy zdjęcia, które udało mu się jednak utrzymać w dłoniach, z pedantyczną dokładnością schował je wszystkie do kieszeni.

—Dobrze, teraz wiem wszystko. Czy chcesz coś jeszcze powiedzieć? To Twoja ostatnia szansa. – Po głowie chodziły mu już najgorsze podejrzenia, ale przy Patryku alias Ortr dalej musiał trzymać fason.

—Mi no gilty. (Ja nie winny). – Patyk chciał powiedzieć tysiąc słów, ale ich zasób w języku angielskim ograniczył go do tych trzech.

—Dobrze – powiedział niezbyt groźnie brzmiącym, po tym wszystkim, tonem Paul i wyszedł.

Patryk usłyszał zgrzyt zamka i znów pozostał w celi tylko z nimi. Z myślami i bólem głowy.

Paul po wyjściu od Patryka skierował swoje kroki prosto do mojej

celi. Otworzył drzwi, stanął w nich z groźną miną. Przez chwilę przyglądał mi się w bezruchu.

Może i on był w bezruchu, ja natomiast siedziałem na pryczy i beztrząsco kiwałem sobie jedną nogą. To nie tak, że czułem się jak na wakacjach. Nie.

Po prostu przemyślałem sobie już wszystkie możliwości i byłem niemal pewien, że chodzi o Arturka. Złapali go, więc próbuje kogoś wsypać, żeby siebie wybielić.

Tylko że Arturk jeszcze nic mi nie zapłacił, więc nie mógł mnie nagrać ani tym bardziej podłożyć mi znaczony banknoty. O załatwianiu pracy za kasę rozmawiałem z nim jedynie przez telefon, jak był w Polsce. Jak byłaby to akcja zorganizowana w Polsce, to nie zgarnęliby mnie przed wręczeniem kasy.

Nie byłby też w stanie z nikim się dogadać, bo nie wiem, czy jest na świecie ktokolwiek, kto zaufałby mu po pięciu minutach rozmowy.

Nie ma na mnie nic.

Siedzę dalej, kiwając nóżką i czekam na rozwój sytuacji. Jak mnie będzie chciał podejść?

—Cześć, Tom. Jak się masz?

—Trudno powiedzieć, że dobrze, w obecnej sytuacji. – Spojrzałem z udanym wyrzutem.

Paul wyciągnął zdjęcie z kieszeni i pokazał mi, równocześnie szybko zadając pytanie;

—Kto to jest?

Spojrzałem niespiesznie na zdjęcie, starając się nic nie ujawnić swoją mimiką.

—Artur Szczęściarz – odpowiedziałem, zgodnie z wiedzą, jaką posiadałem.

Wydawało mi się, że Gardziarz tłumi śmiech, ale zaraz to znikło.

—Jesteś pewien? – zapytał, przybliżając zdjęcie jeszcze bliżej mego nosa. Gdyby na czubku mego nosa był przyczepiony kawałek plasteliny, gliniarz nie musiałby już go trzymać. Na szczęście, po pierwsze, nie zabrałem ze sobą plasteliny do celi, a po drugie, nawet gdybym ją zabrał, przyklepanie jej do nosa nie przysłoby mi w tej sytuacji do głowy.

No dobrze, może jakbym ją miał, to by mi przyszło do głowy. Ale jej nie miałem. I na tym skończmy te głupie rozważania!

Na wszelki wypadek odsunąłem nos od zdjęcia, zrobiłem lekkiego zezą, żeby jeszcze raz spojrzeć na fotkę i odparłem:

—To jest imię, jakim się przedstawił.

Paul nic nie powiedział przez dobrą chwilę, ale spoglądając na niego, prawie usłyszałem jego „Hmmm”. Albo raczej: „Łell”.

I poszedł sobie. Bez słowa.

Gliniarze.

W momencie, kiedy spokojnym krokiem Paul wyszedł z mojej celi i zamknął drzwi za sobą, musiał chyba trafić go jakiś piorun kulisty.

Nagle ruszył biegiem do biura i z takim zapałem zaczął przekopywać dokumenty, jakby sobie przypomniał, że ma kupon lotto z trafioną „szóstką”.

Po chwili do biura wszedł Bernard, którego zainteresował hałas.

—Co Ty wyprawiasz? – zapytał, widząc Paula w stercie dokumentów sprawy, przekładającego papierki z miejsca na miejsce.

Przed nim na kartce papieru widać rozrysowane drzewko. U podstawy trzy nazwiska. Patryk Bosak, Tomasz Cze, Artur

Szczęściarz, z dopiskiem „Fart”.

Do każdego dodane są dopiski: ID, Driving Licence, Passport.

Paul jeszcze chwilę się zastanawia. Przyłożył palec do nosa, myśląc.

—Wygląda na to, że nie mamy Artura Szesz... Es. – Spojrzał mu w oczy. Spojrzenie mu w oczy nie było wielkim problemem, bowiem Bernard wywalił je na wierzch tak mocno, że ślepy by je zauważył.

—Co masz na myśli? – wydukał.

—Spójrz na to zdjęcie. – Pokazał mu swoją fotkę w dowodzie. – Kto to jest?

—Nie pamiętam... Tom... on dotarł po zatrzymaniu tego starszego faceta, po tym jak zatrzymaliśmy Artura Es.

—Tak, to jest Tomasz Cze. On pracuje z tym facetem. – Pokazał mu zdjęcie Patryka.

Bernard przez chwilę przyglądał się, jakby nie mógł uwierzyć, po czym powiedział;

—To jest Artur Es., ten złodziej.

—Nie, to jest Patryk Bosak. – Sięgnął po drugie zdjęcie, to z łysym.

—To jest Artur. – Bernard przytrzymał sobie oczy, żeby nie wypadły mu z wrażenia.

—To znaczy... – Przez parę sekund krztusił się, nie mogąc wyrzucić z siebie to, co zamierzał powiedzieć. Po czym odkasłał, jakby wypluł połkniętą muchę i powiedział;

—To znaczy, że spie***śmy robotę.

—Tak – wydusił Paul. – Tu nie ma żadnych narkotyków.

—Ale co z tym, co go zaatakował nożem? – zapytał jeszcze z nadzieją.

—On zaatakował nożem, ale kurczaka na obiad. Sprawdziłem

zdjęcia z zatrzymania. Cool Chack, to po prostu chicken po Polsku.

—Ouuuu, pierd***języki obce. – Bernard złapał się za głowę.

—I co teraz zrobimy? – zapytał z nadzieją, że może jest jakiś sposób na uniknięcie kompromitacji?

Paul nawet przez chwilę pomyślał, że wystarczy ich zamordować i zakopać zwłoki pod komisariatem. Nikt ich tu nie będzie szukał. A na pewno nie my... Ale potem wrócił do rzeczywistości;

—Musimy ich obu uwolnić.

I obaj zwiesili głowy jak na komendę, ha, ha, „jak na komendzie...”.

„Coś za długo mnie trzymają w tej celi”, pomyślałem. „Albo nic na mnie nie mają, albo coś na mnie mają” – wysnułem genialny wniosek.

„Może będzie trzeba się do czegoś przyznać, żeby się ucieszyli, że co mają? Co by im rzucić za ochłap? Zobaczymy. Dam im zacząć rozmowę i do czegoś się przyznam. Może do przejścia na czerwonym świetle? Niiieeee! Przecież w Castlerea nie ma sygnalizacji. To co by tu...”.

I w tym momencie ponownie usłyszałem zgrzyt zamka w drzwiach. Tym razem stanęło w nich dwoje Gardziarzy. Jednego kojarzyłem z zatrzymania Janka. Z drugim zapoznaliśmy się w celi. To znaczy; ja – siedząc, on – przesłuchując, (choć też siedząc, przesłuchując).

Mówiąc trochę jaśniej:

Podczas przesłuchania ja siedziałem (w celi) i siedziałem (na pryczy), a on jedynie siedział (na pryczy), nie siedząc (w celi).

Hmmm. Nie jestem pewien, czy coś się w tej kwestii wyjaśniło.

Umówmy się więc, że staliśmy w trakcie rozmowy.

No.

I teraz:

Ja siedziałem, a on przesłuchiwał.

Wszystko jasne?!

Wracamy zatem do akcji;

Weszli. Jakimś dziwnym, drobionym kroczkiem. Co jest? Sikać im się chce? Pewnie nie mają czasu nawet pójść do toalety. Muszą mieć bardzo napięte terminy.

I nie tylko.

Nie, nie, nie, chodzi mi raczej o pęcherz napięty.

Popatrzyli na siebie jakoś tak nieporadnie... „Kochają się, czy co?”.

Nie usiedli na pryczy. Ani nigdzie.

—Jesteś wolny – wyrzucił z siebie pierwszy.

—Wolny? Dlaczego? – zapytałem głupio, jakbym chciał tu zostać.

Znów popatrzeni na siebie, skonsternowani. Widać, że nie lubią wypuszczać aresztantów.

—Mieliśmy pewne podejrzenia, ale nie potwierdziły się.

—Ok, ale mogę iść po kolacji? – zapytałem, bo już wiedziałem, że to ja mam ich „na widelcu”.

—Nie, ale chcemy jeszcze prosić Cię o pomoc – powiedział zdecydowanym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. Widzę, że jednak nie ma żartów.

—Wysprzątać celę?

—Ha, ha, ha – roześmiali się mimo woli. I jak na komendę spowaźnieli.

—Nie! Potrzebujemy kogoś do tłumaczenia na język polski.

No dobrze, to moja sytuacja z grubsza wyjaśniła się. Ale jeśli mowa o tłumaczeniu, to konfrontacja z Arturkiem może przynieść

zły efekt. Nie jestem za dobry w kłamaniu. A Arturek jest w tym mistrzem.

—Kto to jest ten Polak? – zapytałem dla wybadania.

—I to jest problem. Myśleliśmy, że to Artur Fart.

—Fart? – zaskoczyli mnie, ale po chwili domyśliłem się, jaki był ciąg nielogiczny i roześmiałem się.

—Ale on się tak nie nazywa.

No tak, wcale mnie nie zaskoczyło, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko. Ciekawe, czy Artur wie, że sam się nazwał Artur Wypierd. Ale trafnie nazwał swój sposób zmiany adresu zamieszkania.

—Ale muszę Wam powiedzieć, że on mnie nie lubi.

—Kto? Artur?

—Tak! – potwierdziłem.

—To nie problem – powiedział i pierwszy z nich wyszedł, a drugi pokazał mi zapraszającym gestem drogę na wolność.

Co miałem zrobić? Obrazić się i zabarykadować w celi? Tego jeszcze nie było. Wiem, że są tacy, którzy zrobiliby wszystko, by tylko nie trafić do „pudła”. Ale odwrotnie? Może po 30-tu latach odsiadki, a nie po jednym dniu..., a raczej paru godzinach.

Ruszyliśmy korytarzem. Na początku zaprowadzili mnie do biura i oddali wszystkie przedmioty, które przy mnie znaleźli.

—Czy to wszystko? – zapytał Paul.

Przejrzałem dokumenty, pogrzebałem w portfelu.

—Obawiam się, że czegoś tu brakuje – powiedziałem i spojrzałem na nich.

—Tu były nagie fotki mojej dziewczyny!

Ten, który wydawał mi dokumenty zmarł na chwilę w bezruchu. Nacieszyłem się chwilę tym widokiem. To była moja mała zemsta.

—Nieee, żartowałem. – Uśmiechnąłem się szeroko.

—He, he – zaśmiał się niepewnie. Na wszelki wypadek, czym prędzej podsunął mi do podpisania dokument o zgodności odebranych przedmiotów z listą.

Podpisałem. Gardziarz teraz uśmiechnął się, uspokojony.

—Chodźmy – powiedział drugi z nich.

Już bardziej nie mogłem odwlec spotkania z Arturkiem. Trudno. Najwyżej mu przyp***.

Idziemy. Paul pierwszy, ja w środku, za mną Bernard. Taki bezwarunkowy odruch gliniarza. Cywil w środku.

Doszliśmy do drzwi celi. Paul przekręcił klucz w zamku. Dreszczyk mnie prze-szedł, bo przypomniało mi się, jak zamknęli drzwi za mną, kiedy mnie tu wpakowali.

Kiedy weszliśmy do środka, zobaczyłem go, jak siedzi na pryczy z zawiniętą głową. No, może mu ktoś w końcu dopier***.

Ale, ale. To nie jest Artur! To jest Patryk!!!

—Patryk?! – poprosiłem zaskoczony o potwierdzenie. – Co Ty tu?

On też spojrzał na mnie, ale zamiast zaskoczenia, zobaczyłem, że raczej się ucieszył.

—Tomek!!! No w końcu! Powiedz im, że ja nie jestem Artur. — No nie jesteś. A to nie mogłeś im pokazać paszportu?

—Trudno z wykręconymi rękami i z...

—Stop – przerwał naszą konwersację Bernard. – Będziecie mieć czas na pogawędki później.

—Patryk, sprawdziliśmy wszystkie okoliczności. Myślę, że możemy Cię wypuścić. – Teraz mrugnął okiem. – Kurczak czeka. – Ja tłumaczyłem.

—Ale!!! Wciąż nie wiemy, co zrobić z Twoim atakiem z nożem.

—Co? – Teraz mnie zaskoczyli. – Patryk i nóż? Niemożliwe!

—Tak, tak – powiedział Gardziarz z podniesioną ręką w geście zrozumienia. – Wiemy to.

—I jak zapomnisz, co się dzisiaj zdarzyło, to my zrobimy tak samo.

—Już nie pamiętam. – Uśmiechnął się, bo dostrzegł przysłowiowe światełko w tunelu.

—O czym to rozmawialiśmy? – zapytał Paul.

—Nie pamiętam – udałem zmartwiony.

—Ok – pokiwali głowami z zadowoleniem.

I wyszliśmy obaj uśmiechnięci, przegadaliśmy cały wieczór, śmiejąc się z całej historii.

Wszystko dobrze się skończyło. Na koniec Gardziarze poprosili o wszelkie możliwe informacje na temat Artura. Miejsce pobytu, co je na obiad, itd.

Powiedzieliśmy, że jak tylko coś się dowiemy, damy znać. I wymieniliśmy się numerami telefonów.

W pracy wytłumaczyliśmy się jakoś. Powiedziałem, że opiliśmy się „po irlandzku”.

Ale od tego dnia, kiedykolwiek Garda z Castlerea zatrzymała nas na drodze, witali się i kazali nam jechać dalej, życząc szerokiej drogi.

A może raczej miłego dnia?

Patryk w swoich opowieściach wystrugał z siebie bohatera. Jak to Patryk. I jak to stolarz. Na drugi dzień zadzwoniła żona Patryka:

—Pasiu, kupiłam Ci już bilecik do domku. W sobotę wracasz.

Rozdział 27

Ewakuacja. Zapasy w błocie. Czas otworzyć nową „metę”. I znów baśnie tysiąca i jednej nocy. Nie da Ci żona, nie da Ci matka tego, co opowie Ci sąsiadka. Prawda jest tak „narąbana”, że nie ma siły wyjść na wierzch. No to ją wyciągnijmy. Ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje z emigranta.

*

A co porabiał Arturek po ucieczce przez okno?

Jak usłyszał hałas na dole, wyjrzał przez drzwi w łazience. Zobaczył Patryka, szarpiącego się z Gardziarzem.

Więcej nie musiał już widzieć. Domyślił się, że to do niego przyszli w „odwiedziny”. Cicho prześlizgnął się do pokoju, następnie na mokre jeszcze ciało włożył ubranie.

„Dobrze, że chociaż wykąpać mi się dali. Nie będę brudny spie***lał”.

Złapał portfel z całym majątkiem, paszport i kurtkę. Jak to Artur, wykorzystał jeszcze okazję i spryskał się perfumami Janka. „Brut” zielony.

Wiedział, że schody są obstawione, ale jeszcze raz wyjrzał w kierunku schodów. Rumor oddalił się od drzwi. Gardziarze pakują Patyka do radiowozu. „To idioci” – pomyślał, ucieszony i dwoma susami znalazł się na dole i pobiegł do kuchni. Ostrożnie wyjrzał przez okno. Trwało to ułamek sekundy. Nie ma nikogo. Złapał jeszcze ze stołu swój ulubiony nóż kuchenny. Przesunął drzwi. Skoczył przed siebie, przytulając się do ściany przybudówki. Nasłuchiwał odgłosów. Cisza. Znów paroma skokami pokonał dystans do ogrodu. W międzyczasie rozglądając się wokół, przeskoczył przez drewniany płotek. Chciał od razu położyć się w trawie, i posłuchać, co się dzieje.

Niestety, nie wiedział, że zaraz za drewnianym ogrodzeniem jest spadek, gdyż na dole płynie sobie maleńki strumyczek. Nie widać go zbyt dobrze, bo jest mocno zarośnięty trawą. A Arturek nie był na tyle przewidujący, żeby postąpić profesjonalnie i sprawdzić drogę odwrotu.

Zaczął kląć w myślach, „na czym świat stoi”. On tymczasem stał po kostki w wodzie, dodatkowo cały pobrudzony trawą.

„No tak, dobrze, że nie zdążyłem umyć stóp, kiedy byłem pod prysznicem. I tak będę je musiał zaraz umyć”. Taka złośliwość losu.

Nie mógł jednak zbyt długo uzalać się nad swym ciężkim losem przestępcy. Na piętrze, w jego pokoju dostrzegł jakiś ruch. Nie chciał ryzykować wykrycia. Wydobył zatem nogi z „ciapłatego” dna i stąpając jedną nogą na jednym, drugą nogą na drugim brzegu, pochylony uciekał wzdłuż ogrodzeń osiedla.

„O, k***!!!”. – Teraz z kolei przypomniał sobie, że zapomniał z tego wszystkiego zabrać plecak z łupem.

„To pie*** chu***! Taki skok! Wszystko perfekcyjnie zaplanowane. (Naprawdę tak myślał!). Przez głupiego Janka, (bo ktoś musi być winny) nie zabrałem plecaka. I na chu*** było całe to planowanie? A tak ich miałem ładnie w przyszłym tygodniu wszystkich „opier*** z kasy”. Będzie trzeba to inaczej rozpracować”.

W związku z tym, że miał w butach mokro, nie chciało mu się uciekać daleko.

Parę dni temu poznał tu nowych Polaków.

„Dobrze, że sobie przygotowałem u nich metę. Teraz musiałbym czegoś szukać. Poczekam trochę tutaj, a jak Garda zniknie, pójdę do nich. Dobrze, że się nie znają, bo meta byłaby spalona”.

Jak pomyślał, tak i zrobił. Kiedy zobaczył, że radiowozy już

odjechały, okreśną drogą dotarł do ich domu.

DING-DONG.

Spojrzał na siebie krytycznym okiem. Rzadko mu się to zdarzało, ale jednak czasami... Może nawet bardziej pod kątem tego, jak to wyjaśni nowym współlokatorom. Bo tego, że go przyjmą jest pewien.

„Ma się ten bajer – pomyślał. – Tylko jak im te zamoczone buty i spodnie wyjaśnię? I cała prawa strona zielona od trawy”.

Usłyszał chrobot klucza w zamku. Poprawił fryzurę... eee... przepraszam, zapomniałem, że jest łysy. Jak to Łysy.

No dobrze, to otarł tylko pot z czoła.

—Cześć, Kinga!

—Cześć – odpowiedziała zdziwiona, choć nie bardzo jeszcze kontaktowa, bo była zaspana. Drzemka. – A co Ty, domu nie masz? – zapytała, widząc go stojącego w kałuży wody.

—No właśnie, nie mam – odparł, jeszcze bardziej zbijając ją z tropu. – Tak jak Ci mówiłem. Nie wytrzymałem i mu przyjecha***. Wiesz, u mnie nie ma ściemy. Jak ktoś jest ch***, to ja nie będę mu w tyłek wlaźć.

Obejrzała go jeszcze raz z góry na dół. Wyglądał żałośnie, a nie bohatersko. Dlatego wpuściła go do środka.

—Wejdz! – odsunęła się, robiąc mu przejście. Musiała się odsunąć, bo jest dużą dziewczyną. Po prostu. Nawet Artur dwa razy by się zastanowił, zanim spróbowałby z nią zapasów. A serce ma jeszcze większe, co okazywało się niejednokrotnie, kiedy pomagała polskim i irlandzkim niedojdom. I na to liczył Artur.

Weszli do salonu. Kinga i Kris mieszkają tu razem, ale nie są parą. Raczej przyjaciółmi. Razem przyjechali do Irlandii, razem przechodzili dobre i złe chwile. Historia ich połączyła. Teraz

wspólnie pracują w miejscowej wytwórni wyrobów mięsnych. Robią parówki, szynki, ale i sałatki warzywne.

Ona – zapalona wędka... eee ...jak to się mówi? Zapalona kto? Może po prostu zapalony wędkarz. Dobrze i nie wnikajmy dalej, bo nie wybrnę.

Kris to inteligentny facet, który w szachy ogrywa wszystkich. Podobnie, jak Kinga, jest osobą godną zaufania. Ale oczywiście ma i swoje drobne dziwactwa. Albo hobby? Zbiera zegarki. I to wcale nie muszą być muzealne eksponaty. Każdy zegarek, trochę inny, to skarb.

W związku z tym cały jego pokój jest „usiany tymi skarbami”. W chwili obecnej skarby wylały się z pokoju i pełzną po schodach w dół. Idąc do pokoju Krisa, czujesz się, jakby twój czas się kończył. Cyk, CYK, CYK, cyk... Czasem Kris stara się poznać tajemnicę „czasu” i jakiś zegarek leży w częściach. Tu trybik, tam sprężynka.

Ludzie, naprawdę nie macie pojęcia, kiedy w Waszym życiu ta sprężyna będzie miała szansę uratować Wam życie...

Póki co, sprężyna czeka na swe przeznaczenie, Kris drzemie razem z nią. Tak. Drzemie razem z nią, bo sprężynka jest na tyle pokrecona, że zawieruszyła mu się do łóżka...

Na dole Kinga i Artur weszli do saloniku. Lubię małe salony, bo łączą ludzi. Wielka Kinga i Artur z „wrzodami pod pachami” zajmują tyle miejsca, że w tak małym salonie wyglądają, jakby się przytulali.

—Co się stało? – zapytała. – Chcesz coś do picia? Kawy?

—Nie piję kawy. Wiesz, – mrugnął – szkodzi na te sprawy. Wodę, jeśli już.

—To co się stało? – ponowiła pytanie, kiedy wróciła ze szklanką.

—Wiesz, Kinga, ja sobie nie pozwolę, żeby mnie ktoś w ch***

robił. – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Dzisiaj przyszedłem do domu po pierwszej wypłacie i on się mnie pyta – wiadomo, mowa o mnie – czy dostałem kasę i ile? No to ja mu odpowiadam, że to nie jego sprawa.

—I co on na to? – zapytała zaciekawiona.

—No to on mówi, że nie obchodzi go sama wypłata, ale jego kasa. No to ja odpowiadam, że oni mi żadnej kasy dla ciebie nie dawali. I zbaraniał.

„Ale to Ty mi masz zapłacić kasę”- odpowiedział. No to ja mu mówię, że ja Ci nic nie jestem winien. Tomek, załatwiłeś mi robotę, OK. Dzięki. Postawię ci wódki ile wypijesz. Możemy się nawet razem upić. Ale to tyle. „Inna była umowa”- zaczął się rzucać. Masz to na piśmie? Zapytałem. „Dawaj kasę, albo wypier***, Ty ch***u!”.

—Tak? – Kinga spojrzała na niego podejrzliwie, bo już też nie jeden „typ” przerabiała.

—No to tak nie będzie do mnie żaden k@tas mówił. Przypierd*** mu z Baški i poprawiłem ręką, aż się wypier*** na podłogę. To ten wówczas zaczął się drzeć: „nie bij, nie bij... Ratunku!”. Miałem mu ochotę jeszcze raz przyje***, ale z salonu przylecieli jego kolesie i musiałem spier***ać. Wyskoczyłem przez płot i wpadłem do jakiejś wody.

—I jestem – powiedział z dumą. – Zdrzemnę się u Was parę dni, dobrze? Zapłacę za wszystko. Portfel zdążyłem złapać.

—A co z ciuchami? – zapytała Kinga.

—Pierd***ę to. Nic tam wielkiego nie zostawiłem. – Pochylił się konspiracyjnie w jej stronę. – Wiesz, na wyjazdy nie zabieram nic cennego. Nigdy nie wiesz, kto może cię opier***lić. – (czyżby ją uprzedzał?).

—Wiesz, mamy taką umowę z Krisem, że muszę go zapytać –

oparła, bo nie wiedziała jak wybrnąć z sytuacji. Nie „uśmiechało” jej się przyjmowanie nowych lokatorów.

Ale, że Łysy, jak to łysy, ślizga się dobrze, od razu zawołał Krisa, nie pozwalając Kingdze zostać z nim sam na sam.

—Kris! – krzyknął, zanim Kinga zareagowała.

—Chyba śpi. – Jeszcze ratowała sytuację.

—Kris, co Ty, w dzień śpisz? To co w nocy robisz? – Wyszedł na korytarz, żeby go obudzić.

—Co tam się dzieje? – doszło z góry pytanie Krisa.

—Zejdź na chwilę, jest interes. – Już miał wracać do salonu, ale zobaczył, że zostawia jeszcze po sobie kałużę. Zdjął więc buty i zostawił je w przedpokoju. – Kinga, masz jakiegoś mopsa? Bo Wam trochę zalałem podłogę.

W czasie, kiedy Kinga wycierała podłogę, Artur w skrócie opowiedział Krisowi historię. I zakończył:

—I chciałem Was prosić, żebyście mnie przenocowali parę dni. Kinga już się zgodziła, ale powiedziała, żeby jeszcze Ciebie zapytać. – Uśmiechnął się. – Dobrą masz przyjaciółkę. Pamiętaj o Tobie.

Kinga chciała pokazać jakimś tajnym gestem Krisowi, że raczej nie, ale była za jego plecami, kiedy zajmowała się podłogą. Teraz, nie kończąc jeszcze pracy, ruszyła prędko do kuchni, żeby jakoś dać mu sygnał. Mors’em, czy jakoś. Ale było już za późno.

Kris, jak zwykle, po tym kiedy usłyszał, że Kinga się zgadza, nie zamierzał szukać dziury w całym. Dodatkowo, jeszcze był rozespany i wymęczony po wczorajszej imprezce oraz dzisiejszej pracy.

—Jak Ci Kinga powiedziała, że tak, to mnie tam wszystko jedno.

I tak to się wkręcił, cwaniaczek. Jak zwykle w takiej sytuacji, już zaczął myśleć, jak ich wyrolować.

—To będziesz musiał rozłożyć się tutaj, w kuchni. Damy Ci na tę parę dni jakąś pościel.

Piątek. Od przygody ze Patykiem-nożownikiem minął już jakiś czas. Wszystko wróciło do normy.

Patryk otrząsnął się z traumy, wtulony pomiędzy dwa argumenty żony. Przez telefon zaczął żartować na ten temat, oczywiście opowiadając jedynie wybrane fakty, okraszone bohaterskimi czynami.

Ale wróćmy do piątku. To ulubiony dzień każdego normalnego Irlandczyka.

I niektórych Polaków. Wypłata, weekend.

Co więcej trzeba?

Zakupów.

Nie, nie ciuchy. Nie potrzebuję ciuchów co drugi dzień, żeby nie mieć chandry.

Mówię o żywności.

Każdy Polak wie, że żeby żyć, trzeba pić. A żeby móc pić, trzeba mieć „zagrychę”.

A zagrycha to jedzenie.

Wobec tego żeby pić, zmierzam po pracy do naszego ulubionego sklepu. Lidla. Krążę od półki do półki, mając nawet wyliczone kroki. Mój rekord, to minuta i dwanaście sekund.

Ale to jak Alicja była w Polsce. Mojej listy nie zaśmiewały artykuły niepojęte dla zwykłego polskiego faceta, przykładowo pachnąca woda do żelazka, oliwa z oliwek z dodatkiem orzechów włoskich (pewnie bardziej chodzi o tych „włoskich”).

Ale dziś, niestety, nie uda mi się bicie rekordu. Po pierwsze – dzisiejsza lista jest dłuższa, a po drugie – właśnie ktoś zakłócił mój

trzydziesty drugi krok w piątej alejce, obok serów.

—Tomek, tak? – ktoś mnie zapytał. Obróciłem się.

—Tomek. Bez „tak” – odparłem, jeszcze nie wiedząc, z kim rozmawiam.

—Sorry, że tak Cię tu zaczepiam, ale ja Cię znam. – W ten sposób poznałem Kingę.

—Wiesz, tak naprawdę, to wcale mnie nie znasz – zażartowałem i uśmiechnąłem się, żeby mnie dobrze zrozumiała.

—Ha, ha, ja dobrze to nawet siebie nie znam. – Załapała żart. – Ale za to oboje znamy pewną osobę, o której chciałam porozmawiać.

—Jeśli chodzi Ci o Tuska, to ja go wcale nie znam – kontynuowałem. Jeśli to coś ważnego, to w końcu wyjaśni, w czym rzecz.

—Jestem Kinga – przedstawiła się.

—Tomek. – Podaliśmy sobie dłonie, polskim zwyczajem. – Ale to już wiesz.

—Chciałam porozmawiać o Arturze.

„Ooo, to on jeszcze istnieje?” – pomyślałem zdziwiony.

—Niech zgadnę: chcesz zapytać, czy można mu zaufać? – zapytałem zgryźliwie, bo już zacząłem się domyślać.

—Za późno – potwierdziła moje przypuszczenia. – Ale to nie jest właściwe miejsce do takich rozmów. Masz dzisiaj chwilę?

—W tym wypadku pojęcie „chwili” wydaje mi się lekko naciągane. Jeśli chcesz zacząć rozmowę o Arturku, to muszę wziąć tydzień wolnego.

—Ha, ha. – Znów „zajarzyła”. – Masz rację. Ale chciałam Cię zapytać o parę rzeczy.

No i tak się zaczęła nasza znajomość. Kinga i Kris okazali się jednymi z normalniejszych emigrantów. Co nie znaczy, że

normalnych, jak na polskich emigrantów. Bo polski emigrant, jak życie pokazuje, normalny nie jest.

Ale teraz wracam do rozmowy o Łysym.

Umówiliśmy się u nich o 20:00.

Oczywiście, rozpoczęcie znajomości musiało zacząć się od poezji.

„Poezji smaku”, czyli flaszki i śledzika.

—No to, za nową znajomość, rozpoczętą na gruzach. – To Kris wzniósł toast.

– Do dna.

—Za nową znajomość – powiedziałem i też wychyliłem.

—No to, co tam z Arturkiem? – zapytałem, żeby skierować rozmowę „na tory”.

Chyba nie bardzo wiedziała, jak zacząć, bo widziałem, że stara się dobrać słowa.

—On mieszkał u Was, tak?

—Mówimy o tym łysym napakowanym oszołomie? – zapytałem dla pewności.

Kinga potwierdziła, kiwając głową.

—Tak, mieszkał. Dopóki Garda go nie zaczęła szukać.

—Garda?

—Tam, gdzie mu załatwiłem robotę, opier***komuś dom. Właściciele donieśli na Gardę i Ci przyjechali po niego.

—I co? – zapytał zdziwiony Kris.

—Spierniczył im przez okno. Teraz go szukają. A co, wiesz gdzie teraz jest? Kinga z Krisem spojrzeli na siebie zdziwieni.

—Wiesz, on u nas trochę mieszkał. Chyba właśnie od tego dnia, co zwiął.

—No patrzcie, to cwaniak. Wie, że najciemniej pod latarnią. Garda go pewnie szuka po lotniskach, a on sobie kupuje bułki

i serek pod ich nosem. Ma tupet.

—On opowiadał, że to z Tobą się pokłócił. – Dyplomatycznie to ujęli, ha, ha. – I poprosił nas, żebyśmy go parę dni przenocowali.

—To się dobrze ukrywał, skoro nikt go nie widział.

—I przy okazji wyrolował parę osób. Nam też miał dorzucić się do mieszkania, a zostawił tylko g*** no w kiblu.

—Nie jesteście pierwsi. Ale kogo jeszcze naciągnął?

—A był tu taki Sławek, któremu pomogliśmy znaleźć pracę.

—A, to Wy z tej samej branży? – zapytałem.

—Nie, my jedynie po koleżeńsku – dogryźli mi.

—Widzę, że radio polonia działa.

—No, słyszeliśmy trochę. Ale nie jesteśmy wścibscy. To Twoja sprawa.

—Dobrze – potwierdziłem, bo byłem bardziej ciekaw, co jeszcze wymyślił Łysy, niż co ludzie o mnie mówią.

—No i z tym Sławkiem Artur zaczął imprezować u nas. On sam nie pił, ale jemu w tym nie przeszkadzał. Czasem nawet kupił mu flaszkę. Myśleliśmy, że nie taki zły, jak postawi. Ale teraz już wiemy, jaki był cel.

—Jaki? – zapytałem.

—Parę razy, jak im brakło wódki, a byli już nieźle nagrzani, szli wspólnie do bankomatu. I Artur musiał mu podejrzeć PIN.

—Oooo – jednak mnie zaskoczył – nieźle. Trzeba przyznać, że pomysłowy.

—Kiedyś zabrał mu po następnej popijawie kartę i wypłacał kasę przez parę dni, ciągle kupując Sławkowi flaszkę. My się dziwiliśmy, skąd ma kasę, jak nie pracuje. Ale przecież mógł mieć oszczędności. No i jak w końcu wyczyścił mu wszystko, to przestał stawiać i zniknął. Nawet nam nie oddał za rachunki.

—No to siup – wtrącił się rzeczowo Kris.

—Siup.

—Na zdrowie. - Przegryzłem śledzikiem.

—No dobrze. Ale czego oczekujecie ode mnie? Że Wam oddam za niego? – zapytałem wprost, bo po paru kieliszkach szczerłość jest mocną stroną każdego normalnego Polaka. Tylko łajzy kombinują przy wódce.

—Nieeee, coś Ty. – Prawie równocześnie zaprzeczyli. – Myśleliśmy raczej, że może wiesz gdzie teraz mieszka. Może jak byśmy go znaleźli, to coś by ten Sławek odzyskał.

—Wiesz, chętnie sam dowiedziałbym się gdzie teraz się ulotnił, bo jak wyskakiwał przez okno, to zapomniał zostawić opłaty za czynsz na stoliku. Ale niestety. Jest gorsza rzecz. Przez to, że ostatnio Garda szukała go u nas, czasami dzwonią, lub widzę radiowóz stojący przed domem.

—No to jak tak, no to siup. - Zakończył rozważania Kris.

—Siup.

—Siup.

No i po paru kieliszkach rozmowa zeszła na inny temat – A jak tam Mietek Wojak? – przypomniałem sobie, bo też u nich mieszkał przez pewien czas, jak nie mógł już znieść towarzystwa domowników pod 12.

—Ooo, Mietek to osobna historia – wymruczał Kris. – Mielimy tu z nim rozrywkę, jak w kinie. Wiesz, jaki jest Mietek. Lubi tych, którzy mogą mu coś dać.

—No – pociągnęła Kinga. – Kiedyś przyszedł po pracy do domu wściekły. Trzaskał talerzami, nawet „dzień dobry” nie powiedział. To ja się go pytam, co jest grane. Powiedział, że śmiali się z niego w pracy, bo mu się rower popsuł.

—Jak to? Śmiali się, bo Ci się rower popsuł?

—No. Bo rano, jak już poszliście do pracy i miałem jechać do roboty, to mi się popsuł. Stanałem za mocno na pedał i cała tarcza się rozpadła. Tylko zazgrzytało i tyle. No to zadzwoniłem do nich i powiedziałem, że nie mam jak przyjechać.

—I co?

—I nawet po mnie podjechali, tylko śmiali się cały dzień i pytali o rower.

—Jak to o rower? To co Ty im powiedziałaś?

—No, powiedziałem, że rower popsuty, nie rozumiesz, co do Ciebie mówię?

Jak Ci Irole?

—Rozumiem, ale oni nie rozumieją po Polsku.

—Ja po angielsku do nich.

—Po angielsku? To Ty umiesz?

—Trochę coś zostanie w głowie. Szczególnie z filmów, co sobie kupiłem płyty.

—To jak im wytłumaczyłeś?

—No, powiedziałem, że nie pracuję dzisiaj, bo mi się pedały w rowerze popsowały.

—I jak to po angielsku jest? – podbierałam go, aż w końcu powiedział.

—Mi noł łork tudej. Aj fok tu gejs on bajk”. (Ja nie praca dzisiaj, ja przelecieć dwa pedały na rowerze).

—Haaaa, ha, ha – roześmiałem się, prawie spadając z krzesła, bo siedziałem na brzegu. – Przeleciał dwa pedały na rowerze, ha, ha, to nic dziwnego, że nie ma siły iść do roboty.

—He hehehe – teraz i oni zaczęli się śmiać. – No, to jak to usłyszałam, to sama mało się nie przewróciłam. A jaką miał głupią

minę, jak mu powiedziałam, co to znaczy.

—No, nie mogę. – Staram się dojść do siebie. – Nie mogę się uspokoić, – mówiłem, przez śmiech – jak sobie wyobrażę Mietka z jego wąsem, na rowerze, to już nie damę rady. A jak jeszcze dobiera się do dwóch pedałów, to już jest kosmos.

—Ha ha ha – rechoczymy, aż nas z tego wszystkiego brzuchy rozboleły. – A na koniec przyjechał ten szef i zobaczył ten rozwalony rower – dodała Kinga. – To już wtedy całkiem mu uwierzył w tę historię. Inaczej trudno tak rower popsuć.

Łubudu. Jednak nie dałem już rady i spadłem z sofy na ziemię, ale nadal nie potrafiłem przestać się śmiać.

—No to, he, he. – Podniosłem kieliszek. – Zdrowie tych pokrzywdzonych... — He,he,he, skąd wiesz? Może nie narzekali?

—Kto wie? – powiedział Kris. – Mietek taki wyposzczony...Na bezrybiu i rak ryba.

—Zdrowie. – Wychyliliśmy za pokrzywdzonych lub nie.

—To Ci Wojak – powiedziałem, jak już byłem w stanie oddychać i wracałem do normalniejszego stanu.

—Teraz możemy się pośmiać, ale pod koniec pobytu, jak temu Michaelowi skończyły się zamówienia, to go zwolnili. I wtedy już tylko pił. Bo co miał robić.

—No, ja widzę, że dużo Polaków nie radzi sobie na emigracji. Jak mu się skończyła robota, to zamiast pić, powinien się domyślić, że już teraz trudno znaleźć pracę i wracać z tym, co miał.

—Gdzie tam. – Kris machnął ręką. – Przecież mu mówiliśmy, że tu bez języka to już nic nie zwojuje. Nawet z czołgiem.

—Ha, ha, ha – roześmialiśmy się, bo w Polsce był kiedyś zawodowym czołgistą.

—Ale Janek wolał pić. W domu mama mu nie pozwoli.

—Mama mu nie pozwoli? Przecież on ma z 60 lat? – zdziwiłem się.

—Kiedyś Kris był w okolicy i zajrzał do Janka w gości. To tak się bał mamy, że siedział cały spocony, żeby tylko nie weszła do kuchni.

—I co?

—Posiedziałem trochę, oddał kasę za mieszkanie i pojechałem. Nawet mnie kawą nie poczęstował, jedynie nasłuchiwał, czy nikt nie nadchodzi.

—No patrz, a taki chojrak tutaj – zdziwiłem się.

—Albo kiedyś paczkę do Polski pakował, jak jeszcze na budowie pracował. – Kinga rozpoczęła nową opowieść.

—No to siup – przerwał Kris. – Zdrowie dętki.

—Ha, ha. – Podnieśliśmy kieliszki. – Czyli nasze, czy tej umęczonej w Mietkowym rowerze? – zapytała Kinga.

—Siup – wznieśliśmy już bez komentarza. A Kinga ciągnęła opowieść.

—No i pakował tę paczkę, akurat jak wróciliśmy z pracy.

—A rower też pakował, czy same pedały? – zapytałem.

—Hi, hi, hi. Nie, lepiej. On tam napakował rupieci do środka.

—Czyli? – Nie zrozumiałem.

—Ja się zastanawiałam, co on z budowy zawsze jakieś ciężary znosi. Ale nie moja sprawa, to nie pytałam. Teraz patrzę, a on do tej paki wrzuca worki gwoździ, papiaków.

—Czego? – wydawało mi się, że nie dosłyszałem.

—Gwoździ. Co oni wyrzucali, to on przebierał i przynosił. I od cholery takich tub. Pytam go, a to co? Powiedział, że silikon wiezie do Polski. Przyjrzałam się, a to nawet nie silikon, tylko te tuby akrylu malarskiego, do wypełniania dziur przed malowaniem.

—No i co on z tym złomem zrobił?

—Na drugi dzień przyjechał kurier. Ledwie to we dwóch zanieśli do busa.

—Co on to bezdomnym do Polski wysłał? – spytałem, bo nie miałem żadnego pomysłu, po co mu to.

—Gdzie tam. Do domu. Pięćdziesiąt euro za to zapłacił.

—To może ma umowę z Irlandzkim rządem na wywożenie śmieci z kraju?

—Interes życia zrobił. W Polsce pięćdziesiąt złotych za to nie dostanie – policzył Kris.

—A co lepsze, to nie wszystko. – Kinga podniosła kieliszek – Siup.

—Siup.

—On nam zapie*** wszystkie lepsze filmy, co sobie z Polski przywieźliśmy na płytach. Mieliśmy taką półkę z płytami w opakowaniach. A on z kolei kupował na wyprzedazach te filmy po 50 centów i namiętnie je oglądał. Japońskie karate science-fiction. Karatecy latają po pół godziny w powietrzu, a ten się zachwyca. Jeszcze po angielsku.

—To pewnie tam się tego angielskiego uczył – dodałem.

—Pewnie tak – potwierdziła. – No i jak się pakował, to te swoje szorty powkładał w nasze opakowania, a do Polski wysłał te nasze.

—On nawet na ulicy zapalniczkę znajdzie zużytą, to mu się przyda.

—Pewnie też je wysłał – dodał Kris.

—No, ale co zrobić, taki typ.

—A powiedziałaś o łóżku? – zapytał Kris, który już lekko odpływa, ale wybudził się z letargu.

—Nie – odparła. – A to jeszcze lepsza historia.

—Jak już Janek pojechał, to trzeba było po nim posprzątać. Dobra, puszki.

Trudno. Kołdra prosto do śmieci, bo taka czarna, że przez rękawiczki ją brałam.

Prześcieradło odcisnięte, jak „całun turyński”. Można nawet zobaczyć, w której kieszeni nosił zapalniczkę. Ale Kris chce podnieść prześcieradło, a tu nic. – Kinga rozłożyła ręce. – Nie da się ruszyć.

—Takie ciężkie? – spytałem nieco splątanym głosem.

—Nie. Janek miał ten materac na podłodze, bo wiadomo, miejsca na łóżko już nie było. A on też miał tylko parę dni u nas spać. Ale on rozwiązał odwieczny problem ludzkości z zsuwającym się prześcieradłem. To prześcieradło przybił „papiakami” do podłogi, żeby mu się nie zwijało.

—Do podłogi? Przybił – znów nie wiem czy dobrze usłyszałem – gwoździami? To pewnie Was poprosi przez telefon, żebyście mu te gwoździe odesłali do Polski, bo mu brakuje.

—Ha, ha, ha – roześmiała się Kinga, bo Krisa wcale nie zdziwiłaby ta prośba.

A zresztą wygląda na to, że zasnął.

—Miał policzone, niczym ten w „Koglu-Moglu” flaszki – wyrwał się Kris, otwierając jedno oko. Czyli jednak nie śpi, tylko daje oczom odpocząć.

—A propos flaszki – Kinga złapała za kieliszek. – Nasze zdrowie.

—Oj, przyda mi się trochę zdrowia, bo jutro będę dętka. Nie jestem przyzwyczajony do takiego tempa – rzuciłem.

Niestety, nie udało nam się tym spotkaniem rozwiązać naszego wspólnego problemu, ale doszliśmy do wspólnego wniosku. Mianowicie:

—No to siup.

—No to siup – potwierdziłem moje stanowisko.

—No to siup – zgodził się Kris z uchylonym jednym okiem.

Rozdział 28

No to dostałem po łbie. Kto jest tu czubkiem? A teraz happy end. Znalazłem Cię. Tak mi się wydawało...

*

Jestem wykończony. Zrobiliśmy dzisiaj w pracy tyle, co w zwykły tydzień. Ale jutro idzie transport do Manchesteru, to wszystko musiało być skończone oraz załadowane.

Ufff.

Jest już ciemno. To przez te chmury i deszczową pogodę.

Wyszedłem z pracy i może przez zmęczenie jestem w kiepskim humorze.

Wiem, że większość rzeczy w moim życiu układa się dobrze.

Zapracowałem sobie na szacunek pracy. Cała ekipa w firmie jest przyjacielska.

Trudno znaleźć drugą taką firmę.

Z Alicją też rozumiemy się coraz lepiej. Wiadomo, szczególnie przy naszych

temperamentach zawsze coś zazgrzyta. Ale to przecież tylko drobiazgi. Kochamy

się i jest nam razem super.

Muszę być szczęśliwy.

To dlaczego nie jestem?

Bo jest w moim życiu coś, co mi zupełnie nie wyszło. I nigdy nie będę już w stanie tego naprawić.

Ja i Konrad.

Oczywiście, że źle postąpiłem. Gdyby było inaczej, miałbym z nim kontakt. Ale to nie zmienia faktu, że myślę o nim. Czasami, na przykład w takie dni jak dziś, wyobrażam sobie, co by było, gdybym...

Albo gdybyśmy...

Ciekawe, co teraz robi?

Podjechałem pod dom. Ala w pracy. Obiad pewnie stoi na kuchni. Mam nadzieję, bo jeść mi się chce, jak diabli.

Wysiadam z auta. Gdzie mam te kluczyki od domu... Łup!!!

Gwiazdy... skąd tu tyle gwiazd?

Otwieram oczy. Nie. Nie tak. Staram się otworzyć oczy, ale głowa mnie tan napier***, że boję się.

Boję się, że jak otworzę oczy, to mi pękną.

—Toooomeeeek – słyszę jakiś głos, jakby przyciszony i w oddali. Znam go.

Gdyby nie ten ból, to pewnie rozpoznałbym, kto to. Zaraz, Alicja.

—Toooomeek, otwórz oococzy. – Teraz trochę wyraźniej.

Ale i ból głowy coraz wyraźniejszy. Czyżby to ona tak mi przylała? To może lepiej nie otwierać oczu?

No dobrze, otworzę jedno i zobaczę, co ma w rękach.

Podnoszę jedną powiekę, a w głowie słyszę skrzypienie. Jest Alicja.

Ale ręce ma pod łóżkiem. Na wszelki wypadek szybko znów zamykam oczy.

—Tomek, słyszysz mnie? To ja Alicja. Możesz otworzyć oczy? – i uspokajającym tonem. – Już wszystko dobrze. – Pogłaskała mnie czule po policzku.

Dobra, może nie przyleje mi drugi raz, skoro mnie głaska.

Otworzyłem szybko oczy, bo nie chciałem już słuchać skrzypienia.

—Widzisz mnie? – zapytała.

Cały czas jak za mgłą.

—Trochę - powiedziałem, bo widziałem jak za mgłą. Leże w łóżku, ale nie moim.

Szpital, domyśliłem się.

—Za co? – zapytałem, patrząc na Alę. Roześmiała się. A po policzku poleciała jej chyba łezka.

—Żartować sobie w takim stanie. Cały Ty. – I znów pogładziła mnie po policzku.

—Co się stało? Klucz nie pasował? – zapytałem jeszcze oszołomiony bólem i sytuacją.

—Tak, klucz francuski. Temu kut*** Łysemu. Chciał sprawdzić, czy do Ciebie pasuje.

W międzyczasie rozejrzałem się jakoś wokół. Jeszcze słabo widzę, ale kształty rozróżniam. Tylko nie mogę głowy przekręcić. A ból przy tym! Staram się jakoś złapać ostrość. Skoncentrowałem się na drzwiach. Po paru sekundach drzwi zaczęły się ruszać. Jakby powiewały na wietrze.

Eeee, nie, to ktoś w fartuchu wszedł do pokoju. Plakietka na kieszeni. Lekarz. Zdecydowanym krokiem podszedł do mojego łóżka i złapał za tablicę informacyjną. Kiedy starał się wyczytać z karty pacjenta, jak bardzo klucz francuski pasował do mojej głowy, w pokoju panowała absolutna cisza. Fartuchowy autorytet działał.

Pokiwał kłową, upewniając nas, że już wie wszystko, i podszedł do mnie.

—Czy rozmawiał już z Tobą jakiś lekarz?

—Nikogo tu nie było. – Doktor uśmiechnął się tylko.

Oczekiwałem zmierzenia temperatury, pytania o samopoczucie, lub czegoś podobnego. Nie.

On przylgnął do mnie całym ciałem, obejmując rękoma.

Zbaraniałem kompletnie. Już wcześniej nie mogłem się ruszyć, ale teraz już totalnie zeszywniałem...

Po chwili, bez słowa, odlepił się ode mnie, spojrzał głęboko w oczy i teraz dopiero zapytał;

—Jak się czujesz? – I, co dziwne, on oczekiwał odpowiedzi na to głupie pytanie!

—Teraz trochę lepiej. – To było zaskakujące, ale faktycznie, przestałem czuć ból.

Być może wskutek szoku.

—Cieszę się, że mogłem pomóc. Nazywam się doktor Jimmy Cloosca. Jestem lekarzem pierwszego kontaktu.

Zniknął równie szybko i surrealistycznie, jak się pojawił.

Wzrok również mi się poprawił, spojrzeliśmy więc na siebie z Alicją, zszokowani. On tylko wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć.

—Lekarz pierwszego kontaktu? – wykrztusiłem. – To co, teraz przyjdzie lekarz drugiego kontaktu? A potem? – W normalnej sytuacji, po prostu, śmialibyśmy się z Alicją. Ale teraz?

—A potem przyjdzie lekarz Bluetooth. Czyli bezprzewodowy.

—Ha, ha... Auuuuu – rozśmieszyła mnie Alicja. Tak skończył się mój chwilowy błogostan. Bóle powróciły. Jedną ręką złapałem za głowę. Ale drugą musiałem szybko złapać tą pierwszą, bo szybki ruch spowodował większy ból samej ręki. Natomiast ruch drugiej ręki spowodował ból barku, do której ona należała. Alicja to dostrzegła.

—Może znów zawołam lekarza?

—A wiesz, który to jest lekarz „drugiego kontaktu”? – Roześmiała się. Ale, jak na komendę, do pokoju wszedł lekarz.

—Jesteś lekarzem drugiego kontaktu, czy Bluetooth? – Teraz to ona mnie rozśmieszyła, ale zamiast się roześmiać, tylko jęknąłem z bólu.

Lekarz spojrzał na Alicję, jakby nie zrozumiał, o czym ona mówi. Teraz odwrócił się do mnie z zainteresowaniem i zapytał;

—Co Cię boli?

—Przede wszystkim głowa. Ale i lewa ręka i prawy bark. A oczy chyba za chwilę wypadną mi z głowy. – Pokiwał głową na boki, jakbym go rozczarował.

—Tylko tyle? Nic więcej? – Mało mu?!

—Jeszcze odleżyny trochę przeszkadzają i... – jak mu jeszcze mało, to zawsze mogę coś dodać. – Kark cały mam sztywny.

—Przykro mi. Przyślę do Ciebie pielęgniarkę. – Co jest, do cholery? Grają ze mną w „dobrego i złego policjanta”? I już kierował się w stronę drzwi, ale go zatrzymałem.

—Panie doktorze, ale ten ból jest bardzo silny. Nie mogę się na niczym skupić.

—Przykro mi... – Zrobił kolejny krok w stronę drzwi, ale zatrzymał się. Zaczął się nad czymś zastanawiać, licząc na palcach. Na koniec, zasmucony, pokręcił głową.

—Na pewno to wszystko? Nic więcej Cię nie boli? – O co mu chodzi? Nic z tego nie rozumiałem, ale zacząłem intensywnie myśleć.

—Co jakiś czas mam bóle reumatyczne w biodrze. – Nie wiem, jakim jest popa-prańcem, że rajcuje go jak najwięcej bolących miejsc, ale dobra. Zagram w tą jego grę! LET'S PLAY.

—A w tej chwili? – Jeśli to go kręci...

—O! Właśnie zaczyna. Uuuuu... – I spojrzałem na niego. Zadowolony, ty popa-prańcu?!

Zboczek schylił się i coś szepnął Alicji do ucha. Dołem, tak, że tego nie widziałem, podał jej coś. No nie, jeszcze mi tu świntuszył z nią będzie! Właśnie miałem coś zrobić, lub powiedzieć, ale wtedy Alicja walnęła mnie młotkiem lekarskim w kolano.

—AuuuuAAAAA!!! – wrzasnąłem dużo głośniejszym głosem, niż powinienem, ze względu na cios. A oczy zrobiły mi się tak duże z zaskoczenia, że przy pochyleniu do przodu, wypadłyby z oczodołów.

—Co jest, do...

—Przepraszam, już daję zastrzyk przeciwbólowy – powiedział doktorek, i zanim byłem w stanie zareagować, wbił mi igłę.

—Ale... – chciałem znów coś powiedzieć, lecz lekarz już wyjął igłę i wyciągnął dłoń do powitania.

—Jestem doktor Antonio McAaron. Lekarz od siedmiu boleści... Przepraszam, że tak długo musiałeś czekać, ale jednej boleści brakowało.

I wyszedł...

Co jeszcze czeka mnie w tym szpitalu? A może to nie jest zwykły szpital, tylko dom wariatów?

Teraz już z lękiem zerkam w stronę drzwi. Lepiej, żeby nikt już nie przychodził.

Ale gdzie tam! Usłyszałem, że znów ktoś otwiera drzwi. Zamknąłem oczy.

—Cześć Tomek, jak się czujesz? – głos znajomy. Agnieszka. Tylko jej nie widzę i nie wiem, czy jest ze mną w tym świecie, czy może była w tamtym...

—Fatalnie się czuję. Jakby stado hipopotamów biegało mi po

głowie. – Jak odpowie, to znaczy że jest, a jak nic, to mi się tylko wydawało.

—To dobrze – głos Agi, czyli jest. – To znaczy, że głowa cała.

—Wiesz, nie jestem pewien. Możesz mi przyrzec?

Teraz usłyszałem krótki śmiech dwóch osób. Czyli Alicja i Aga.

—Teraz już tak – powiedziała Alicja. I czułem, że się uśmiecha.

—Czyli co się stało? Bo trochę mi się film urwał – powiedziałem, bo Alicja coś zaczęła mówić o Arturku.

—Kiedy wchodziłeś do domu, Łysy skur... walnął Cię w głowę z tyłu kluczem francuskim.

—To kut... Coś wspominał, że chce nauczyć się francuskiego. Ale takiego? – rzuciłem.

—Jego ktoś musiał spłoszyć, a Ciebie ja znalazłam, jak wróciłam z pracy. Prawie zemdlałam, jak Cię zobaczyłam. – Jej głos się załamał. – Myślałam, że już nie żyjesz.

I rozplakała się, kładąc na kołdrę.

Teraz kontynuowała Aga.

—Ala zapukała do sąsiada i zadzwonili po pogotowie. Na szczęście przyjechali bardzo szybko.

—Wieźli Cię stąd na sygnale. – Alicja zebrała się znów w sobie. – A ja całą drogę pytałam, czy żyjesz...

—A oni nic. Coś tam gadali po angielsku, ale byłam w takim stanie, że nic nie rozumiałam.

A jak w sali przyjęć bez wahania skierowali Cię na salę operacyjną, to mi się nogi ugięły. Zrobiła pauzę, żeby wziąć głęboki oddech. – Nie wiem, co bym zrobiła, jakby coś stało się któremuś z Was... I spojrzała na Agnieszkę.

—Macie jakąś wodę? – Teraz dopiero poczułem suchość w gardle a po plecach przeleciał mi dreszcz. Nie wiem, czy ze względu na

drastyczną opowieść, czy z innego powodu. Ale to nie ważne teraz.

Alicja wyciągnęła do mnie butelkę z wodą, ale ja nie mogłem podnieść ręki. Wcale jej nie czuję... czyżby... nie, jest na miejscu. Mogę ruszać palcami, tylko słabo.

—Jesteś bardzo osłabiony. Po takim czymś... – pokiwała głową. – Ty wiesz, jak mało brakło?!

—Do czego? – zapytałem głupio. Ale zaraz pokiwałem, że już wiem.

—Aha, do skrzydeł lub rogów – potwierdziłem.

—Głupi, jakby nie ten stan, to wybiłabym Ci te głupie żarty. – Nie dokończyła z czego, bo i tak głowa mnie „napiernicza”.

—Miałeś popękane kości czaszki i parę z nich złamało się do środka.

—No to chyba mi zamienili głowę, na łebek od gwoźdźca, bo czuję się, jakby ktoś właśnie skończył wbijać mnie w deskę.

—To nie są żarty. Ledwie przeżyłeś.

—A skąd wiecie, że to Łysy mnie walnął?

—Chwalił się Kindze. On już tam nie mieszka, ale spotkali się kiedyś na mieście. Ona chciała go wypytać, gdzie teraz mieszka, bo oczywiście obrobił z kasy jakiegoś ich znajomego, ale nic się nie dowiedziała. Złapała go za rękę i chciała zatrzymać, ale nikt jej nie pomógł i Arturek się wymknął. Już parę dni gdzieś się ukrywa.

—Jak to „parę dni”? To jak on mnie walnął? Korespondencyjnie? Dziewczyny spojrzały na siebie znacząco.

—Ty tu leżysz już prawie tydzień – zdębiałem.

—Byłeś w śpiączce, chyba takiej kontrolowanej. Lekarz mówił, że dziś będą Cię budzić. A Ty oczywiście musiałeś zrobić wszystko po swojemu.

—To Łysy zwał... To skur***.

—Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie mogło wyjść.

—To znaczy, co?

—Zaraz się dowiesz. Odwiedziło Cię parę osób, które się dowiedziały, ale myślę, że najbardziej ucieszysz się z tej niespodziewanej.

—Tusk? – prawie krzyknąłem, ucieszony.

—Nie, lepiej – powiedziała Alicja, już uspokojona i uśmiechnięta.

—No to kto? Święty Józef, patron stolarzy?

—Ha, ha, ten też był, ale jedynie przyglądał się z boku. Jak zobaczył, że nic z tego, to machnął ręką i zniknął.

—No to nie wiem – powiedziałem zrezygowany, bo ból głowy znów dał o sobie znać.

—Zaraz tu będzie. Agnieszka poszła po niego. – Spojrzała teraz w stronę drzwi. – O, idą!

Skierowałem wzrok w stronę drzwi. Weszła Aga, a za nią ktoś w fartuchu. Lekarz?

—Cześć, Tata! – usłyszałem czystą polszczyznę. I ten głos tak dobrze mi znany. Ale treść dotarła do mnie z opóźnieniem...

—Tata...? Eeee, to znaczy ...Konrad? A co Ty tu... To naprawdę Ty jesteś?

—A co, myślisz, że nadal majaczysz?

—A nie majaczę?

Podszedł i uszczypnął mnie w ramię.

—A to czujesz?

—Chyba taaaak, – odpowiedziałem machinalnie, bo teraz nie poczułbym nawet słonia na stopie.

—A co Ty tu robisz, jeszcze w tym fartuchu?

—Załatwiłem sobie pracę wakacyjną – spojrzał na mnie i dotknął czoła. – Jak się czujesz?

—Teraz to jakbym poszedł do nieba... – patrzyłem na niego szeroko otwartymi oczami.

—Chodź Aga, zostawimy ich trochę samych. Ja sobie zapalę. – I wyszły.

—Nie denerwuj się tak, nie przyszedłem Cię zamordować – roześmiał się. – Wiem, że to вина Was oboje, nie tylko Twoja.

Pokiwałem machinalnie głową, potwierdzając.

—Na początku, jak Cię zobaczyłem na sali pooperacyjnej, to chciałem Ci odciąć jakiś kabelek, tak żeby nic Ci się nie stało, ale żebyś się trochę pomęczył – spojrzał na moją jeszcze bladszą twarz. – Żartuję, co nie znasz się już na żartach?

Pokiwałem głową, że się znam.

—Ale później weszła Alicja. Myślała, że jestem lekarzem i zapytała, w jakim jesteś stanie. Widziałem, że jest przerażona. Nie zniosłaby tego, gdyby coś ci się stało. Powiedziałem, że będzie dobrze i zaczęliśmy wtedy rozmawiać.

A ja jedynie kiwałem twierdząco głową, bo nie potrafiłem wykrztusić słowa.

—Nie od razu przyznałem się, kim jestem. A ona była zbyt przejęta sytuacją, żeby sobie uświadomić, kogo jej przypominam. Kiedy już lekarze powiedzieli, że wszystko będzie dobrze po operacji, powiedziałem im, kim jestem.

Ponownie pokiwałem głową. Na chwilę zamyślił się, po czym kontynuował.

—Dzięki niej wiele zrozumiałem. Jak to było. Wybaczyłem Ci, tak jak nie mam pretensji do mamy, że się rozstaliście. Jesteście oboje tak samo winni temu, że nasz kontakt się zerwał.

Łzy popłynęły mi po policzkach...

—Dziękuję – powiedziałem cicho i przymknąłem oczy.

—Tomek ...omek... Tomek! – znów słyszę jak przez mgłę.

—Słyszysz mnie? Tomek! – znów głos Ali. Otworzyłem powoli oczy. To ona. Już wróciła? —A gdzie Konrad?

—Konrad? – zapytała zdeorientowana. – Nie ma tu Konrada.

—Jak to, przed chwilą z nim rozmawiałem? – teraz ja się zdziwiłem.

Alicja spoglądała na mnie przez chwilę.

—Tomek, ktoś Cię zaatakował przed domem. Jesteś po operacji.

– Złapała mnie

teraz za dłoń.

– A Konrada tu nigdy nie było...

Rozdział 29

Jak pić wódkę i na tym zarobić. TV Show by Artur. Paprykarz i trzy muszelki. O ogrodniku, co rozzruca nawóz po okolicy.

*

„Jestem królem świata, k***! Wiedziałem, że ich wszystkich wyroluję. Teraz pora znaleźć nowe lokum. Tamto już spalone”.

Artur idzie główną ulicą Roscommon w stronę polskiego sklepu. Ale nie zamierza kupować buraków i ogórków kiszonych. Ma inny plan. Zatrzymał się na chwilę w przejściu między dwoma kamienicami. Plecak z całym swym majątkiem położył na ziemi, żeby przy okazji nieco odpocząć. Ale to nie ciężar bagażu go zmęczył. Jego dobytek ogranicza się jedynie do odrobiny lekko znoszonej bielizny różnego rodzaju, pary koszulek, ciepłej bluzy i dwóch konserw paprykarza, podpier*** ostatniej ofierze.

Zatrzymał się, żeby przeliczyć łup.

„No, to na ile kasy oskubałem tego głąba? Sto, dwieście, trzysta –

liczy teraz po cichu – dwa tysiące siedemset... trzy tysiące sto! Nie jest źle, ale trochę za dużo wydałem na wódkę dla tego pijaka. Już myślałem, że nigdy go nie upiję. W jeden wieczór wychlać dwie flaszki 0,7 litra? Przecież ja to jedynie jeden kieliszek z tego walnąłem”.

Przetarł glacę kawałkiem papieru toaletowego, oczywiście również zwęzonego u Kingi i Krisa.

„Dobrze, że udało mi się wypłacić całą kasę z jego konta. Myślałem, że tam schomikował z pięćset i tyle. A ten sobie naodkładał trochę. I to ze zwykłej roboty! Nie wierzę. Ale przecież zwierzał się po pijanemu, że tamci go przyjęli pod dach gołego i bidnego. Naiwniaki z nich. Nie wiadomo, kto większy, Kinga czy Kris. H*** wiedzą o życiu. Jak nie zapier***, to się napier***isz”.

Podniósł plecak i przespacerował się jeszcze kawałek. Zatrzymał się na rogu budynku. Teraz dobrze widzi, kto wchodzi i kto wychodzi z polskiego sklepu.

„Muszę się szybko przylepić do następnych dzieciółów, bo kasa się skończy, zanim się obejrzę. Dobry bajer i następnych wyroluję. K***, zgłodniałem. Może wcześniej coś zjem”.

Wszedł do sklepu. Wziął pęto kiełbasy i dwie bułki. Dusza bolała go, gdy za to płacił. Ale teraz jeszcze musi. Nie może narobić w swoje gniazdo przed odlotem. Bo komu będzie śmierdzieć?

„Teraz sobie poczekamy”. Zjadł wszystko, co zakupił, a dodatkowo jeszcze ukryty paprykarz. Może i był już otwarty, ale tak mu się jeść chciało...

Słońce przebija się przez chmury. Kasa w kieszeni. Jest dobrze. Do sklepu weszła para z dzieckiem.

„Nie, z czego takich oskubę, z zabawek?”

Po kwadransie na zakupy weszło dwóch kolesi, po dwa metry

sztuka.

„Za dużo ich w metrach. Jak taki stanie w drzwiach, to nie ma jak spier***”.

Z tej samej strony, z której przyszedł Artur, usłyszał rozmowę po Polsku.

—Nie, dzisiaj już nie. Muszę odkładać.

„No tak, to chyba dla mnie oszczędza. Startujemy”.

Kiedy już przechodzili koło niego, zagadnął.

—Przepraszam. – I wyciągnął rękę, jakby zatrzymywał auto na drodze. – Wy jesteście z Polski? – Szeroki uśmiech na twarzy.

—Tak, a bo co? – zapytał jeden z dwójki wędrowniczków.

Artur wyciągnął rękę na powitanie.

—Jestem Romek. Przyleciałem właśnie z Warszawy. – Tamci spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami, jakby mówili „a co nas to obchodzi?” Doskonale wiedzieli, że jak ktoś ich tak zaczepia, to nie ma za co wrócić, bo wszystko przepił, albo szuka roboty. W obu wypadkach takiego gościa trzeba szybko spławić.

Ale facet jest napakowany, jak oni obaj wspólnie. Może lepiej za bardzo nie fikać.

—Franek.

—Bolek. – Potrząsnęli wielką łapą, choć bez entuzjazmu.

—Jestem z telewizji – powiedział Artur, bo przypuszczał, że musi iść ostrym kitem. Inaczej zaraz sobie pójdą. – Szykuję teren pod program. – Stara się złapać ich na haczyk.

—O pogodzie w Irlandii? – rzucił Franek. – To wystarczy jedno słowo; Leje, k*** – roześmiał się z własnego żartu.

—To są dwa słowa, ćwoku – policzył Bolek.

—Nie, oczywiście, że nie o pogodzie. To ma być o polskich emigrantach. – Przerwał na chwilę, bo jeszcze nie poukładał sobie

scenariusza. Ale zauważył, że skierowali swoją uwagę na niego. Czyli łyknęli. Pewnie chcą zostać Bładymi Pitami.

„Zrobię z nich niezłe pity”.

—Szykujemy taki serial o losach Polaków. Przyleciałem pierwszy i mam znaleźć ciekawe postacie. Sami tu mieszkacie, czy z rodzinami?

—Sami. Moja w Polsce, a jego z innym gościem, też w Polsce.

—No to super. To jest ciekawa historia. I takich właśnie szukamy.

—No, to znalazłeś. Bolek jest walnięty zdrowo. – Starają się sprzedać jak najlepiej, bo sława czeka. A jak to sąsiad zobaczy, to zzielenieje.

—No, to nie takie proste. Najpierw muszę z Wami porozmawiać, a wcześniej znaleźć jakieś lokum.

—A co, nie masz gdzie mieszkać?

—Mówili mi w redakcji, żeby wynająć jakiś hotel, natomiast ja pomyślałem, że lepiej Was poznam, jak zamieszkać u Was parę dni. – Widzi, że ich ma, to stawia ich przed faktem dokonanym.

—Teraz jeszcze musimy coś załatwić, ale około 19 będziemy w domu, to wal jak w dym i opowiemy ci takie rzeczy, że ci się kamera przegrzeje.

—A jaki adres?

—A to niedaleko. Pójdiesz tu, tym przesmykiem, skrócisz w lewo, najbliższy skręt w prawo i jakieś 200 metrów. Po prawej stronie będzie numer 27. To jest Church Street.

—Dobra, to będę. – A teraz zrobił swoją najbardziej przymilną minę. – Jestem pierwszy raz w Irlandii, ale powiedzcie mi prawdę. – Schylił się konspiracyjnie w ich stronę – Można tu coś odłożyć w tej Irlandii?

—Chłooooo pie, już prawie dziesięć klocków odłożyłem, a Franek...
– Franek w tym momencie szturchnął go, jak mu się wydawało, dyskretnie. Ale Artur to zauważył.

—No, parę euro też odłożyłem – dokończył.

„Ta- dam! Mam ich, cieniasów”. Pomyślał Artur.

—No to zadzwonię zaraz do redakcji, że już coś mam, a Wy posprzątajcie trochę, bo telewizja przyjedzie.

—Dzisiaj?! – Wystraszył się Bolek. Te wszystkie nieposprzątane butelki i zarzygana kuchnia...

—Nie. Ale jak wszystko pójdzie dobrze, to szybko przyjadą. To wezmę jakąś flaszkę. Napijecie się?

—Jak telewizja stawia... Jasne! – Ucieszyli się, nie wiedząc, że to też pytanie sprawdzające. Nie musi już szukać nowego planu, jak ich wydoić.

—Ok, to do zobaczenia – rzucili na pożegnanie i pobiegli załatwić swe sprawy i posprzątać chatę.

„Dzięki mnie chociaż sobie ten barłóg uprzątą” – pomyślał, niezamierzenie robiąc dobry uczynek.

„Dobra, teraz mam parę godzin wolnego czasu. Przejdę się po okolicy, zbadać teren”.

Ruszył przed siebie. Głównie poruszał się bocznymi uliczkami i bacznie wypatrując innych okazji. Po godzinie spaceru znalazł się na jakimś niezamieszkanym osiedlu. No dobrze, może parę wyglądało na zasiedlone.

I właśnie teraz zachciało mu się srać!

„K***, co tu zrobić? Zaraz mi tyłek rozerwie! O, tu jest napis: TOILET. Idę”. Podeszedł do budynku z tablicą, informującą, że tu jest toaleta. Obszedł dookoła, są tylko jedne drzwi wejściowe. Złapał za klamkę.

„Zamknięte. To po ch** piszą, że kibel tu jest. No, ale nie dam rady” – pomyślał i rozejrzał się dookoła, czy nikt nie patrzy. Cisza.

Walnął mocno z buta i drzwi ustąpiły. Irlandia. Wszedł do środka. Może to nie wyglądało na toaletę, ale w obecnej sytuacji presja powoduje, że to nie ma najmniejszego znaczenia. Znalazł szybko właściwe miejsce, ściągnął spodnie z lekkim opóźnieniem, bo zapięcie ogrodniczków miał pod bluzą. Ledwie je opuścił i przyjął pozycję narciarską, a już nastąpił niespodziewanie silny wybuch...

„O ja pie***, mało brakło. Musiałbym nowe spodnie kupić”.
Nacisnął spłuczkę.

Nic.

Nacisnął jeszcze raz... i jeszcze raz. Nie działa.

„No ja pier***, nawet tyle nie potrafią naprawić. H** im w d**ę. Niech sobie sami to zdrapują”.

Podciągnął porciętka i wyszedł. Nikt go nie zauważył. Ruszył dalej, rozglądając się za łatwym łupem.

Tutaj wiele nie zarobi. Przecież wanny nie wykręci i nie wyniesie. Idąc wzdłuż drogi dotarł do osiedla budowanego jeszcze przed boomem. Stare domy, niskie, z małymi okienkami. Jest jeden domek trochę na uboczu. Zawsze można poobserwować i zapisać, kiedy chata pusta. „Bryki niezłe przed domem. Muszą tam być fanty”.

Zapisał zamiary w swoim wewnętrznym GPS-ie i poszedł dalej.

Bul-bul-bul.

„Co się dzieje?”

Bul-bul-bul.

Dobiega z brzucha Artura.

„Przecież dopiero, co byłem w toalecie. Ile minęło? Pół godziny?”.

Bul-bul-bul. Natura nie pozwala się zlekceważyć.

„No i muszę znów szukać kibla. Dobrze, że tu co parę domów jest toaleta. Ale po ch** im tyle? Teraz rozumiem. Przy takim żarciu, jak mają, to muszą co chwila latać na tron. O, jest następne TOILET. Lecę”.

Ponownie ta sama sytuacja. Obszedł budynek, ale jedyne drzwi zamknięte.

I znów z buta. Jest w środku.

Pfffryriryryry...

Naciska spłuczkę. Też nie działa. Ogrodniczki w górę i wychodzi.

—Hello! – usłyszał głos kogoś przed budynkiem.

—Stop! What are you doing there? (Stój, co ty tam robisz?) – zapytał jakiś miejscowy i ruszył w stronę Artura.

—Ok, ok. – Artur podniósł rękę w geście pojednania i zaczął się oddalać od Irlandczyka.

„Pewnie chce ze dwa euro za toaletę. Niech spada”.
I przyspieszył.

Lokals nie wiedział: ruszyć za intruzem, albo sprawdzić, czy wszystko dobrze w budynku. Takie hałasy dochodziły z niego. Widzi, że intruz nie wynosi nic wielkiego z środka, więc zrezygnował z pogoni.

Artur i tak zniknął już za rogiem.

„Za dwa euro to ja sobie kupię kilo burgerów w Biedronce”.

Szybkim krokiem, oglądając się co chwilę i klucząc, zgubił pogoń. Przy okazji sam się zgubił. Znalazł się w wąskiej uliczce, wokół stare budownictwo. Kamienice z oknami jak wizjer.

„To w którą stronę mam teraz iść? Nie mogę się za bardzo oddalać od tych toalet w mieście. Po tym paprykarzu tak mi kicnę ciśnie, że ja pier***. To z pewnością zemsta tego ze Szczecina, co go opier*** z kasy”.

Ruszył w stronę, w którą jechało więcej aut. Wali ostro, aż mu się podeszwy grzeją. Nagle zahamował. Doszedł do drogi łączącej się z rondem. I to nic strasznego. To nie tak, że nie wiedział, w którą stronę iść na rondzie, bo ruch tu odwrotny na drogach. Z drugiej strony dostrzegł coś, na co jest uczulony. Nie, to nie są pyłki drzewa lipy. To KOMISARIAT POLICJI. Nie zastanawiając się wiele, zawrócił. Dla pewności tylko, czasem oglądał się za siebie, wypatrując ewentualnej pogoni (znów ten Szczecin w tle). Bez problemu dotarł jednak do centrum miasta. I tam znów go dopadło...

Przeznaczenie 3.

„I ponownie mnie bierze”. Rozgląda się za najbliższą toaletą.

„Jest! TOILET. Wygląda jak sklep jakiś. Ale dobra. Może sklep zamknięty, ale toaleta czynna”.

Podchodzi do drzwi. Znów zamknięte.

„No, ja pier***, to mi tu gacie rozrywa, a Ci, jakby się umówili, wszystkie drzwi do kibli pozamykali!”.

I w furii i potrzebie walnął z buta jeszcze mocniej, niż zwykle. Ale tym razem było trochę świadków zdarzenia. Ktoś zadzwonił po policję.

W chwili, kiedy Artur siedział na tronie i dawał koncert jazzowy na trąbce, pod sklep podjechał radiowóz. Trębacz z poczuciem ulgi i radości, że tym razem spłuczka działała, wyszedł z toalety.

Zobaczy Gardę. Zbaraniał.

„Skąd wiedzieli, gdzie mnie szukać?”. Już miał próbować uciekać, ale zaskoczył go sympatyczny wyraz twarzy policjanta.

„Przecież tak się nie aresztuje ludzi. Coś o tym wiem. Pięć razy mnie zgarniali w Polsce. To co oni chcą?”.

—Hello — powiedział policjant. — Czy możesz mi powiedzieć, co

Ty tu robisz?

—Tak, ja korzystać toaleta. – Wyjmuje dwa euro z kieszeni. – Tylko nie wie, gdzie płacić.

—To nie jest płatna toaleta. To wcale nie jest toaleta. – Irlandczyk jest trochę zaskoczony. Jaka toaleta?! Może on psychiczny jaki? – Skąd taki wniosek?

—Tu pisać. – Wskazał palcem tablicę z napisem.

Policjant spojrzał na niego, już prawie pewien, że ma do czynienia z czubkiem.

—A możesz przeczytać, co tam jest napisane?

—TOILET (TOALETA).

—A możesz przeczytać dokładnie? – kontynuuje policjant, bo już wie o co chodzi, ale jeszcze nie wypada mu się śmiać.

—TO LET. Tylko „i” nie mieć. Tu dużo toaleta nie mieć „i”.

—Dużo toaleta nie mieć „iiii”? – spytał, rozbawiony. – A wiesz, co to toaleta bez „i”?

—Nie.

—Do wynajęcia. – Ale domyślił się, że tego słowa Polak nie zna, wytłumaczył zatem to przystępniej dla forinera. – Czyli Ty płacić czynsz i mieszkać.

—Taaak? – zbaraniał Artur. „No tak, k***! To dlatego drzwi były zawsze zamknięte. Popier*** ten ich język!”. Ale jak tu z tego wybrnąć, żeby się nie zainteresowali?

—Ok, ja pieniądze za drzwi, bo musieć goł praca. – I stara się sięgnąć do kieszeni tak, żeby wyciągnąć tylko parę pięćdziesiątek, a nie wszystko. „Powiniennem to lepiej ukryć”.

—I am sorry, ale jestem tutaj, ponieważ dostaliśmy parę zgłoszeń w sprawie podobnych „incydentów”. Musimy to wyjaśnić.

„No to nie jest dobrze. Jak mnie wezmą na dołek, to

pozamiatane”.

—Yes, to być ja. Dwa miejsca kupa. Ja klin (wyczyszczę) i Ty być zadowolony.

—Nie... – chciał zaprzeczyć policjant, ale nie uśmiechało mu się spisywać na posterunku raportu o obsranych toaletach. Dopiero koledzy mieliby zabawę. Cały rok. – Poczekaj sekundę. – I nie spuszczać podejznanego z oka, (to by była jeszcze większa wpadka, jakby zwał mu obsrywacz) zadzwonił.

Po chwili rozmowy, uśmiechnięty powiedział do Artura;

—Ok, pojedziemy razem, wyczyścisz te trzy miejsca oraz zapłacisz za drzwi po 100 euro i będziesz wolny. – Przedstawił mu deala.

—Ok, dziękować. – powiedział uradowany Artur. Weszli do budynku, oszacować straty. Tutaj nie trzeba było czyścić, podali tylko gotówkę właścicielowi i ruszyli do drugiego budynku.

Tam, czyszcząc kibel i mając policjanta, stojącego za nim, przypomniał sobie czasy odsiadki.

„K***, wcale nie było tak źle. Tylko dymanka z laskami brakowało. A reszta git!” I ponownie 100 euro w łapę właściciela, eskorta do ostatniej TO-LETY.

Artur złapał za szczoteczkę do zębów dla dinozaurów i szoruje swoje DNA z muszli. Zrobiło mu się gorąco, zdjął bluzę. Teraz pracował w T-shircie i ogrodnickach.

„Ogrodniczki!” – ta myśl spadła na policjanta, który dopiero co wrócił z urlopu, niczym grom z jasnego nieba!

„Przecież ten złodziejaszek z Castlerea, co obrobił parę osób nosił ogrodniczki. Że też wcześniej nie skojarzyłem zdjęcia. Może niezbyt aktualne, a Ci łysi wszyscy tacy sami, ale... to jest on!”.

Podszedł bliżej drzwi, żeby odciąć mu drogę ucieczki a sam, niby

bawiąc się telefonem, napisał SMS-a z prośbą o wsparcie. Ten koleś jest silny. Może nie dać rady. Artur wyprostował się po skończonej pracy i uśmiechnął, prostując plecy.

Sięgnął do kieszeni po ostatnią stówkę.

—Gdzie być właściciel? – zapytał, pokazując dwa banknoty.

—Czeka przez budynkiem – powiedział policjant, puszczając Arturka przodem, wprost w łapki czekających na zewnątrz wezwanych kolegów z komisariatu. Złapali go zaskoczonego, założyli bransoletki i zapakowali do wozu, czekającego z utęsknieniem na swój ładunek.

„Pomyśleć, jakie to ogrodnictwo może być szkodliwe...” – przeleciało to przez głowę policjanta.

To chyba KONIEC

Ale czy na pewno?

**Książka ta została wydana dzięki hojności osób,
które wsparły mój projekt na stronie Polak Potrafi.
Dziękuję Wam.**

Książka stworzona na platformie
wydacksiazke.pl
ISBN: 978-83-948209-1-6

HISTORIA NA PODSTAWIE PRZEŻYC
AUTORA

KOMORNIK

*czyli śmieszna opowieść o
emigracji*

written by **TOMEK CZE**